

MICHAEL PALMER

Nowy thriller polityczno-medyczny autora „Krytycznej terapii”



POLITYCZNE SAMOBÓJSTWO

O książce

**Doktor Lou Welcome, znany z „Przysięgi”,
wkracza w świat polityków,
wojskowych i prawników, nie mając pojęcia,
co jest stawką w tej grze!**

„Sposób, motyw i okazja – wobec braku niezbitego dowodu lub naocznego świadka – to kluczowe elementy przestępstwa konieczne do przekonania ławy przysięgłych o winie”.

Kiedy zostaje zamordowany kongresmen Elias Colston, policja nie ma kłopotów ze znalezieniem podejrzanego. Wszystkie trzy elementy jednoznacznie wskazują na Gary’ego McHugh, lekarza obracającego się w kręgach waszyngtońskiej elity politycznej. Zwłaszcza motyw – doktor był kochankiem żony ofiary.

Pierwszą osobą, do której zwraca się Gary z prośbą o pomoc, jest przyjaciel, Lou Welcome. Choć nie do końca przekonany o jego niewinności, Lou rozpoczyna śledztwo. Mając przeciwko sobie niekompetentną – a może skorumpowaną – policję i młodą, piękną adwokatkę, z którą teoretycznie powinien współpracować, odkrywa zaskakujące fakty.

I nie zdaje sobie sprawy, że uwolnienie przyjaciela od stawianych przez policję zarzutów może być tylko wierzchołkiem góry lodowej sięgającej najwyższych szczebli rządu i pierwszym krokiem do ujawnienia gigantycznego spisku.

**MICHAEL
PALMER**

**POLITYCZNE
SAMOBÓJSTWO**

Z angielskiego przełożył
ŁUKASZ PRASKI



Wydanie elektroniczne

MICHAEL PALMER
(1942-2013)

Amerykański pisarz, z zawodu lekarz internista. Praktykował w szpitalach w Bostonie i Massachusetts, zajmował się także leczeniem uzależnień. Pełnił funkcję wicedyrektora Massachusetts Medical Society. Autor około dwudziestu thrillerów medycznych tłumaczonych na 35 języków. Najbardziej znane to: **Krytyczna terapia, Szczepionka, Piąta fiołka, Pierwszy pacjent, Ostatni chirurg, Jedno uderzenie serca, Przysięga i Polityczne samobójstwo.**

www.michaelpalmerbooks.com

Tego autora

PACJENT
RECEPTA COREYA
SZCZEPIONKA
PRZEBŁYSKI PAMIĘCI
STOWARZYSZENIE HIPOKRATESA
PIĄTA FIOŁKA
SIOSTRZYCZKI
EKSPERYMENT
DRUGA DIAGNOZA
PIERWSZY PACJENT
OSTATNI CHIRURG
KRYTYCZNA TERAPIA
CICHA KURACJA
JEDNO UDERZENIE SERCA
PRZYSIĘGA
POLITYCZNE SAMOBÓJSTWO

Tytuł oryginału:
POLITICAL SUICIDE

Copyright © Michael Palmer 2013
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2015

Polish translation copyright © Łukasz Praski 2015

Redakcja: Monika Strzelczyk

Zdjęcie na okładce: copyright © Trish Mistic/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-272-7

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, [88em](#)

Spis treści

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)
[ROZDZIAŁ 25](#)
[ROZDZIAŁ 26](#)
[ROZDZIAŁ 27](#)
[ROZDZIAŁ 28](#)
[ROZDZIAŁ 29](#)
[ROZDZIAŁ 30](#)
[ROZDZIAŁ 31](#)
[ROZDZIAŁ 32](#)
[ROZDZIAŁ 33](#)
[ROZDZIAŁ 34](#)
[ROZDZIAŁ 35](#)
[ROZDZIAŁ 36](#)
[ROZDZIAŁ 37](#)
[ROZDZIAŁ 38](#)
[ROZDZIAŁ 39](#)
[ROZDZIAŁ 40](#)
[ROZDZIAŁ 41](#)
[ROZDZIAŁ 42](#)
[ROZDZIAŁ 43](#)
[ROZDZIAŁ 44](#)
[ROZDZIAŁ 45](#)
[ROZDZIAŁ 46](#)
[ROZDZIAŁ 47](#)
[ROZDZIAŁ 48](#)
[ROZDZIAŁ 49](#)
[ROZDZIAŁ 50](#)
[ROZDZIAŁ 51](#)
[ROZDZIAŁ 52](#)
[EPILOG](#)

PODZIĘKOWANIA

*Doktorowi Lloydowi Axelrodowi
oraz doktorowi Michaelowi Fiferowi
z Massachusetts General Hospital
z wyrazami wdzięczności i najgłębszego szacunku*

PROLOG

3 maja, 2003

Trzej członkowie kompanii Mantis wyskoczyli przez otwarty luk transportowca C-130 lecącego na wysokości dwudziestu tysięcy metrów nad ziemią. Ćwiczyli ten skok setki razy. Bezpieczne lądowanie zapewniał im sprzęt, o który pedantycznie dbali, hełmy balistyczne, maski tlenowe, regulatory Airox i awaryjne butle z tlenem. Według wskazań wysokościomierzy, opadali z prędkością stu osiemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Przez kilka minut spadali swobodnie, wyprostowani i nieruchomi, w szyku. Spadochrony otworzyły się automatycznie dwieście pięćdziesiąt metrów nad ziemią, na najniższej dopuszczalnej wysokości w przypadku desantu wykonywanego tą techniką.

Przelecieli jak rakiety przez niską warstwę chmur i ukazali się jak znikąd na bezgwiezdnym, ciemnym niebie przedświt. Z lądowania każdego z nich, wykonanego z gracją pumy, byliby dumni ich instruktorzy z Quantico. Perfekcja. Mantis wymagała tylko doskonałości. Trzej mężczyźni w milczeniu zdjęli polipropylenową bieliznę, chroniącą przed odmrożeniami na dużych wysokościach, i przebrali się w białe bawełniane stroje i tradycyjne nakrycia głowy talibskich bojowników. Następnie spakowali i zapięli plecaki bojowe ważące ponad dwadzieścia kilogramów.

Spodziewali się, że w zakurzonych ubraniach nie wzbudzą żadnych podejrzeń, przynajmniej początkowo. Każdy miał opaleniznę z solarium uzupełnioną profesjonalnie wykonanym makijażem oraz krótko przystrzyżone włosy i gęstą brodę. Poruszając się chyłkiem, trójka mężczyzn wtopiła się w otoczenie – górski i kamienisty region południowego Afganistanu, nagi i pusty jak krajobraz księżycowy.

– Jakież obrażenia?

– Nie, sierżancie – odpowiedzieli chórem dwaj pozostali.

– Miller, ile kilometrów do celu?

Miller zerknął na podręczny lokalizator GPS.

– Jesteśmy pięć kilometrów na południowy zachód od celu, sierżancie.

– Gibson, wyrzuć sprzęt.

Gibson wiedział, że nie ma sensu poświęcać czasu na szukanie odpowiedniego miejsca, aby ukryć spadochrony i pozostały ekwipunek. Mieli nadzieję, że minie trochę czasu, zanim Afgańczycy natkną się na stertę nowoczesnego sprzętu wojskowego upchniętą za ostrym głazem.

Szli jeden za drugim, poruszając się bezszelestnie po kamienistym terenie, z Millerem na czele, zaopatrzonym w lokalizator GPS. Za ich plecami wstawał świt, wspinając się na niebo wstęgami różu, żółci i błękitu, które jak gigantyczne palce wyciągały się w górę, przywołując skinieniem nowy dzień. Gdyby ktoś zbadał w tym momencie puls trójce mężczyzn, u żadnego z nich częstotliwość nie przekroczyłaby pięćdziesięciu uderzeń na minutę.

Miller znalazł drogę – zryty koleinami szlak, który miał ich zaprowadzić na obrzeża Khewy, dwudziestotysięcznego miasteczka, które dziś wyglądało tak samo jak półtora wieku wcześniej. Młode kobiety w czadorach przerywały pracę na przydrożnych polach pszenicy, ryżu i warzyw, aby obrzucić przelotnym spojrzeniem trójkę

podróżnych, po czym szybko wracały do swojego zajęcia. Przebranie marines było na tyle dobre, że żadna z kobiet nie zadała sobie trudu, by przyjrzeć się im uważniej. Oceniali, że jeśli im się nie przytrafi żadne wyjątkowe nieszczęście, może minąć około dwunastu godzin, zanim zostaną zidentyfikowani przez żołnierzy albo któregoś z mieszkańców miasteczka.

Czasu aż nadto.

Mężczyźni z kompanii Mantis bez żadnych incydentów dotarli do kruszących się ceglanych murów na obrzeżach Khewy. W oczy rzucał się przede wszystkim brak wielu rzeczy – w miasteczku nie było samochodów, elektryczności, bieżącej wody. Wszędzie było widać ślady dwudziestu lat wojny. Kratery po bombach i minach znacznie utrudniały pokonywanie skromnej liczby dróg, nawet pieszo. Zniszczonych przez bombardowania budynków i chat było więcej niż tych nadających się do zamieszkania.

Do celu prowadziły ich zapachy bazaru. W końcu zaczęli się kręcić między nędznymi straganami skleconymi z desek, blachy i gliny, które stały stłoczone jeden przy drugim po obu stronach wąskiej gruntowej drogi. Mimo wczesnej pory targowisko w centrum miasteczka tętniło już życiem. Na niektórych straganach wisiały płaty mięsa upstrzone muchami i jak makabryczne dzwoneczki poruszane wiatrem, a poplamieni krwią rzeźnicy wykrzykiwali po pasztuńsku ceny dnia. Z głośników tandetnych odbiorników radiowych łomotała perska muzyka, a trzech marines dalej spacerowali między kramikami z owocami, pieczywem i podstawowymi artykułami gospodarstwa domowego.

Zwrócili na siebie uwagę jednego z członków starszyny miasteczka dopiero po dwóch godzinach, gdy poranek zmienił się w parne przedpołudnie.

– Nie patrzcie – rzekł przyciszonym głosem Gibson. – Ale zdaje się, że nas zauważyli.

Afgańczyk z długą siwą brodą spływającą na pierś i kałasznikowem na ramieniu zbliżył się do nich, jak gdyby podchodził do jadowitego węża.

Trzej marines odwrócili się do niego plecami i odeszli jak najdalej od kobiet i dzieci na zatłoczonym bazarze. Operacja w miarę możliwości miała objąć tylko żołnierzy. Kiedy się zatrzymali, Afgańczyk ostrożnie zrobił dwa kroki w ich stronę... potem trzeci. Przymrużył ciemne oczy. A po chwili zaczął wrzeszczeć jak opętany, pokazując na nich palcem.

Jego piskliwy głos wzniósł się ponad harmider bazaru, przyciągając uwagę mężczyzn ubranych na szaro i biało, z których chyba każdy miał przy sobie broń innej marki i wyprodukowaną w różnych latach. Zgiełk szybko przybrał na sile, przechodząc w crescendo, i ze wszystkich stron zbiegli się Afgańczycy, żeby otoczyć intruzów. Wrzeszczeli po pasztuńsku, wskazując długimi palcami z brudnymi paznokciami trzech mężczyzn zamkniętych w coraz gęstszym kręgu ciał.

– Jak ci się podoba przedstawienie, Miller? – zapytał sierżant, prawie nie poruszając wargami.

– Na razie dokładnie tak, jak pan mówił, sierżancie – odrzekł Miller bez żadnego drżenia głosu. – Pod warunkiem że sprowadzą pana Waźniaka. – Zwilżył wargi językiem.

Otaczało ich już co najmniej stu pięćdziesięciu talibów, ciasnym pierścieniem złożonym z dziesięciu rzędów. Wielu z nich celowało do nich z broni – karabinów maszynowych PK, przedpotopowych leenfieldów oraz rozmaitych pistoletów. Przepychali się, żeby lepiej widzieć trzech mężczyzn, którzy tak bezczelnie wkroczyli w sam środek ich miasta.

– Nie opuszczajcie rąk – zwrócił się do swoich ludzi sierżant – i szukajcie w tłumie Al-Baszira. Jeżeli nasz wywiad się nie mylił, nikt tu nie odważy się na żaden krok, dopóki on się nie zjawi.

Najbliżsi ludzie w falującym kręgu tłoczyli się nie dalej niż półtora metra od nich.

Miller pierwszy dostrzegł Al-Baszira, którego zdradzały charakterystyczna płomiennoruda broda i kartoflowaty nos.

– Jest, sierżancie – powiedział, kiedy tłum się rozstąpił, aby zrobić miejsce swojemu przywódcy, jednemu z najważniejszych i najbardziej wpływowych bojowników w tym regionie.

Al-Baszir zamasyście przeszedł przez szeregi. Sierżant uśmiechnął się, skinął głową i trzech marines błyskawicznie ustawili się w trójkąt, zwróceniem twarzami na zewnątrz, stykając się ramionami. Nagły ruch sprawił, że niektórzy z otaczających ich ludzi, zaskoczeni, cofnęli się o krok.

Ale nie Al-Baszir.

– Gotowi na wszystko – rzekł sierżant.

– Gotowi na wszystko – powtórzyli Miller i Gibson.

Jednym ruchem zrzucili ubranie.

Tłum znów zaczął wrzeszczeć.

Każdy z intruzów miał przymocowane taśmami do piersi kostki materiałów wybuchowych – trzy z prawej strony i trzy z lewej – a przewody były podłączone do baterii zawieszonych na pasie.

– Gotowi na wszystko – powiedział znowu sierżant.

Przy wciśnięciu przycisku rozległo się ciche kliknięcie i w ułamku sekundy wszyscy zbici w krąg wokół trzech żołnierzy wyparowali w gorącej białej kuli starannie skupionego światła.

ROZDZIAŁ 1

Doktor Louis Francis Welcome potrafił robić dobrze wiele rzeczy, nie należało do nich jednak obijanie się. Na jego biurku w waszyngtońskim Ośrodku Opieki dla Lekarzy, stojącym w jednym z czterech boksów w pomieszczeniu o powierzchni osiemdziesięciu metrów kwadratowych, nigdy nie panował taki porządek. Zwykle po południu lampka w jego telefonie Nortel sygnalizująca wiadomości pozostawione na poczcie głosowej mrugała na czerwono – zapowiadając, że jeden lub więcej jego klientów potrzebuje porady i wsparcia w związku ze swoim wychodzeniem z choroby psychicznej, zaburzeń w zachowaniu albo problemów z uzależnieniem od narkotyków czy alkoholu. W tej chwili lampka była ciemna, tak jak przez kilka ostatnich dni.

Lou dostawał pensję za prowadzenie spraw i nadzorowanie postępów przydzielonych mu lekarzy, za wskazanie im drogi powrotu do zdrowia i pomoc w ostatecznym przywróceniu im prawa do wykonywania zawodu, którego musieli się zrzec. Okres świąteczny zwykle przynosił napływ nowych kandydatów, których do OOL często kierowała stołeczna rada lekarska.

Ale ostatnio już nie.

Przypuszczał, że brak klientów nie oznacza wcale zmniejszenia popytu na usługi OOL. Wprost przeciwnie, podobnie jak w całym społeczeństwie ostatnie sześć tygodni roku ujawniały, jak wielu lekarzy ma kłopoty z rozmaitych powodów. Dlaczego więc, u diabła,

zastanawiał się – w roztargnieniu budując łańcuch z zawartości inkrustowanej masą perłową skrzyneczki na spinacze – nie dostaje żadnych nowych spraw?

Wiedział, że jest tylko jedno logiczne wytłumaczenie – doktor Walter Filstrup, dyrektor programu.

Rytmicznie ściskając w rękę piłeczkę relaksacyjną z napisem PFIZER PHARMACEUTICALS, Lou wolnym krokiem wyszedł do recepcji, gdzie siedząca za biurkiem Babs Peterbee wydawała się bardzo zajęta.

– Doktorze Welcome – powiedziała, zwracając ku niemu okrągłą twarz emanującą mieszaniną troskliwości i niepokoju. – Nie widziałam, jak pan wchodził.

– Doktor Ninja – odparł Lou, przybierając pozę nieuchwytnego wojownika. – Były jakieś telefony?

– Dzwonił jakiś człowiek i chciał z panem porozmawiać o szefie swojego oddziału, który za dużo pije. Odesłałam go do poczty głosowej doktora Filstrupa.

– Zanotowałam jego nazwisko?

Peterbee przywołała na twarz wymuszony uśmiech.

– To nie należy do moich obowiązków.

Był to jej ulubiony zwrot. Lou wypowiedział te słowa równocześnie z nią. Kobieta z pewnością wiedziała, jak bez szwanku przeżyć dzień w pracy. „To nie należy do moich obowiązków”.

– Walter jest u siebie? – spytał Lou. – Odkąd przyszedłem, drzwi są zamknięte.

– Ma właśnie telekonferencję – odrzekła Peterbee, przechylając głowę w prawo, w kierunku jedynych drzwi w biurze, nie licząc drzwi naprzeciwko niej, prowadzących do niewielkiej sali konferencyjnej. Były to również jedyne drzwi opatrzone tabliczką z brązu, na której wytłoczono wytwornymi literami nazwisko i tytuł Filstrupa.

– Prawdziwą konferencję czy konferencję Filstrupa?

Peterbee znów uśmiechnęła się sztucznie.

– Co słyhać u pańskiej córki? – zapytała.

– Emily ma się znakomicie, dziękuję – odparł Lou, przenosząc ciężar ciała o wzroście stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów z nogi na nogę i przekładając piłeczkę do lewej ręki. – Niedługo kończy czternaście lat i bardzo chce być dorosła, a w umiejętności unikania tematów, na które nie ma ochoty rozmawiać, bije na głowę nawet naszego szanownego szefa. Pytam jeszcze raz, czy Walter naprawdę jest zajęty?

Tym razem Peterbee zerknęła na swój szereg telefonów i pokręciła głową, jak gdyby przestała łamać obietnicę złożoną Filstrupowi.

– Zdaje się, że już odłożył słuchawkę.

– Kiedy będziemy przyznawać nagrody dla najlepszego pracownika roku, nominuję ciebie. Co za niewzruszona lojalność.

– Chyba wzruszające ubóstwo.

– To też. Jak oceniasz ogólny nastrój?

– Powiedziałabym, że mieści się w dwójce.

Nieliczny personel OOL mierzył nieprzewidywalne zachowanie swojego dyrektora za pomocą skali Saffira-Simpsona stosowanej przez meteorologów do klasyfikacji intensywności huraganów.

– Dwójka nie jest taka zła – rzucił Lou, raczej do siebie. – Wieje, ale nie zagraża życiu.

– To się zmieni, jeżeli pan tam wtargnie, doktorze Welcome – przestrzegła go Peterbee.

Lou posłał jej całusa.

– Bez obaw – odparł. – Pod koszulą mam kamizelkę z kevlaru.

Zapukał do drzwi Filstrupa i od razu je otworzył. Gabinet dyrektora, pełen starannie ustawionych podręczników medycznych i roczników czasopism psychiatrycznych, był jeszcze mniej

zabałaganiony niż boks Lou – nie w związku ze skromną liczbą wpisów w kalendarzu, lecz z powodu jego przemożnej potrzeby porządku.

Szczupły i wysportowany Filstrup, ubrany jak zwykle w granatowy garnitur, białą koszulę bez żadnego zagniecenia i krawat w jednolitym kolorze – dziś w odcieniu szarości – zerwał się na nogi, a jego twarz z każdą nanosekundą coraz bardziej czerwieniała.

– Natychmiast wyjdź, Welcome, a potem zapukaj i zaczekaj.

– I wtedy zaprosisz mnie do środka?

– Nie, powiem ci, że czekam na ważny telefon i możesz przyjść za godzinę.

Lou odsunął krzesło Aeron stojące naprzeciwko Filstrupa i usiadł. Na biurku po prawej od niego leżał stos równiutko ułożonych dokumentów do przejrzania, a obok plik kart klientów. Nikt nie mógłby zarzucić dyrektorowi, że nie ma bacznego oka na wszystko, co dzieje się w firmie.

– Nie widziałem cię prawie przez cały tydzień, szefie, więc pomyślałem, że wpadnę i dowiem się, jak leci.

– Złośliwość nigdy nie należała do twoich najsympatyczniejszych cech, Welcome, chociaż muszę przyznać, że i nie do najgorszych.

– Kto nadzoruje te wszystkie sprawy? – zapytał Lou, wskazując na pliki dokumentów. – Na pewno nie ja.

Filstrup spuścił głowę, zaszczycając widokiem swojej łysiny, po czym teatralnym gestem złożył podpis na formularzu, który, jak sądził Lou, mógł być równie ważny jak ankieta z urzędu statystycznego.

– Zarząd ciągle przedłuża ci umowę, ale nie mówi mi, do czego mam cię wykorzystać – odrzekł Filstrup.

– Może dać mi coś do roboty? – spytał Lou, nie całkiem, lecz prawie błagalnym tonem. – Nie umiem sobie znaleźć miejsca.

– Przecież masz swoje sprawy i swoich podopiecznych – zauważył Filstrup.

– Mam tylko paru lekarzy, którzy nadspodziewanie szybko wychodzą na prostą – rzekł Lou. – Jestem tu po to, żeby pomagać. Lubię tę pracę i nigdy nie czekałem tak długo na nową sprawę. Co jest grane, Walter?

– To jest grane, że zatrudniliśmy kogoś w pełnym wymiarze i muszę go wdroić w to, co robimy, i nauczyć go, jak to robić. Sam wiesz, że najlepiej wpoić coś komuś, wyciskając z niego siódme poty w terenie, żeby ledwie dyszał.

– Żeby ledwie dyszał – powtórzył Lou. – Podoba mi się taka wizja. Barwna. Wręcz astmatyczna.

– Dowcipniś – mruknął Filstrup.

– Czyli zostałem ukarany, bo nie pracuję w pełnym wymiarze godzin, mimo że sam wyciskałem z siebie siódme poty i ledwie dyszałem?

Lou pracował w OOL od pięciu lat. Pięć lat wcześniej sam był klientem biura, które objęło go nadzorem z powodu uzależnienia od amfetaminy i alkoholu. To pierwsze miało mu pomóc znieść morderczą pracę w wielu miejscach, a drugie – zwolnić obroty. Lou wierzył, że fakt, iż udało mu się zwalczyć własny nałóg, pomaga lekarzom będącym pod jego opieką. Filstrup, zatrudniony przez radę nadzorczą dużo później niż Lou, chyba nie podzielałby jego zdania.

– Zupełnie nie o to chodzi – powiedział dyrektor. – Pracujesz na prawie całym etacie na oddziale ratunkowym w Eisenhower Memorial, a tutaj dwadzieścia godzin tygodniowo.

– Znasz słowo „alimenty”? Słuchaj, Walter, lubię jedną i drugą pracę i potrzebuję tych pieniędzy, dlatego poświęcam na to trochę więcej czasu. Były jakieś skargi?

– Odkąd przeniosłeś się z dobudowanego skrzydła szpitala na duży oddział ratunkowy, zauważyłem, że jesteś zestresowany.

– Tylko z powodu zmniejszenia liczby klientów. Powinno być dość pracy zarówno dla Olivera, jak i dla mnie.

– Mówiłem już – rzekł Filstrup. – Olivera trzeba wdrożyć.

– To chyba nie ma nic wspólnego z tym, że tak jak ty jest psychiatrą? A może ma?

– Oczywiście, że nie – odparł Filstrup, odrzucając jego sugestię lekceważącym ruchem ręki.

Lou wiedział jednak swoje. Od początku nie zgadzali się z Filstrupem co do tego, czy uzależnienie jest chorobą, czy problemem natury moralnej.

– Czy Oliver uważa, że każdy nadzorowany przez nas klient powinien przejść pogłębioną psychoterapię?

– Nie zawsze musi być pogłębiona – odrzekł Filstrup.

Nie pij, chodź na spotkania i zwróć się o pomoc do siły wyższej.

Lou wiedział, że ta zwięzła, trzypunktowa, instrukcja obsługi w zupełności wystarcza większości uzależnionych od narkotyków i alkoholu uczestniczących we wspólnotach AA. Psychoterapia przydawała się niektórym, ale długotrwała, pogłębiona terapia była często przesadą.

Czuł, że rozmowa wymyka się spod kontroli, i milczał, powtarzając sobie to samo, co od czasu do czasu przychodziło mu do głowy przy prawie każdym jego podopiecznym – wszystko jedno, czy kamień uderza w wazon, czy wazon uderza w kamień, i tak źle się to kończy dla wazonu.

Filstrup zdjął okulary i przetarł szkła ściereczką z szuflady biurka. Lou pomyślał, że równie dobrze mógł się posłużyć swoim szarym krawatem.

– Fakt, że sam byłeś kiedyś uzależniony od narkotyków – ciągnął Filstrup – wcale nie oznacza, że masz tu większy autorytet niż inni.

– Nie mogę uwierzyć, że zaczęliśmy ten temat tylko dlatego, że przyszedłem poprosić o więcej pracy.

Zanim Filstrup zdążył zarepostować, zadzwonił telefon. Dyrektor posłał Lou wściekłe spojrzenie i wcisnął guzik interkomu.

– Chyba mówiłem pani, żeby nikogo nie łączyć – rzucił.

Podobno czekasz na telefon, pomyślał Lou.

– Przepraszam, doktorze Filstrup – powiedziała sekretarka. – Właściwie to do doktora Welcome’a. Rozmówca czeka na linii.

Zaskoczony Lou zerknął na Filstrupa.

– Kto to jest? – zapytał.

– Nasz klient, doktor Gary McHugh – odparła Peterbee. – Twierdzi, że to pilne.

Filstrup odruchowo się wyprostował.

– McHugh, lekarz elity? – spytał. – Proszę go połączyć. – Zaczekał, aż sekretarka przełączy rozmowę, po czym powiedział radosnym głosem: – Gary, tu Walter Filstrup. Co słyhać?

Na dźwięk przymilnego tonu głosu dyrektora żołądek podszedł Lou do gardła, ale mógł się spodziewać takiej reakcji, zważywszy na to, kto był po drugiej stronie. Pacjenci Gary’ego McHugh zaliczali się do najbogatszej stołecznej socjety i prawdopodobnie należała do nich znacząca część przedstawicieli władz federalnych. Był znany z przenikliwości, lojalności i dyskrecji, a także z tego, że nie odmawiał wizyt domowych. Nie wiadomo natomiast, przynajmniej wewnątrz waszyngtońskiego Ośrodka Opieki dla Lekarzy, że jest jednym z najbliższych przyjaciół Lou Welcome’a od czasów studiów w Georgetown.

Kilka lat wcześniej McHugh stracił prawo jazdy, ponieważ został przyłapany za kółkiem po alkoholu i odmówił poddania się badaniu

trzeźwości. Rada lekarska automatycznie kierowała lekarza, który popełnił takie wykroczenie, do OOL, a że akurat nie było nikogo innego, jego sprawę przydzielono Lou.

Mimo że McHugh przestrzegał co do joty umowy o nadzorze, nie traktował całej sprawy serio. Lou nie mógł nie podziwiać jego charakteru, inteligencji i polotu, choć nigdy nie bardzo wierzył w jego trwałe wyjście z uzależnienia – McHugh miał zbyt wysokie mniemanie o swoich możliwościach i za rzadko uczestniczył w spotkaniach AA. Sportsmen i pilot, posiadający własną cessę z kabiną ciśnieniową, zawsze był niepoprawnym optymistą i Lou niecierpliwie czekał na ich obowiązkowe comiesięczne spotkanie, a także na każdą okazję, by się z nim zobaczyć.

– Mówię przez głośnik? – warknął McHugh.

– Właśnie skończyłem rozmowę z doktorem Welcome'em – odparł Filstrup, jak gdyby od wielu tygodni miał to spotkanie zapisane w kalendarzu.

– Doktorze, muszę z nim porozmawiać.

– Jestem – odezwał się Lou.

– Doktorze Welcome, proszę wyłączyć tryb głośnomówiący.

Lou powstrzymał uśmiech, widząc zmieszanie Filstrupa, i z miną mówiącą: „Cóż mogę na to poradzić?” podniósł słuchawkę.

– Cześć, Gary – powiedział, przyciskając ją do ucha, by jak najlepiej odizolować dyrektora od treści ich rozmowy. – Co jest?

– Welcome, dzięki Bogu, że jesteś. Mam kłopoty, naprawdę bardzo poważne kłopoty. Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć.

– Powiedz, o co chodzi.

– Nie mogę. Nie tutaj, gdzie teraz jestem.

– W takim razie gdzie?

– U mnie. Znasz adres?

– Oczywiście – powiedział Lou.

– Kiedy możesz być?

Filstrup siedział nieruchomo i milczał. Lou starał się, aby jego głos nie zdradzał niepokoju, i jeszcze mocniej przycisnął słuchawkę do ucha. Zerknął na zegarek z Myszką Miki, prezent na Dzień Ojca od Emily. Dochodziła czwarta – na nocny dyżur na oddziale ratunkowym miał się stawić za osiem godzin. McHugh mieszkał w eleganckiej dzielnicy w połowie drogi między Kapitołem a Annapolis.

– Mogę być za jakieś czterdzieści pięć minut – rzucił.

– Za pół godziny – ponaglił go gorączkowo McHugh. – Wcześniej może się zjawić policja, żeby mnie aresztować.

– Za co?

– Za morderstwo. – Bez pożegnania odłożył słuchawkę.

ROZDZIAŁ 2

Morderstwo.

To słowo rozbrzmiewało w głowie Lou, kiedy wyjeżdżał z miasta, kierując się na wschód.

Gary McHugh, układny, pełen fantazji i niezmiernie lubiany, przypuszczał, że zostanie aresztowany za zabicie człowieka – nawet nie za zabójstwo, lecz morderstwo.

Kogo? Jak? Na razie pytania znacznie wyprzedzały jakiegokolwiek odpowiedzi. Jedyną logiczną rzeczą było to, że McHugh w pierwszym odruchu zadzwonił do Lou. Łączyła ich barwna, czasem pełna niezwykłych przygód przeszłość, na przykład wspólny skok na spadochronach z dwiema półtoralitrowymi butlami szampana na puste pole, gdzie umówili się na randkę w ciemno z dwiema kobietami, które czekały na nich z piknikowymi koszykami. Gdyby Lou znalazł się w śmiertelnych kłopotach, McHugh byłby jedną z pierwszych osób, do których zwróciłby się o pomoc.

Było grudniowe popołudnie i zapadł już zmierzch, a wycieraczki dziesięcioletniej toyoty camry ciężko pracowały, by nadążyć z odgarnianiem niesionego przez wiatr drobnego śniegu. Lou zjechał z drogi numer 50 na podrzędną drogę, przy której stały nowobogackie rezydencje, w większości już przystrojone na Boże Narodzenie. Słyszał kiedyś, jak ktoś nazwał podobną okolicę „krajną białych żarówek”, wyrażając lekceważenie dla dekoracji świątecznych, w których królowały małe białe lampki umieszczone na krzewach przed

domami i elektryczne świece w każdym oknie. Całkiem ładne, lecz Lou wciąż miał słabość do splątanych łańcuchów mrugających kolorowych światełek ozdabiających pizzerię Dimitri's pod jego mieszkaniem w Waszyngtonie.

Zgodnie z jedną z niewielu rozsądnych zasad wprowadzonych przez Waltera Filstrupa, klientów identyfikowano wyłącznie na podstawie przypisanych im numerów i z biura nie mogło wyciec nazwisko żadnego lekarza. Z zupełnie nietypowym dla siebie posłuszeństwem wobec szefa, Lou przechowywał numery klientów wraz z ich inicjałami na karcie w portfelu, a informacje kontaktowe miał zabezpieczone w pamięci smartfona, który w tym momencie leżał na przetartym fotelu pasażera. Był tam także numer komórki Gary'ego McHugh, ale gdyby ten chciał, żeby Lou zadzwonił, na pewno by o tym powiedział.

Morderstwo!

Co on, u diabła, wygaduje?

Odkąd McHugh podpisał z OOL umowę o nadzór, spotykali się raz czy dwa w miesiącu, czasem w biurze, czasem w domu Gary'ego, rzadziej w restauracji. Filstrup nalegał, aby Lou płacił za swój posiłek kartą kredytową i zachowywał potwierdzenie. Kiedy ktoś mówił mu, co ma robić, Lou nie reagował dojrzałe i nie podobały mu się podejrzenia, że któregoś z dwóch wicedyrektorów biura można kupić – na pewno nie za cenę kolacji. Tak więc mimo że zasady Filstrupa wydawały się logiczne, latał samolotem Gary'ego i parę razy poszedł na mecz Redskinsów z przyjacielem, który miał karnety na cały sezon.

W miarę rozwoju sytuacji Gary tylko raz wypróbował Lou. Twierdząc, że nie ma czasu chodzić do lekarza, zamówił w internetowej aptece w Kanadzie percocet na chroniczny ból pleców. Wyszedł z założenia, że OOL objął go nadzorem w związku z nadużywaniem alkoholu, nie środków przeciwbólowych. Lou nawet

nie próbował zwracać mu uwagi na absurdalność jego rozumowania ani na fakt, jak szybko może stracić prawo do wykonywania zawodu w przypadku pozytywnego wyniku badania próbki moczu na obecność percocetu lub podobnego leku. Gary zaprzeczał temu uparcie jak kozioł, chociaż wiedział, jaka jest stawka, więc Lou wymógł na nim obietnicę, że gdy dostanie fiolki percocetu w dyskretnym brązowym opakowaniu, zostaną otwarte w jego obecności, a ich zawartość wyląduje w toalecie.

Kiedy pozbyli się pastylek, Lou usiadł przy telefonie, a Gary umówił się ze swoim ortopedą. Lou upewnił się, że ortopeda został poinformowany o udziale Gary'ego w programie OOL i zobowiązał się powiadomić Biuro o wszystkich lekach przepisanych pacjentowi.

– Nie musisz mi dziękować – powiedział Lou, gdy ostatnia tabletką percocetu zniknęła w czeluściach toalety.

– Wcale nie dziękuję – odparł cierpko Gary.

Krótko po tej rozmowie, kiedy Lou mimochodem wspomniał, że Emily zadano w szkole prezentację na temat jakiejś nowej ustawy o ochronie środowiska, McHugh namówił kongresmena, który złożył projekt tej ustawy, aby pojechał do szkoły z wykładem. Sprawa zamknięta. Przyjaźń ocalona.

Lou wjechał przez bramę na posesję z eleganckim domem w stylu Tudorów. Elektryczne świece w każdym oknie wyglądały jak element wprowadzony do projektu jeszcze przed powstaniem budynku, ale na krzewach nie było żadnych światełek. Lou zauważył tylko jeden samochód na kolistym podjeździe – lexusa. Jego właścicielką, jak sądził, była Missy, żona Gary'ego, który szczyił się posiadaniem ekskluzywnego czarnego jaguara. Lou zastanawiał się, czy brak jaguara ma jakiś związek z tym, co się dzieje – być może doszło do jakiegoś śmiertelnego wypadku. Przypomniał sobie jednak, że Gary wyraźnie powiedział „morderstwo”.

Zatrzymał toyotę przed zadaszonym wejściem, gdzie Gary już na niego czekał – barczysty, z siwiejącą rudą czupryną i gęstym zarostem na twarzy. Był ubrany w zielony sweter z kołnierzem, ale nie miał kurtki. Jego twarz szpecił duży siniec między lewym policzkiem a linią włosów. Lewo oko było tak spuchnięte, że nie mógł go otworzyć.

– Dzięki, że tak szybko przyjechałeś – powiedział posepnie. – Zapomniałem, że to godziny szczytu.

– Nie ma sprawy. Gary, wejdźmy do środka. Jest strasznie zimno.

Gospodarz, lekko utykając, powiesił dwurzędową kurtkę Lou na wieszaku w holu i podał mu rękę. Zdarzenie, w wyniku którego miał pokiereszowaną twarz, nie zmniejszyło siły jego uścisku zapaśnika. Otwarte oko było przekrwione, a Lou prawie natychmiast wyczuł woń alkoholu – bardziej z jego porów niż ust. Cokolwiek się dziś stało, prawie na pewno jakąś rolę odegrała w tym woda. Wielokrotnie powtarzane przez Lou ostrzeżenia, że Gary nie może bezpiecznie pić, zostały zlekceważone i teraz najwyraźniej ponosił bolesne konsekwencje.

– Co się dzieje, Gary?

– Chodźmy do mojego gabinetu. Właśnie rozpałem w kominku, żeby było cieplej.

Powietrze w pomieszczeniu wyłożonym wiśniowym drewnem zdążyło już się ogrzać od płomieni trzaskających na porządnie ułożonej rozpalce. Pokój zajmował powierzchnię chyba jednej trzeciej całego mieszkania Lou. Czterdziestocalowy telewizor plazmowy nad kamiennym kominkiem był nastawiony na CNN. Ściany zdobiły zdjęcia i pamiątki świadczące o pracy i zainteresowaniach gospodarza – podróże do egzotycznych miejsc, jego samolot, certyfikat skoczka spadochronowego, McHugh na nartach, na których jeździł z wprawą i gracją widoczną nawet na fotografii, przyjęcia w strojach wieczorowych, na których bywali najbardziej wpływowi notable, listy

z wyrazami uznania i podziękowaniami, wśród nich co najmniej dwa od ostatnich prezydentów.

Gary zaprosił Lou gestem na jeden z dwóch czerwonych skórzanych foteli, sam jednak nie siadał; od czasu do czasu spoglądał na ekran telewizora.

– Mów – poprosił Lou.

Gary odwrócił się do niego plecami i całkowicie skupił się na CNN. Mimo zapachu alkoholu, sposób jego mówienia i zachowanie nie wskazywały na to, że jest pijany.

– Lada chwila CNN poda wiadomość z ostatniej chwili o zastrzeleniu kongresmena Eliasa Colstona w jego własnym garażu – powiedział.

Lou zeszywniał, wbijając palce w miękkie oparcia fotela. Colston, przewodniczący Komisji Sił Zbrojnych w Izbie Reprezentantów, był jednym z najbardziej lubianych członków Kongresu. Reprezentował, zdaje się, pierwszy okręg wyborczy w Marylandzie, a może trzeci.

– Skąd wiesz? – zapytał Lou.

– Byłem tam – odparł drewnianym głosem McHugh i krzywiąc się, usiadł w drugim fotelu. – Widziałem ciało. Dostał co najmniej dwa strzały, w pierś i prosto w środek czoła.

– Jesteś w stu procentach pewien? Zbadałeś puls?

– Możesz mi wierzyć, Lou, zbadałem, ale potrafię rozpoznać trupa.

– Sprawdziłeś temperaturę ciała?

– Był ciepły.

– Kiedy to się stało?

– Przyjechałem tam w południe.

– A wcześniej piłeś?

– Tak, dość sporo – odparł Gary po chwili pełnego zażenowania milczenia.

Lou jęknął. Mógł sobie tylko wyobrazić, co oznacza „dość sporo”, Gary McHugh rzadko robił coś na pół gwizdka.

– Dlaczego jeszcze nie podali tej wiadomości?

Gary wzruszył ramionami.

– Pewnie dlatego, że tylko ja go widziałem, to znaczy oprócz osoby, która go zabiła.

– I dlaczego nie zadzwoniłeś na policję? – Zanim jeszcze Lou skończył zadawać to pytanie, znał już odpowiedź.

– Chciałem... miałem zamiar znaleźć automat i zadzwonić anonimowo, zamiast ujawniać numer komórki. Wiedziałem, że jeżeli mnie namierzą i dowiedzą się, że piłem, mogę się pożegnać z prawem do wykonywania zawodu.

– Jezu, Gary. Ale zanim zdążyłeś zadzwonić, rozwaliłeś wóz i poharatałeś sobie twarz, tak?

– Zgadłeś. Pewnie wpadłem w poślizg, zjechałem z drogi i uderzyłem w drzewo.

– Nie pamiętasz?

– Zobaczyłem ciało Eliasa, a potem pamiętam dopiero, jak mnie przynosili z noszy z karetki na łóżko na oddziale ratunkowym. Widocznie ktoś znalazł mnie nieprzytomnego w samochodzie. Ktoś mówił, że trzeba było użyć sprzętu do rozcinania wraku.

Luka w pamięci spowodowana alkoholem albo wstrząsem mózgu, pomyślał Lou. Najprawdopodobniej jednym i drugim. Powinni go chyba zatrzymać na noc.

– Do którego szpitala cię zawieźli?

– Do Anne Arundel.

– Nic ci nie jest? Mam w samochodzie torbę z narzędziami. Może powinienem cię zbadać.

– Zrobili mi wszystkie badania, krwi, tomografię i tak dalej. Musiałem się opędać kijem od tych cholernych stażystów i studentów

medycyny.

– Chcieli cię zostawić?

– Chcieli, ale nawet nie brałem pod uwagę takiej możliwości. Chciałem jak najszybciej stamtąd wiać. Kiedy przyjechała Missy, wypuścili mnie.

– Jakie było stężenie alkoholu?

– Pewnie wysokie. Znajoma pielęgniarka powiedziała, że dobry adwokat mógłby mnie wybronić przed każdym oskarżeniem, twierdząc, że doznałem urazu głowy i nie mogłem wyrazić zgody na pobranie krwi. Może właśnie dlatego policja nie zdecydowała się postawić mi zarzutów na miejscu.

– Nie sądzę, żeby to była prawda, skoro ludzie na ratunkowym mieli powody pobrać ci krew. Poza tym zawsze mogą ci postawić zarzut później. Liczy się jednak przede wszystkim to, że zarzuty, o których mówisz, mogą być znacznie poważniejsze niż jazda po pijanemu. Dlaczego przypuszczasz, że mogą cię oskarżyć o zamordowanie Colstona?

Gary wstał i zaczął spacerować przed kominkiem.

– Colston jest moim pacjentem. Byłem wiele razy w jego domu. Ma zamontowane kamery monitoringu.

– W takim razie może jedna z nich zarejestrowała morderstwo.

– Może, ale to się stało w głębi garażu, przy schodach prowadzących do gabinetu Colstona. Nie pamiętam, żeby tam była jakaś kamera, widziałem je tylko na podjeździe. Założę się, że kamery nagrały tylko mnie, jak przyjeżdżam, a potem odjeżdżam, może nawet ze śladami krwi Eliasa po tym, jak go badałem... O co chodzi, do cholery? Dlaczego nikt go nie znalazł i nie wezwał policji?

– Gary, jak to się stało, że rano piłeś, a potem pojechałeś z wizytą domową do jednego ze swoich pacjentów?

– To nie była wizyta domowa, Lou... Niech to szlag. Co się dzieje z tym kanałem? Dlaczego nie ma jeszcze nic na ten temat?

McHugh chwycił pogrzebacz i poprawił ogień takim gestem, jakby przebijał odyńca.

Lou ponownie zacisnął palce na oparciu fotela.

Znów zapadło ciężkie milczenie.

– Spokojnie, Gary.

– Cholera, pewnie i tak wszyscy się dowiedzą. Nie zamierzałem zobaczyć się z Colstonem. Pojechałem zobaczyć się z jego żoną, Jeannine.

– Nie po to, żeby ją leczyć.

McHugh westchnął.

– Nie. Od ponad dwóch lat mamy romans.

– Och, Gary – jęknął Lou.

McHugh znów zaatakował ogień.

– To nie wszystko – powiedział.

ROZDZIAŁ 3

Lou popatrzył na przyjaciela i wstrzymał oddech.

To nie wszystko...

Co chciał przez to powiedzieć?

Co jeszcze mogło się stać?

Zanim Gary zdążył wyjaśnić, w CNN gruchnęła jak bomba informacja o morderstwie kongresmena Eliasa Colstona. Wiadomość nieco się różniła od wersji opowiedzianej przez Gary'ego. Ciało Colstona znalazła jego żona Jeannine po powrocie ze spotkania grupy małżonków członków Kongresu w Waszyngtonie.

Jeannine Colston odmówiła komentarza, ale wypowiadająca się w jej imieniu rzeczniczka oświadczyła tylko, że ich syn i córka zostali już zawiadomieni i są w drodze z college'u do domu, a Jeannine w tym momencie nie ma nic więcej do powiedzenia. Potem nastąpiła chaotyczna relacja z miejsca zdarzenia, podczas której pokazywano okolicę gustownego wiejskiego domu Colstonów.

Lou zaczekał na przerwę reklamową po pierwszej porcji informacji i odwrócił się do gospodarza.

– No dobra, Gary – rzekł. – Krótko: czego jeszcze mi nie powiedziałaś?

Jego przyjaciel niepotrzebnie dorzucił polano do ognia i znów zaczął spacerować.

– Z tego, co udało mi się odtworzyć, zjechałem z drogi i wpadłem na drzewo zaraz po przejechaniu mostu.

– Mostu?

– Właściwie bardzo niewiele pamiętam, ale niecałe dwa kilometry od domu Colstonów jest kamienny most na rzece.

Lou nie rozumiał, jakie znaczenie ma ten szczegół.

– Jaśniej – poprosił.

– Jeżeli policja nie znajdzie na miejscu broni, będzie podejrzewać, że się zatrzymałem, żeby wrzucić ją z mostu do rzeki, a potem ruszyłem dalej i wpadłem w poślizg. Między domem Colstonów a mostem nie ma zbyt wielu budynków, a z tego wynika logiczny wniosek, że jechałem stamtąd.

Lou się skrzywił.

– Właśnie tak pomyślał – przyznał.

Nagle przypomniał sobie coś jeszcze, coś, o czym Gary musiał powiedzieć już pierwszego dnia po podpisaniu umowy o nadzór z OOL – o swoim zamiłowaniu do broni palnej. Gary miał kilka pistoletów i strzelb myśliwskich. Parę lat wcześniej, gdy jeden z klientów Biura popełnił samobójstwo, strzelając do siebie, zapisy umowy zostały zmodyfikowane i włączono do nich nakaz, aby usunąć z domu lekarza całą broń, zinwentaryzować ją i zamknąć w magazynie, zabezpieczając go kłódką dostarczoną przez OOL.

– OOL ma listę broni, którą oddałem po podpisaniu umowy – rzekł McHugh, jak gdyby czytając w myślach Lou. – Każda sztuka jest legalnie zarejestrowana, więc policja się o niej dowie, chociaż wiem, że możecie jej nic nie mówić, bo chroni was prawo.

Lou wzruszył ramionami. Żaden problem, pomyślał. Dlaczego więc Gary tak dramatyzował, skoro żadnej sztuki broni zarejestrowanej na jego nazwisko nie brakowało, kiedy przekazał swoją kolekcję OOL?

Nie, musiało chodzić o coś innego.

– Gary, dlaczego piłeś tak wcześnie rano? – zapytał. – Co takiego zaszło między tobą a Jeannine, że naraziłeś na szwank swoją karierę?

Nie chcąc zaakceptować własnego alkoholizmu i skorzystać z programu terapeutycznego, Gary McHugh był wyjątkowo narażony na powrót do nałogu. Mimo to przez kilka lat udało mu się zachować trzeźwość. Lou wiedział z doświadczenia, że przyczyną sięgnięcia po pierwszy kieliszek po długim okresie abstynencji często jest rezygnacja z udziału w mityngach, której towarzyszył jakiś katalizator. Biorąc pod uwagę fakt, że Gary tak spontanicznie doprowadził się rano do upojenia, a potem popędził do Colstonów, nie wiedząc nawet, że Jeannine nie ma w domu, Lou domyślał się, że u podstaw powrotu do nałogu leżał zawód miłosny.

– Chciała zerwać – odparł Gary, nadal wpatrując się w ekran.

– Wyjaśniła dlaczego?

– Niezupełnie. Wczoraj wieczorem ni stąd, ni zowąd zadzwoniła i powiedziała, żebym nie próbował się z nią kontaktować. Prosiłem ją, żeby wytłumaczyła mi przez telefon, co się dzieje. Mówiła tylko, że Elias jej potrzebuje i że zadzwoni za parę dni.

– Elias jej potrzebuje. Co miała na myśli?

– Nie wiem. Kocham ją, Lou. Naprawdę ją kocham.

McHugh wskazał na ekran, gdzie CNN podawało informację uzyskaną z anonimowego źródła, że policja stanu Maryland zidentyfikowała osobę pozostającą w kręgu podejrzenia w związku z morderstwem kongresmena Colstona. Nie podawano żadnych nazwisk, ale Lou i Gary wiedzieli, o kogo najprawdopodobniej chodzi.

Sposób, motyw i okazja – wobec braku niezbitego dowodu lub naocznego świadka – były to kluczowe elementy przestępstwa konieczne do przekonania ławy przysięgłych o winie.

Lou poczuł, jak zaciskają mu się szczęki.

Sposób – zamiłowanie do broni i rzeka, prawdopodobnie częściowo zamrznięta, do której sprawca mógł wyrzucić narzędzie zbrodni.

Motyw – romans z żoną ofiary.

Okazja – zapis z kamery świadczący o tym, że McHugh był na miejscu zdarzenia mniej więcej w czasie zabójstwa.

Ale to nie wszystko.

Podjezany miał prawdopodobnie lukę w pamięci obejmującą czas zdarzenia i nie mógł podać żadnych istotnych szczegółów na swoją obronę.

Niedobrze.

Gary mówił, że pamięta, jak badał Colstona i nie wyczuł pulsu. Lou zastanawiał się, czy tak jak sugerował, policja znajdzie w jego jaguarze albo na ubraniu krew, DNA lub inne dowody obciążające.

Bardzo niedobrze.

– Dzwoniłeś do adwokata? – spytał. – Według naszych danych reprezentuje cię Grayson Devlin. Lepiej być nie może.

– Zadzwoń do niego jeszcze ze szpitala, ale wtedy wiedziałem już, że nie aresztują mnie na miejscu za jazdę po pijanemu. Był zajęty jakąś ważną sprawą, ale obiecał, że jak najszybciej wyśle do mnie jednego ze swoich najlepszych współpracowników.

Zanim Gary zdążył coś dodać, rozległo się ciche pukanie i do gabinetu weszła drobna, niemal chorobliwie chuda Missy McHugh, niosąc srebrną tacę z dzbankiem parującej herbaty, cukiernicą, łyżeczką i dwiema filiżankami z niebieskiej porcelany.

– Przyniosłam herbatę, o którą prosiłeś, kochanie.

Missy postawiła tacę na mahoniowym stoliku tak, że brzęknęły wszystkie naczynia. „Kochanie” zabrzmiało w jej ustach jak przekleństwo. Błada, zmęczona twarz w obramowaniu kasztanowych, przetykanych siwizną włosów, była kiedyś bardzo piękna. Lou był drużbą na ich weselu, lecz bliskość między nim a Garym nigdy nie przeniosła się na jego żonę, a Renee, zanim się z nią rozstał, też nie potrafiła wykrzesać z siebie cieplejszych uczuć do tej kobiety.

– Miło cię widzieć, Lou – powiedziała Missy, nie patrząc na telewizor. – Chociaż szkoda, że w takich okolicznościach. Gary niewiele mi mówi, ale martwię się, że nie chodzi na mityngi, i przyznam się, że wcale się nie zdziwiłam, kiedy zadzwonił ze szpitala i powiedział mi o wypadku. Wygląda na to, że teraz straci prawo do wykonywania zawodu.

Widząc jej nienawistną minę, Lou zastanawiał się, ile Missy wie o innych aspektach życia swojego męża. Jeśli policjanci i dziennikarze CNN robili, co do nich należało, rozważania tego rodzaju staną się wkrótce bezprzedmiotowe.

– Chcę zrobić, co w mojej mocy, żeby pomóc się Gary’emu pozbierać – rzekł Lou.

– To bardzo miło z twojej strony. Jak się czujesz, Gary? – Żadnego „skarbie”, „kochany”, żadnego kontaktu między nimi. Zimno bijące od tej kobiety spowiło pokój chłodem, którego nie potrafił zniwelować nawet trzaskający ogień.

– Dobrze – odparł Gary. – Dziękuję za herbatę.

Missy odwróciła się do gościa. Na jej twarzy odmalowało się chyba trzy razy większe napięcie niż zwykle.

– Domyślam się, że przyjechałeś uchylić mu prawo do wykonywania zawodu albo coś w tym rodzaju?

– Powiedziałem już, że przyjechałem mu pomóc.

– Ale straci prawo.

– Przykro mi, ale naprawdę nie wolno mi mówić nic na temat nadzoru OOL nad jakimkolwiek lekarzem nawet małżonkowi.

– Och, nie musisz nic mówić. Wiem, co się święci. Dobrze, że bliźniaki są na ostatnim roku college’u, tyle powiem. Inaczej Gary musiałby sprzedać swój drogocenny samolot. Słuchajcie, wychodzę na jakiś czas. Dzisiaj jest przyjęcie świąteczne u Whitmanów. Gary, przypuszczam, że się tam nie wybierasz.

Ciesząc się, że wyjście Missy trochę zmniejszy nieznośne napięcie panujące w pokoju, Lou odważył się zerknąć na telewizor. Na pasku u dołu ekranu wciąż nie podawano nazwiska McHugh.

Gary, nie zwracając uwagi na atak żony, nalał herbatę do filiżanek. Missy bez słowa odwróciła się i chwilę później już jej nie było.

– Przepraszam cię, że musiałeś być świadkiem tej sceny, Lou – rzekł Gary.

– Nie wygłupiaj się. Przecież nawet w najgorszych czasach zawsze mogłeś na mnie liczyć, za każdym razem.

– Mówiłem ci już, od wielu lat nasze małżeństwo jest fikcją. Chyba nie muszę ci wyjaśniać, na czym polegał mój związek z Jeannine.

– Nie wymagam żadnych wyjaśnień. Zadzwońeś i poprosiłeś, żebym przyjechał. Przyjaźnimy się od lat, więc przyjechałem.

Gary potarł zarost na policzku.

– Nie zastrzeliłem Eliasa, Lou, ale niełatwo to będzie udowodnić. Zadzwońeś do ciebie, bo obawiam się, że będę potrzebował twojej pomocy, żeby dowiedzieć się o nim czegoś więcej, sprawdzić, komu mogłoby zależeć na jego śmierci. Wynajmij detektywa, gdybyś uznał, że trzeba.

– Gary, nie sądzisz, że to raczej zadanie dla twojego adwokata albo jeszcze lepiej dla policji?

– Rzeczywiście dla jego adwokata – odezwał się kobiecy głos. – Ale każda z tych dwu możliwości jest dobra.

ROZDZIAŁ 4

Lou odwrócił się, spodziewając się zobaczyć Missy McHugh. Stojąca w drzwiach kobieta w szarym kostiumie nie mogła być bardziej do niej niepodobna. Była wysoka i szczupła – Lou domyślał się, że jest sportsmenką. Proste hebanowe włosy sięgały tuż poniżej linii ramion. Otaksowała go spojrzeniem niezwykle wyrazistych oczu – w intrygującym niebieskozielonym kolorze. Wyglądała dziwnie znajomo i Lou zastanawiał się, czy gapi się na nią właśnie z tego powodu, czy po prostu dlatego, że nie potrafi oderwać od niej wzroku.

– Lou, domyślałam się, że to Sarah Cooper, moja adwokatka.

– Słusznie się pan domyśla, doktorze McHugh. – Odwróciła się do Lou. – Grayson Devlin, który zwykle reprezentuje doktora McHugh, jest w sądzie, więc przysłał mnie. Doktorze, pańska żona wpuściła mnie, wychodząc z domu, powiesiłam więc płaszcz w holu.

Sarah podała rękę gospodarzowi, a potem, nie czekając na formalną prezentację, wyciągnęła dłoń do Lou. Miała długie palce i pewny uścisk. Obrączkę nosiła na prawej ręce. Rozwódka, wdowa...? W dobrze wyćwiczony sposób patrzyła mu w oczy tak niewzruszenie, że kiedy się odwróciła, Lou poczuł się, jak gdyby został poddany dogłębnej analizie.

– Dziękuję, że tak szybko pani przyjechała – powiedział Gary. – Grayson mówił, że będzie do pani dyspozycji, gdyby go pani potrzebowała, ale że dobrze się pani mną zajmie.

– Niech pan będzie spokojny – odrzekła Sarah.

– Lou, ta pani stała na czele zespołu obrońców w procesie Sandry Winkler. Słyszałeś chyba o tej sprawie.

No oczywiście. Wtedy właśnie Lou ją widział – w gazetach i telewizji. Trudno ją było zapomnieć. Sprawa zyskała międzynarodowy rozgłos, gdy młoda atrakcyjna matka z Bethesdy została oskarżona o uduszenie ośmioletniej córki za garażem w ich domu. Cooper doprowadziła do uniewinnienia klientki, a sama naraziła się na lawinę gróźb ze strony oburzonych sądowych sędziów, przekonanych, że sprawiedliwości nie stało się zadość. Później do winy w tej sprawie przyznał się mężczyzna oskarżony o inne, podobne przestępstwo.

– Świetna robota – rzekł Lou. – Nawet po ogłoszeniu werdyktu przez ławę nie wiedziałem, co myśleć o całej sprawie. Przyznaję, niestety, że dopóki morderca się nie przyznał, a policja nie znalazła dowodu w jego pokoju, byłem po stronie tych, którzy uważali, że jest winna.

Sarah jeszcze raz otaksowała go obojętnym spojrzeniem.

– Mylił się pan – oznajmiła spokojnie. – Panie...?

– Lou Welcome. Jestem lekarzem na oddziale ratunkowym w Eisenhower Memorial i przyjacielem Gary’ego.

Przemknęła mu w pamięci chwila, gdy pierwszy raz zobaczył Renee. Był wtedy stażystą i nieporadnie próbował nawiązać rozmowę, kiedy oboje stali w kolejce w szpitalnym bufecie. Po osiemnastu miesiącach byli już małżeństwem. Dziesięć lat i jedną Emily później stanęli przed sądem, ponieważ Renee postanowiła zakończyć związek, za powód podając uzależnienie Lou od metamfetaminy i alkoholu.

– Mogę zapytać, dlaczego doktor McHugh pana wezwał? – powiedziała Sarah.

– Może pani zapytać, ale tajemnica zawodowa zmusza mnie do zachowania dyskrecji.

– Świetnie zaczynamy, nie ma co.

– Proszę – wtrącił się McHugh, biorąc kartkę z biurka. – Jeżeli naprawdę musisz ugłaskać swojego szefa z Ośrodka Opieki dla Lekarzy, napiszę ci zwolnienie. Pani Cooper, Lou jest moim kuratorem. Rada lekarska zobowiązała mnie do podpisania umowy o nadzór z OOL, bo zostałem zatrzymany, prowadząc samochód pod wpływem alkoholu. Lou to jedyny prawdziwy człowiek w biurze, ale mimo wszystko wiąże go lojalność wobec firmy.

– Czyli jeżeli doktor McHugh będzie pił, straci prawo do wykonywania zawodu – powiedziała Sarah. – Czy tak?

Lou spojrzał na przyjaciela, a Sarah jęknęła.

– Wspaniale, teraz jeszcze bawimy się w zagadki.

– Tak – odrzekł Gary. – Jeżeli będę pił, stracę prawo do wykonywania zawodu.

– A w czym może nam pomóc doktor Welcome, doktorze McHugh? Z tego, co mówił Grayson, wynika, że mogą panu grozić bardzo poważne zarzuty. Z im mniejszym gronem osób będzie pan rozmawiał na ten temat, tym lepiej. Proponowałabym, żeby to była zasada numer jeden.

– Proszę mi mówić Gary. Lou jest moim przyjacielem od czasów college’u. Jest tu po to, żeby pomóc mi ustalić, kto zabił Eliasa Colstona.

– Nie, nie po to – powiedziała Sarah.

– Owszem, po to – odparował Gary.

– Mam chyba coś do powiedzenia w tej sprawie – wtrącił się Lou. – Jeżeli Gary potrzebuje mojej pomocy i jeżeli sądzę, że jego prośba jest uzasadniona, zamierzam spróbować mu pomóc.

Właściwie nie zdecydował jeszcze, czy w ogóle może coś zrobić, ale Sarah Cooper przypadkiem odkryła, że jedyny pewny sposób, aby go do czegoś skłonić, to odwodzić go od tego.

Prawniczka zmarszczyła brwi.

– Jego udział może poważnie zagrozić twojej sprawie, Gary. Nie zachodzi tu jakiś konflikt interesów, skoro jest twoim kuratorem?

– Lou mi pomoże – oświadczył Gary. – Bez względu na to, co sugerują okoliczności, nie zabiłem Colstona.

– Świetnie – powiedziała Sarah. – Wspaniale. Posłuchaj, Gary, to nie jest *Sędzia Judy* ani *The People's Court*. Jeżeli zostaniesz oskarżony o tę zbrodnię, do akcji wkroczą ludzie, którzy zrobią wszystko, żeby na resztę życia wsadzić cię za kratki, bo z tego się utrzymują. Wykorzystają do tego prawa zbudowane na zasadach i formalnych kruczkach. Co się stanie, kiedy twój przyjaciel zrobi coś po amatorsku czy popełni jakieś głupstwo i trzeba będzie zrezygnować z dowodu kluczowego dla obrony? Posłuchaj, mamy do dyspozycji mnóstwo detektywów świetnie wyszkolonych w swoim fachu.

– Nie obchodzi mnie, jacy doskonali są wasi detektywi – rzekł Gary. – W tych sprawach kieruję się przeczuciem, a przeczucie mi mówi, że Lou jest mi potrzebny.

W tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi; Gary podszedł do okna, rozsunął zasłony i spojrział w ciemność. Jego twarz rozjaśniły błyskające niebieskie i czerwone światła.

– Policja – powiedział. – Chyba postanowili nie zdradzać niczego CNN, dopóki nie złożą mi wizyty. – Popatrzył najpierw na przyjaciela, potem na prawniczkę. – Lou, musisz jak najszybciej pojechać do Jeannine i porozmawiać z nią. Wie, że pomagasz mi w terapii, i o wiele chętniej zgodzi się pogadać z tobą niż z jakimś detektywem. Proszę, liczę na was oboje. Bardzo proszę... nie zawiedźcie mnie.

Znów zadzwieczał dzwonek.

Lou i Sarah Cooper wymienili nieme pytania.

– Pójdę z tobą, Gary – oznajmiła wreszcie Sarah. – Ale nie skończyliśmy jeszcze rozmowy. Doktorze Welcome, oto moja

wizytówka. Zanim zacznie pan próbować nam pomagać, proszę z niej skorzystać.

ROZDZIAŁ 5

Starsi sierżanci Bucky Townsend i Fenton Morales jako pierwsza para mieli się zmierzyć z Wielkim Bólem. Aby dotrzeć tak daleko, Townsend wraz z pozostałymi dziewięćdziesięcioma dziewięcioma członkami kompanii Mantis musiał przejść serię rygorystycznych testów – fizycznych i psychicznych.

Ostatnim egzaminem był Wielki Ból.

Townsend bardzo pragnął zakwalifikować się do udziału w operacji Pazur, ale wiedział tylko tyle, że najpoważniejszy i budzący największą grozę wśród żołnierzy tor przeszkód w pełni zasługuje na swoją nazwę.

Z lasów otaczających zamknięty obszar należący do kompanii Mantis, ukryty w głębi Rezerwatu Leśnego Monongahela w Wirginii Zachodniej, sączyła się mgła, ścieląc się nisko na zmrożonej ziemi. Gęsty granat nocy powoli ustępował przed porannym brzaskiem. Ziemię przykrywała gruba warstwa szadzi. Szczęśliwie się złożyło, że Townsend i Morales zostali wylosowani jako pierwsza para. Przez najbliższą godzinę temperatura będzie się utrzymywała sporo poniżej zera.

Townsend, chcąc jak najszybciej ruszyć, podskakiwał, żeby nie zmarznąć. Razem z resztą przez godzinę pocili się w chłodzie, gdy w końcu otworzyły się drzwi dużej chaty z grubo ciosanego drewna i na plac apelowy wyszli najpierw dwaj adiutanci, a potem legendarny major Charles Coon, który puszczał nozdrzami kłęby pary jak

szarżujący byk. Zastępcą dowódcy, pułkownika Wyatta Brody'ego, był mocno zbudowany mężczyzna o oczach płonących jak dwa wyloty palników acetylenowych.

Stu marines natychmiast wyprężyło się na baczność – szeregi wyprostowanych jak świece ludzi w ubraniach maskujących, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, o kamiennym wyrazie twarzy jak u posągów. Gdyby tego od nich zażądano, mogli bez końca pozostać w tej pozycji. Przyzwyczajono ich do znoszenia niewygód. Dla nich to była norma. Nawet ostry ból potrafili wytrzymać bez mrugnięcia okiem.

Coon powoli przeszedł przed frontem, spoglądając badawczo na twarze mężczyzn, jak gdyby zakładał się sam ze sobą, którzy z nich się zakwalifikują.

– Jesteście elitą elity – powiedział w końcu głosem brzmiącym jak skrzyżowanie zgrzytania żwiru z dudnieniem grzmotu. – Spośród siedmiuset żołnierzy Mantis jesteście setką, której udało się zejść tak daleko. Dwie trzecie z was nie zostanie wybranych do operacji Pazur. Wielu z was będzie się uważało za przegranych. – Coon przerwał, ale nie odwracał się do ludzi plecami i utrzymywał z nimi kontakt wzrokowy. Może nie traktował ich jak równych sobie, ale zasłużyli na jego szacunek. – Nie przegracie. Żaden z was nie przegra. Doszliście aż tu, a więc odnieśliście sukces. Delta Force nie wie nic o Wielkim Bólu, tak samo jak Rangersi i SEAL. Bo żaden z nich nigdy nie pokonał tej trasy. Dzięki wizji waszych dowódców może ją poznać tylko Mantis. Należycie do najlepszych z najlepszych, najdzielniejszych z dzielnych. Jesteście Mantis!

– Gotowi na wszystko! – krzyknęło zgodnym chórem stu mężczyzn.

Gotowi na wszystko, pomyślał Townsend, szykując się do startu.

Wbrew temu, co ogłosił Coon, porażka nie wchodziła w grę. Zakwalifikuje się. Znajdzie się wśród wybranych do operacji Pazur.

Oczywiście, nadal nie miał właściwie pojęcia, czego będzie wymagać od niego ta operacja. Wiedział tylko tyle, że będzie bardzo ważna, bardzo głośna i bardzo prestiżowa – coś akurat dla niego. Syna hodowcy bydła z Muskogee w Oklahomie, który zaszedł bardzo wysoko.

I znalazł się w Mantis – najbardziej odznaczonej jednostce w wojsku Stanów Zjednoczonych.

Jestem Okie z Muskogee i dumny jestem z tego... Ilekroć się denerwował, zawsze w głowie rozbrzmiewała mu stara piosenka Merle'a Haggarda.

– Zespół pierwszy, gotowi do zadania?! – huknął Coon na Townsenda i Moralesa. Jego tubalny głos przestraszył wronę, która poderwała się z gałęzi i odleciała, kracząc ze złością.

– Tak jest, gotowi do zadania, panie majorze! – krzyknęli chórem Townsend i Morales.

Ten pierwszy zobaczył, jak surowa twarz oficera marszczy się w lekkim uśmiechu.

– Panowie, przed wami cel waszej ciężkiej pracy. Właśnie nadeszła ta chwila. Jesteśmy sami na tym torze, ale wierzcie mi, nawet jeśli nikt was teraz nie widzi, kraj na was patrzy.

Coon strzelił z pistoletu startowego i dwójka żołnierzy ruszyła sprintem, miażdżąc z chrzęstem szron ciężkimi czarnymi butami. Instruktor Mantis wskazał pierwszą przeszkodę, której nazwę niedbale wypisano niebieskimi literami na tabliczce przybitej do drzewa.

PEŁZACZ.

Powiedziano im, że Wielki Ból nie powstał po to, aby sprawdzić umiejętności żołnierzy w orientowaniu się i poruszaniu w terenie. To był test siły i charakteru – mieli wspiąć się i zejść, przeskoczyć, przeleźć dołem i przedrzeć się przez najtrudniejsze przeszkody, jakie

potrafi wymyślić wojsko. Pełzacz był pięćdziesięciometrowym odcinkiem, który należało pokonać, czołgając się przez błoto i lodowatą wodę pod zawieszonym nisko nad ziemią drutem kolczastym.

Po dwudziestu metrach Townsend, pełząc przez lepką, błotnistą ziemię, czuł, że jego mięśnie płoną żywym ogniem i drżą. Kiedy lekko się uniósł, żeby pokonać zagłębienie terenu, bezlitosne kolce rozdarły mu rękaw i skórę przedramienia. Ledwie zwrócił uwagę na ból. Wzdłuż trasy czuwali sanitariusze, ale zwrócenie się do nich o pomoc automatycznie oznaczało dyskwalifikację.

Gotowi na wszystko, powtórzył w duchu Townsend, po czym stęknął, dźwigając się z błota. *Jestem Okie z Muskogee i dumny jestem z tego...*

Nieco oszołomiony, ruszył dalej.

– Nie jesteście turystami! – krzyknął czekający na końcu przeszkody instruktor. – Ruchy, ruchy!

Townsend potknął się o korzeń, a potem, skręcając w stronę, w którą wyciągnął rękę następny instruktor, pobiegł sprintem do następnego zadania. Spoglądając przez ramię, zobaczył Moralesa, który go dopędzał.

– Szybciej, Fenton! Szybciej! – krzyknął Townsend.

HOPSASA.

Dwaj mężczyźni bez trudu wspięli się na sześciometrową ścianę i zeskoczyli z niej, po czym bokiem przeszli po STRINGACH – naprężonym drucie zawieszonym cztery metry nad wzburzoną rzeką, której brzegi skuwał lód.

– Wystarczy się poślizgnąć, a popłyniecie! – usłyszeli za sobą krzyk.

Przebiegli sto metrów krętą, wyboistą leśną ścieżką, za którą czekał następny instruktor.

– Szykujcie się do małej wspinaczki, panienki!

W dzieciństwie Townsend bał się wysokości – nie mógł nawet jeździć na diabelskim młynie w wesołym miasteczku. Ale to było przed Mantis. Akrofobia, która kiedyś go paraliżowała, zniknęła bez śladu. Szybko pokonał pień potężnego dębu wysokości prawie dwudziestu metrów, z krótko przyciętymi gałęziami o niewinnej nazwie SZASZŁYK, a potem zjechał po linie.

– Nieźle jak na synka z Oklahomy – wysapał Morales po wylądowaniu na ziemi, z trudem łapiąc oddech.

– Jak się już rozgrzejemy, nie ma na nas mocnych – odrzekł z entuzjazmem Townsend. – Pistolety.

KATARYNIARZ... KRĘCIOŁA... JAZDA PO CAŁOŚCI... WYPRUWACZ FLAKÓW... DWA W JEDNYM. Dopingując się nawzajem i współdziałając tam, gdzie się dało, dwaj żołnierze bez większego trudu pokonali resztę przeszkód.

– Koniec trasy! – oznajmił instruktor, wskazując tabliczkę z nazwą ostatniej przeszkody.

Sześć metrów w górę po grubym plecionym sznurze, trzydzieści metrów wspinaczkowego trawersu, zjazd po linie na ziemię i wyglądało na to, że Wielki Ból został wzięty.

Adrenalina szybko odpłynęła z żył Townsenda. Ręce zaczęły mu ciężać, w prawej łydce poczuł bolesny skurcz.

– Townsend... Morales. – Charles Coon podszedł do nich, dając znak, że nie muszą stawać na baczność.

Dopiero teraz Townsend zauważył tuż za plecami majora przenośny stojak na broń. Znajdowało się w nim około dwudziestu pięciu karabinków szturmowych M4A1. Żołnierze dobrze znają tę broń. Karabinek z selektorem ognia strzela pociskami kalibru 5,56 mm, a jego czterostopniowa teleskopowa kolba, nieco większa niż w M4, ma na końcu charakterystyczną krzywiznę.

– Panowie, oto wasza ostatnia próba – oznajmił Coon. – Macie do wyboru dwadzieścia pięć sztuk broni. Cel będzie tam. – Wskazał przez lukę między drzewami na prowizoryczną drewnianą ścianę stojącą w odległości dwudziestu pięciu metrów od nich.

Townsend słyszał, że elementem programu szkolenia Rangersów jest strzelanie w warunkach stresu, po wyczerpującym biegu. Może Wielki Ból był pomyślany po to, żeby w podobny sposób zmęczyć ich fizycznie.

– Do czego będziemy strzelać, panie majorze? – zapytał.

– Pozwoliłem ci się do mnie zwrócić, żołnierzu? – warknął Coon.

Townsend poczuł, że serce na moment w nim zamarło, a po chwili powoli znów zaczęło bić.

– Nie, panie majorze! – wykrztusił.

Major uśmiechnął się lekko, a między jego wargami błysnęła biel.

– Ty będziesz celem, żołnierzu – rzekł.

– Tak jest, panie majorze! – Townsend znów powstrzymał chęć, aby zapytać o wyjaśnienia.

– Pięć karabinków na stojaku załadowaliśmy jedną sztuką ostrej amunicji – ciągnął Coon. – Nie wiecie, w którym jest pocisk. Ja nie wiem, który karabinek jest pusty. Zrozumiano?

– Tak jest, panie majorze! – szczeknęli w odpowiedzi Townsend i Morales.

– Każdy z was wybierze broń, a ja strzelę z niej do was. Będę celował w krawędź lewej ściany klatki piersiowej. Jeżeli któryś z was wybierze załadowany karabinek, zostanie postrzelony w to miejsce. Zapewniam was, że jestem cholernie dobrym strzelcem, zwłaszcza w przypadku tej broni i tych celowników ACOG. Strzał spowoduje minimalne obrażenia, pod warunkiem że nie będziecie się ruszać, ale mamy na miejscu sanitariuszy, którzy was zbadają. Jasne?

– Tak jest, panie majorze!

– Morales, jakie jest procentowe prawdopodobieństwo, że w ciągu najbliższej minuty zostaniesz trafiony pociskiem?

– Dwudziestoprocentowe prawdopodobieństwo, panie majorze!

Coon skinął głową.

– Panowie, wybierzcie broń, połóżcie w uchwycie obok mnie i zajmijcie pozycje pod ścianą. Stańcie obok siebie. Macie być obaj przygotowani.

Żołnierze spełnili polecenie. Townsend krwawił, był ubłocony i bolały go stawy. Skórę miał pokrytą plamami i siną z zimna. Usiłował opanować dreszcze. Stojący dwadzieścia pięć metrów od nich Coon przyjął postawę strzelecką.

Nie odliczał, nie ostrzegł ich ani słowem. Townsend wpatrywał się przed siebie. Przypuszczał, że to karabin wybrany przez niego, ale nie mógł mieć pewności. Patrzył na Coona, a ten jak gdyby w zwolnionym tempie nacisnął spust. Ledwie usłyszeli cichy trzask. Townsend zerknął w prawo i zobaczył, że Morales wciąż stoi bez ruchu. Coon popatrzył na nich nad celownikiem i powiedział:

– Dobra robota, sierżancie Morales. Odejść.

Morales odsunął się od ściany, a major zmienił broń.

Niecały procent, myślał Townsend. O tyle zwiększyło się prawdopodobieństwo postrzału. Niecały procent. Utkwił wzrok w wylocie lufy M4A1. Widział, jak dowódca przyciska kolbę do ramienia i patrzy przez celownik. Zobaczył, jak jego palec porusza się, naciskając spust. Potem ujrzał błysk i niemal w tym samym ułamku sekundy usłyszał huk, który odbił się echem od drzew, podrywając do lotu ptaki. Townsend poczuł przeszywający ból w boku i osunął się na kolana. Mimo to nie chciał przycisnąć dłoni do rany.

Bez niczyjej pomocy, z trudem podniósł się na nogi, gdy tymczasem Charles Coon patrzył na ekran tabletu, który trzymał jego naczelny lekarz.

– Jak reagował Morales? – zapytał Coon.

– Wszystkie czynności życiowe w normie – odparł lekarz. – Tętno nie wzrosło, napięcie mięśniowe w granicach normy, poziom tlenu wskazuje na brak stresu.

– Jest pan pewien, że plastry przekazują dokładne dane.

– Absolutnie pewien, panie majorze. Plaster każdego z nich nadaje indywidualny sygnał rozpoznawczy na odrębnej częstotliwości, co pozwala nam monitorować ich czynności życiowe na każdym etapie testu.

– A Townsend? – spytał Coon.

– To samo co u Moralesa – rzekł lekarz. – Oaza spokoju. Nawet po postrzale miał wzorowe wskaźniki żołnierza Mantis.

– Pułkownik Brody będzie zadowolony z tych dwóch – rzekł Coon.

– Ucieszy się jak dziecko. – Gdy zbliżyła się do niego następna para kandydatów, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

ROZDZIAŁ 6

Emily Welcome w żółto-zielonym kasku podskakiwała po całym ringu jak boja na wzburzonym morzu. Naprzeciw niej posuwistym krokiem poruszał się Lou, stosując podstawowe techniki obronne i najprostsze ciosy. Dziewczyna miała prawdziwy talent.

Nic dziwnego.

Lou obserwował rozwój sprawności córki od najwcześniejszych lat, gdy uganiała się za motylkami, i potem, kiedy zaczęła wykazywać zamiłowanie do biegów długodystansowych. Ale dziś pierwszy raz włożyła rękawice i choć wyraźnie miała wrodzone zdolności do boksu, Lou nie mógł wyjść ze zdumienia, z jaką swobodą poczynna sobie na ringu.

Minęły cztery dni, odkąd doktor Gary McHugh został aresztowany pod zarzutem morderstwa kongresmena Eliasa Colstona. Przestępstwo wyglądało na egzekucję, broni nie odnaleziono, lecz zespoły nurków nadal przeszukiwały muliste dno zimnej rzeki Pensatuck. Mimo to organa ścigania sprawiały wrażenie niemal pewnych, że zatrzymały sprawcę. Sędzia prowadzący przesłuchanie wstępne najwyraźniej był tego samego zdania. Wniosek o zwolnienie za kaucją złożony przez Sarah Cooper został oddalony.

Pojutrze miał się odbyć pogrzeb Colstona i nikt nie miał wątpliwości, że pojawi się na nim tłum z liczną reprezentacją celebrytów.

Nie starając się uzyskać błogosławieństwa Sarah ani tym bardziej Waltera Filstrupa, Lou postanowił umówić się na spotkanie z wdową po Colstonie, Jeannine, po uroczystościach pogrzebowych. Cztery lata temu wiedział, że prawdopodobnie złamał jakieś zasady etyczne, angażując się w sprawę przyjaciela, gdy McHugh został klientem OOL. Czuł z nim jednak głęboką więź i bardzo pragnął pomóc Gary'emu pokonać alkoholizm. Kiedy jako wicedyrektor zgodził się przyjąć sprawę, miał świadomość, że gdyby Filstrup dowiedział się o ich przyjaźni, groziłoby Lou wypowiedzenie. Ale nie miał już odwrotu.

– Tato, poboksujmy się trochę – powiedziała Emily, wysuwając ochraniacz na zęby, by Lou zrozumiał, co mówi. – Zaczyna mi się podobać. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć minę Kyle'a Smitha, kiedy przywałę mu w nos. Ciągle naumyślnie na mnie wpada.

– Nikomu nie przywalisz. W ten sposób Kyle chce ci dać do zrozumienia, że cię lubi.

– Wiem. A kiedy mu przywałę, dam mu odpowiedź, że też go lubię.

Lou prawie udało się powstrzymać uśmiech. W ciągu paru miesięcy Emily urosła o kilka dobrych centymetrów, a jej figura zmieniała się niemal równie szybko. Czuł, że towarzyszenie jej w dorastaniu będzie fantastyczną przygodą. W szufladzie komody wciąż miał ukryty luźny szary T-shirt, który zamówił, gdy w końcu uległ jej prośbom i zgodził się, by potrenowała na ringu. Z przodu koszulka miała napis CHŁOPAKI, TROCHĘ GRZECZNIEJ, MAM DOPIERO TRZYNAŚCIE LAT! Z tyłu widniała liczba 13. Lou postanowił poczekać, dopóki na dobre nie zacznie się flirtowanie, a potem kazać jej nosić T-shirt i przygotować się na wojnę.

Czując, że dłonie w rękawicach ma gorące jak dwa bochny chleba wyjęte prosto z pieca, utkwiał wzrok w córce. Skupione oczy Emily płonęły, gdy krążyła wokół niego, unosząc ręce dokładnie tak, jak ją instruował. Kasztanowe włosy miała związane w koński ogon,

wyraźnie widział więc, jak pot perli się na jej czole. Wyglądała pięknie. Po prostu pięknie.

– Myślisz, że ktoś mógłby zadzwonić na policję i powiedzieć, że ze mną walczysz? – spytała Emily.

– Przecież nie mamy się bić – przypomniał jej Lou. – To tylko ćwiczenie na pracę nóg.

– No to czemu mam kask i ochraniacz?

– Bo jesteś moją córką, moim jedynym dzieckiem, światłem mojego życia, a ja należę do patologicznie nadopiekuńczych ojców. Poza tym nie jestem mistrzem kung-fu i nie wiem, czy potrafię zatrzymać rękę centymetr przed twoją cudowną twarzą.

– Racja – zgodziła się Emily po dłuższej chwili namysłu. Wsunęła na miejsce ochraniacz na zęby.

– No dobra, jeszcze raz – rzekł Lou. – Krok do przodu, krok do tyłu, w lewo, w prawo, potem kilka kroków i na koniec zwrot. Gotowa?

Emily zignorowała instrukcje ojca, rzuciła się naprzód i poruszając się jak błyskawica, zniemacka zadała Lou mocny cios prosto w żołądek. Tylko niezliczone godziny poświęcone ćwiczeniom mięśni brzucha na siłowni i na dywanie salonu ocaliły go przed potencjalnie groźnymi konsekwencjami.

Cofnął się o krok i wypluł ochraniacz w rękawicę.

– Wiesz, kim jest... to znaczy kim był Harry Houdini? – zapytał.

– Słynnym magikiem?

– Mniej więcej. Zanim następnym razem przejdziemy na drugą stronę tych lin, masz się dobrze przygotować i powiedzieć mi, kim był i jak umarł.

Oczy Emily zwęziły się w znany mu sposób, zwiastując starcie „nastolatka kontra rodzic”. Tak jak podczas ich tytanicznych zmaganiań w monopol, Lou już wiedział, że nie ma żadnych szans na wygraną w tej potyczce.

– Mam przecucie, że dostał cios w żołądek – powiedziała.

– Właściwe słowo to „cios z zaskoczenia”.

– To trzy słowa. Poza tym ostrzegłam cię, kiedy opuściłam ramię. – Emily była żywym dowodem na słuszność teorii Darwina: genetycznym skrzyżowaniem uporu Lou i przebiegłości Renee w doskonałej pięćdziesięcioprocentowej proporcji.

– Jestem bezsilny – powiedział, bardziej do siebie niż do niej. Te słowa były filarem programu AA. *Jesteśmy absolutnie bezsilni wobec ludzi, miejsc i rzeczy.*

– To twoja wina – nie ustępowała Emily. – Jak jesteś na ringu, zawsze bądź przygotowany na cios. Tak mi mówił Cap.

– Ale nie mówił ci, żebyś kogokolwiek waliła z zaskoczenia, zwłaszcza swojego starego – odezwał się z boku ringu głęboki bas Capa.

Emily odwróciła się i jej twarz rozpromieniła się w uśmiechu.

– Cap! – krzyknęła, przyklekając przy linach, żeby zarzucić ręce na szyję wysokiego, muskularnego Bahamczyka i ucałować go w czubek ogolonej czaszki. Cap Duncan przytulił ją, po czym z gracją wspiął się na ring.

– Doktorze, twoja mała ma szybkie ręce. A ty, dziewczyno, uważaj i nie bij go, dopóki oboje nie jesteście gotowi. Za cios z zaskoczenia możesz przez tydzień nie mieć wstępu na ring.

– Przepraszam.

Lou wiedział, że to słowo, rzadko pojawiające się w ustach córki, to wyraźna oznaka szacunku, jakim darzyła dawnego ulicznego boksera i amatorskiego mistrza wagi półciężkiej. Hank Duncan zyskał sobie przydomek Cap'n Crunch, ponieważ od jego ciosów nosy przeciwników podobno wydawały chrzęst przypominający chrupanie płatków śniadaniowych. Jego kariera obiecującego zawodowca trwała zaledwie sześć walk – dopóki nie przeciwstawił się mafii i nie chciał

paść na deski w pojedynku z pięściarzem popieranym przez gangsterów. Krótco potem został zawieszony, gdy podczas badania wykryto w jego organizmie narkotyki, choć nigdy niczego nie brał.

Skończyło się na tym, że zaczął pracować u tego samego człowieka, który go zniszczył, i żeby łatwiej znieść upokorzenie, sięgnął po alkohol i narkotyki. Ta droga zaprowadziła go na leczenie odwykowe, a potem do ośrodka resocjalizacyjnego. Cap był już tam terapeutą, gdy w ośrodku pojawił się Lou Welcome, świeżo po dziewięćmiesięcznym odwyku. Dwa lata później Lou odzyskał prawo do wykonywania zawodu, a Cap, jego patron w grupie AA, został właścicielem klubu bokserskiego Kontra.

– Jeszcze nie trenowałem żadnej dziewczyny – powiedział. – Ale z tego, co właśnie widziałem, może mieć zadatki na zawodowca.

Oczy Emily rozbliły.

– Zawodowca? To znaczy, że mogłabym boksować zawodowo?

– Zawodowca – włączył się Lou – to znaczy, że możesz zawodowo robić cokolwiek, pod warunkiem że ktoś będzie chciał ci za to płacić. Myślę, że na razie powinnaś zostać przy statusie amatora i skupić się na zdobywaniu szóstek w szkole. Przynajmniej dopóki nie skończysz osiemnastu lat.

– Szesnastu – odparła Emily, tańcząc i młóćąc pięściami powietrze.

Charakterystyczny śmiech Capa rozbrzmiał echem w całej sali.

– Doktorze, masz z nią pewnie pełne ręce roboty.

Cap włożył w Kontrę całe serce i wszystkie pieniądze – własne i te, które udało mu się pożyczyć. Klub był urządzony w dawnym magazynie, parę kroków od mieszkania Lou. Wyposażono go w rząd ciężkich worków bokserskich, kilka gruszek i rowerów treningowych, były tu także trzy ringi o przepisowych wymiarach, sztangi i mnóstwo miejsca na ćwiczenia ze skakanką. Krok po kroku, mimo że Cap

odpuszczał składki członkowskie każdemu, kto nie mógł zapłacić, klub powoli zaczynał przynosić zyski.

– Emily, może poćwiczysz trochę pracę nóg przed lustrem? – zaproponował Lou. – Muszę pogadać z tym wielkoludem.

– Jasne, tato.

Cap uniósł liny i pomógł jej zejść z ringu. Lou zaczekał, aż zostaną w narożniku sami.

– Wyjdziemy na parę szybkich? – zapytał Cap, wykonując serię ciosów w zwolnionym tempie i celując w głowę Lou.

Miał blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu i był o kilka centymetrów wyższy od Lou, a choć przekroczył pięćdziesiątkę, stosunek procentowy jego tkanki tłuszczowej do masy ciała wciąż był imponujący.

– Nie dzisiaj – brzmiała odpowiedź. – Chyba pamiętasz, że Emily zostaje z tobą. Przynajmniej na popołudnie. Jadę na ten pogrzeb do Bethesdy.

– A, tak, tego kongresmena. Zaplanowałem sporo pracy dla panny Emily, może przeprowadzimy następną lekcję. Wrócisz przed kolacją?

– Mam nadzieję. Sam pogrzeb jest na cmentarzu Arlington, ale może tam nie pojedę. Powinienem być przed piątą.

– W takim razie będziemy czekać. Obiecuję ci jedno: dostaniesz z powrotem bardzo zmęczone dziecko.

– Stawiam dziesięć dolców, że kiedy wrócę, będzie biegała w kółko.

– Dwadzieścia, że zaśnie w narożniku.

Lou przypomniał sobie zasłyszaną kiedyś opowieść o człowieku, który starał się o przyjęcie do Mensy, stowarzyszenia osób z wysokim ilorazem inteligencji. Komisja, która z nim rozmawiała, zadała mu tylko jedno pytanie: co się stanie, jeśli przemożna siła napotka na swojej drodze obiekt, którego nie da się poruszyć? Udzielił odpowiedzi, dzięki której natychmiast przyjęto go w poczet członków

– powiedział, że to „zdarzenie niewyobrażalne”. Energia Capa przeciw entuzjazmowi Emily – zdarzenie niewyobrażalne.

– Stawiam na małą – oznajmił. – Słuchaj, stary, potrzebuję twojej pomocy.

Sprawdził, czy Emily na pewno jest na tyle daleko, by go nie słyszeć, i czy wypełnia jego polecenia. Prowadziła walkę z cieniem, stojąc przed lustrem obok czterech pięściarzy, samych czarnoskórych młodych mężczyzn w doskonałej formie. Na widok tej sceny nie można się było nie uśmiechnąć. Była żona Lou, Renee, miała poglądy socjalliberalne i umiarkowane, ale nie cieszyła się, że Emily przebywa w podupadłej dzielnicy, w której mieszkał eksmąż, i zdecydowanie nie była zachwycona, że córka nieoczekiwanie zapragnęła trenować boks. Lou uważał, że choć Szkoła Carlisle w Arlington jest dobra, jeśli chodzi o program nauczania, to robiła niewiele, aby pokazać uczniom bogactwo wielokulturowości. Im więcej czasu Emily spędzała w jego świecie, tym bardziej była świadoma hermetyczności i homogeniczności swojego środowiska.

– Masz ochotę na kilka rund ze swoim nauczycielem? – zapytał Cap.

– Normalnie nie odrzuciłbym takiej propozycji, zwłaszcza gdybyś obiecał, że potraktujesz mnie łagodnie, kiedy będzie to oglądać moje dziecko.

– Obiecuję.

– Nie dzisiaj. Cap, czytałeś o tym facecie, którego aresztowano za morderstwo kongresmena Colstona?

– Trochę. Mamy przed sobą ważny turniej amatorów, więc więcej czasu poświęcam dzieciakom niż wiadomościom.

– Spotkałeś go kilka razy, ostatnio na tej imprezie w zeszłym roku, kiedy zbierałeś pieniądze na klub i namówiłeś mnie na dwie rundy

sparingu. Nazywa się Gary McHugh. Jest lekarzem i przyjaźnię się z nim od czasów college'u. Byłem nawet na jego ślubie.

– Zrobił to?

– Twierdzi, że nie, ale film mu się urwał i niewiele pamięta.

– Jezu. Założę się, że dziewięćdziesiąt procent aresztowanych nie pamięta, za co trafili za kratki.

– W każdym razie wierzę, że jest niewinny, bo nie mam powodów nie wierzyć. W tym momencie policja i sąd mają wystarczająco dużo dowodów, żeby go aresztować i nie wypuścić za kaucją.

– Posadzili go?

– W areszcie miejskim w Baltimore.

– W tej okropnej norze? Cholera, jak on tam trafił?

– Nie mam pojęcia. Mówił coś o przepełnieniu.

– Paskudne, paskudne miejsce. Jak prawie wszystkie areszty, nawet te nowsze, których zresztą jest niewiele. Mniej miejsca, gorsza ochrona, mniej strażników niż w więzieniu. Jasne, ani jedno, ani drugie to nie ogród różany, ale zawsze wolałbym normalną pakę od aresztu.

– Gary ciężko to znosi, Cap. Podobno już się rozeszło, że jest lekarzem, i więźniowie chcą od niego towaru. Boi się. Da się coś dla niego zrobić?

– Spróbuję się dowiedzieć swoimi kanałami, czy siedzi tam ktoś znajomy, a wszystko na to wskazuje. Jeżeli tak, mogę pojechać tam z tobą w dzień widzeń i pogadać z nim, żeby sprawdzić, czy da się załatwić twojemu kumplowi jakąś ochronę.

– Jesteś nieoceniony.

– Daj mi ze dwie godziny.

Cap wspiął się po schodkach do swojego biura zawieszzonego na filarach nad salą. Po chwili Lou zobaczył przez przeszkloną ścianę, jak rozmawia przez telefon.

Lou sam wykonał parę ćwiczeń rąk i nóg i już miał dać znak Emily, żeby wróciła na ring, gdy zobaczył, jak Cap wstaje zza biurka, macha do niego i rusza po schodach.

– To było za łatwe, doktorze. Dawniej, żeby się dowiedzieć, czy ktoś siedzi w którymś pudle w Waszyngtonie, w Marylandzie albo Wirginii, musiałbym dzwonić do mnóstwa ludzi i potrzebowałbym paru godzin. A teraz wystarczyły dwa telefony i już mam nazwisko. Zdaje się, że więcej kumpli jest w kiciu niż na wolności. Smutne, stary, naprawdę smutne. W Baltimore siedzi za włamanie Rolando Booker. Od zawsze nazywają go Mały. Pewnie dlatego, że na pewno trudno go tak nazwać. Kiedy wyrzucili mnie z ringu, pracowaliśmy razem. W porządku gość, prawdziwy artysta, jeśli chodzi o zamki i sejfy. Świetnie potrafi planować robotę, trochę gorzej z planowaniem ucieczki. Mały nauczył mnie wszystkiego, co wiem o włamaniu... a dowiedziałem się dość sporo. Sprawdźmy, kiedy są godziny widzeń w ich blokach, i pojedziemy z wizytą.

– Dzięki, stary. Nie każdy przepada za Garym, ale dla mnie zawsze był bardzo ważny, a teraz wariuje ze strachu.

– Wybierzemy się tam, jak tylko będzie czas. Dobrze będzie znowu zobaczyć się z Małym. W swoim czasie sam był całkiem niezłym bokserem. Słuchaj, muszę dać parę wskazówek Tommy'emu, temu chłopakowi w czerwonych spodenkach, który ćwiczy na prawo od Emily. Dzieciak ma poważny potencjał, jeżeli tylko będzie chodził do szkoły i nie wpakuje się w żadne kłopoty.

– Ma szczęście, że to ty się nim zajmujesz.

Lou patrzył, jak jego patron podchodzi do Emily, szepcze jej do ucha coś, co wywołuje promienny uśmiech na jej twarzy, i wysyła ją z powrotem na ring. Potem Cap odwrócił się do chłopaka i dał mu znak, żeby podniósł ręce. Oglądając go przy pracy, Lou nie mógł się nie cieszyć. Wiedział, że Cap bardzo wcześnie został osierocony

i musiał sobie radzić sam, zmagając się z poważnymi przeciwnościami losu.

Nigdy nie wiadomo, przemknęło mu przez myśl, gdy patrzył, jak jego córka tanecznym krokiem zmierza ku niemu przez salę jak łania.

– Wiesz co, tato, mam chyba najlepszy pomysł na świecie – oświadczyła Emily, przytrzymując w rękawicy ochraniacz na zęby.

– Pozwól, że zgadnę – odrzekł Lou. – Chcesz zostać współniczką Capa w Kontrze.

– Blisko. – Spojrzała na niego roziskrzonymi oczami. – Postanowiłam się do ciebie przeprowadzić.

ROZDZIAŁ 7

Detektyw Christopher Bryzinski z policji stanowej Marylandu nie cierpiał pogrzebów. Pochował już wszystkie osoby, które były dla niego ważne, z wyjątkiem żony, a pompatyczna uroczystość pożegnania zamordowanego kongresmena ożywiła tylko gorzkie wspomnienia. Jego ojciec, Bart, gliniarz z krwi i kości, dziesięć lat temu został śmiertelnie potrącony na autostradzie w Marylandzie przez pijanego kierowcę w taki sam szary i deszczowy dzień jak ten. Matka, która podobnie jak on była niemal stałym członkiem grupy Weight Watchers, Strażników Wagi, zmarła wkrótce po śmierci męża – jak można się było spodziewać – na zawał serca.

Bryzinski zdawał sobie sprawę, że musi zrzucić wagę. Zawsze musiał zrzucić wagę. Jego żona, Agnes, bezlitośnie wierciła mu z tego powodu dziurę w brzuchu – jeśli akurat nie wierciła mu dziury w brzuchu z powodu cygar. Zresztą, jaki byłby w tym sens? Gdyby ograniczył jedzenie, odstawił alkohol i zrezygnował z dymku od czasu do czasu, Agnes równie dobrze mogłaby go upchnąć do drewnianej skrzyni.

Zadygotał w przenikliwym zimnie. Nieobecny wzrokiem patrzył na uczestników pogrzebu sunących wolno przez przygnębiający krajobraz mlecznobiałych nagrobków, które przypominały mu żołnierzy w nieustannym marszu śmierci. Przekonywał kapitana, że wysyłanie go na cmentarz, żeby robił zdjęcia aparatem ukrytym w klapie marynarki i notatki na temat żałobników, będzie równie

bezowocne jak próby wydojenia byka, ale przełożony chyba z jakiegoś powodu wkurzył się na niego.

Uznali, że zabójcą jest doktor Gary McHugh i koniec.

Tylko nieliczne osoby w tłumie, jaki zgromadziło nabożeństwo w Bethesdzie, przyjechały na cmentarz Arlington, ale wśród nich można było rozpoznać wiele znanych osobistości. Jeannine Colston wolnym krokiem wspinała się na łagodne wzniesienie w towarzystwie swoich dzieci i dwóch czy trzech innych osób. Atrakcyjna kobieta, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Bryzinski zastanawiał się, jak wdowa radzi sobie z potępiającymi artykułami na temat jej romansu z mordercą męża. Nie mając nic innego do roboty, podszedł bliżej i pstryknął jej kilka zdjęć.

Przez chwilę zastanawiał się, gdzie jest pochowany syn Colstona. Mike, Mark? Jakoś tak. Zginął w Afganistanie i za swoje cierpienia otrzymał wysokie odznaczenie. Ojciec i syn. Dwaj marines, obaj już nie żyli.

Z samochodów w stronę miejsca pochówku nadpływała ostatnia fala żałobników. Bryzinski oceniał, że w sumie zbierze się ich około dwustu. Być może pojawi się kilka nieznanomych lub niespodziewanych twarzy. Tak właśnie przypuszczał kapitan. Cokolwiek by się jednak stało, nic nie mogło zmienić wniosku, do którego doszli Bryzinski i jego zespół doświadczonych detektywów z wydziału zabójstw. Sprawcą był Gary McHugh, lekarz stołecznej elity, który sam był jej członkiem.

Nagły podmuch wiatru chłósnał w zasmucone twarze drobnym deszczem i wygiął kilka parasoli. Pod płóciennym baldachimem zasiadł ksiądz, przygotowując się do czytania z Pisma Świętego, a jego biała szata łopotała jak przemoczone żagle. Niektórzy nie kryli łez, ale większość ludzi przyszła tu po to, żeby się pokazać. Reprezentanci

dowództwa wojskowego zjawili się w pełnej gali, a w pewnej odległości od uczestników pogrzebu stali agenci Secret Service.

Bryzinski doszedł do wniosku, że wystawiał twarz na siekący lodowaty deszcz zmieszany z drobnym śniegiem na tyle długo, by uznać, że dobrze wykonał zadanie. Cofnął się o kilka kroków, odwrócił i oddalił od tłumu, idąc w dół wzniesienia. Gdy był w połowie drogi do swojego pontiaca zaparkowanego równolegle do rzędu czarnych limuzyn, drgnął na dźwięk głębokiego głosu, który nagle odezwał się za jego plecami. Bryzinski obrócił się na pięcie i szeroko otworzył oczy, rozpoznając stojącego przed nim człowieka. Spod rozłożystego czarnego parasola spoglądał na niego sekretarz obrony, Spencer Hogarth.

– Detektyw Bryzinski?

Bryzinski poczuł ucisk w gardle. Jego kontakty z politykami ograniczały się najwyżej do gubernatora Marylandu, dlatego oniemiał z wrażenia w obecności siwowłosego admirała o kwadratowej szczęce i suchej, pokrytej zmarszczkami cerze, w którym wielu komentatorów widziało potencjalnego kandydata na prezydenta, a przynajmniej wiceprezydenta. Orędownik tradycyjnych amerykańskich wartości i najlepszy biegacz w reprezentacji futbolowej Akademii Marynarki Wojennej stale gościł na łamach prasy i w programach publicystycznych.

– Ta ja – rzekł Bryzinski, bardziej zaskoczony niż dumny, że Hogarth zna jego nazwisko.

– Może mi pan poświęcić chwilę?

– Oczywiście. Skąd pan mnie zna? – Detektyw wierzchem dłoni otarł twarz.

– Powiedzmy, że kiedy ktoś mnie interesuje, lubię się czegoś o nim dowiedzieć – odparł Hogarth.

– I ja pana interesuję?

– Logiczny wniosek. Detektywie Bryzinski... Mogę panu mówić Chris?

– Oczywiście.

– Chris, być może będę potrzebował twojej pomocy.

Bryzinski wyczuł, że sekretarz obrony nie stanowi żadnego zagrożenia, i zaczął się uspokajać.

– Pomocy w czym? – zapytał.

– Prowadzisz śledztwo w sprawie morderstwa Eliasa Colstona, prawda?

– Tak. – Bryzinski wreszcie odzyskał równowagę psychiczną. Może ten dzień jednak nie okaże się totalną porażką. – Ma pan jakieś informacje na temat morderstwa kongresmena, które chce mi pan przekazać, panie sekretarzu?

– Nie – odrzekł z uśmiechem Hogarth. – Należy odwrócić to pytanie.

Detektyw otaksował polityka zaciekawionym spojrzeniem. Nawet w słabym świetle ponurego dnia uwagę przykuwały niebieskie, niemal opalizujące oczy Hogartha, oczy władzy.

– To znaczy, czy ja mam informacje na temat morderstwa Colstona, które chciałby pan ode mnie usłyszeć?

Uśmiech Hogartha był naprawdę ujmujący.

– Nic dziwnego, że cieszysz się reputacją świetnego detektywa – powiedział.

W trakcie służby w policji Bryzinskiemu od czasu do czasu zdarzało się wyświadczać komuś przysługę, niekoniecznie bezinteresownie. Każdy gliniarz to robił. Detektyw wyczuł, że sekretarz obrony ma dla niego propozycję, której nie odrzuci. Najpierw jednak strony musiały się wzajemnie wybadać.

– Nie jestem pewny, czy ujawnianie tej informacji może nam pomóc w śledztwie...

– Żywo interesują mnie postępy dochodzenia w tej sprawie – odparł Hogarth. – Jeżeli będziesz mnie o nich informował, postaram się w stosowny sposób okazać ci moją wdzięczność. – Znów ten czarujący uśmiech.

– Przykro mi, panie sekretarzu – powiedział Bryzinski. – Z całym szacunkiem, zdaję sobie sprawę, że jest pan bardzo ważnym człowiekiem, ale my w policji stanowej Marylandu nie pracujemy w ten sposób. Mam nadzieję, że pan to rozumie.

– Odprowadzę pana do samochodu – zaproponował Hogarth.

Bryzinski zobaczył dwóch ochroniarzy kręcących się między limuzynami i luksusowymi autami, którzy przyglądali się im, ale stali na tyle daleko, by nie słyszeć ani słowa z ich rozmowy.

– Może lepiej przejdzie pan do rzeczy.

– Rzecz w tym, że ja nie proszę. – Hogarth otoczył ramieniem szerokie barki Bryzinskiego, jak gdyby byli kumplami, którzy wybrali się na polowanie na kaczki i właśnie zmierzali na miejsce zasiadki. Idąc wolnym, lecz zdecydowanym krokiem, prowadził zaskoczonego detektywa w stronę rzędu zaparkowanych przy krawężniku samochodów. Deszcz rytmicznie bębnił o parasol Hogartha.

– Słucham? – wykrztusił w końcu Bryzinski.

– Posłuchaj, Chris, załatwmy to szybko. Jamie Lambert. Przypuszczam, że to nazwisko coś ci mówi.

– Nie bardzo...

– Proszę, nie bawmy się w kotka i myszkę. Dwanaście lat temu zastrześliłeś Lamberta w czasie rewizji, którą przeprowadzałeś razem ze swoim partnerem. Podrzuciłeś dzieciakowi broń i prochy... jeśli dobrze pamiętam, miał siedemnaście lat... i udało ci się z tego wywinąć.

– Nie zamierzam się do tego przyznawać. Nosi pan podsłuch?

– To nie w moim stylu, Chris. Zabójstwo Lamberta to nie wszystko, czego się o tobie dowiedziałem. Wiem o twojej żonie, Agnes. W czerwcu przyszłego roku będziecie mieli trzydziestą rocznicę ślubu, zgadza się? Wiem, że nie macie dzieci. I wiem, że macie niewiele pieniędzy z powodu twojej nadmiernej skłonności do hazardu... próbowałeś nawet szukać pomocy u Anonimowych Hazardzistów, jeżeli mam dobre informacje. Wiem, że twoi rodzice nie żyją i że jesteś dość szanowanym funkcjonariuszem policji. Nie wiem tylko, czy jesteś rozsądnym człowiekiem, na tyle rozsądnym, by wiedzieć, że nie zwróciłbym się do ciebie z tą sprawą, gdybym nie miał dowodu. No więc jak, ubijemy interes czy nie?

Bryzinski poczuł ucisk w żołądku. W tym momencie jego stopa zanurzyła się po kostkę w prawie zamarznętej kałuży.

– A jak miałbym wykazać się rozsądkiem?

– Ludzie, którzy robią to, o co ich proszę, Chris, często mogą liczyć na awans albo inne pewnego rodzaju... nagrody, że się tak wyrażę – powiedział Hogarth, idąc jeszcze wolniej.

– Czego pan oczekuje w tej sprawie?

– Oczekuję, że będę wiedział absolutnie wszystko, co ma związek ze śledztwem w sprawie morderstwa Eliasa Colstona. Chcę, żebyś osobiście przekazywał mi każdą informację, jaką uzyskasz, każdą wskazówkę, każdy trop, każde nazwisko. Chcę znać najdrobniejszy szczegół, jaki uda ci się ustalić, nie tylko to, co uznasz za ważne. Wolę sam to ocenić.

Bryzinski na chwilę stracił dech. Prawie w ogóle nie czuł lodowatej wody, która chlupotała mu w bucie i przesiąkała przez skarpetkę. Ten człowiek był niesamowity. W ciągu paru minut Hogarth skradł mu całe życie, a teraz oddawał mu je z nawiązką. Niesamowity!

– A jeżeli tego nie zrobię, to nie wykażę się rozsądkiem? – spytał. Krew huczała mu w skroniach jak rwący górski potok.

– Jeśli nie będziesz rozsądny, Chris, to morderstwo Lamberta będzie tylko jedną z wielu rzeczy, jakich świat się o tobie dowie, zaczynając od egzaminu na detektywa, którego nie zdałeś sam.

Bryzinski wpatrywał się w niego bez słowa. Od tamtego egzaminu minęło wiele lat i był pewien, że nikt się nigdy nie dowie. Shaughnessy przysięgał, że do perfekcji opanował umiejętność zdawania testów za kogoś innego. Parszywa irlandzka kanalia! A teraz wszystko zawisło na włosku: praca, emerytura... cholera, mógł nawet stracić Agnes.

Spojrzał w stalowoszare niebo, wystawiając twarz na przenikliwie zimne krople deszczu. Spencer Hogarth był przedstawicielem kręgów, z którymi detektyw jeszcze nigdy się nie zetknął. Nie warto nawet było pytać, gdzie tak szybko zdobył wszystkie te informacje.

Po chwili Bryzinski odwrócił się do niego.

– Chyba się pan przekona, że jestem bardzo rozsądnym człowiekiem – powiedział.

Tym razem uśmiech Hogartha wyglądał radośniej i bardziej autentycznie.

– Z pewnością, Chris – odparł, zdejmując rękę z jego ramion. – Z pewnością się przekonam.

ROZDZIAŁ 8

Renee Welcome i Steve Gilbride mieszkali w Arlington w Wirginii, w domu w stylu kolonialnym z czterema sypialniami. Ekskluzywne przedmieście, po drugiej stronie Potomacu od Waszyngtonu, zawdzięczało wysokie ceny nieruchomości świetnej lokalizacji i zapleczu nastawionemu na potrzeby dzieci. Mimo że miejscowe szkoły publiczne cieszyły się znakomitą opinią, Renee postanowiła wysłać Emily do Szkoły Carlisle, do której sama chodziła.

Dzieci Steve'a, David i Alyssa, które Emily tolerowała bez zbytniego entuzjazmu, pojawiały się w ceglany domu przy Piątej Ulicy w co drugi weekend i środę. Pragnąc, żeby dzieciaki lepiej się poznały, Renee udało się ubłagać Emily, aby spędzała z ojcem te weekendy, kiedy dwoje Gilbride'ów, w wieku czternastu i dwunastu lat, było u matki. W zamian za to Renee zgodziła się, żeby Emily jeździła do Waszyngtonu także w co drugi czwartek.

Typowa współczesna amerykańska rodzina nuklearna, wyjaśniała koleżankom Emily.

– Naprawdę są na świecie profesjonalne kobiety bokserki? – zapytała, gdy Lou skręcał na most Roosevelta na Potomacu.

– Na ringu zawodowym walczyła córka Muhammada Alego, był też świetny film o boksujących kobietach. Zrobił go Clint Eastwood, który wystąpił w jednej z głównych ról.

– Kto?

– Clint... nieważne. Jeżeli postanowisz żyć z boksu, próbuj. Ale powiem ci, że będziesz musiała wylać całe wiadra potu, żeby co chwilę nie lądować na deskach. To są twarde i wysportowane kobiety.

– Ja też już jestem wysportowana i mogę się nauczyć, jak być twarدا. Uważam, że powinnam się do ciebie przeprowadzić, żeby trenować z tobą i Capem. Obiecuję, że codziennie wieczorem będę odrabiać lekcje.

Lou przełknął ślinę. Dlaczego zawsze mu się wydawało, że potrafi przewidzieć każdy ruch córki?

– Posłuchaj, dziecko, nie zrozum mnie źle, bardzo lubię, kiedy u mnie jesteś. Ustawiłem sobie grafik w szpitalu i w OOL tak, żeby odwozić cię rano do szkoły, ale...

– Powinniśmy to przedyskutować całą rodziną. Tak zawsze mówicie z mamą, nie?

Och, ta mała jest naprawdę niezła, pomyślał Lou, współczując w duchu jej drugiej połowie, unoszącej się gdzieś w kosmosie przyszłości.

Zgodnie z tradycją, odwożąc Emily do domu, Lou zawsze odprowadzał ją do drzwi. Przed wyjściem za męża za Steve'a, Renee, która prowadziła terapię rodzinną i miała nadkomplet klientów, zwykle rozmawiała z Lou o swoim życiu osobistym i kłopotach, kiedy Emily pomknęła już do swojego pokoju. Może to dzięki jego wyjściu z uzależnienia, ale wydawało się, że mężczyzna, którego kochała, za którego wyszła, z którym spała i z którym się rozwiodła, stał się jej powiernikiem i najlepszym przyjacielem.

Problem polegał na tym – co Emily nie tylko przypuszczała, ale i wiedziała – że Lou kochał żonę, kiedy się z nim rozwiodła, i nadal żywił do niej silne uczucie.

Tej niedzieli Steve był w swoim biurze w mieście, jak zwykle podczas weekendów, gdy jego dzieci nie nocowały w Arlington. Renee,

która bez względu na okoliczności tryskała optymizmem, dziś wydawała się zmęczona. Jej falujące kasztanowe włosy, sięgające poniżej ramion, kiedy je rozpuściła, wyglądały na dziwnie potargane.

Zamiast popędzić prosto do samotni swojego pokoju, Emily została na dole.

– Cześć... ładnie tu, Renee – powiedział Lou w nadziei, że chwając świąteczne ozdoby, uda mu się rozładować atmosferę, która z jakiegoś powodu zgęstniała. Renee, siedząca przy kuchennym stole zasłanym rachunkami, zdjęła okulary do czytania, złożyła je z trzaskiem, po czym wzięła jeden rachunek z pliku i wbiła wzrok w córkę.

– Mamo, mam najlepszy pomysł na świecie! – wyrzuciła z siebie nastolatka, przeciskając się obok Lou, by wejść do kuchni.

– Co to ma znaczyć? – spytała Renee, pokazując kopertę; Lou poznał, że to rachunek za telefon.

– Co ma znaczyć? – Emily umknęła przed surowym spojrzeniem matki i wyjęła z lodówki jogurt.

Renee podniosła się z krzesła.

– Trzysta dolarów za SMS-y. Trzysta dwanaście, jeżeli chodzi o ścisłość.

Emily wyglądała na strapioną.

– Co? To jakiś obłąd.

– Obłąd, tak? Wobec tego powiedz mi, czyj to numer?

Renee z rachunkiem w ręce przeszła przez kuchnię. Emily, która zdążyła już pochłonąć kilka łyżeczek jogurtu, przyjrzała mu się, wzięła następną porcję jogurtu i z pełnymi ustami powiedziała:

– Katie. Nie ma jej na liście „Rodzina i Znajomi”?

Katie Willard była jedną z najbliższych koleżanek Emily ze szkoły.

– Nie, Katie nie ma na naszej liście „Rodzina i Znajomi” – przyznała Renee.

Emily zrobiła urażoną minę.

- Steve miał ją dodać.
- Nie mieszaj w to Steve’a!
- Dlaczego nie? – odcięła się Emily. – Prosiłam go.

Lou już miał interweniować, ale zrezygnował. Na obudowie reaktora nie pojawiła się jeszcze nawet rysa.

- A o czym to tak do siebie pisujecie? – dopytywała się Renee.
- O różnych rzeczach. Czy ja wiem? Po prostu się kontaktujemy.
- W takim razie musicie wymyślić inny sposób kontaktowania się, który nie będzie kosztował trzystu dolarów miesięcznie.

– Phi, wystarczy ją dodać do listy „Rodzina i Znajomi”.

– Nie waż się do mnie mówić w ten sposób – powiedziała Renee. – Masz trzynaście lat i powinnaś odnosić się do mnie z szacunkiem.

Zaczynał się wyciek radioaktywny.

Emily odwróciła się do Lou.

- Widzisz? Widzisz, dlaczego muszę się stąd wynieść?
- Co ona wygaduje? – zdumiała się Renee, przenosząc gniew na byłego męża.

– Przeprowadzam się do taty – poinformowała ją Emily.

Trach!

– Dobra, przerwa – powiedział Lou, rozkładając ręce. – Każda z was do neutralnego narożnika i na moment wstrzymać oddech. Renee, żeby uprzedzić twoje pytanie: nie, to nie był mój pomysł. Em, żeby uprzedzić twoją odpowiedź mamie: to nie jest miasto białych, w którym rudzielca można uważać za przedstawiciela mniejszości. Jeżeli się zastanowisz, dojdiesz do wniosku, że więcej tu różnic kulturowych niż w mojej dzielnicy. W porządku, można oddychać. – Spojrzał na matkę i córkę i odniósł wrażenie, że panujące między nimi napięcie opadło o jedną kreskę.

– To niesprawiedliwe! – powiedziała Emily, siadając ciężko na kuchennej podłodze z desek z wiśniowego drewna. – Nie mogę mieć

nawet żadnego zwierzaka.

– Zwierzaka? – zdziwił się Lou.

– Syn Steve’a, David, ma alergię – wyjaśniła Renee.

Lou naprawdę zastanawiał się nad pomysłem Emily, żeby się do niego przeprowadzić, mimo że taka zmiana spowodowałaby logistyczny koszmar. Wyglądało jednak na to, że nie będzie musiał zajmować jednoznacznego stanowiska. Renee była matką pełną gębą, zawsze gotową zawieźć Emily na zawody lekkoatletyczne albo próbę przedstawienia, a nawet zmienić harmonogram pracy, żeby nadzorować szkolną wycieczkę. Żądania Emily były kaprysem zbuntowanej nastolatki – reakcją na to, że sprawy miały się inaczej, niżby sobie życzyła. Mimo to musiał postępować ostrożnie.

Na szczęście Emily sama otworzyła im furtkę... wspominając o zwierzaku.

– Słuchajcie, może dojdziemy do jakiegoś kompromisu? – zaproponował Lou.

Emily wstała z podłogi.

– Jakiego kompromisu?

Na twarzy Renee odmalowała się podejrzliwość.

– Ja kupię zwierzaka – rzekł Lou, unosząc ręce w geście oznaczającym, że szale sprawiedliwości osiągnęły równowagę.

– Mamo?

– Jeżeli zwierzak ma cię ucieszyć, a nie możesz go mieć w domu, to chyba uczciwe rozwiązanie, żebyś go miała, kiedy odwiedzasz tatę – powiedziała Renee. – Pod warunkiem że przestaniesz mówić o zmianie mieszkania.

– Zwierzak to raczej nie to samo co życie w wielokulturowej ubogiej dzielnicy w centrum miasta – odrzekła Emily, na pozór odrzucając pomysł, choć jej oczy mówiły co innego.

– To się nazywa kompromis – rzucił Lou.

- Jakiego zwierzaka kupisz? – spytała Emily.
- Może pchłę?
- Bardzo śmieszne.
- No dobrze, świnkę morską.
- A co byś powiedział na psa? – odparowała Emily.
- Powiedziałbym, że mam pracę, a ty jesteś u mnie co drugi weekend i co drugą środę.
- W takim razie może kota? – wypaliła Emily, trafiając w cel z precyzją pocisku Sidewinder.
- Kota? – powtórzył łamiącym się głosem Lou.
- Kota – przytaknęła Emily, szczerząc zęby w uśmiechu absolutnego triumfu.

Lou gorączkowo zastanawiał się nad alternatywną propozycją, myśląc o różnych zwierzętach, od mrównika po zebkę, ale nie przychodziło mu do głowy nic bardziej praktycznego.

- No dobrze – zgodził się. – Sprawimy sobie kota.
- Kiedy?
- Niedługo.
- Weźmiemy go ze schroniska – dodała Emily. – Sama muszę go wybrać. I trzeba go będzie wysterylizować.
- Ależ oczywiście – przytaknął jej Lou. Poczł ucisk w gardle na myśl, z jaką łatwością dał się pokonać.

Emily podbiegła do niego i pocałowała go w policzek.

- Tak strasznie się cieszę! Pa! Kocham cię. – Wypadając z kuchni, wydała z siebie uszczęśliwiony pisk.
- To co zrobimy z tymi SMS-ami?! – zawołała za nią Renee dokładnie w momencie, gdy trzasnęły drzwi do pokoju Emily.
- Już jej nie ma – powiedział Lou. Bezradnie patrząc na schody, uświadomił sobie, że zastanawia się, czy Sarah Cooper nie ma przypadkiem alergii na koty.

– Zdajesz sobie sprawę, że naprawdę będziesz musiał sobie sprawić kota – odezwała się Renee.

– Mieliśmy kota w ośrodku resocjalizacyjnym. Zdaje się, że nie było z nim większych kłopotów.

Renee uśmiechnęła się enigmatycznie i mruknęła pod nosem coś, co brzmiało jak „chciałbyś”.

Zanim jednak Lou zdążył ją poprosić, żeby powtórzyła, zadzwoniła jego komórka. Na wyświetlaczu ukazał się tylko numer.

– Halo?

– Doktor Lou Welcome? – zapytał kobiecy głos.

– Tak.

– Nazywam się Jeannine Colston. Podobno chciał pan ze mną rozmawiać.

ROZDZIAŁ 9

Lou widział już podobnie puste spojrzenie – wiele razy. Jeannine Colston była zdruzgotana, ogromnie wyczerpana, przygnieciona bolesną stratą oraz złośliwymi uwagami i aluzjami, których nie szczędzili jej rodzina i przyjaciele, a także media. Wiadomość o jej romansie z Garym McHugh, człowiekiem oskarżonym o brutalne zamordowanie jej męża, gruchnęła w prasie jak mina pułapka. Lou odniósł wrażenie, że w pewnym sensie Jeannine jest równie martwa jak Elias.

– Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać, pani Colston. Wiem, że to nie jest dla pani łatwe.

Stali naprzeciw siebie w holu przestronnego domu Colstonów w stylu kolonialnym. Twarz Jeannine o niezwyklej arystokratycznej urodzie poszarzała. Zaciskając zęby, kobieta chłodno przyglądała się Lou. Mimo cierpień, które musiała znosić, nie mogło dziwić to, że Gary zupełnie stracił dla niej głowę. Zanim powiesiła w szafie płaszcz Lou, chyba odruchowo strzepnęła z niego kilka płatków śniegu, a potem wskazała gościowi kanapę w salonie. Panował tu nieprzyjemny chłód, jak gdyby Jeannine nie chciało się włączać ogrzewania.

– Biorąc pod uwagę pańską przyjaźń z Garym, nie zamierzałam nawet dzwonić – powiedziała.

– Rozumiem. Przede wszystkim proszę przyjąć najszczerze wyrazy współczucia. Bardzo mi przykro z powodu śmierci pani męża i wszystkiego, co się dzieje w związku z nią.

– Dziękuję. Jestem panu wdzięczna. Kawy? Herbaty?

Lou pokręcił głową i wskazał na dziesiątki okazałych bukietów, w których tonął salon.

– Robi wrażenie – rzekł.

– Co najmniej tyle samo już wyrzuciłam. Minął prawie tydzień, ale ciągle przysyłają kwiaty.

– Pani mąż był bardzo lubianym kongresmenem.

– Wielu dziennikarzy i byłych przyjaciół wychodzi ze skóry, żeby mi o tym przypominać, na wypadek gdybym nie wiedziała.

Lou jęknął w duchu. Cholera, co ja tu robię? Według tego, co mówiła adwokatka Gary’ego, narażał na niebezpieczeństwo obronę przyjaciela, a wdowa po Colstonie sugerowała, że Lou sypie sól na świeżą, broczącą krwią ranę. Widział kamery monitoringu, które zarejestrowały przyjazd i odjazd Gary’ego. Wiedział o poszlakach wskazujących na jego winę. W kręgu podejrzania nie znalazła się żadna inna osoba, nikogo innego nie aresztowano. Proste jak drut. Jakie może być inne wyjaśnienie? Kto inny mógł być winien tej tragedii, jeśli nie zamroczony alkoholik, który przeżył bolesny zawód miłosny? Gary McHugh, któremu odmówiono zwolnienia za kaucją, siedział w areszcie w Baltimore, a Lou usiłował przekonać samego siebie, że nie tam jest jego miejsce.

– Przepraszam, pani Colston. To był nietakt. Nie wiadomo czemu, uważam, że empatia jest moją mocną stroną jako lekarza. Chyba się nią nie wykazałem.

– Gary wspomniał o pańskiej wyjątkowej empatii. Między innymi dlatego zgodziłam się z panem spotkać.

– Obawiam się, że nie rozumiem. Gary dużo o mnie mówił?

– Prawdę powiedziawszy, dość dużo. Ale zobaczyłam pana na pogrzebie. Był pan jedną z niewielu osób, których nie znałam, więc zapytałam przyjaciółki z Waszyngtonu, która zna wszystkich,

i powiedziała mi, kim pan jest. Kiedy dostałam pańskie wiadomości, zrobiłam mały wywiad.

Lou spojrział na przeciwległy koniec gęsto umeblowanego salonu, gdzie znajdował się duży i pusty kominek z polnych kamieni. Jeżeli Jeannine Colston spyta, jak to się stało, że znalazł się na pogrzebie, postanowił nawet nie próbować odpowiadać inaczej niż zgodnie z prawdą – że Gary zadzwonił do niego dzięki uprzejmości pewnego sędziego z Waszyngtonu. Jak się okazało, pani Colston w ogóle o to nie pytała, prawdopodobnie dlatego, że prawda była jedynym logicznym wytłumaczeniem.

– W każdym razie spojrział mi pan w oczy – ciągnęła – a potem odwrócił się i dał mi spokój. Pomyślałam, że ma pan bardzo miłą, interesującą twarz.

– Dziękuję. Nie poszedłem tam, żeby wywoływać zamieszanie. Chciałem po prostu lepiej zrozumieć, kim był pani mąż i środowisko, w jakim się obracał. Uznałem, że to może mi się przydać, żeby pomóc Gary'emu.

– Obawiam się, że Gary'emu nie da się już pomóc – odparła.

Nabożeństwo żałobne za Eliasza Colstona odbyło się w Katedrze Narodowej w Bethesdzie w stanie Maryland. Media uczepliły się informacji o romansie Jeannine z lekarzem i przyjacielem kongresmena, zmieniając smutną uroczystość w cyrk. Uczestniczyło w niej ponad tysiąc osób, wśród nich wielu członków dowództwa wojskowego, którzy przyszli pożegnać człowieka, nadzorującego finansowanie armii jako przewodniczącego Komisji Sił Zbrojnych w Izbie Reprezentantów.

– Przypuszczam, że chce pan wiedzieć, co, moim zdaniem, się stało – powiedziała Jeannine.

– Jeżeli nie będzie to dla pani zbyt trudne...

– Trudne... nietrudne. Jaka to teraz różnica?

– Rozumiem. – Lou siłą woli powstrzymał się od odwrócenia wzroku.

– Otóż sądzę, że zrobił to Gary – oznajmiła rzeczowym tonem Jeannine.

– Wiem, że policja nie ma co do tego wątpliwości, ale dlaczego pani tak uważa?

– Bo zakończyłam nasz... związek. Bo pił i coraz bardziej rozpaczliwie usiłował naprawić wszystko między nami. Mogę panu odtworzyć wiadomości, które nagrał na mojej poczcie głosowej. Zachowałam je, kiedy udostępniłam je już policji, bo, jak pan zapewne wie, Gary był myśliwym i pasjonatem broni. Jeździł na wyprawy i polowania w Góry Skaliste i do Kanady, a nawet na safari do Afryki.

Lou skinął głową, myśląc: znowu to samo – motyw, sposób i okazja. Wydawało się, że tylko odnalezienie broni dzieli Gary'ego od spędzenia reszty życia w więzieniu albo od pierwszego od wielu lat w tym stanie wyroku śmierci.

– Chce pani opowiedzieć, dlaczego zakończyła pani ten związek? – spytał.

– Po to Gary przysłał pana do mnie? Żeby się dowiedzieć dlaczego?

– Nie – odrzekł Lou. – To ja chcę wiedzieć. Gary konsekwentnie twierdzi, że nie zabił pani męża. Przypuszczał, że być może jestem jedyną osobą na świecie, która mu uwierzy, i zapytał, czy nie zbadałbym okoliczności. Ma rację, twierdząc, że zwykle przyjmuję za prawdę to, co mówią mi przyjaciele, chyba że mam niezbite dowody, żeby im nie wierzyć. Dlatego właśnie chciałem się dowiedzieć o wszystkich zdarzeniach, które poprzedziły morderstwo pani męża.

Jeannine skinęła głową.

– Dobrze powiedziane – odparła. – Po prostu zmieniłam zdanie. Elias przyszedł do mnie wieczorem dzień przed... zabójstwem. Objął mnie i pocałował tak, jak nie robił od lat. Poczułam to. Naprawdę

poczułam, jakby przez moje ciało przebiegł prąd. Do końca życia zapamiętam ten pocałunek. To było tak, jak gdyby połączyły się w jedno nasz pierwszy pocałunek, kiedy Elias mi się oświadczył, i pocałunek w dniu naszego ślubu. Miałam pewne wątpliwości co do Gary'ego... czy powinnam odejść. Poczucie winy. Kiedy mąż mnie pocałował i powiedział, jak bardzo mnie kocha i potrzebuje, podjęłam decyzję. – Zaczęła płakać.

Lou czekał przez chwilę.

– Już dobrze – odezwał się w końcu.

– Nie... nic nie jest dobrze. Moje żyjące dzieci teraz mną gardzą. Obwiniają mnie o morderstwo ojca. Gdybym nie miała... nie miała romansu... – Słowa utonęły w rozdzierającym szlochu.

Żyjące dzieci...

Lou czytał o bohaterskiej śmierci dwudziestosiedmioletniego Marka Colstona w Afganistanie. Jego pluton został zaatakowany przez oddział talibskich bojowników w prowincji Ghazni, uważanej przez wielu za najniebezpieczniejszy region w kraju. W pułapce pięciu członków plutonu zostało ciężko rannych. Z powodu silnego ognia nie mogła dotrzeć do nich pomoc medyczna.

Według relacji, do których dotarł Lou, Mark Colston wszedł na linię ognia spokojnie jak Gary Cooper w filmie *W samo południe*. Zastrzelił prawie wszystkich talibskich partyzantów. Ocalał tylko jeden, który był śmiertelnie ranny, mimo to zdążył jeszcze rzucić granat w stronę leżących żołnierzy amerykańskich. Mark natychmiast rzucił się na granat, przykrywając go własnym ciałem, i w ten sposób ocalił życie pięciu ludzi, poświęcając własne. Został pośmiertnie odznaczony Medalem Honoru za akt wyjątkowego męstwa.

– Na pewno z dziećmi wszystko się ułoży – rzekł Lou. – Dziewięć lat temu żona rozwiodła się ze mną, kiedy byłem na terapii odwykowej i leczyłem się z uzależnienia od amfetaminy i alkoholu. Moja córka,

Emily, była wtedy mała, ale nie na tyle, żeby nie rozumieć, że zrobiłem coś bardzo złego. Obwiniła tylko mnie. Ale z czasem wszystko się zmienia. Teraz ma trzynaście lat i jesteśmy sobie bliscy, jak tylko może być rodzic i dziecko. Jest ze mną prawie tyle samo czasu co z matką. Dwa dni temu zapytała, czy może się do mnie przeprowadzić.

– I co pan jej powiedział?

– Kocha matkę tak samo jak mnie. To kaprys nastolatki, nic więcej. Powiedziałem, że jeżeli zgodzi się nie zmieniać obecnego stanu rzeczy, sprawimy sobie kota.

Po raz pierwszy od początku rozmowy z Lou na twarzy Jeannine Colston pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

– Powodzenia – powiedziała. Umilkła na chwilę z zadumaną miną, przypominając sobie zapewne koty, które miała w rodzinie. – No dobrze – odezwała się wreszcie. – Ma pan jeszcze jakieś pytania? Chce pan wiedzieć coś więcej?

– Kongresmen Colston zginął w garażu.

– Zgadza się.

– A nad garażem znajduje się jego gabinet.

– To też się zgadza.

– Mógłbym tam zajrzeć?

– Jeżeli nie będę musiała panu towarzyszyć. Nie lubię chodzić do garażu ani gabinetu. Poza tym czuję, że dopada mnie migrena, a w tym momencie może mi pomóc tylko drzemka.

– Nie ma sprawy.

– Drzwi otworzy pan kodem pięć dwadzieścia dziewięć osiemdziesiąt dwa. To data naszego ślubu.

Lou powtórzył liczbę, podziękował i obiecał, że nie będzie jej już niepokoił w drodze powrotnej, chyba że pojawiłby się ważny powód.

– Zakładam, że policja skończyła już zabezpieczać wszystkie ślady w domu – rzekł.

– Z tego, co widziałam, skończyli, ledwie zaczęli. Wiedzieli, że mają już sprawcę, tak samo zresztą jak ja.

ROZDZIAŁ 10

Sarah Joyce Cooper miała szansę zostać wspólniczką w kancelarii – tak przynajmniej mówił założyciel firmy, Grayson Devlin. Była znana z błyskotliwości i opanowania na sali sądowej, ale gdy Devlin wezwał ją na naradę do swojego gabinetu, można było zrozumieć jej zdenerwowanie.

Część konferencyjną zajmującą połowę sali przy bibliotece zaprojektowała jedna z najbardziej prestiżowych firm architektonicznych w Waszyngtonie, tak aby to pomieszczenie kojarzyło się z władzą. Wyglądało jak prawnicze sanktuarium, wyłożone mahoniem o głębokiej barwie, z podłogą pokrytą jednym z najpiękniejszych wschodnich dywanów, jakie Sarah w życiu widziała. Skórzane kanapy i fotele rozstawiono z wprawą najlepszych projektantów wnętrz, regały wypełniały imponujące prawnicze tomiska; stał tu też oczywiście dobrze zaopatrzony barek. Jedną ścianę zajmował gazowy kominek, przed którym stał owalny mahoniowy stół z miejscami dla ośmiu osób.

Kiedy Sarah weszła, przy stole siedziało już siedmioro wspólników kancelarii. Nie miała pojęcia, jak długo tu już byli, możliwe zresztą, że sami tego nie wiedzieli. W prywatnym gabinecie Devlina nie było okien ani zegarów. W ciągu pierwszego roku spędzonego w kancelarii Sarah dowiedziała się, że praca wspólników w firmie Devlin i Rodgers nie kończy się nigdy.

Sarah zajęła wyznaczone miejsce i zerknęła w przygotowane dla niej papiery, których plik był znacznie cieńszy niż u pozostałych. Zobaczyła, że omawiają sprawę Gary’ego McHugh. Wydawało się, że jest trochę za wcześnie na naradę nad strategią na tak wysokim szczeblu, ale czuła się dobrze przygotowana. Mimo to wypła łyk wody z cytryną, żeby pozbyć się suchości w gardle. Obyło się bez długich powitań. Kancelaria miała określone stawki za godzinę i wspólnicy przyjęli zasadę, żeby wystawiać rachunki tylko za czas poświęcony klientom.

Pierwszy zabrał głos Grayson Devlin. Wysoki i szczupły przywódca stada o siwych, bardzo gęstych włosach, gustujący w markowych garniturach, mimo siedemdziesięciu kilku lat potrafił budzić grozę w przeciwnikach – na korcie do squasha i na sali sądowej.

– Sarah, rozumiem, że doktor McHugh jest nadal w areszcie.

– Prokurator jest pewien, że ma sprawcę. Nie chcą, żeby sprawa zmieniła się w cyrk.

– Dotąd był uczciwym obywatelem. Są jakieś szanse, że uda się go wyciągnąć?

– Miał romans z żoną ofiary i był nietrzeźwy na miejscu zdarzenia w czasie, kiedy popełniono morderstwo.

– Jasne. Jak będzie wyglądać wasza obrona?

Sarah wypła jeszcze jeden łyk wody z cytryną.

– Dopóki nie znajdziemy czegoś innego, będziemy bezpośrednio atakować dowody oskarżenia – odrzekła.

Heather Goddard, jedyna kobieta wśród współników, cmoknęła z dezaprobatą.

– Czytałam twoje streszczenie sprawy i wydaje mi się, że zagranie jest ryzykowne – powiedziała.

Sarah bardzo spodobało się jej zdanie i wcale nie czuła się zepchnięta do defensywy, gdy Heather zakwestionowała jej strategię.

Wspólników kancelarii Devlin i Rodgers cechowała przenikliwość i etyka i wszyscy rozumieli, jak ważną rolę mogą odgrywać prawnie niuanse. Wiedzieli też, że w sprawach jak ta Gary’ego McHugh ich zadanie nie polega na ocenie winy czy niewinności klienta, ale na wskazaniu tylu uzasadnionych wątpliwości, by doprowadzić do jego uniewinnienia. Kiedy musieli stanąć do walki, działali w zespole, aby zbudować jak najlepszą linię obrony. Jeśli Heather miała jakieś wątpliwości, Sarah musiała je rozwiązać.

– Dowody w najlepszym razie są podstawą do sprawy poszlakowej. Bez narzędzia zbrodni można je podważać bez żadnego ryzyka – wyjaśniła. – Ale nie chcę przez to powiedzieć, że nie mam takich samych obaw jak ty, Heather, i dlatego to nie jest moja jedyna strategia.

Ucieszyła się, widząc uśmiech na twarzy Heather. To właśnie jej, zaraz po Devlinie, Sarah najbardziej chciała zaimponować. Przed pięciu laty mąż Heather, z którym była dwadzieścia sześć lat, niespodziewanie zmarł we śnie. Dwa lata później, po śmierci męża Sarah, Davida, Heather stała się jedną z jej najbliższych powierniczek.

– O czym jeszcze myślisz? – zapytała Heather.

– Wiadomo, że politycy mają wielu wrogów, zwłaszcza politycy z takim długim stażem na Kapitolu jak Elias Colston. Wysłałam detektywa, żeby sprawdził, kogo mógł rozdrażnić przez te lata.

Gordon Rodgers, pierwszy wspólnik po Devlinie, wyglądał na zadowolonego z jej planu.

– Sądysz, że ławę przysięgłych to przekona? – spytał.

– Dopóki nie ma narzędzia zbrodni, wszystko się może zdarzyć. Zapis z monitoringu pokazuje, jak doktor McHugh parkuje na podjeździe i wysiada z samochodu. Ale kamery są rozmieszczone w taki sposób, że nie pokazują, czy rzeczywiście wszedł do garażu ani czy w ogóle poszedł za dom. Kiedy znów się pojawia, dość chwiejnym

krokiem wraca do samochodu. Potem odjeżdża. Według oceny zespołu kryminalistycznego śmierć nastąpiła między jedenastą a drugą. W tym przedziale czasu przyjechał doktor McHugh, ale to nie wyklucza możliwości, że był tam jeszcze ktoś inny.

– Ktoś inny?

– To wprawdzie mało prawdopodobne, ale sądzę, że powinniśmy przy tej okazji poświęcić trochę uwagi Jeannine Colston.

– Myślałem, że ma alibi... była na jakimś spotkaniu.

– Na spotkaniu małżonków członków Kongresu. Dość dużym zresztą. Był lunch ze szwedzkim stołem. Zanim ludzie zajęli miejsca, kręcili się po całej sali. Z tego, co nam wiadomo, nie przedstawiła żadnego konkretnego świadka, który potwierdziłby, że była tam w czasie, gdy zamordowano jej męża. Policja, prawdopodobnie pewna, że sprawcą jest doktor McHugh, w ogóle nie pytała jej o alibi, a co dopiero o świadka, który mógłby je potwierdzić. Wystarczy tylko wyrazić wątpliwość. Im dłużej będziemy zwlekać z prośbą o przedstawienie świadka, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że ktoś zechce zeznać pod przysięgą, że Jeannine była na spotkaniu w przedziale czasowym ustalonym przez koronera.

– Sprytne.

– Czyli zamierzasz sugerować, że Jeannine Colston zastrzeliła męża, zanim do ich domu przyjechał McHugh, a potem wyjechała na spotkanie na Kapitolu?

– Albo po jego przyjeździe. McHugh był w stanie amnezji alkoholowej. Wszystko jest możliwe. Na przykład to, że Jeannine była w domu i ukryła się przed nim. Przyjmijmy taki scenariusz: przyjeżdża pijany doktor McHugh. Kłóć się z Jeannine. Colston podsłuchuje sprzeczkę i atakuje żonę, zarzucając jej niewierność. Robi się gorąco i Jeannine Colston łapie pistolet i zabija męża.

– Czy Colston w ogóle miał broń? – spytał Devlin.

Sarah знаła na pamięć swój raport liczący sześćdziesiąt kilka stron.

– Na trzydziestej piątej stronie przedstawiłam uwagi dotyczące balistyki – powiedziała.

Wspólnicy odnaleźli właściwy fragment.

– Z ciała Colstona wydobyto pociski pochodzące z naboju czterdzieści pięć ACP – ciągnęła, streszczając dość długi raport. – Badania wykazały, że na kuli jest ślad sześciu lewoskrętnych bruzd gwintu lufy. Jedynym dużym amerykańskim producentem broni, który stosuje lewoskrętne gwintowanie, jest Colt. Lewoskrętny gwint stosuje też jednak kilku zagranicznych producentów, między innymi Taurus. Tak się składa, że Colstonowie mieli zarejestrowany na swoje nazwisko pistolet Taurus PT tysiąc dziewięćset jedenaście. Uzasadniona wątpliwość. To nasza specjalność, prawda?

Nie było nic dziwnego w tym, że policja tak błyskawicznie uzyskała wyniki badania balistycznego. Sprawa Colstona była głośna i wymagała szybkiej analizy dowodów. Maryland miał także jeden z najlepszych systemów balistyki kryminalistycznej na świecie. Sprzedawca każdej broni wprowadzanej na rynek musiał dostarczyć wystrzelony pocisk policji stanowej, a ta wprowadzała informacje o nim do swojej bazy danych.

Co roku kancelaria Devlin i Rodgers sponsorowała seminarium balistyczne dla swoich pracowników. Całodzienne i bardzo szczegółowe szkolenie było jednym z najważniejszych powodów, dla których Sarah postanowiła się tu zatrudnić. Kilka prowadzonych przez nią później spraw opierało się na dowodach balistycznych, a w konsekwencji stała się kimś w rodzaju eksperta w tej dziedzinie. We wnętrzu każdej lufy są wycięte bruzdy, które wprawiają pocisk w ruch obrotowy i zwiększają jego celność. „Skręt” oznaczał skok gwintu tworzący pełny zwój jednej bruzdy.

Baza danych balistycznych, poza mnóstwem innych cech charakterystycznych, zawierała rozmiary i fotografie ukazujące liczbę i głębokości każdej z bruzd gwintu oraz informacje o jego prawo- lub lewoskrętności. Na podstawie tych danych ustalano potencjalnego producenta i markę broni, z której wystrzelono pocisk. Aby dokonać jednoznacznej identyfikacji, należało zdobyć broń, którą popełniono przestępstwo, a potem ekspert balistyki powinien przeprowadzić pełny test.

– Zrobiono test tego taurusa? – zapytał Devlin.

– Zamierzam zamówić trzystrzałowy test u jednego z naszych ekspertów balistycznych – odparła Sarah. – Nie spodziewam się pozytywnego wyniku, ale nigdy nie wiadomo.

Devlin się uśmiechnął. „Nigdy nie wiadomo” to było jego ulubione powiedzenie.

Ekspert miałby oddać trzy strzały z taurusa Colstonów do zbiornika z wodą. Taka technika zabezpiecza ślady bruzd na pocisku, który pozostaje nietknięty.

– Oczywiście nie znaczy to, że Colstonowie nie mogli mieć innego taurusa – zauważyła Heather z chytrym uśmiechem.

– Nigdy nie można tego wykluczyć – odrzekła Sarah. – Chętnie zasieję takie ziarno wątpliwości. Na razie zamierzam tylko wykazać, że mieli broń tego samego producenta, od którego przypuszczalnie pochodziła broń, z której zastrzelono Eliasa Colstona. Może Colstonowie nie zarejestrowali każdej sztuki broni. Może kongresmen dostał taurusa w prezencie od jakiegoś lobbysty, który wiedział, że Colston lubi akurat tę markę. Nie zapominajcie, że był żołnierzem, służył w marines. Może Jeannine zabiła męża, używając tego niezarejestrowanego pistoletu, a potem ukryła gdzieś broń. Może... jedno z naszych ulubionych słów.

Wspólnicy wydali pomruk aprobaty.

Tylko na twarzy Devlina malował się niepokój.

– Świetna robota, Sarah – pochwalił. – Chciałbym teraz omówić coś jeszcze.

Oho! Starła się nie doszukiwać niczego istotnego w tej zmianie tematu, ale równie dobrze mogłaby próbować nie oddychać.

– Słucham.

– Krótko mówiąc, chcę wiedzieć, czy sądzisz, że powinnaś dalej prowadzić zespół obrony Gary’ego McHugh. Od lat jestem jego adwokatem i mógłbym wprowadzić pewne zmiany w swoim terminarzu, żeby przejąć tę sprawę. Powinniśmy przedyskutować takie rozwiązanie.

Sarah z trudem przełknęła ślinę.

– Przykro mi – powiedziała. – Czy popełniłam jakiś błąd?

Devlin uśmiechnął się słabo.

– Nie, Sarah. Wykonałaś jak zwykle znakomitą robotę i mamy świetny punkt wyjścia. Ale sprawa dotyczy lekarza, a w ciągu kilku ostatnich lat nabraliśmy przekonania, że nie czujesz się zbyt komfortowo, broniąc lekarzy.

Starła się nie dać po sobie poznać, że sugestia Devlina wywarła na niej jakiegokolwiek wrażenie, lecz ze zmartwionej miny Heather wywnioskowała, że się jej nie udało.

– Nie przypuszczam, Grayson, żeby to była jakaś przeszkoda w sprawie McHugh.

Sarah bezskutecznie usiłowała nie myśleć o Davidzie leżącym nieruchomo w szpitalnym łóżku i umierającym długą, niepotrzebną śmiercią. Wreszcie odsunęła od siebie ten straszny obraz. Wylewanie łez w prywatnej sali konferencyjnej Graysona nie byłoby pozytywnym sygnałem dla osób, które miały podjąć decyzję o przyjęciu jej do grona współników.

Devlin zerknął na leżące przed nim notatki.

– Wycofałaś się z trzech spraw, które dotyczyły lekarzy – zauważył. Przygryzła wnętrze policzka, aby powstrzymać się przed pochopną odpowiedzią.

– Z tą sobie poradzę – powiedziała. Im mniej słów, tym lepiej. Słabość czy brak obiektywizmu mogłyby odwlec, a nawet zupełnie uniemożliwić jej awans. Przecież potrafiła zachować bezstronność. Reprezentując Gary’ego McHugh – z pewnością aroganckiego doktora – nie pozwoliłaby, żeby myśli o Davidzie utrudniły jej właściwą ocenę sytuacji.

– Czytałem twój raport i wygląda na to, że w sprawę wmieszał się jeszcze jeden lekarz – dodał Devlin.

– To prawda.

Devlin skinął głową.

– No i?

– Dam sobie radę – odparła Sarah.

Utkwił w niej wprawne oczy, które złamały już niejednego świadka. Potem powiódł pytającym spojrzeniem po sali.

– W raporcie potwierdzasz, że tym drugim lekarzem jest doktor Louis Welcome.

– Owszem. McHugh zwrócił się do niego z prośbą o pomoc. Jest lekarzem na oddziale ratunkowym w Eisenhower Memorial i przyjaźni się od lat. Pracuje też jako wicedyrektor Ośrodka Opieki dla Lekarzy, który pomaga lekarzom uzależnionym od alkoholu i narkotyków. Moje doświadczenie jeszcze sprzed historii z Davidem mówi mi, że udział lekarzy w naszych sprawach to potencjalne zagrożenie i możemy się na tym porządnie sparzyć. Przeszkadza nam ich wybujałe ego. Za dużo w nich arogancji.

– A jakie masz zdanie o tym Welcomie?

– Jak widzisz, dałam już do zrozumienia doktorowi Welcome’owi, że bynajmniej nie jest mile widziany w naszym zespole. Jeżeli będzie

nam przeszkadzał albo szkodził sprawie, zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby się wycofał. Na początek zamierzam polecić naszym detektywom trochę go przeświecić, na wypadek gdybyśmy potrzebowali argumentów, żeby go przekonać. Na ile się orientuję, w grę może wchodzić konflikt interesów, jeżeli Welcome jest zawodowo związany z Garym McHugh przez Ośrodek Opieki dla Lekarzy.

– Zakładam, że twoje śledztwo i postępowanie wobec doktora Welcome'a będą etyczne.

Jego uwaga ponownie wywołała obraz Davida, z którego wystawało mnóstwo rurek, a w tle szumiały maszyny utrzymujące go przy życiu.

– Wiesz chyba, że nigdy nie zrobiłabym niczego, co byłoby niekorzystne dla firmy – powiedziała Sarah.

Ale jeżeli Welcome będzie mi przeszkadzał albo zagrozi mojemu awansowi na współpracowniczkę, na pewno postawię go do pionu, pomyślała.

ROZDZIAŁ 11

Elias Colston został zastrzelony na środkowym stanowisku garażu na trzy samochody. Miejsce było teraz puste, a jeśli obrysowano kredą leżące tam zwłoki, to kontury zostały już starte. Na lewym stanowisku stał czarny mercedes sedan klasy C, na prawym srebrne infiniti, a pod ścianą w głębi znajdowały się różne narzędzia ogrodnicze. Nic szczególnie ciekawego.

Lou wspinał się po wyłożonych miękką wykładziną schodach i otworzył drzwi na górze, używając kombinacji cyfr, którą podała mu Jeannine – daty jej ślubu z Eliaszem, prawdopodobnie najważniejszego dnia ich życia.

A świat toczy się dalej, pomyślał.

Gabinet Eliasa zajmował całe piętro nad garażem. Był wyłożony ciemną boazerią i taką samą wykładziną jak schody. Bardzo męskie wnętrze. Jedną ścianę zasłaniał drogi regał z książkami, a pośrodku dwóch pozostałych były podwójne okna – z roletami, bez zasłon. Prawie każde wolne miejsce zajmowały oprawione w ramki zdjęcia i dyplomy, rozmieszczone symetrycznie z taką dokładnością, że Lou zastanawiał się, czy policjanci przeprowadzający oględziny gabinetu w ogóle ich dotykali. Colston, były żołnierz marines, najwyraźniej nigdy nie stracił wpojonego mu podczas służby zamiłowania do porządku. Książki były ustawione według wielkości i rodzaju: osobno w twardej oprawie, osobno w miękkiej, większe tomiska na dolnych półkach, na najwyższych znowu oprawione fotografie. Na odrapanym

blacie stylowego biurka nie było śladu bałaganu, a Lou przypuszczał, że widoczna na nim cienka warstewka kurzu zebrała się już w dniach po morderstwie.

Powierzchnię biurka powiększał ustawiony prostopadle do niego stolik komputerowy z drukarką, dwoma telefonami, faksem, tacką na dokumenty, obrotowym wizytownikiem i miejscem na komputer, który zapewne został wypatroszony i gruntownie przeanalizowany w laboratorium policyjnym.

Lustrzanym odbiciem fotografii na najwyższej półce regału był rząd zdjęć za krzesłem przy biurku, ciągnący się przez całą ścianę aż do drzwi, które prawdopodobnie prowadziły na piętro domu. Ślub... dzieci... wakacje... jednostki wojskowe i koledzy... drużyna futbolowa pozująca na podium... kilka zdjęć zrobionych prawie na pewno podczas miesiąca miodowego... baretki Korpusu Piechoty Morskiej odprute od munduru i otaczające nekrolog starszego szeregowego Marka Raymonta Colstona. Lou widział już nekrolog i towarzyszącą mu fotografię. Mark Colston był śniadym przystojnym brunetem o gęstych brwiach i łagodnych oczach, bardziej przypominającym poetę niż żołnierza.

Lou zajrzał do szuflad biurka. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczył, że nie zostały opróżnione. Wydawało się oczywiste, że funkcjonariusze po prostu markowali czynności śledcze. Doktor Gary McHugh zastrzelił męża swojej kochanki. Sprawa zamknięta.

Lou wygarnął papiery i koperty z górnej szuflady i położył na biurku. Parę rachunków, kilka listów z podziękowaniami od wyborców i kilka innych z prośbami. W prawym górnym rogu każdego listu widniała adnotacja „Odpisano”, sporządzona prawie na pewno ręką kongresmena. Lou przejrzał listy. Nic szczególnego nie rzuciło mu się w oczy. Pod spodem znalazł terminarz tegorocznych

rozgrywek Baltimore Ravens oraz kartkę urodzinową podpisaną „Ściskam, Debbie” – od jednego z żyjących dzieci Jeannine i Eliasa.

Na koniec spojrział na kopertę zaadresowaną do Jamesa Stylea na skrytkę pocztową w Bowie w stanie Maryland. Z adresem zwrotnym: „Klinika Pine Forest, Shockley, Minnesota”. Logo tworzył stateczny napis na tle trzech sosen. Koperta była pusta. Lou zapisał informacje z listów i kopert na arkuszu papieru maszynowego, złożonego i wsunął do kieszeni.

W dwóch pozostałych szufladach nie znalazł niczego ciekawego. W internecie mógł spróbować sprawdzić, czy klinika Pine Forest i James Styles z Bowie w Marylandzie także kwalifikują się do tej kategorii. Na razie zaczął spacerować po gabinecie, zastanawiając się mimochodem, co Elias Colston robił w garażu, kiedy został zamordowany. Wysiadał z samochodu? Zmierzał do wyjścia? Czekał na kogoś? Może czegoś szukał?

McHugh i Sarah Cooper nie usłyszą dobrych wiadomości.

W tym momencie coś przykuło uwagę Lou. Jedna z kilkunastu fotografii w ramach różnych rozmiarów na górnej półce regału. Różniła się od pozostałych. Stała odwrócona do ściany. Prawdopodobnie została obejrzana i niedbale odstawiona na miejsce, pomyślał, sięgając po zdjęcie. Być może policjanci nie zauważyli, że postawili ją odwrotnie. Najprawdopodobniej jednak, biorąc pod uwagę niedbałość, z jaką przeszukiwali gabinet, po prostu nie zauważyli, że jest odwrócona, co oznaczałoby, że zdjęcie postawił tak Colston – filcowym wykończeniem z tyłu do pokoju.

Lou sięgnął po nie, ostrożnie zdjął ramkę i odwrócił.

Na czarnym aksamicie spoczywał medal – pięcioramienna złota gwiazda o wierzchołkach ozdobionych trójlistnymi koniczynami, otoczona zielonym wieńcem laurowym. Gwiazda była zawieszona na złotej belce z wyrytym pośrodku napisem MĘSTWO i orłem u góry.

Na dyskretnej tabliczce pod spodem widniał napis:

MEDAL HONORU
MARK RAYMONT COLSTON

Lou wstrzymał oddech. Nie miał pojęcia, ile w całym kraju nadano najwyższych odznaczeń za waleczność, wiedział jednak, że niewiele. Przez ponad minutę wpatrywał się w medal, próbując sobie wyobrazić straszne okoliczności, w których odznaczony nim żołnierz musiał się wykazać bohaterstwem, i zastanawiając się, co skłoniło jego ojca, by odwrócić ramkę do ściany, jeżeli rzeczywiście on to zrobił.

Wtedy pod filcową podkładką wyczuł wyraźne wybrzuszenie.

Na blacie biurka wysunął trzy zaciski mocujące podkładkę. Wypadła, ukazując jego oczom przezroczystą foliową kopertę.

Tkwiała w niej płyta CD.

ROZDZIAŁ 12

Trzy dni wcześniej Lou pojechał do domu Colstonów, zatrzymał się tuż przed podjazdem, a potem ruszył w kierunku mostu, gdzie, według policji, Gary McHugh miał się pozbyć broni, z której zastrzelił Eliasa. Jego zdaniem, ta hipoteza nie miała sensu i teraz, jadąc mostem i spoglądając przez okna na częściowo skutą lodem rzekę, doszedł do tego samego wniosku. Zastanawiał się, jakim cudem prawie nieprzytomny McHugh, który przed chwilą zastrzelił z bliska przyjaciela, mógł się zatrzymać, ocenić stan wody, aby się upewnić, czy pistolet po prostu nie wyląduje na lodzie, a potem rzucić go nad wysoką do pasa kamienną balustradą.

Drzewo, w które McHugh uderzył z taką prędkością, że skasował samochód, stracił przytomność i mocno się poturbował, stało u stóp niewielkiej skarpy, jakieś piętnaście metrów od drugiego końca mostu. Głęboka wklęsłość w masce świadczyła o tym, że Gary szybko nabrał rozpędu, zanim wpadł w poślizg i zjechał z drogi. Możliwe, choć mało prawdopodobne. Przynajmniej w ocenie Lou.

Najwyraźniej policja była innego zdania.

Natychmiast po przyjeździe detektywów na miejsce, zanim przystąpili do czynności śledczych, Jeannine Colston poinformowała ich o swoim związku z Garym McHugh. Z jej słów wynikało, że na początku obejrzeni zapis z kamer monitoringu pokazującym obraz z podjazdu przed domem. Zobaczyli parkujący samochód Gary'ego. Zobaczyli, jak wysiadł i ruszył w kierunku domu. A potem, jak wrócił

i odjechał. Brakujące kawałki układanki wypełniły zapewne informacje z oddziału ratunkowego szpitala Anne Arundel.

Motyw, sposób, okazja, alkohol.

Podnieście ostrze gilotyny i zapalcie pochodnie. Mamy sprawcę. Powiedzcie mediom, żeby spokojnie zaczekały na komunikat prokuratury. Rozejść się, proszę państwa. Rozejść się...

Policja tak się śpieszyła, by zakończyć śledztwo w sprawie, którą uważała za formalność, że nie zwróciła uwagi na dziwne fakty – oprawiony w ramki i aksamit medal za męstwo, za najwyższe męstwo, odwrócony do ściany przez... przez kogo, jeśli nie przez Eliasa Colstona?

Mógłby to być odosobniony przypadek – błąd popełniony przez Colstona podczas odkurzania półek albo wyraz gniewu wywołanego śmiercią syna. Ale nie było w tym nic przypadkowego. Pedantyczny kongresmen, były żołnierz piechoty morskiej, starannie odłożył jakieś nagranie na osobne miejsce i wskazał je w sposób jednoznaczny i zauważalny, tak jak widać Times Square w sylwestra.

Jeżeli stanie mi się coś złego, jeżeli oglądasz mój gabinet, tu powinieneś szukać. Tu jest to, o co chodzi.

Lou przesunął palcami po płycie leżącej na miejscu pasażera w jego starej toyocie i zaczął się rozglądać po bocznych drogach, szukając ustronnego miejsca, gdzie mógłby spokojnie wysłuchać nagrania. Przyszło mu na myśl, żeby obudzić Jeannine Colston i posłuchać razem z nią, ale rozsądek podpowiadał, że lepiej będzie najpierw sprawdzić samemu. Nie mógł wykluczyć, że płyta nie ma nic wspólnego ze śmiercią Eliasa – ani tym bardziej śmiercią jego syna. Być może miał romans, tak jak żona. Być może nagrał coś, a potem zmienił zdanie i zamiast wysłać do kogoś płytę, ukrył ją w ramce, żeby czekała, aż on podejmie ostateczną decyzję.

Dostrzegł gruntową drogę odchodzącą w lewo. Zasłaniały ją upiorne nagie gałęzie drzew, niektóre przysypane śniegiem. Do lasu prowadziły wyżłobione kołami samochodów płytkie koleiny, zamarznęte i błotniste. Lou przejechał około trzydziestu metrów, zatrzymał się przed tabliczką WSTĘP WZBRONIONY i opuścił szybę o kilka centymetrów. Lekki wiatr musnął jego twarz jak kropelki płynu po goleniu. Wyłączył silnik. Otoczyła go głucha cisza. W końcu ustawił kluczyk w stacyjce w pozycji „parkowanie” i wsunął płytę do odtwarzacza.

Rozległ się szum, a potem rozmowa prowadzona przez dwóch mężczyzn, młodszego i starszego. Lou od razu rozpoznał głos starszego – to był Elias Colston. Podczas jego pogrzebu odtworzono płomienne wystąpienie polityka przed połączonymi izbami Kongresu, w którym powołując się na pamięć swojego bohaterskiego syna, apelował o zdecydowane ograniczenie wydatków wojskowych i przesunięcie priorytetów z obrony i rozwoju systemów satelitarnych na edukację. Wspaniała retoryka i znakomicie skonstruowane przemówienie szefa Komisji Sił Zbrojnych.

Młodszym mężczyzną był niejaki Hector. Mówił z akcentem, który Lou rozpoznał dzięki długiej pracy w Eisenhower Memorial – latynoskim, świadczącym o znajomości życia na ulicach. Słownictwo i nieskomplikowane zdania wskazywały, że edukację prawdopodobnie zakończył na szkole średniej.

Już po krótkiej chwili Lou nabrał przekonania, że rozmowę nagrywał Colston, a Hector nie miał o tym pojęcia.

- Przyznaję, że kiedy się ze mną skontaktowałeś, Hectorze, byłem bardzo zaskoczony. Ile to czasu minęło?
- Parę lat. Ostatnio rozmawialiśmy zaraz po... no, krótko po tym, jak Mark...
- W porządku, Hectorze, możesz to powiedzieć.
- Krótko po pogrzebie Marka. Naprawdę mi go brakuje. Chyba pan wie. Wszystkim nam go brakuje. Amerykanin pełną gębą, prawdziwy bohater. Chłopaki ciągle mówią

o tym, co zrobił.

– Dobrze, że to słyszę, to dla mnie ważne, chociaż wolałbym nie musieć uczestniczyć w tylu uroczystościach na jego cześć. Jest mi przez to trudniej, wcale nie łatwiej.

– Jasne. Trzyma się pan jakoś?

– Tak. Tak, trzymam się tak, jak się można spodziewać.

– A pani Colston?

– Czasem dopada ją wielkie przygnębienie, ale potem udaje się jej pozbierać.

– To zrozumiałe. Było miło, kiedy parę razy zaprosiła mnie i Marka na lunch, no i w tamto Święto Dziękczynienia. Proszę ją ode mnie pozdrowić.

– Będę pamiętał. A propos lunchu, oto i nasze kanapki. Gdzie chciałbyś porozmawiać?

– Może byśmy siedli przy tamtych stolikach na dworze? Klimatyzacja jak zwykle tu nie działa, a tam jest cień i spokój.

Lato. Lou odnotował to w pamięci. Rozmowa z pewnością nie odbyła się niedawno.

– Zgoda – odrzekł Colston.

– Nie pogniewa się pan, jak zamówię sobie jeszcze piwo?

– Absolutnie nie.

– Panu też?

– Nie, dziękuję, Hectorze. Nawet w najlepszych warunkach nie jestem zbyt uważnym kierowcą.

Rozległy się jakieś hałasy, gdy mężczyźni wyszli z lokalu i zajęli miejsca przy stoliku na zewnątrz. Lou nie był pewien, ale zdawało mu się, że w głosie Hectora wyczuwa napięcie i stres.

– Najpierw wyjaśnię, dlaczego chciałem się z panem spotkać – powiedział po chwili żołnierz marines. – Prawdę mówiąc, to nie był mój pomysł. Tylko naszego dowódcy, pułkownika Brody'ego. To on kazał mi z panem porozmawiać.

– Wyatt Brody?

– Właśnie on.

– Poznałem go i zamieniliśmy parę słów na pogrzebie Marka. Nie był zbyt miły i serdeczny.

– Nie, proszę pana. To nie w stylu pułkownika. Mark był jednym z jego ulubieńców, a może mi pan wierzyć, że pułkownik nie ma ich wielu.

– Mark niewiele o nim mówił, tylko o żołnierzach Mantis takich jak ty.

– Pułkownik to twarda sztuka, proszę pana. Zresztą chodzi nie tylko o to. On bardzo się denerwuje z powodu niektórych rzeczy, które robi pan w komisji... cięcia wydatków na Mantis.

– To nie dotyczy tylko Mantis, Hectorze. Uważam, że nasz kraj idzie w niewłaściwym kierunku i pora ustalić nowe priorytety, zwłaszcza jeżeli chodzi o poszerzenie i poprawienie edukacji. Narkotyki, przemoc na ulicach, życie na zasilku, przestępczość, zatłoczone więzienia... Nie ma lepszego lekarstwa na problemy społeczne nękające nasz kraj, jak więcej nauczycieli i lepsze szkoły, a trzeba gdzieś znaleźć na to pieniądze. Zwolennicy nazywają moje propozycje strategią nadziei i mają rację. Nadziei dla miast. Nadziei dla wszystkich dzieci.

– Za przeproszeniem, ale edukacja jest niewiele warta, jeżeli do szkół mogą spokojnie wejść terroryści z chustami na głowach i wysadzić je w powietrze. Dopóki mają ropę, mają władzę. A posłuchają tylko kogoś, kto ma większą siłę niż oni.

– Sądzę, że dysponujemy na tyle dobrym wywiadem i siłą ognia, żeby do tego nie dopuścić, pod warunkiem że użyjemy ich we właściwy sposób.

– Tak. Pan wybaczy, ale w tej sprawie jestem po stronie pułkownika. Uważa, że powinien pan okazać więcej szacunku swojemu synowi i jego jednostce, zwłaszcza że sam pan był żołnierzem marines. Jesteśmy jednostką numer jeden w piechocie morskiej... kurczę, w całej cholerniej armii. Przepraszam za wyrażenie. Zaliczamy się do tej samej kategorii co SEAL i uważa się nas za większych twardzieli niż Rangersów i Delta Force. Ale obcina się nam stan osobowy i uzbrojenie.

– Nie było mi łatwo forsować te cięcia, Hectorze. Kilka razy dochodziło do głosu moje sumienie i pamięć o synu.

– Panie Colston, musi pan to przemyśleć – powiedział błagalnym tonem Hector. Jego głos był o oktawę wyższy niż dotąd. – Nigdy nie znałem nikogo bardziej bezwzględniejszego niż pułkownik. I ma pod ręką ludzi.

– Ludzi?

– Twardzieli zwerbowanych prosto z ulicy i wcielonych do Mantis.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Hectorze?

Nastąpiła bardzo długa chwila ciszy, po której Hector odezwał się gorączkowym szeptem:

– Nazywamy ich Gwardią Pałacową i zawsze są blisko pułkownika, gdziekolwiek się pojawi.

– Przypominają gang?

– Chyba tak można powiedzieć. Naprawdę nie wiem.

– Czyli ta rozmowa jest rodzajem ostrzeżenia od pułkownika Brody'ego?

Nastąpiło długie milczenie, a potem Hector zaczął szeptać:

– Panie Colston, niech pan to zrobi ze względu na Marka, ze względu na siebie. Niech pan nie przykręca tak śruby Mantis. Mark oddał życie za kompanię i za ten kraj.

– Wydajesz się zdenerwowany, Hectorze. Pułkownik Brody groził ci czymś, gdyby ci się nie udało mnie przekonać?

– Doktor Brody. Wiedział pan?

– Doktor? Lekarz?

– U takiego na pewno nigdy się pan nie leczył i rzadko się o tym mówi, ale tak, jest jakimś doktorem. Mówię to panu, żeby pan wiedział, jaki jest sprytny. Sprytny i bezwzględny, i ma za sobą najgroźniejszych ludzi, jacy chodzą po ziemi.

– Hectorze, wiesz, że mam duże wpływy w Waszyngtonie. Wystarczy jedno słowo, a załatwię na dobre tego twojego pułkownika doktora Brody'ego.

Lou usłyszał szuranie butów i domyślił się, że Hector wstaje.

– Widział pan tych gości, którzy palą przed restauracją? Co najmniej dwóch jest z Gwardii Pałacowej. Chcę tylko, żeby dał mi pan słowo, panie Colston, słowo, że trochę odpuści pan kompanii Mantis i zwróci pieniądze, które jej pan zabrał.

– Mogę tylko obiecać, że zastanowię się nad swoim stanowiskiem.

– Proszę to zrobić. Bardzo proszę.

– Dobrze, Hectorze. Obiecuję. Jeszcze jedna rzecz.

– Tak?

– Wiesz coś o żołnierzach Mantis, którzy zginęli w jakimś magazynie broni Reddy Creek?

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Co to jest?

– Nie wiem. Przeczytałem wzmiankę na ten temat na blogu jakiegoś dziennikarza z Karoliny Północnej. Kiedy próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej, blog zniknął, wyparował z internetu. Nie znalazłem informacji o żadnych innych przypadkach śmierci żołnierzy Mantis. Jak gdyby w ogóle do nich nie doszło.

– Nie mam pojęcia, proszę pana. Nie słyszałem, żeby zginęli jacyś marines z Mantis.

– No dobrze. Dziękuję, Hectorze. Daj mi znać, gdybyś się czegoś o tym dowiedział.

– W porządku. Proszę, niech pan zrobi to, o co proszę, żeby nie osłabiać jednostki, w której służył Mark. Zginął za Mantis i za nasz kraj.

– Masz moje słowo.

Na tym nagranie się zakończyło.

Lou siedział z zamkniętymi oczami w chłodzie późnego popołudnia. Nagle uświadomił sobie, że jest zlany potem.

ROZDZIAŁ 13

Amerykańska flaga przed siedzibą policji stanowej w College Park, wciąż opuszczona do połowy masztu na cześć kongresmena Eliasa Colstona, trzepotała na wietrze. Lou zaparkował toyotę i siedział jeszcze przez chwilę, myśląc o gwałtownej śmierci Eliasa Colstona, a wcześniej jego syna. Powinien się cieszyć ze znalezienia płyty z nagraniem, które mogło doprowadzić do odkrycia związku między tymi dwoma zdarzeniami, ale w tym momencie nie potrafił przeżywać żadnego innego uczucia poza smutkiem.

Przez chwilę myślał o pracy. Walter Filstrup, zirytowany faktem, że klient Lou został aresztowany pod zarzutem morderstwa, przydzielił mu dwie trudniejsze sprawy. Pierwszą – lekarki pediatri z chorobą afektywną dwubiegunową, która postanowiła odstawić lekarstwa, stała się straszliwie kłótliwa w pracy, a potem ruszyła w miasto, żeby okradać sklepy. Drugą – stażysty anestezjologa, który zaczął próbować środków odurzających podawanych pacjentom, potrzebował więc natychmiastowej hospitalizacji i detoksykacji. Nowe zadania w połączeniu z dyżurami na oddziale ratunkowym oraz wysiłkami, by rozwiązać zagadkę morderstwa Colstona, prowadziły do coraz większego zmęczenia, skutecznie tłumiącego wszelkie poczucie triumfu po odnalezieniu płyty.

Lou dwa razy wysłuchał nagrania, po czym zrobił kopię dla Sarah i ukrył ją pod skarpetkami w szufladzie komody, obok osobistych dokumentów. Na płycie było wszystko, czego potrzebowała policja,

aby odwrócić uwagę od Gary'ego McHugh i zainteresować się pułkownikiem Wyattem Brodym, dowódcą elitarniej jednostki bojowej Mantis, w której aż do śmierci służył Mark Colston.

Tuż przed wejściem na komendę policji Lou jeszcze raz próbował dodzwonić się do Sarah. Uczestniczyła właśnie w składaniu zeznań przez świadka i prawdopodobnie do końca dnia kontakt z nią był niemożliwy. Jej asystentka o sympatycznym głosie, Andrea, przełączyła go na pocztę głosową Sarah. Przynajmniej był dowód, że Lou próbował się skontaktować z adwokatką.

Detektyw Chris Bryzinski, który prowadził śledztwo i aresztował McHugh, przez telefon sprawiał wrażenie życzliwego policjanta; brzmiał tak, jakby zależało mu na tym, żeby doprowadzić sprawę do końca, choć wydawało się też, że jest przekonany o winie Gary'ego. Lou miał bogate doświadczenia w kontaktach z policją stanową Marylandu. W chwili gdy wydawało mu się, że nareszcie zaczyna wychodzić z nałogu, został aresztowany w Baltimore za zakup amfetaminy od podstawionego gliniarza. Policja potraktowała go wówczas uczciwie, miał więc powody przypuszczać, że detektyw doceni wagę znaczącej rozmowy między Eliasem Colstonem a najlepszym przyjacielem jego syna.

Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z przewidywaniami Lou, Wyatt Brody natychmiast znalazłby się w kręgu podejrzanych o morderstwo kongresmena. Pułkownik miał co najmniej równie dobry motyw jak ten, który przypisywano Gary'emu McHugh. Z inicjatywy Eliasa Colstona wprowadzano redukcję wydatków na wszystkie sfery działalności Mantis – śmietanki wśród jednostek bojowych piechoty morskiej – a także na prawie całe wojsko.

Brody, po pierwsze, był gotów zrobić wiele, by utrzymać płynność finansową swojej jednostki; po drugie, przypuszczalnie otoczył się grupą starannie dobranych opryszków nazywanych w Mantis

Gwardią Pałacową. Z nagrania nie wynikało, do czego są zdolni członkowie tej straży przybocznej, aby chronić interesy Brody'ego, lecz nie ulegało wątpliwości, że Hector się ich bał.

Niewielki parterowy budynek z szarej cegły, w którym mieściła się komenda policji, stał niedaleko stołecznej obwodnicy w dzielnicy z wieloma parterowymi budynkami usługowymi, które, zdaniem Lou, miały za mało do zaoferowania, by przyciągnąć tu ludzi. Lou zamienił kilka słów z funkcjonariuszem w mundurze przez pleksiglasową szybę i usiadł na wysłużonym krześle w poczekalni. Stawił się punktualnie, a nawet trochę wcześniej przed umówioną godziną. Minęło pięć minut, potem dziesięć. Kiedy rozmawiał z Bryzinskim przez telefon, zdawało mu się, że detektyw chętnie się z nim spotka.

A teraz?

Kolejne pięć minut. Lou dotknął płyty, która w kopercie i opakowaniu spoczywała w kieszeni jego kurtki, i zaczął się zastanawiać, czy wyjść. W momencie gdy postanowił to zrobić, otworzyły się drzwi i stanął w nich mężczyzna o sylwetce kuli do kręgli i ogromnej łysiej głowie. Ruchem ręki zaprosił Lou do środka. Miał ze dwa metry wzrostu i niemal tyle samo w obwodzie. Jego brązowa marynarka zapięta na środkowy guzik nie zdołała zamaskować wypukłości kabury pod pachą.

– Detektyw Bryzinski – wymamrotał, nie racząc wyciągnąć ręki.

Oto, co są warte wrażenia z rozmowy telefonicznej!

– Lou Welcome – przedstawił się Lou, dostosowując artykulację do mamrotania rozmówcy.

Ruszył za detektywem, minął tabliczkę PALENIE WZBRONIONE W CAŁYM BUDYNKU i wszedł do jego zagraconego biura, które zalatywało stęchłą kawą i prawdopodobnie zapachem samego Bryzinskiego. Niemal każdy centymetr kwadratowy biurka zajmowały

sterty teczek i luźnych dokumentów, zasłaniające częściowo laptopa i popielniczkę w kształcie Florydy wypełnioną drobnymi monetami.

Nie czekając na zaproszenie, Lou zajął twarde krzeselko ze stalowym oparciem naprzeciwko biurka. Bryzinski usadowił się w fotelu marki Staples, w którym wyglądał jak rozpieszczony biurokratyczny ważniak. W mały palec prawej ręki wrzynał mu się sygnet z brylantem, a wąska złota obrączka równie ciasno opasywała serdeczny palec lewej dłoni. Lou przez chwilę, choć bez powodzenia, próbował sobie wyobrazić żonę, która codziennie rano budziła się obok tego człowieka.

– Przepraszam, że kazałem panu czekać – powiedział po krótkim milczeniu detektyw. – Brakuje nam dwóch ludzi, jeden jest chory, a drugi został zastrzelony.

– Zastrzelony?

– Proszę nie pytać.

Lou nie pytał.

– W każdym razie dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać – rzekł.

– Mam mało czasu.

Dlaczego w ogóle mnie to nie dziwi? – pomyślał Lou. Przecież miał przed sobą człowieka, któremu wszystko sprawia kłopoty.

Bryzinski zacisnął usta, jak gdyby chciał powiedzieć: „No dobrze, załatwmy to jak najszybciej”.

– Powiedział mi pan przez telefon, kim pan jest, a ja to sprawdziłem. Darujmy sobie wstępy o „przyjacielu Gary’ego McHugh” i przejdźmy do rzeczy. O co chodzi i jaki to ma związek z moją sprawą?

I pamiętaj, mam mało czasu.

Lou wahał się przez moment, poważnie zastanawiając się, czy po prostu nie uciec z tego toksycznego biura. Po kilku jałowych

sekundach położył płytę na biurku Bryzinskiego, obok piramidy akt i dokumentów, która chybotwała się niebezpiecznie, jak gdyby lada chwila miała runąć. Zrelacjonował swoją wizytę u Jeannine Colston i oględziny gabinetu jej męża, starannie dobierając słowa, aby uniknąć jakiegokolwiek sugestii, że Bryzinski i jego kumple niedbale wykonali swoje zadanie.

Detektyw słuchał jednym uchem, od czasu do czasu popatrując przez okno i nie fatygując się, żeby robić jakieś notatki czy nagrywać zeznanie Lou, który bez trudu potrafił sobie wyobrazić, że gliniarz sformułuje wnioski, zanim śledztwo jeszcze naprawdę się zacznie, i dopasuje do siebie fakty tak, aby potwierdzały hipotezę przyjętą przez policję.

– Przyniósł pan ramkę? – spytał Bryzinski, kiedy Lou skończył.

– Ramkę?

– Tak, ramkę. – Znudzenie w głosie detektywa ustąpiło miejsca irytacji. – Przedmiot, na którym mogły być odciski palców.

Lou zaczynało się robić głupio. Miał ochotę odgryźć się w stylu: „Może spróbowałyby pan przez godzinę popracować na przepełnionym oddziale ratunkowym w śródmiejskim szpitalu?”.

– Na pewno nadal jest w gabinecie Colstona – odparł tylko.

– Niech pan posłucha – rzekł Bryzinski takim tonem, jak gdyby pouczał trzecioklasistę. – Na pewno się panu wydaje, że wyjaśnił pan całą sprawę. No to powiem panu jako gliniarz z dwudziestoletnim stażem: niczego pan nie wyjaśnił. – Klepnął w plik papierów leżący najbliżej niego. – Widzi pan? To od innych ludzi, mnóstwa innych ludzi. Którym się wydaje, że to oni wyjaśnili sprawę. Rozumie pan?

– Myślę, że to coś więcej niż przypadkowy trop.

– Wie pan, co muszę robić? – ciągnął Bryzinski, jakby Lou w ogóle się nie odezwał. – Muszę sprawdzić po kolei wszystkie te informacje. Jak pan sądzi, ile są warte? Są głównie warte. Każda, co do jednej,

o kant dupy potłuc. Wie pan dlaczego? Bo kiedy ginie ktoś ważny, wszyscy chcą dołożyć swoje trzy grosze. Wszyscy, nawet ci mniej niż średnio rozgarnięci, znają jakiś fakt albo mają własną teorię. Powiem panu coś jeszcze. Widzi pan resztę tych papierów? Prowadzę jakieś trzydzieści osiem spraw i w żadnej z nich nie mam ani jednego cholernego tropu. Wie pan dlaczego?

– No, przypuszczam...

– Bo to sprawy ludzi, którzy nic nie znaczą. Szaraczków. W różnym wieku. Różnej rasy. Złych, dobrych. Ale żaden z nich nie jest kongresmenem i żona żadnego z nich nie bżykała się z ważnym doktorem z towarzystwa.

– Związek Gary’ego i Jeannine naprawdę nie...

– Dlatego skoro tak się pan upierał, żeby podrzucić mi ją osobiście, wezmę tę płytę i sprawdzimy, czy to się trzyma kupy. I chociaż mam lepsze rzeczy do roboty, pojedę do domu Colstonów i zabiorę ramkę.

– Mogę sam wrócić i...

– Niech pan lepiej jedzie do swojego szpitala albo do biura dla lekarzy ćpunów i pozwoli nam robić to, za co nam płacą.

– Nie zamierza pan teraz posłuchać tego nagrania?

Bryzinski westchnął.

– Coś panu powiem, doktorze.

– Tak?

– Powiem panu, na czym to wszystko polega. Widzi pan, mówiłem już, że pracuję w tym fachu od dawna. Niech mi pan wierzy, że potrafię rozpoznać winnego. Pański kumpel McHugh może być wspaniałym facetem w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, ale nie był taki wspaniały, gdy załatwił kongresmena Colstona. To się zdarza, takie jest życie. Ktoś traci rozum, ktoś inny ginie. Może więc pan dołożyć swoją płytę do innych teorii spiskowych, które tu mam, posłucham jej. Ale nie rzucę wszystkiego, żeby się tym zająć w tym

momencie, i nie zrobię tego z uśmiechem szczęścia na twarzy. Czy to jest zrozumiałe?

– Nie, to nie jest zrozumiałe – odparł Lou. – Ale najwyraźniej będzie tak, jak pan mówi. Zanim wyjdę i pozwolę panu zająć się całą tą górą papierów, powiem panu jeszcze raz: niech pan posłucha tego nagrania, a zorientuje się pan, że był ktoś, kto miał powody zabić Eliasa Colstona.

– Zgoda, posłucham. W wolnej chwili. – Bryzinski z niemałym trudem wstał i poczłapał w stronę drzwi.

Lou poszedł za nim, rzucając ostatnie rozpaczliwe spojrzenie na płytę.

– Mam do pana zadzwonić? – zapytał.

Detektyw wyszczerzył zęby w uśmiechu. Był Abbottem, który właśnie dostał łatwą piłkę od Costella.

– Proszę nie dzwonić – poradził. – My do pana zadzwonimy.

ROZDZIAŁ 14

Areszt miejski w Baltimore wznosił się jak ponure średniowieczne zamczysko postawione w dzielnicy, od której po zmroku lepiej było trzymać się z daleka. Budowla z szarego kamienia miała stromy spadzisty dach, a na rogach cztery wieże zwieńczone metalowymi stożkami. Rzędy brudnych, wysokich łukowatych okien, wysokich na kilka pięter, były niemal zupełnie zasłonięte zardzewiałymi kratami. Niedostępna, odizolowana, potężna twierdza, przemknęło przez myśl Lou, gdy wkraczali z Capem do środka pod daszkiem zbudowanym za potężnym ogrodzeniem z siatki i drutu kolczastego.

Kiedy weszli do jasno oświetlonego i pomalowanego na biało holu, Lou przełknął ślinę przez ściśnięte gardło. Wróciło wspomnienie sprzed dziesięciu lat, gdy sam został zatrzymany, ale nie tylko dlatego poczuł się okropnie, ponownie wchodząc do aresztu. To był czyściec systemu karnego – koszmarne miejsce, do którego pakowano razem winnych i niewinnych, czekających na proces albo na przeniesienie do więzienia na dłuższą odsiadkę. Znajdowali się tu ludzie, których nie było stać na kaucję lub, co gorsza, których domniemane przestępstwa uznano za tak ciężkie, że sędzia odmówił im zwolnienia choćby za najwyższym poręczeniem. Gary McHugh zaliczał się do tej drugiej kategorii – domniemanych morderców, którym prawie nigdy nie wyznacza się kaucji. Lou potrzebował nawet specjalnego zezwolenia od stanowego Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego i Więziennictwa, żeby umówić się na to widzenie.

Lou i Cap razem podeszli do okienka w holu. Oddali dokumenty i gdy poinformowali kobietę przy ladzie, z kim chcą się spotkać, odezwał się brzęczyk w metalowych drzwiach po prawej i zostali wpuszczeni przez uzbrojonego strażnika o kamiennej twarzy. Lou drgnął, kiedy ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nimi z hukiem przypominającym armatni wystrzał, który rozległ się upiornym echem w długim i pustym korytarzu. Ich buty stukały o linoleum jak żałobne werble.

Następnym przystankiem było pomieszczenie depozytowe, gdzie polecono im złożyć i zamknąć w schowkach wszystkie przedmioty osobiste – portfele, biżuterię, długopisy, klucze. Drugi strażnik, równie posępny jak pierwszy, przeprowadził ich przez następne ciężkie drzwi, które zadudniły jak grzmot nadciągającej burzy. Bez problemu przeszli przez bramkę wykrywacza metalu, ruszyli za strażnikiem w głąb labiryntu korytarzy i w końcu dotarli do sali widzeń.

– Fajnie było – zwrócił się do Capa Lou, uświadamiając sobie, że ma dłonie lepkie od potu i przyśpieszony puls.

– Nigdy się do tego nie przyzwyczaję, ale dobrze jest sobie przypomnieć, gdzie mogłem trafić – odrzekł Cap.

– Amen – dorzucił Lou.

Zajął wyznaczone miejsce na długiej ławie między dwoma przepierzeniami. Cap został posadzony gdzieś po jego prawej ręce, może pięć czy sześć stanowisk dalej. Poza nimi było tu jeszcze ośmiu czy dziewięciu odwiedzających, którzy rozmawiali przyciszonymi głosami. Odciski dłoni na grubym pleksiglasie były śladami pozostawionymi przez zdruzgotanych i zrozpaczonych bliskich, płaczących do czarnej słuchawki, przez którą Lou miał wkrótce rozmawiać z Garym McHugh.

Plus wyprawy do aresztu był taki, że zapomniał o ogromnym rozczarowaniu spotkaniem z detektywem Chrisem Bryzinskim.

Niewiele rzeczy tak go zirytowało jak brak entuzjazmu policjanta. Może gdy detektyw w końcu zmobilizuje się i posłucha zaskakującej rozmowy między ważnym kongresmenem a młodym żołnierzem marines, zadzwoni do Lou z nowym ładunkiem energii. Jeżeli szczęście się do Lou uśmiechnie, lodowata atmosfera panująca między nim a Sarah Cooper zacznie się nieco ocieplać.

Głośny brzęczyk skierował jego uwagę na drzwi. Ukazał się w nich Gary McHugh z ponurą miną. Ekscentryczny lekarz wyglądał naprawdę żałośnie w pomarańczowym więziennym kombinezonie. Wyraźnie stracił na wadze, jego zdrowa i świeża cera stała się ziemista. Ciężko opadł na krzesło, po czym obaj z Lou podnieśli zawieszony na ścianie słuchawki.

– Dzięki, że przyszedłeś, Lou – powiedział Gary znękany głosem.

– Dobrze zobaczyć znajomą twarz. Zresztą w ogóle twarz.

– Jak się trzymasz?

– Nie za dobrze. Ciągle powtarzam ludziom, że tego nie zrobiłem, i nikt mi nie wierzy.

– Dostaniesz swoje pięć minut w sądzie – odparł Lou. – Ale musisz dalej być silny.

– Taa, silny. Tutaj to nie takie proste. Słuchaj, to jest koszmar. Codziennie dają nam do jedzenia to samo. Dokładnie to samo, każdego dnia. Budynek jest brudny i przepełniony. Nie ma porządnego spacerownika. Człowiek nie ma ani sekundy prywatności. Ani jednej sekundy. Nie można nawet zrobić kupy, żeby ktoś nie gwizdał na twój widok. No i gangi... tutaj rządzą gangi, naprawdę straszne. Chyba jedyna pozytywna wiadomość jest taka, że kiedy słyszę, jak ludzie jeden po drugim twierdzą, że wdepnęli w to bagno przez alkohol albo prochy, to zaczynam sobie zdawać sprawę, że jeżeli w ogóle będę miał okazję, to muszę włożyć więcej wysiłku w terapię.

– Bardzo się cieszę, że to mówisz. Spróbuj poszukać jakichś publikacji AA.

– Postaram się, ale naprawdę boję się głośniej odezwać.

– Robimy, co możemy – zapewnił go Lou.

Wiedział, że sprawie bynajmniej nie służy fakt, iż McHugh jest lekarzem. Co więcej, więźniowie byli pewni, że może zdobyć narkotyki, co tylko wzmagало wrogość wobec niego w wielu kręgach, ponieważ nie mógł spełnić ich oczekiwań. W areszcie nie mógł liczyć na litość, tak jak większość innych klientów OOL nie mogła liczyć na współczucie prasy i szpitali. Spełnili swój wielki amerykański sen, który dla wielu pozostaje nieosiągalny, a potem zniszczyli go przez swój nadmierny apetyt, przez żądzę, brak umiaru albo przez chorobę psychiczną. Nieważne, ile dobra uczynili w ciągu wielu lat, iloma pacjentami się zajmowali, kompetentnie i bezinteresownie. Od początku terapii Lou na każdym forum przekonywał, że lekarze – jak wszyscy – mają prawo do choroby, choć mają także obowiązek się leczyć.

Gary’emu nieustannie grożono; żona i dzieci nie chcieli go odwiedzać; nawet jego adwokatka traktowała go z pewnym dystansem i chłodem.

Lou wahał się, czy nie poprawić przyjacielowi nastroju opowieścią o odnalezionym nagraniu, ale uznał, że dopóki Sarah nie zakończy przesłuchania świadka i nie przesłucha płyty, nie byłoby to rozsądne. Bał się też rozbudzać nadzieje przyjaciela, zanim nie zmieni się nastawienie Bryzinskiego do sprawy. Lou starał się więc pocieszyć go, mówiąc o medycynie i – nie wymieniając żadnych nazwisk – o nowych sprawach przydzielonych mu przez Waltera Filstrupa. Na niewiele się to zdało.

– No i co myślisz? – zapytał McHugh, najwyraźniej zmęczony rozmową o głupstwach.

– O czym?

– Daj spokój, Lou. Czego się dowiedziałeś? Co mówiła Jeannine? Myśli, że to zrobiłem?

– Czuje się głęboko zraniona, Gary. Dzieci ją odepchnęły, tak samo jak ciebie, i jest wściekła. W tej chwili nie ma prawie żadnych wątpliwości, że jesteś winien tego morderstwa.

– Cholera, Lou, przysięgam, że go nie zabiłem. Dalej musisz szukać na to dowodów. Nic mnie to nie obchodzi, czy będę jeszcze mógł uprawiać zawód, ale jeżeli trafię do pudła, przysięgam, że...

– Spokojnie, stary. Pamiętasz „program jednego dnia”? To nie są puste słowa. Uratowały mi życie.

Gary otarł krople potu z czoła rękawem pomarańczowego kombinezonu.

– W porządku – wykrztusił.

Cap podszedł do Lou od tyłu, pochylił się i szepnął mu do ucha:

– Wszystko załatwione.

Strażnik zerknął na niego podejrzliwie.

– Gary... – powiedział do słuchawki Lou. – Popatrz w prawo, kilka miejsc dalej. Widzisz tego wysokiego czarnego faceta z irokezem? Nazywa się Booker, Mały Booker.

– Widziałem go parę razy. Trudno go nie zauważyć.

– No więc Mały będzie ci zabezpieczać tyły. Dopóki stąd nie wyjdiesz, razem ze swoimi kumplami będzie twoją ochroną. Głowa do góry, Gary. Znajdziemy dowody na to, że jesteś niewinny.

– Tak? Powiedz to moim dzieciom, dobra?

– W swoim czasie powiem, obiecuję.

Podszedł strażnik i wskazał na zegarek, dając Lou do zrozumienia, że koniec widzenia.

– Bądź silny, stary. Niedługo znowu do ciebie przyjdę.

– Dzięki. Dobrze wiedzieć, że ktoś zabezpiecza mi tyły.

– Gary?

– No?

– To, co powiedziałaś, że nie obchodzi cię, czy będziesz jeszcze kiedyś mógł pracować w zawodzie... Może mi nie uwierzysz, ale to całkiem zdrowe myślenie.

Strażnik zaprowadził Lou i Capa do pomieszczenia ze skrytkami depozytowymi, skąd zabrali swoje rzeczy. Cap otworzył portfel i sprawdził, czy ma wszystkie pieniądze.

– No co? – rzekł w odpowiedzi na pełne dezaprobaty spojrzenie Lou. – Przecież tu pełno przestępców.

– Aż dostaję dreszczy, kiedy pomyślę, jak mało brakowało, żeby mnie zamknęli. No i co, Cap, myślisz, że twój kumpel Mały poradzi sobie z ochroną Gary’ego?

Cap włożył kurtkę.

– Nie wiem. Tak jak mówiłeś, areszt to parszywe miejsce. Mały twierdzi, że trudno będzie pilnować go na okrągło, ale ma na tyle duże wpływy w gangach, że pewnie się uda.

– A jeżeli nie? – zapytał Lou.

– Wiem, że jak się popatrzy na jego paluchy grube jak kielbasy, trudno w to uwierzyć, ale Mały Booker to najlepszy specjalista od włamu, najlepszy fachowiec od zamków w Baltimore, a może i w całych Stanach. Widziałem, jak pokonywał alarmy, od których Williemu Suttonowi¹ zakreśliłoby się we łbie.

– W czym to może pomóc Gary’emu?

– Widzisz, jak Mały mówi, że coś da się zrobić, to, moim zdaniem, to robi. Ale jak się okaże, że nie da rady pomóc twojemu kumpłowi, to są bardzo duże szanse, że go stąd wyciągnie.

ROZDZIAŁ 15

W ciągu kilku godzin, które mu zostały do nocnej zmiany, Lou zdrzemnął się, przeczytał pięćdziesiąt parę stron *Klubu Pickwicka* Dickensa i zajrzał na mityng AA. Tego dnia dość niewielka grupa zajmowała się pierwszym z dwunastu kroków programu – w którym alkoholik przyznaje się, że jest bezsilny wobec swojego nałogu i stracił kontrolę nad własnym życiem. Gary sprawiał wrażenie, jak gdyby powolutku przymierzał się do postawienia tego decydującego kroku na drodze do prawdziwego wyjścia z uzależnienia.

– Nie można być za głupim, żeby to pojąć – mówił mu Cap, kiedy Lou go poznał. – Ale bez dwóch zdań można się okazać za mądrym.

Gary właśnie pogrążał się w rozpacz, która mogła się dla niego okazać nieocenionym darem. Jak pokazywało doświadczenie Lou, im trudniej otrzymać taki dar, tym lepiej.

Wreszcie opuścił szpitalny oddział ratunkowy, jak zwykle godzinę po zakończeniu dyżuru wypełnionego tak gorączkową pracą, że trzynaście godzin minęło bardzo szybko. Czując przyjemne wyczerpanie, Lou ruszył do szpitalnego bufetu i uświadomił sobie, że to będzie pierwszy prawdziwy posiłek od dwudziestu czterech godzin. Sok grejpfrutowy, jajka w koszulkach, drożdżowa bułeczka, frytki, mleko. Z powodu swojej niechęci do jednorazowych naczyń i sztucców, jak zwykle zdenerwował kobietę za ladą, domagając się metalu, szkła i ceramiki. Renee, uważająca się za zdeklarowaną zwolenniczkę ekologii, stale prowadziła mu kazania o tym, że wybór

papierowych naczyń jest znacznie bardziej przyjazny dla środowiska niż zmywanie, ale bronił swoich upodobań przed nieubłaganą statystyką.

W chwili gdy dotarł do wolnego stolika i postawił na nim tacę, jego telefon zaczął wibrować.

Dzwoniła Sarah Cooper, która sądząc po głosie, bynajmniej nie była zadowolona.

– Jest pan gdzieś w pobliżu, żeby po mnie przyjechać? – spytała.

Lou tęsknie spojrzął na swoje śniadanie, którego żaden składnik nie nadawał się do transportu.

– Kiedy?

– Pięć minut temu.

– Chyba tak. Jestem w Eisenhower Memorial. Właśnie skończyłem...

– Musimy pojechać i pogadać z tym detektywem, o którym pan mówił w wiadomości. Właśnie skończyłam z nim rozmawiać przez telefon. Czeka na nas w swoim biurze, ale twierdzi, że musi niedługo wyjść. Muszę usłyszeć od was obu dokładnie to, co mu pan powiedział.

– Chce pani najpierw posłuchać nagrania na płycie?

– Panie doktorze, czego pan nie rozumie w zdaniu „Musiał niedługo wyjść”?

– Pani mecenas, czy złośliwość i sarkazm zwykle pomagają pani zdobyć to, na czym pani zależy? – Lou skubnął bułeczkę, która zaczynała już rozmiękać.

– Będę czekała na dole w drzwiach wejściowych do mojej kancelarii – odrzekła Sarah.

W słuchawce zapadła cisza.

W ciągu dziesięciu minut jazdy do kancelarii Lou starał się przywołać spokój, towarzyszący mu nieprzerwanie przez dziesięć lat,

odkąd wyszedł z nałogu. Od ich pierwszego spotkania w domu Gary'ego McHugh coś między nimi było nie tak. Ale co?

Zatrzymał się przy chodniku, a Sarah, zgodnie z obietnicą, wybiegła z budynku. Nie miał wątpliwości, że jest atrakcyjna. Trudno było tego nie zauważyć. Ale jeśli chciała go zniechęcić, wychodziło jej to doskonale.

– Jazda! – rozkazała, zatraskując za sobą drzwi i zapinając pas.

– Zaraz, chyba powinniśmy porozmawiać – zaprotestował Lou.

– O czym? Co ma pan do powiedzenia, czego jeszcze nie słyszałam?

Lou przemknęło w pamięci zdarzenie z czasów podstawówki, kiedy próbował zaimponować jakimś starszym chłopakom, kradnąc w sklepie z zabawkami nakręcanego robota. Wtedy rozpaczliwie pragnął ich akceptacji i teraz uświadomił sobie, że tak samo zależy mu na akceptacji Sarah Cooper. Najprawdopodobniej właśnie dlatego tak szybko pojechał na policję, żeby przekazać płytę z nagraniem. I jeśli jej reakcja była miarodajna, schrzanił sprawę tak samo jak wtedy, gdy zwędził robota. Różnica polegała tylko na tym, że o ile się nie mylił, tym razem nie zrobił nic złego.

Po tamtym niechlubnym postępku za karę musiał zapłacić właścicielowi sklepu równowartość swojego miesięcznego kieszonkowego i napisać dwustronicowe wypracowanie o tym, dlaczego nie należy kraść. Zerkając na prawniczkę, której pragnął zaimponować, zastanawiał się, czy zostanie potraktowany równie łagodnie.

Włączył się do gęstego ruchu i ruszył na zachód.

– Może mi pani powiedzieć, o co chodzi? – zapytał w końcu. – Dlaczego musimy się natychmiast spotkać z Bryzinskim?

W spojrzeniu Sarah było tyle ciepła co w bryle betonu.

– Sądzi pan, że zajął się pan medycyną, bo był pan arogancki, czy stał się pan arogancki, bo został pan lekarzem?

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Dobrze, spróbujmy inaczej. Czy sądzi pan, że mogłabym wejść sobie z ulicy na oddział ratunkowy i zacząć zszywać pacjentów?

Lou chciał się równie bezczelnie odciąć, lecz w ostatniej chwili ugryzł się w język.

– Nie – odparł z poważną miną. – To nie byłoby właściwe.

– Czy zatem sądzi pan, że nasze zasady zbierania materiału dowodowego w postępowaniu sądowym są mniej istotne i wiążące niż zasady, którymi kieruje się pan, lecząc pacjentów?

– Przypuszczam, że nie, ale...

– Nie ma żadnych „ale”. Być może wszystko pan spaprał. Wy, lekarze, ciągle coś psujecie, bo po prostu nie chcecie nikogo słuchać. Wystarczy przestrzegać zasad, zaczynając od pierwszej: słuchać pacjenta. Ale to wy decydujecie, kiedy racycie zwrócić na niego uwagę, a kiedy nie macie na to ochoty. Nawet jeżeli ten Bryzinski wzorowo obchodzi się z płytą, może nam grozić katastrofa. Kłopoty w domu, problem alkoholowy, jakieś złe wiadomości w wynikach badań lekarskich. Ma trudności z koncentracją albo z początku nie zwróci uwagi na to, co pan mówi, i nagle wszystkie pańskie dobre chęci diabli biorą. Słucha pan swoich pacjentów, kiedy coś panu mówią?

– Oczywiście, że słucham.

– A kiedy powiedziałam panu coś w domu Gary’ego McHugh, to pan słuchał?

Lou nie zrozumiał, dlaczego Sarah tak się denerwuje. Przecież nie był naiwnym idiotą. Przeprowadził dokładne, wręcz pokazowe oględziny i wykrył płytę z nagraniem, które miało pomóc jego przyjacielowi i jej klientowi. Następnie wykonał dwie kopie płyty, a oryginał oddał policji. Co w tym było złego?

Sarah powinna być zachwycona jego odkryciem. Być może jej zjadliwe uwagi świadczyły jedynie o tym, że zazdrości Lou, który w ciągu zaledwie kilku dni pokazał, jak bardzo może się przydać w sprawie Gary'ego McHugh. Postanowił zaryzykować.

– Sarah, znalazłem dowód, który powinien przynajmniej wzbudzić wątpliwości co do winy Gary'ego. Nie rozumiem, dlaczego tak się denerwujesz.

Głęboko westchnęła, gdy lawirował w coraz gęstszym wczesnopopołudniowym ruchu.

– Po prostu nie ma pan pojęcia, na czym to wszystko polega.

Chciał, żeby na niego popatrzyła. Im bardziej się złościła, tym bardziej chciał ją uspokoić. Powinni przecież zawrzeć sojusz – dla dobra Gary'ego musieli grać do tej samej bramki.

– Może więc spróbuje mi pani wyjaśnić, na czym to polega, zamiast tak się na mnie wściekać? Próbowałem się do pani dodzwonić.

– Ale potem postanowił pan wziąć sprawy we własne ręce. Ramię sprawiedliwości bożej.

– O co tyle hałasu? – spytał Lou. – Liczy się tylko to, że policja ma dowód, który będzie wam potrzebny, żeby pomóc Gary'emu.

Wreszcie Sarah odwróciła się do niego. Natychmiast tego pożałował.

– Naprawdę? – zapytała. – A sprawdził pan, czy pańskie kopie to wierne i doskonałe reprodukcje oryginału?

– Nie, ale...

– Czy Jeannine Colston widziała, jak znalazł pan płytę?

– Spała, bo miała migrenę, i prosiła mnie, żebym jej nie budził bez potrzeby. Nie wiedziałem nawet jeszcze, co jest na płycie, poza tym uznałem, że i tak dużo zrobiła, poświęcając mi tyle czasu. Była w naprawdę kiepskim stanie.

Toyota rozpędzała się coraz bardziej.

– Czyli nikt nie wie, że znalazł pan dowód, który prawdopodobnie może podać w wątpliwość winę Gary’ego McHugh?

– No, wie detektyw Bryzinski.

– Powiedział mi pan, że nie przesłuchał nagrania w pana obecności. Czy on wiedział, że nikt inny nie słyszał nagrania?

Wskazówka prędkościomierza przesunęła się jeszcze odrobinę w prawo.

Lou skinął głową.

– Rozumiem, do czego pani zmierza.

– Nareszcie! Zaczyna panu świtać. To nie jest dziecinna zabawa, doktorze. Gra idzie o życie człowieka.

Lou poczuł, że zaczyna kipieć.

– Chyba zdaję sobie sprawę z zagrożeń.

– Naprawdę? Sądzi pan, że chodzi tylko o dowody? Zamordowano kongresmena, Lou. Nie rozumiesz?

Uświadomił sobie, że pierwszy raz zwróciła się do niego po imieniu.

– Chodzi o wywiady, o CNN, o relacje w telewizji dwadzieścia cztery godziny na dobę. Chodzi o to, żeby wskazać palcem winnego zbrodni, wygrywając w oczach opinii publicznej, i żeby wsadzić na resztę życia za kratki kanałię, którego prokurator uzna za sprawcę. Chodzi o wybory i awanse, a w żadnym, nawet najmniejszym, stopniu dowody nie mają z tym nic wspólnego. Czyje imię ucierpi, jeżeli to nie Gary McHugh jest mordercą? Kto ucierpi, jeżeli twój trop pokrzyżuje szyki komuś, kto ma znacznie większą władzę i wpływy niż ty i ja, kto nie będzie chciał, żeby opinia publiczna doszła do wniosku, że śledztwo w sprawie morderstwa kongresmena poprowadzono byle jak? Komu robi się ciepło, kiedy media zaczną mówić, że patafiany z policji spartaczyły dochodzenie w następnej głośnej sprawie? Nie

mówię o dowodach. Mówię o realiach prawa, o smutnej i często nieprzyjemnej rzeczywistości.

Lou zerknął na prędkościomierz i zobaczył, że jedzie ponad sto na godzinę w strefie ograniczenia do pięćdziesięciu.

– Niedługo będziemy na miejscu – powiedział.

ROZDZIAŁ 16

Ostatnią część drogi do komendy policji stanowej w College Park przejechali w absolutnej ciszy.

Wdech... wydech...

Pomagając sobie tą mantrą, Lou skupiał się na pilnowaniu prędkości i na myśli, że za chwilę napięcie między nim a Sarah Cooper prawdopodobnie zniknie. Detektyw prowadzący sprawę morderstwa Colstona wyciągnie płytę, a Gary McHugh przestanie być jedynym podejrzanym. Sprawa zostanie zamknięta – a ściślej mówiąc, rozpocznie się na nowo.

Sarah Cooper była wzburzona jak morze przy sztormowym wietrze. Sposób, w jaki do niego mówiła, upokarzał go i zawstydział, ale Lou rozumiał przyczynę jej zdenerwowania. Entuzjazm... zgoda – może też arogancja – pozbawiły go zdolności obiektywnej oceny sytuacji. I niezależnie od powodu, Sarah nie miała ochoty patrzeć przez palce na jego poczynania.

Flaga przed parterowym budynkiem z cegły wciąż była opuszczona do połowy masztu. Lou pomyślał, że skoro na świecie jest tyle przemocy, być może jest to jej stałe położenie. Po bardzo krótkim oczekiwaniu do holu wtoczył się Chris Bryzinski i dał im znak, żeby weszli za nim do środka. Lou patrzył, jak potężny tułów detektywa omal ociera się o futryny, i zastanawiał się przez moment, co by się stało, gdyby ten facet musiał kiedyś ścigać przestępcę. Zatrzymali się w korytarzu tuż przed salą odpraw.

– Witamy ponownie, doktorze Welcome – rzekł Bryzinski z wesołą miną, jak gdyby rozbawiła go gra słów z nazwiskiem Lou. – Co mogę dla pana jeszcze zrobić?

Sarah przedstawiła się i podała detektywowi rękę.

– Dziękuję, że znalazł pan dla nas czas – powiedziała.

– Ach, nie ma sprawy. Nie ma sprawy. – Zmierzył ją przelotnym spojrzeniem. – Ale nie możemy długo rozmawiać. Jesteśmy dzisiaj zawałeni robotą. Cztery wypadki i jedno zabójstwo.

– Detektywie, moglibyśmy porozmawiać w pańskim biurze? – zapytała Sarah. – To dość poufne sprawy i wolałabym omawiać je w trochę spokojniejszym miejscu.

Wyraził zgodę, odburkując coś w odpowiedzi, i poprosił dyżurnego funkcjonariusza, aby otworzył im następne drzwi. Potem poprowadził ich korytarzem do swojego gabinetu. Biurko detektywa wyglądało tak samo jak podczas poprzedniej wizyty Lou, tylko panował na nim jeszcze większy bałagan. Lou powstrzymał uśmiech, widząc zdeglustowaną minę Sarah, kiedy poczuła zapaszek w pokoju i ujrzała zwały papierzysk. Zanim usiedli, Bryzinski odebrał telefon i szybko załatwił sprawę, z którą ktoś zadzwonił.

– Słucham? – powiedział. Nie poprosił ich, aby zajęli miejsca, sam też najwyraźniej nie miał zamiaru tego zrobić.

– Nie zajmiemy panu dużo czasu – rzekł Lou. – Pani mecenas chciała tylko z panem porozmawiać o płycie, którą wczoraj panu przywiozłem.

– W ramach ujawnienia materiału dowodowego chciałabym przekazać kopię prokuraturze – dodała Sarah. – Przesłuchał pan już nagranie?

– Szczerze mówiąc, nie. Od morderstwa kongresmena mamy urwanie głowy. Cały czas przychodzą nowe tropy. Chociaż jesteśmy pewni, że mamy sprawcę, to musimy...

– Mogłabym zobaczyć tę płytę? – przerwała mu Sarah.

– Wszystkie informacje przychodzące w tej sprawie zbiera detektyw Cartwright. Zanim uda nam się sprawdzić każdy trop, na drzewach będą już pączki, a w ogrodach kwiaty.

– Mam nadzieję, że nie – powiedziała. – Mój klient, doktor McHugh, jest w areszcie i liczymy, że pan i pańskie tropy pomogą nam go stamtąd wyciągnąć.

Bryzinski mruknął coś, co brzmiało jak „marna szansa”, po czym zdjął z pasa radiotelefon.

– Mike, to ja – rzucił do mikrofonu. – Co zrobiłeś z tą płytą?

Rozległy się trzask i szumy, które uniemożliwiały zrozumienie wszystkich słów, ale Lou wyłowił dwa najważniejsze, „jaką” i „płytą”.

Detektyw wcisnął przycisk nadawania.

– Tę w brązowej kartonowej kopercie – powiedział.

Znów szum.

Lou wyraźnie usłyszał, jak Cartwright mówi:

– Chwileczkę.

– Chwileczkę – powtórzył im Bryzinski.

Trzaski i szumy wróciły. Lou zastanawiał się, czy radiotelefon detektywa jest wyposażony w specjalny przycisk, który je generuje.

– Nie ma jej – oznajmił Cartwright.

– Co to znaczy, nie ma?

– Nie... na... stercie – brzmiały tym razem trzy zrozumiałe słowa.

– Dobra, szukaj dalej – polecił Bryzinski. – A jak znajdziesz, przynieś tu i połóż na moim biurku. – Z niemałym trudem ulokował radiotelefon na pasku pod brzuszyskiem przypominającym oponę ciężarówki. – Cartwright ma trudności ze znalezieniem płyty – poinformował. – To się czasem zdarza. Ale nie zginęła. Obiecuję. Nie ma się czym martwić.

Lou odwrócił się do Sarah; zachowała kamienną twarz, tak jak przedtem, gdy spoglądała przez okno jego samochodu.

– Nie rozumiem – powiedział wyższym o pół oktawy głosem. – Przecież przywiozłem ją wczoraj rano.

Poczuł, jak Sarah zaciska palce na jego nadgarstku. „Spokojnie”, przesłała mu niemy komunikat.

Bryzinski nie dał się zbić z pantałyku.

– Przepraszam, doktorze. Gdybym nie był tak cholernie zajęty i miał więcej czasu, poszedłbym do biura Cartwrighta i sam bym znalazł. Przecież podpisałem pokwitowanie, prawda?

– Nie sądzę – odrzekł Lou, czując, jak na policzki wypełza mu rumieniec.

– To żaden problem. Proszę posłuchać, będę miał dla państwa płytę jutro, jeżeli zrobi się luźniej. – Zwrócił się do Sarah: – Mówiłem doktorowi Welcome’owi, żeby nas nie popędzał, bo mój wydział ma za dużo informacji do sprawdzenia. Badamy wszystkie sygnały na bieżąco, w miarę jak je dostajemy. Proszę mi wybaczyć, ale z każdą sekundą mam coraz większe zaległości.

Lou chciał się odezwać, ale Sarah jeszcze mocniej ścisnęła jego nadgarstek.

– Dziękuję, że poświęcił nam pan chwilę, detektywie – powiedziała. – Oto moja wizytówka. Będę czekać na telefon od pana.

– Było mi bardzo miło panią poznać – odparł Bryzinski i wsunął wizytówkę do kieszeni, nie raczywszy nawet rzucić na nią okiem. Następnie odprowadził Lou i Sarah do holu i pożegnał ich ze zdawkową uprzejmością.

Lou spodziewał się, że na parkingu Sarah wybuchnie.

Cisza.

– Przykro mi – rzucił w końcu, przyśpieszając kroku, żeby ją dogonić. – Ale ciągle wierzę, że znajdą płytę, poza tym mam kopię.

Przecież to gliny, nie przestępcy.

Sarah przystanęła, obróciła się na palcach jednej stopy jak baletnica i utkwiała w nim spojrzenie, którego nie potrafił wytrzymać.

– Masz czas, żeby mi podrzucić to nagranie?

Lou tęsknie pomyślał o swoim łóżku i miał ochotę spytać ją, czy miała kiedyś całonocny dyżur na oddziale ratunkowym.

Ale skinął tylko głową.

– Podwiozę cię do kancelarii, a potem pojedę po płytę.

– Jeżeli to nie kłopot, może pojechalibyśmy razem do ciebie? Chcę ją mieć jak najszybciej.

Prośba miała niedwuznaczny podtekst: „Nie ufam ci”.

– Nie ma sprawy.

Sarah otuliła się płaszczem i zajęła fotel pasażera w toyocie.

– I dość tych solowych popisów – oświadczyła. – Dasz mi płytę, a potem się wycofasz i pozwolisz nam zająć się resztą.

Lou zaczął swoją oddechową mantrę i wreszcie usiadł za kierownicą.

– Robiłem tylko to, co uznałem za konieczne, żeby pomóc przyjacielowi – oznajmił.

– Trudny z ciebie człowiek. Nie ustąpisz ani o krok. To z przysięgi Hipokratesa?

– Nie sprawię wam kłopotów.

– Mam nadzieję – rzuciła Sarah z błyskiem w oczach.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

– Jak myślisz? – zapytał w końcu Lou. – Zrobił to Wyatt Brody?

– Zanim cokolwiek będę mogła powiedzieć, najpierw muszę posłuchać tego, co jest na płycie. Na razie chcę tylko wiedzieć, co ma wspólnego z detektywem Chrisem Bryzinskim Spencer Hogarth.

– Hogarth, sekretarz obrony?

– Na samej górze tego chlewu, który Bryzinski miał na swoim biurku, leżała jakaś lista spraw do załatwienia. W pierwszym punkcie zapisał: „S. Hogarth, przekazać nowe wiadomości”. Był tam numer, ale nie udało mi się go odczytać.

– Robi się coraz ciekawiej – zauważył Lou.

Spencer Hogarth, kontrowersyjny sekretarz obrony, budził skrajne emocje w mediach, w Kongresie i społeczeństwie. Wiele osób uważało, że postawienie na czele Departamentu Obrony byłego dowódcy Marynarki Wojennej to powrót do czasów, gdy na najbardziej zapalne sytuacje na świecie Ameryka reagowała raczej siłą niż dyplomacją. Dla niektórych był podżegaczem, łatwo ulegającym impulsom. Inni widzieli w nim nieugiętego bojownika zwalczającego terroryzm w każdej postaci. Przez wiele lat jego głównym adwersarzem na Kapitolu był niejaki Elias Colston.

– Może chodzi o innego Hogartha? – zastanawiał się głośno Lou.

– O innego S. Hogartha, ściślej mówiąc. Niczego nie można wykluczyć. Ale Hogarth i Colston spierali się na ważne tematy, a teraz na biurku policjanta, który prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa Colstona, pojawia się notatka o złożeniu raportu Hogarhowi. Zbieg okoliczności?

– Nie sądzę – powiedzieli zgodnym chórem Lou i Sarah.

Zaśmiali się i po raz pierwszy rysy prawniczki złagodniały.

– Trudno mi uwierzyć, ale zdaje się, że naprawdę możesz mieć w sobie coś sympatycznego – przyznała. – Sympatycznego i idealistycznego. Pewnie nawet jesteś całkiem niezłym lekarzem.

Lou zerknął na nią z boku, ale poza słowami nic więcej nie zdradzało, co Sarah naprawdę myśli.

– Dzięki – rzucił. – To samo mogę powiedzieć o tobie. Wiesz, zawsze uważałem Hogartha za twardego faceta, ale nigdy nie sądziłem, że

mógłby się posunąć do brudnej roboty. Może tylko bardzo zależy mu na kontroli nad śledztwem z powodu swojego konfliktu z Colstonem.

– Chciałabym wierzyć, że wszyscy są gotowi grać według tych samych zasad co ty, Lou. Twoja naiwność, dopóki się nie wyczerpie, jest nawet urocza.

– Bryzinski znajdzie tę płytę – zapewnił ją.

Na twarzy Sarah odmalowało się napięcie.

– Doktorze, nie wiem, czy wierzę w globalne ocieplenie, w UFO albo istnienie Wielkiej Stopy, ale jednego jestem pewna na sto pięćdziesiąt procent.

– Tak?

– Detektyw Christopher Bryzinski coś knuje.

ROZDZIAŁ 17

Lou mógł się wiele dowiedzieć o ludziach z ich reakcji na dzielnicę, w której mieszkał. Im mniej ktoś się wzdrygał na widok graffiti, zabitych deskami okien i wałęsających się grup dzieciaków, tym większe prawdopodobieństwo, że Lou znajdzie z nim wspólny język. O dziwo, Sarah czuła się zupełnie swobodnie, jak gdyby ulica, przy której mieszkał Lou, nie wywarła na niej żadnego wrażenia. Być może jednak było im pisane, że mimo wszystko przewyciężą dzielące ich różnice. A może po prostu była zbyt pochłonięta myślami o zdobyciu kopii płyty Colstona, żeby zwracać uwagę na otoczenie.

Lou zaparkował przy ulicy naprzeciwko pizzerii Dimitri's zajmującej cały parter budynku, gdzie, jak mówił wszystkim, serwowano najsmaczniejsze i najstaranniej przygotowane klasyczne pizze i calzone w mieście. Zapachy dobywające się z lokalu świadczyły, że piece pracowały już pełną parą. Jak zwykle, gdy wracał do domu i czuł ten charakterystyczny aromat, wyobraził sobie dużą wegetariańską pizzę – za którą on i Emily przepadali.

– Zaczekam tu – powiedziała Sarah.

– Wejdz, poznasz Multika, naszego kota.

– Naszego?

– Mojego i mojej córki. Emily mieszka w Arlington, ale spędza u mnie dużo czasu. Razem trenujemy w klubie bokserskim Kontra po drugiej stronie ulicy.

– Zdaje się, że to dziewczyna z tych, jakie lubię. Proszę, nie zrozum mnie źle, ale większość lekarzy, których znam, mieszka raczej... tak jak doktor McHugh.

– Nie obrażasz mnie. Mieszkanie w tej dzielnicy pomaga mi zachować równowagę. Mnie i Emily. A reszta kasy, która zostaje co miesiąc po zapłaceniu czynszu, pomaga mi się wygrzebać z dołu, do którego wpadłem kiedyś z własnej winy.

– Chyba coś o tym słyszałam. Ty i córka czujecie się tu bezpiecznie?

– To świetna dzielnica i fantastyczni ludzie. Wystarczy pamiętać, żeby zamykać drzwi na klucz. Moja była żona wolałaby, żebym się przeprowadził na przedmieścia, ale tu czuję się zupełnie bezpieczny. Masz czas na kawę?

Sarah wysiadła z samochodu, spojrzała na zegarek i zmarszczyła brwi.

– Dzięki, ale muszę się śpieszyć. Do końca dnia mam spotkania, jedno po drugim.

W słabo oświetlonym korytarzu Lou wyjął ze skrzynki pocztę i poprowadził Sarah schodami na piętro. Wspinając się po kilku pierwszych stopniach, zastanawiał się, czy Małemu Bookerowi i jego kumplom uda się zapewnić ochronę Gary’emu. Pokonując ostatnie, myślał już tylko o Sarah; próbował odgadnąć, dlaczego wciąż traktuje go z takim chłodem. Miał nadzieję, że kiedy dostanie od niego kopię płyty, atmosfera między nimi się oczyści.

Po chwili zobaczył, że drzwi do jego mieszkania są uchylone.

Wystarczy pamiętać, żeby zamykać drzwi na klucz.

Natychmiast zapaliła mu się w głowie czerwona lampka, napięło się każde włókno mięśni. Odwrócił się, położył palec na ustach i wskazał drzwi. Potem zrzucił kurtkę i bezgłośnie upuścił na podłogę. Zmysły mu się wyostrzyły, trzeszcząc z wysiłku jak niesprawne kable

rozruchowe, gdy Lou odtwarzał w pamięci wszystko, co robił wieczorem przed wyjściem do szpitala.

Wystarczy pamiętać, żeby zamykać drzwi na klucz.

To nie była nieuwaga z jego strony. Na pewno. Coś tu nie grało, bardzo nie grało.

– Sarah, wyjdź na zewnątrz i zadzwoń pod dziewięćset jedenaście – szepnął. – Clinton Street czterysta pięćdziesiąt.

– Jest tu tylne wejście?

– Tak, ale zawsze zamknięte na dwie zasuwki.

Nasłuchiwali.

– Wydaje mi się, że nikogo tam nie ma.

– Proszę, zejź na dół i zadzwoń.

– Co zamierzasz zrobić?

Cholerna prawniczka! – miał ochotę wrzasnąć. Nie pora teraz na składanie zeznań.

– Wejść – odparł.

– Zaczekaj, aż wrócę.

Cholera jasna, idź już! – pomyślał.

– Dobrze, ale pośpiesz się.

Kiedy Sarah z telefonem w ręku cicho zbiegła po schodach, Lou wahał się, czy wpaść z impetem do mieszkania. Gdyby to zrobił, na pewno straciłby odrobinę życzliwości, którą udało mu się u niej zdobyć. A jeżeli uchylone drzwi miały coś wspólnego z płytą, którą ukrył w szufladzie komody, już ją stracił.

Ukląkł i uważnie obejrzał zamek oraz drzwi. Wzdłuż progu dostrzegł rysy, których wcześniej prawie na pewno nie było. Znów wstrzymał oddech i przez chwilę nasłuchiwał.

Znów tylko cisza.

Gdzie ona jest?

Serce waliło mu jak młotem. Już miał wślizgnąć się do mieszkania, gdy Sarah otworzyła drzwi na korytarz i ruszyła po schodach na górę. Nie czekając na nią, pchnął drzwi. Zawiasy skrzypnęły, jak gdyby nie miały ochoty ujawniać skrywanej w środku tajemnicy. Lou poczuł za sobą obecność Sarah, usłyszał jej nierówny i przyspieszony oddech. Z wnętrza padło światło, oblewając korytarz. Lou był pewien, że kiedy wychodził, w mieszkaniu panowała ciemność, nie licząc małej lampki w sypialni.

Spodziewał się najgorszego.

Pierwszy znak zniszczeń, przewrócony stolik obok kanapy, był tylko początkiem. Lou otworzył drzwi szerzej, przełykając wzbierającą w gardle żółć. Zrobił jeden krok, potem drugi, już nie tylko oceniając szkody, ale rozglądając się po domu w poszukiwaniu Multika.

W kuchni wyciągnął ze stojaka długi nóż do mięsa.

– Nie chcesz poczekać na policję? – spytała Sarah.

I kto tu teraz jest naiwny?

– Niechętnie zaglądamy do tych dzielnic – odparł. – Poza tym nie sądzę, żeby ktoś był w mieszkaniu.

– Mimo wszystko ja bym poczekała – oznajmiła Sarah. – Ten, kto to zrobił, może być w drugim pokoju, w szafie czy w innej kryjówce.

Mam nadzieję, pomyślał Lou, mocniej zaciskając palce na rękojeści noża.

Zapalił górne światło.

Przeszukanie, przynajmniej sądząc po tym, co zobaczył w kuchni i salonie, przeprowadzono z profesjonalną skrupulatnością. Rozpruto poduszki na kanapie i wysypano z nich wypełnienie, którego kępkę wyglądały jak fragmenty tkanki tłuszczowej w ranie. Krzesła wywrócono do góry nogami. Wyciągnięto szuflady ze stolika, a ich zawartość wyrzucono na podłogę. Zniknął laptop. W kuchni panował

nieopisany bałagan. Szuflady były wysunięte z szafek, a na podłodze leżała rozsypana sucha karma dla kota zmieszana z odłamkami potłuczonych naczyń.

Tylne drzwi na końcu korytarza były zamknięte i Lou widział, że są zaryglowane; wyglądało na to, że intruz wszedł i wyszedł od frontu.

Wciąż trzymając nóż w pogotowiu i czujnie się rozglądając, Lou podszedł do drzwi sypialni. Kiedy przekroczył próg, z pokoju wypadł Multik, ocierając się o buty Sarah.

– Jezu! – krzyknęła i zatoczyła się pod ścianę.

– To Multik.

– Wiem – odrzekła zgryźliwym tonem, odzyskując oddech. – Mówiłeś mi w samochodzie. Słuchaj, nie żeby twój kot mnie nie obchodził, ale gdzie położyłeś tę płytę?

Lou zerknął na sypialnię i wiedział, że mają kłopoty. Pokój przetrząsnęto tak samo drobiazgowo jak pozostałą część mieszkania. Jego uwagę od razu przyciągnęła komoda, z której wyciągnięto szuflady, a ich zawartość rzucono na podłogę. Sarah z rękami skrzyżowanymi na piersi przyglądała się, jak Lou przekopuje stertę swojej garderoby.

– Nie ma, prawda? – powiedziała. – Tego szukali.

Nadal przerzucał ubrania, lecz wiedział, że to bez sensu.

– Była schowana w szufladzie pod papierami. Nigdy... nie przypuszczałem, że ktoś mógłby to zrobić. Zabrali też mój komputer.

Sarah nawet tego nie skomentowała.

– Próbowalesz – odrzekła w końcu. – Sprawca dokładnie wiedział, czego szuka i gdzie to znaleźć. Nie ucierpiałbyś tak, gdybyś po prostu zostawił płytę na stole w kuchni.

– Możesz śmiało powiedzieć: „A nie mówiłam?”.

– Dobra. A nie mówiłam?

– Co teraz?

Nie wypuszczając noża z dłoni, zaprowadził Sarah do pokoju Emily. Panował tu doskonały porządek. Wszystkie poduszki, gry i pluszaki były na swoim miejscu. Szafa też wyglądała na nietkniętą.

– To chyba ostateczna odpowiedź, czego szukali – podsumowała Sarah.

Multik wrócił i teraz robił ósemki wokół ich nóg, mrucząc donośnie. Lou, nie zwracając na niego uwagi, wyszedł z pokoju i zatopił ostrze noża w ścianie.

– Cholernie mi głupio – wyznał.

– Powiedziałabym, że to nie był twój najlepszy dzień. Przykro mi z powodu mieszkania.

– To tylko rzeczy. Nie wierzę, że zrobiłem to Gary’emu.

– Postaramy się odnaleźć brakujące kawałki. W tym momencie trzeba odpowiedzieć na dwa pytania. Kto? I dlaczego?

– Naprawdę mi przykro – rzekł Lou.

– Wiem. – Usłyszeli dobiegające z oddali wycie policyjnej syreny. – Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Zostań tu i załatw tę sprawę. Ja wrócę do biura taksówką.

ROZDZIAŁ 18

Lou doprowadzał mieszkanie do porządku przez niemal dwa dni, w trakcie których Sarah ani razu się z nim nie skontaktowała. Nic dziwnego. Teraz musiał jak najdokładniej odtworzyć nagraną potajemnie rozmowę między Eliaszem Colstonem a młodym żołnierzem marines o imieniu Hector. Nie będzie to dowód, który obrońcy Gary'ego mogłaby przedstawić w sądzie, ale przynajmniej jakaś forma przeprosin.

Najpierw jednak przyjechała na weekend Emily. Lou patrzył z kuchni, jak z zaciekawieniem rozgląda się po mieszkaniu. Całkiem nieźle doprowadził dom do porządku, a siedzisk na kanapie Emily nie odwracała, więc szwy, które pośpiesznie założył poduszkom, nie wyszły na jaw. W szafkach kupionych w Crate & Barrel wciąż stała porcelana, a nowy mac nie budził podejrzeń, zwłaszcza że córka przywiozła ze sobą własnego laptopa.

Mimo to, choć pokój Emily pozostał nietknięty, dziewczynka była obdarzona niewiarygodną intuicją, więc Lou zastanawiał się, czy prędzej czy później nie będzie musiał skończyć z przemilczeniami i zacząć zwyczajnie kłamać, a z tym zupełnie sobie nie radził. Przez jakiś czas wahał się, czy w ogóle powinien pozwolić jej spędzać u siebie ten weekend, w końcu jednak uznał, że ten, kto splądrował mieszkanie, znalazł to, po co przyszedł, i raczej już nie wróci.

Powoli nabrał przekonania, że udało mu się pozacierać ślady i wszystko wygląda tak jak zwykle. Emily na przemian bawiła się

z Multikiem zabawkami na sznurku i rozkładała planszę do monopolu na stoliku we wnęce. Zaplanowali, że wieczorem obejrzą film, wcześniej jednak mieli się spotkać na lunchu z ojcem Lou w Wave Rider, chyba jedynej restauracji, w której jadali wszyscy troje.

Dennis Welcome miał w życiu cztery wielkie pasje: rodzinę, czerwonego pick-upa Chevroleta z trzystoma tysiącami kilometrów na liczniku, swój związek oraz podwójnego burgera z bekonem w Wave Rider. Mimo że mieszkał w Wirginii, Lou często jadał z nim posiłki, przy każdej sposobności zabierając ze sobą Emily. Firma stolarska Welcome'a seniora znów miała przerwę między jednym a drugim zleceniem, a jej właściciel nie odróżniał samotności od przymusowego odosobnienia, więc Lou się ucieszył, że ich spotkanie wypadło akurat podczas weekendu z Emily. Zaproszenie na lunch od ojca, choć na pozór nie w porę, dawało chwilę wytchnienia od wyjątkowo stresujących kilku dni.

W barze Wave Rider stylizowanym na lokal dla surferów, który rzadko gościł prawdziwego surfera, panował sympatyczny ruch. Wszystkie dwanaście płaskich ekranów wyświetlało jakiś program sportowy z ESPN. Dennis, wyróżniający się szpakowatym językiem, wstał od stołu, przy którym zwykle siadywał, i pomachał do Lou i Emily, ledwie przekroczyli próg. Miał na sobie wyblakłe džinsy, zakurzone buty robocze i flanelową koszulę ze swojej bogatej kolekcji – tego dnia czerwoną.

– Dziadku! – pisnęła Emily i lawirując między kelnerkami i klientami, sprintem pomknęła prosto w krzepkie ramiona Dennisa.

– Jak się masz, tato? – zapytał Lou.

– Och, świetnie, świetnie – odrzekł Dennis, stukając kostkami palców w czubek głowy Emily. – No dobra, dość tych pogaduszek. Kiszki mi grają bojowego marsza.

– Wiesz, naprawdę mają tu duży wybór dobrych rzeczy – powiedział Lou. – Krążą plotki, że podwójny burger z bekonem być może nie należy do najzdrowszych dań.

– Bluźnierstwo! – huknął Dennis, spoglądając na Emily i szukając u niej potwierdzenia.

– Postaw tatę przed sądem za zdradę kulinarną – poradziła Emily.

– Proponowałbym raczej, żebyś poświęcił trochę czasu i poczytał co nieco o arteriosklerozie – rzekł Lou.

– A ja bym proponowała, żebyś poświęcił trochę czasu na zacerowanie koszuli. – Wskazała dwucentymetrowe rozdarcie tuż nad paskiem Lou.

– Multik – jęknął.

– Co? – zdziwił się Dennis.

– Multik to mój nowy kot – wyjaśniła Emily, nie unosząc wzroku znad menu. – Nie bardzo układa mu się z tatą.

– Masz kota? Kto go tak nazwał?

Emily wycelowała kciuk we własną pierś.

– Na cześć mojej misji, żeby wprowadzić wielokulturowość do Szkoły Carlisle. Chciałam się przeprowadzić do taty, ale mama nie pozwoliła, więc sprawiliśmy sobie kota.

– Czyli kiedy jesteś w Arlington, twój tato jest opiekunem Multika, czyli strażnikiem multikulturowości. Podoba mi się.

Lou wsunął palec w dziurę w koszuli.

– Doskonale układa mi się z kotem.

– To sarkazm – rzuciła Emily. – Multik nienawidzi taty, bo tato oskarża go o rzeczy, których nie mógłby zrobić.

– „Nienawidzi” to za mocne słowo – uznał Lou. – Wolałbym, żebyś go nie używała.

– Wolałbyś „gardzi”? „Nie cierpi”? „Nie znosi”? „Czuje odrazę, niechęć, awersję”?

– Wszystko jedno... Może „przystosowuje się”?

Emily podręcznikowo przewróciła oczami.

– Dobra. Multik przystosowuje się do awersji, którą ma do mojego taty.

Dobrze było usłyszeć śmiech Dennisa. Śmierć jego żony, która przed rokiem zmarła na raka, złamała mu ducha i była ciężkim ciosem dla nich wszystkich.

– Dziadku, możesz mi zamówić wegetariańskiego burgera, sałatkę i wodę gazowaną? – poprosiła Emily.

– A burger z bekonem? Myślałem, że je uwielbiasz.

– Zastanawia się nad przejściem na weganizm – wyjaśnił Lou.

– Już prawie jestem weganką – oświadczyła Emily. – Jeszcze rok i będę stuprocentową.

– Zawsze wyznaczasz sobie cele i zawsze je osiągasz – powiedział Dennis. – Właśnie to między innymi w tobie uwielbiam.

– Patrzcie! – zawołał Lou. – Dopisali do menu kotburgera.

– To nie jest śmieszne – mruknęła Emily.

Ludzie ze schroniska Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, z którego wzięli Multika, byli zachwyceni, że tak udało im się dobrać opiekunów. Dla Emily była to miłość od pierwszego mruczenia. W drodze do domu Multik, dwuletni kot w pomarańczowe i białe pręgi, o bursztynowych oczach, leżał zwinięty w kłębek na jej kolanach. Później gonił nitkę, trącał łapką kulkę papieru i drapał pazurkami zabawkę z kawałka wykładziny na patyku, którą Lou kupił w supermarkecie z akcesoriami dla zwierząt za czterdzieści dziewięć dolarów.

Kiedy jednak Lou odwiózł Emily do domu w Arlington i wrócił do domu, Multik stał się zupełnie innym kotem. Syczał, chował się pod łóżkiem i rzucał się z pazurami na nogi Lou, ilekroć strażnik multikulturowości przechodził przez salon. W pewnym momencie

urządził sobie fortecę na lodówce. Oczywiście kiedy w domu była Emily – albo ktokolwiek inny – kot był prawdziwym aniołem.

Lou przeglądał menu tak długo, że ojciec zaczął narzekać i zawołał kelnerkę, zmuszając syna do wyboru sałatki Cobba.

– Tak... podobno jesteś zamieszany w sprawę tego doktora, który zabił Colstona? – zapytał Dennis, kiedy kelnerka się oddaliła.

– Cii! – uciszył go Lou. – Nie tak głośno. Tato, to nie jest odpowiedni temat na rozmowę przy lunchu.

Emily przerwała pisanie SMS-a.

– Wiem, że kongresmen Colston został zamordowany przez zazdrosnego kochanka swojej żony – powiedziała, pokazując smartfon. – Można tu przeczytać wszystkie wiadomości. No i co, jesteś zamieszany?

– Dajcie spokój! – uciął Lou. – Oboje.

– Wczoraj rozmawiałem z twoim bratem i on uważa, że jesteś – ciągnął Dennis. – Mówił mi, że jeden z jego klientów jest powiązany z kimś ważnym, kto mu powiedział, że McHugh, zanim zastrzelił Colstona, był pod nadzorem OOL, bo miał problemy z piciem.

– Graham nie powinien rozpuszczać plotek – odparł Lou. – Umowa jest poufna i nie powinien nawet o niej rozmawiać z żadnym ze swoich obrzydliwie bogatych klientów.

– Jestem tylko ciekawy – rzekł Dennis. – Nie musisz się tak irytować.

– Nie irytuję się – zaprzeczył Lou.

– Troszkę się irytujesz, tato – powiedziała Emily.

– Możecie wreszcie przestać?

– Przestaliśmy. – Emily rozłożyła ręce.

– Przestaliśmy – zawtórował jej Dennis.

– To dobrze – odrzekł Lou.

Zapadła cisza, którą po niecałej minucie przerwał Dennis:

– I co, myślisz, że on to zrobił?

Lou uniósł rękę.

– Na litość boską! Dobra. Powiem. Przyznaję, że znam Gary’ego McHugh. Poprosił mnie o pomoc, chciał, żebym sprawdził, czy ktoś inny niż on miał powody życzyć śmierci Eliasowi Colstonowi.

– I sprawdziłeś? – spytała Emily.

– Pracuję nad tym, ale adwokatka Gary’ego McHugh, Sarah Cooper, dość dynamiczna osoba, chce, żebym przestał wtrącać się do sprawy. Uważa, że tylko jej przeszkadzam.

– Sarah Cooper! – wykrzyknął Dennis. – Ta z procesu Sandry Winkler?

– Właśnie ona.

Lou wyjaśnił Emily, o co chodziło w sprawie Winkler. Nie zdziwił się, że córka знаła już parę szczegółów.

– Wygląda na to, że ta Sarah Cooper jest na ciebie mocno wkurzona – zauważył Dennis, gdy jego syn skończył.

– Jeżeli przez „wkurzona” rozumiesz to, że nie ma ochoty współpracować i odnosi się do mnie nieprzyjaźnie, to tak, rzeczywiście jest wkurzona.

– Wiesz, dlaczego tak się na ciebie wścieka? – zapytała Emily.

– Nie bardzo. Trafiłem na coś, co, moim zdaniem, mogłoby pomóc w sprawie McHugh, ale zamiast przekazać to jej, oddałem policji. A teraz wygląda na to, że gdzieś się zawieruszyło.

– Nic dziwnego, że się denerwuje – rzekł Dennis.

– Właściwie drażniłem ją od naszego pierwszego spotkania.

– Najpierw kot, teraz ta prawniczka – powiedział Dennis. – Może powinienes zmienić dezodorant.

Na szczęście przyniesiono zamówione dania, co uratowało Lou od odpowiedzi. Przez większą część posiłku Emily była czymś zajęta. Jadła, potem robiła coś z telefonem, po czym wracała do jedzenia.

– Mam na oku nową inwestycję – poinformował ich Dennis między kolejnymi kęsami hamburgera.

– Już nie firma wymiany okien?

– Nie. Gospodarka leci na łeb, na szyję, więc ludzie nie robią już tylu remontów co kiedyś.

– No więc co to będzie tym razem?

– Gry online – oznajmił Dennis.

– Gry online?

– Firma z Polski. Pracuje nad trzema grami. Na przebój zapowiadają się dwie, wirtualna hodowla ryb i wirtualna kopalnia złota.

– Wirtualna hodowla ryb?

Lou był daleki od niedowierzania. Odkąd sięgał pamięcią, ojciec zawsze szukał wielkiego zysku i nigdy nie znalazł. Raz wydał wszystkie pieniądze, które odłożył na czesne na college dla Grahama, i zwrócił się do Lou z prośbą, żeby poratował go finansowo. Być może młodszy z braci Welcome nigdy się tego nie dowie, ale amfetamina, którą Lou zaczął brać, aby wytrzymać pracę na kilku etatach, i alkohol, który miał mu pomóc zwolnić obroty, doprowadziły go do zawieszenia prawa wykonywania zawodu lekarza. Z drugiej strony, doprowadziły również do późniejszego wyjścia z uzależnienia.

– Graham już przegląda ich prospekty – dodał Dennis. – Kłopot w tym, że są po polsku.

– Zaczekam na jego ocenę. – Lou wiedział, że w odróżnieniu od niefrasobliwego ojca Graham wydaje pieniądze nadzwyczaj ostrożnie.

– Twoja strata, synu. Mógłbyś mi podać serwetkę?

– Ach, to tu ją boli! – krzyknęła nagle Emily.

– Kogo boli? – zdumiał się Lou.

– Sarah Cooper.

– O czym ty mówisz?

- Próbowałeś ją wygooglować?
- Nie przyszło mi to do głowy.
- Masz tu wszystko. Jej mąż umarł i pozwała jego lekarza. Zresztą wygrała. W jednym artykule piszą, że sześć milionów dolarów.
- Myślałem, że piszesz SMS-y do koleżanek, a nie czytasz artykuły.
- Może nie uwierzysz, ale mogę robić jedno i drugie jednocześnie. Wszystkie dzieciaki to potrafią. Próbowałam ci tylko pomóc. Popatrz, sam przeczytaj.

Emily podała mu smartfona, w którym otworzyła w przeglądarce Safari artykuł sprzed pięciu lat z niedzielnego wydania „Washington Post”. Według obszernego i szczegółowego tekstu, David Cooper, adwokat i niestrudzony obrońca bezdomnych z Waszyngtonu, przez kilka miesięcy skarżył się na bóle głowy. Światowej sławy neurolog, do którego się zgłosił, zdiagnozował migrenę, chociaż Sarah utrzymywała, że jej męża nigdy wcześniej nie bolała głowa i nie trapiła go żadna choroba. David, alpinista i kajakarz, sugerował lekarzowi, że odczuwa ból bardziej w szyi niż w głowie. Cytowano słowa Sarah, która mówiła, że ilekroć masowała mężowi kark, uskarżał się na ból głowy.

Mimo ich niepokojów, neurolog, którego Sarah nazwała „arogantem nie do zniesienia”, nie skierował pacjenta na rezonans magnetyczny szyjnego odcinka kręgosłupa ani na inne badania. Nie zgodził się też na konsultację przypadku z ortopedą ani neurochirurgiem i dalej przepisywał środki przeciwzapalne i fizykoterapię. Pewnego ranka dręczony coraz większym bólem David obudził się, gwałtownie odwrócił głowę i częściowo uszkodził rdzeń kręgowy, doznając paraliżu od szyi w dół. Po dwóch latach żałostnego wegetowania z respiratorem David Cooper zmarł. Ława przysięgłych rozpatrująca sprawę o pomyłkę lekarską orzekła, że

staranniejszy wywiad pozwoliłby neurologowi przeprowadzić ratującą życie operację usztywnienia kręgow.

Wstrząśnięty relacją z tej tragedii Lou oddał córce telefon.

– Ona nic do ciebie nie ma, tato – powiedziała jego córka. – Jest cięta na lekarzy.

ROZDZIAŁ 19

Bucky Townsend i Fenton Morales stuknęli się butelkami budweisera i wznieśli toast za swoje powodzenie. Obaj marines nie po raz pierwszy spędzali wieczór w Willows, lecz dziś trafił się szczególny powód do świętowania. Mieli powody, by pić, wznosić radosne okrzyki i triumfalnie walić się w pierś. Major Charles Coon dał każdemu z nich słowo, że nie są już finalistami, spośród których zostaną wyłonieni uczestnicy operacji Pazur. Zostali zakwalifikowani.

Choć żaden z nich niewiele wiedział o celu tej misji, liczyło się tylko tyle, że jest ważna dla interesu narodowego i bezpieczeństwa Ameryki. Od pewnego czasu kompania Mantis nie miała innych priorytetów poza operacją Pazur – lecz jej szczegóły odgrywały drugorzędną rolę.

– Właśnie dlatego wstąpiliśmy do marines – powiedział Morales, pociągając następny łyk.

– Daj spokój, właśnie dlatego wybraliśmy Mantis – sprostował Townsend.

– No, ale ciągle nie mogę uwierzyć, że ci się udało. Kurczę, Okie z Muskogee. Zwykły synek z Oklahomy.

– I sukinsynek na dokładkę.

– Za Pazur i za naszą obłądną przyszłość.

– Za Pazur – zawtórował Townsend.

– Za Mantis i szansę, żeby naprawdę wszystko zmienić.

Znów tręcili się szyjkami butelek i na wyścigi wychylili piwa do dna. Townsend stuknął pustą butelką o blat sekundę przed Moralesem.

– Ten synek z Muskogee wie, co się robi z browarem, *compadre*. Pamiętaj o tym.

Śmiech Moralesa zabrzmiał szczerze i serdecznie. Zamówili następną kolejkę, potem jeszcze jedną. Godzinę później Morales spojrzął na zegarek.

– Powinniśmy iść – powiedział.

Z szafy grającej buchnął kawałek Stonesów, a Townsend przyglądał się, jak napływają nowi ludzie z bazy, a za nimi parę dziewczyn z miasta ubranych w sukienki o wiele za krótkie jak na chłód panujący na zewnątrz.

– Czemu chcesz iść, stary? – zapytał. – Przecież noc jeszcze młoda. – Wymienił uśmiech z długonogą brunetką w niebieskiej sukience z cekinami.

Morales spojrzął na niego ostrzegawczo.

– Chcesz, żeby Coon pomyślał, że bardziej interesuje cię chłanie i panienki niż misja? – zapytał. – Facet jest jak ninja, wszędzie w tym samym czasie. Trzeba do tego podchodzić poważnie, stary. Dawać przykład. Nie jesteśmy już po prostu Mantis, weszliśmy do Pazura.

Townsend posłał ostatnie tęskne spojrzenie ognistej brunetce. Potem z głośnym westchnieniem odsunął stołek i wstał. Morales zrobił to samo.

– Gotowi na wszystko – rzekł żałosnym tonem Townsend.

Morales otoczył kolegę ramieniem i zaprowadził do drzwi.

– Gotowi na wszystko – powtórzył, chichocząc pod nosem.

Za progiem owionął Townsenda zimowy wiatr. Rana postrzałowa w boku goiła się szybko, zgodnie z obietnicą Coona, ale w chłodzie dawała mu się we znaki. Mimo to Townsendowi ani razu nie przyszło

do głowy wspominać o nietypowych formach szkolenia pułkownika Brody'ego i majora Coona w rozmowach z rodziną ani nawet z młodszym bratem Terrym, jego najbliższym przyjacielem. Gwardia Pałacowa nie byłaby zachwycona, gdyby ktoś miał zagrozić integralności Mantis. „Gotowi na wszystko” to nie było puste hasło; to był sposób na życie. Sposób Mantis.

– Dobrze, że mnie zabrałeś – powiedział, wydmuchując wirującą smugę pary w mrok. – Zaczynało mi już szumieć w głowie. Nie pamiętam nawet, gdzie zaparkowaliśmy.

– Kawaleczek stąd, tu. – Morales wskazał boczną uliczkę za barem. Kiedy skręcili za róg, rozbłysły długie światła, na moment ich oślepiając. Usłyszeli ryk uruchamianego silnika, a potem jazgot opon usiłujących złapać przyczepność na zmrożonej jezdni. Alkohol zwolnił czas ich reakcji. Pomalowana na biało furgonetka zatrzymała się z piskiem hamulców obok nich i rozsunęły się boczne drzwi.

Z samochodu wyskoczyło czterech mężczyzn ubranych na czarno, z twarzami przysłoniętymi nakryciami głowy, które Townsend kojarzył przede wszystkim z Al-Kaidą. Uzbrojeni po zęby ludzie wciągnęli Townsenda i Moralesa do furgonetki jak worki z praniem. Czekający w środku dwaj inni przystawili im do podbródków lufy karabinków szturmowych. Samochód wyjechał na ulicę i skręcił za róg z takim impetem, że drzwi same się zatrasnęły.

Świat Townsenda pogrążył się w mroku, gdy usta zaklejono mu ciasno taśmą izolacyjną, a na głowę naciągnięto cuchnący stęchlizną kaptur. Próbował go strząsnąć, ale szybko zawiązano mu go na szyi. W pamięci przemknął mu tylko film wideo, który oglądał jego pluton; pokazywano w nim, że takie kaptury nakłada się jeńcom tuż przed ścięciem głowy. Po chwili poczuł plastikowe kajdanki, które boleśnie wpiły mu się w nadgarstki. Czuł, że Morales leży blisko niego, ale porywacze nie pozwalali im się dotknąć.

Furgonetka pędziła dość gładką szosą przez trudny do ustalenia czas, być może pół godziny. Potem zwolniła i wjechała na nierówną drogę, a Townsend wraz z całym samochodem zaczął podskakiwać na wybojach. Usłyszał, jak mężczyźni krzyczą coś do siebie po arabsku.

Chcą mnie zabić? Torturować? Sfilmować moje zeznanie i wrzucić do internetu, żeby wszyscy się dowiedzieli, że popieram jakieś cele dżihadu?

Oddychał powoli przez nos. Nie miał pojęcia, co czeka jego i Moralesa. Wiedział tylko, ponad wszelką wątpliwość, że wszystko jedno, co to będzie, nie boi się tego.



Wciąż z workiem na głowie Townsend spokojnie pozwolił się zaprowadzić do tak zimnego pomieszczenia, że można by w nim było przechowywać mięso. Powiedział sobie, że będzie czas, pewnie już niedługo, by zacząć się szamotać i utrudnić im robotę. Zanim jednak zdążył zareagować, rozcięli mu plastikowe kajdanki, zdarli koszulę i pchnęli na twarde drewniane krzesło. W ciągu paru sekund przywiązali mu kostki do nóg krzesła, a nadgarstki do oparc. Wreszcie zdjęli mu kaptur.

Townsend potrzebował minuty, aby w pełni odzyskać wzrok. Razem z Moralesem zostali przywiązani do dwóch identycznych krzeseł, w pustym pomieszczeniu bez okien, o powierzchni mniej więcej trzy na trzy metry, oświetlonym jedną gołą żarówką. Obaj byli rozebrani do podkoszulków, wciąż jednak mieli na sobie spodnie polowe i czarne buty.

Do pomieszczenia wcisnęli się trzej mężczyźni, dołączając do dwóch strażników. Mieli zasłonięte twarze i głowy z wyjątkiem wąskich szpar nad chustą, przez które spoglądały gadzie oczy.

Townsend zdołał dostrzec, że mają ciemną skórę, co potwierdziło jego podejrzenia, że ich porywacze to arabscy terroryści. Piąty z nich, w turbanie, lecz bez chusty, miał ostre rysy zamaskowane gęstą czarną brodą. Obrzucił Townsenda i Moralesa taksującym spojrzeniem, jak gdyby patrzył na owce idące na rzeź.

– Co to jest operacja Pazur? – zapytał niemal nienaganną angielszczyzną.

Są z jakiejś uśpionej komórki? – zastanawiał się Townsend. Jak długo ukrywają się nam pod nosem? Ile już wiedzą?

– Nazywam się sierżant Bucky Townsend. Jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Townsend uzyskał prawie same celujące oceny w szkole POR – Przetrwania, Oporu i Ratunku. Wiedział, jak się zachować podczas przesłuchania. Dopóki istniała możliwość, że zaczną mówić, nic im nie groziło – oczywiście nic z wyjątkiem tortur.

– Co to jest operacja Pazur? – powtórzył mężczyzna, tym razem zwracając się do Moralesa.

– Nazywam się sierżant Fenton Morales. Jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Mężczyzna niemrawo pokiwał głową, spoglądając na obu żołnierzy z zupełną obojętnością. Odwrócił się plecami do zakładników, a gdy znów na nich popatrzył, trzymał w ręku pistolet, w którym Townsend rozpoznał glocka 19, wyprostował rękę, trzymając ją sztywno jak stalową belkę, i skierował lufę w stronę głowy Moralesa.

– Ostatnia szansa, sierżancie Morales – powiedział całkowicie bezbarwnym głosem. – Co to jest operacja Pazur? Kiedy ma się odbyć?

– Nazywam się sierżant Fenton Morales. Jestem...

Przerwał mu ogłuszający huk, a potem błysk światła i gryzący zapach prochu. W tym samym momencie głowa Moralesa gwałtownie odskoczyła do tyłu. Pocisk przeszył jego czaszkę. Na ścianę bryznęła

krew, mózg i odłamki kości, tworząc groteskowy kolisty czerwono-biały wzór. Morales osunął się bezwładnie na krzesło, a z dziury zięjącej pośrodku jego czoła wciąż płynęła krew. Townsend patrzył na kolegę szeroko otwartymi oczami.

Gotowy na wszystko, powtarzał sobie w duchu. Gotowy na wszystko... Gotowy na wszystko...

Zrobiło mu się niedobrze, lecz nie ogarnęła go panika. Zabije tych ludzi albo oni zabiją jego, ale nie ma mowy, żeby usłyszeli od niego choć jedno słowo o operacji Pazur. Morales to miała być dla niego lekcja – ostrzeżenie, że albo będzie współpracować, albo zginie. Ale on nie był gotowy współpracować... Nigdy!

– No, co to jest operacja Pazur?

– Odpierdol się. – Nieruchomym wzrokiem patrzył prosto przed siebie.

Przywódca porywaczy z wściekłością uderzył go w twarz, a potem dał znak, żeby zabrać zwłoki Moralesa. Dwaj strażnicy rozcięli więzy. Kiedy wlekli ciało po podłodze, ciągnąc za podkoszulek, jego gumowe obcasy zostawiały na szarym linoleum długie smugi. Bucky Townsend zacisnął szczęki. Myślał tylko o tym, żeby zmierzyć się chociaż z jednym z nich. Tylko z jednym.

Przywódca kazał pozostałym wyjść, po czym sam ruszył za nimi i cicho zamknął za sobą drzwi. Gdy po dłuższej chwili wrócił, pchał stalowy wózek pełen przeróżnych instrumentów. Większość z nich Townsend poznał, ale przeznaczenie części z nich stanowiło dla niego zagadkę.

– Co to jest operacja Pazur? – zapytał mężczyzna.

– Nazywam się...

Uniósł rękę, przerywając Townsendowi w pół słowa.

– Bucky – powiedział, kucając, aby ich oczy znalazły się na tym samym poziomie. – Nazywam się Abdullah i wolałbym nie robić ci

krzywdy, ale potrzebuję od ciebie informacji i zrobię ci krzywdę, żeby ją zdobyć. Rozumiesz?

– Tak – odparł Townsend. – Rozumiem. Słuchaj no, Abdullah, zdejmij mi te sznury z rąk i daj mi swojego glocka. Tylko na chwilę.

– Zawiążę ci teraz oczy, Bucky. Zacznę chodzić dookoła krzesła i będziesz słyszał moje kroki. W ręce będę trzymał to. – Abdullah wziął młotek z kulistym noskiem i pokazał Townsendowi. – Uderzę cię nim – powiedział. – Może w kolano, w łokieć, w szyję. Nie będziesz wiedział, kiedy cię uderzę ani gdzie, nie będziesz wiedział, że cios zaraz padnie. Możesz uniknąć tych nieprzyjemności, jeżeli odpowiesz na moje pytanie. Czyli co to jest operacja Pazur i kiedy się odbędzie?

Townsend rozszerzył nozdrza, utkwivszy wzrok w młotku, który lekko postukiwał w mięsistą dłoń Abdullaha.

– Nazywam się Bucky Townsend...

Znów otoczyła go ciemność, kiedy tamten zasłonił mu oczy opaską z tkaniny i mocno zawiązał ją z tyłu. Po chwili, zgodnie z zapowiedzią, rozległy się kroki wokół krzesła.

Wdech i wydech... wdech... wydech... gotowy na wszystko.

Kroki umilkły, a Townsend przygotował się na ból, wciągając do płuc powietrze. Czekał... i czekał. Nic. Znów usłyszał stukot butów; krążyły i krążyły.

– Nie musisz umierać jak twój kumpel Morales. Nie musisz znosić straszego bólu, który cię czeka. Powiesz mi o operacji Pazur i będziesz wolny.

– Odpierdol się.

Nadal słyszał stąpanie, które znów ucichło, tym razem z lewej strony. Poczul, jak obuch młotka odbija się od jego kolana, choć z niewielką siłą. Przygotował się na uderzenie. Wiedział, że to będzie niewyobrażalny ból.

Jestem Okie z Muskogee i dumny jestem z tego...

– Pytam ostatni raz. Co to jest operacja Pazur? Kiedy ma się odbyć?

Townsend zeszywniał i wyrzucił z siebie stek przekleństw. Myślał tylko o tym, że umrze z taką klasą i odwagą jak Morales. Każdy żołnierz Mantis będzie z niego dumny.

W tym momencie zamiast spodziewanego bólu Townsend poczuł, jak rozluźnia się opaska. Kiedy oczy przyzwyczyły się do światła, rozejrzał się i wrzasnął. Na krześle obok niego z mistrzowsko wykonaną raną postrzałową pośrodku czoła siedział rozpromieniony w uśmiechu Fenton Morales.

– Co...

– Świetnie poszło, stary – rzekł Morales. – Wiedziałem, że dasz radę.

Otworzyły się drzwi po lewej i do niewielkiego pomieszczenia wkroczył major Charles Coon, a za nim tyczkowaty trzydziestokilkuletni mężczyzna w poplamionym farbą mundurze polowym.

Coon uśmiechał się jeszcze radośniej niż Morales.

– Sierzancie Townsend, oto sierżant Brett Coughlin, najlepszy iluzjonista i charakteryzator w całej armii. Korzystamy z jego umiejętności w tego typu zadaniach. Ten kierowany strumień krwi z drobinami kości to majstersztyk, pieprzony majstersztyk.

Coughlin skinął głową Coonowi, a potem Townsendowi. Następnie zabrał się do odklejania rany z czoła Moralesa.

– Sukinsyn – zdołał tylko wykrztusić Townsend. – Cholerny sukinsyn, niech go szlag.

Wysoki mężczyzna, który przedstawił się jako Abdullah, rozciął mu więzy ostrym jak brzytwa dwudziestocentymetrowym nożem bojowym Bowie. Następnie pomógł mu wstać.

– Rozkaz to rozkaz – oznajmił obojętnym tonem, odklejając sztuczną brodę, spod której ukazała się twarz jednego z członków

Gwardii Pałacowej.

Wreszcie Townsend wszystko zrozumiał. To był ostatni test do operacji Pazur. Innych dopiero czekał pokaz magii w wykonaniu Bretta Coughlina albo już go widzieli. Ale on miał to już za sobą.

Coon ciężko położył dłoń na ramieniu Townsenda.

– Dobrze sobie poradziłeś – pochwalił go. – Cholernie dobrze.

Gestem wezwał do pomieszczenia siwiejącego mężczyznę, w którym Townsend rozpoznał naczelnego lekarza Coona. Doktor miał przed sobą otwartego laptopa.

– Tym razem czynności życiowe dużo poniżej zakładanych poziomów – oznajmił. – Był w zasadzie spokojny, prawie senny. Tętno, napięcie mięśniowe, poziom tlenu, wszystko. To dość niezwykle. Chyba trafiliśmy.

Coon skinął głową.

– Sierżancie Bucky Townsend, z przyjemnością informuję, że oficjalnie został pan przyjęty do zespołu operacji Pazur.

– Dziękuję, panie majorze. – Townsend wyprężył się na baczność. – Nie zawiedzie się pan.

Coon przygładził mundur.

– Na pewno się nie zawiodę – odparł. – Mógłbym się założyć o własną karierę.

ROZDZIAŁ 20

Lou wziął długopis i otworzył żółty notatnik na pustej stronie. Siedział przy stole w kuchni z kubkiem parującego kakao i wyglądał trochę jak ugrzeczniiony i gładko przyczesany powieściopisarz w reklamie kawy. Zaczął od kilku słów, które pamiętał z początku rozmowy między Eliaszem Colstonem a Hectorem.

Cześć, Hector.

A może to Hector pierwszy się przywitał?

Lou wydarł kartkę i zaczął jeszcze raz.

Podczas nowej próby z każdą minutą robiło mu się coraz bardziej głupio, że nie zaczekał i pognał z płytą prosto na policję, zamiast przekazać ją Sarah. „Arogant!” Według znalezionej przez Emily artykułu właśnie to słowo od kilku lat było dla Sarah synonimem lekarza. Teraz miała chyba dobry powód, by znów go użyć – Lou okazał się na tyle bezczelny, by wierzyć, że potrafi sobie przypomnieć słowo w słowo fragmenty rozmowy. Kolejna próba, kolejna zmięta kartka żółtego papieru w linie. Po prostu nie słuchał nagrania aż tak uważnie i tyle razy, by jakiś szczegół wrył mu się głęboko w pamięć. Boże, nie cierpiał się mylić.

Dlatego prawnicy nigdy nie mówią niczego istotnego bez stenografa, który wszystko zapisuje.

Czy Sarah przypadkiem się nie uśmiechnęła, kiedy mu to mówiła?

Przy czwartej próbie Lou przyjął zupełnie inną metodę; notował słowa, zwroty i zapamiętane szczegóły na zasadzie swobodnych

skojarzeń.

Dawno się nie widzieli...

Zamówili kanapki...

Spotkali się na prośbę pułkownika Brody'ego...

Colston chciał obciąć fundusze Mantis...

Gwardia Pałacowa... twardziele, którzy zawsze są blisko pułkownika...

Słyszałeś kiedyś o magazynie broni Reddy Creek?

Nie wiem nic o żadnym magazynie broni.

Padło też coś o jakimś blogu.

Lou odłożył długopis. Nie była to bynajmniej szczegółowa relacja, o jaką chodziło Sarah. Nie chciał dawać jej nowego powodu do rozczarowania lekarzami, lecz jego wysiłki okazały się bezowocne. Mógł jedynie liczyć na to, że detektyw Bryzinski odnajdzie płytę. Gdy poszedł wziąć parę marchewek i łydzy selera naciowego, dostrzegł Multika, który czuwał na posterunku w swoim forcie na lodówce. Kot miauknął, a potem syknął. Przez chwilę Lou zdawało się, że na niego skoczy.

– Daj spokój, ważniaku, bądźmy przyjaciółmi.

Otworzył puszkę karmy dla kotów kupioną w supermarkecie Whole Foods za cenę, jaką zapłaciłby za posiłek dla siebie w restauracji. Multik przypatrywał mu się, dopóki Lou nie zasiadł z powrotem nad notatnikiem, i dopiero wtedy zeskoczył na blat, a potem na podłogę i zaczął wcinać.

Grzeczna kicia.

Po następnych dwóch stronach Lou w końcu przyznał się do porażki. Musiał znaleźć jakiś inny sposób.

– Jak myślisz, stary? – zwrócił się do kota. – Powinienem spróbować odnaleźć tego Hectora?

Na dźwięk głosu Lou Multik odwrócił łeb w jego stronę, oblizał wargi i miauknął.

– Rozumiem, że to odpowiedź twierdząca.

Lou podszedł do telefonu przy kanapie. Jeannine Colston odebrała po drugim dzwonku. Odniósł wrażenie, jak gdyby spała albo płakała, a może jedno i drugie. Wiele spraw będzie się musiało ułożyć, zanim ta kobieta znów uzna, że życie ma jednak sens.

– Kiedy rozglądałem się po gabinecie Eliasa, coś znalazłem – powiedział Lou. – To była płyta, prawdopodobnie nagrana potajemnie, z zapisem rozmowy między pani mężem a jakimś żołnierzem o imieniu Hector.

– Hector Rodriguez? Przyjaciel Marka?

– Zdaje się, że właśnie z nim rozmawiał pan Colston.

– Dziwne – uznała Jeannine. – Po co Elias miałby to robić?

– Pułkownik Wyatt Brody, dowódca Mantis, polecił Hectorowi, żeby się z nim umówił. Wydaje mi się, że pani mąż chciał mieć zapis tej rozmowy, bo wiedział, o czym będą mówić.

– Czyli o czym? – zapytała Jeannine.

– O kontrowersyjnym stanowisku pani męża w sprawie ograniczania środków na wojsko, w szczególności na kompanię Mantis. Chciał dalej ciąć wydatki, a Brody wykorzystał najbliższego przyjaciela Marka, żeby nakłonić pana Colstona do zmiany stanowiska.

– Uważam, że powinien mi pan o tym od razu powiedzieć, doktorze Welcome. – Po raz pierwszy w jej głosie zabrzmiał bardziej energiczny ton.

Lou wiedział, że Jeannine ma rację.

– Przepraszam. Kiedy znalazłem płytę za ramką z Medalem Honoru Marka, pani spała. Dowiedziałem się, co to jest, dopiero wtedy, gdy odsłuchałem jej po wyjściu. Wydawało mi się, że nagranie powinno trafić w ręce policji, więc zawiozłem je na komendę.

W słuchawce zapadła długa cisza i Lou zaczął się obawiać, że wdowa zaraz wybuchnie. Po przejściach z Sarah Cooper był oczywiście przygotowany na taką ewentualność.

W końcu jednak Jeannine tylko westchnęła.

– Muszę uwierzyć panu na słowo, doktorze – powiedziała. – Wiem, że miał pan za zadanie oczyścić Gary’ego z zarzutów. Ale wolałabym, żeby odtąd informował mnie pan o swoich odkryciach.

– Rozumiem. Proszę mi wierzyć, chcę się upewnić, że osoba, która ostatecznie stanie przed sądem i zostanie skazana za morderstwo pani męża, będzie naprawdę sprawcą. Jeżeli to Gary, niech on stanie przed sądem.

– W takim razie powiem panu, że jeśli Wyatt Brody sądził, że uda mu się w jakikolwiek sposób zmienić mojego męża, to niezbyt dobrze go znał. Elias może i miał swoje wady, ale był ewenementem wśród polityków. Wybrano go jako republikanina, ale był naprawdę niezależny. Nigdy nie ulegał wpływowi lobbystów, swojej partii, a czasami nawet własnym wyborcom. Świcił triumfy w głosowaniach i na Kapitolu dzięki temu, że przestrzegał trzech prostych zasad: uczciwości, jawności i słuszności celów.

– Był dobrym człowiekiem – podsumował Lou.

Jeannine znów umilkła, najwyraźniej próbując odzyskać panowanie nad sobą. W tym czasie Multik skończył jeść, wyszedł z kuchni, a chwilę później cichutko wymknął się z sypialni, wyniósł jedną skarpetkę Lou i szybko ukrył ją za pudełkami płatków na lodówce.

Przepadła na zawsze, pomyślał Lou, zastanawiając się, czy nie uzbroić się w krzesło i sprawdzić, co jeszcze kocur tam zamelinował.

– Tak, był dobrym człowiekiem – zgodziła się Jeannine. – Popełniłam błąd.

– Być może. Ale nie sądzę, żeby ktokolwiek miał prawo to osądzać. Na pewno miała pani swoje powody. Serce człowieka jest bardzo złożone, a jako przyjaciel Gary’ego od wielu lat wiem, ile potrafi mieć czaru i charyzmy.

– Miło z pana strony, że pan tak mówi.

– No więc czy mąż kiedykolwiek rozmawiał z panią o Wyattcie Brodym?

– Nie, nigdy, ale nie rozmawialiśmy o polityce tak często, jak pan być może przypuszcza. Czego pan teraz potrzebuje?

– Muszę się w jakiś sposób skontaktować z Hectorem.

– Załatwię to panu. Proszę powiedzieć, jak to się stało, że policjanci to przeoczyli?

– Prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby poświęcili poszukiwaniom szczególną uwagę. Mieli swoją hipotezę i po prostu szukali dowodów, które by do niej pasowały.

– I wierzy pan, że to nagranie może mieć jakiś związek z morderstwem Eliasa?

– Niczego nie można wykluczyć. Będę mógł pani powiedzieć więcej, kiedy porozmawiam z Hectorem, mam nadzieję, że osobiście.

Jeannine odnalazła notes z adresami i przeczytała dwa numery.

– Nie wiem, czy łatwo będzie się z nim skontaktować. Elias nigdy mi tego nie mówił, ale zdaje się, że Hector jest jeszcze w czynnej służbie w marines. Jeżeli pan sobie życzy, spróbuję go znaleźć i uprzedzić, że chce pan z nim rozmawiać.

– Byłoby świetnie, jeśli to dla pani nie kłopot.

– Chcę tego samego co pan, doktorze Welcome, sprawiedliwości dla mojego męża. Pomyślałam właśnie, że powinien pan znać jeszcze jeden numer. Steve’a Papavassiliou... nazywamy go Papa Steve. Pracuje teraz jako specjalista uzbrojenia w Mantis, ale być może został tam przeniesiony z innej jednostki.

– Papa Steve?

– Jest... był najlepszym przyjacielem Eliasa i ojcem chrzestnym Marka. Służył z moim mężem w marines. Elias opowiadał, że Papa Steve potrafi wysadzić w powietrze musze czułki i pozostawić ją przy życiu. Byli jak bracia. Jeżeli Elias rozmawiał z kimkolwiek o Wyattcie Brodym, to na pewno z Papą Steve'em.

Podala Lou numer Papy Steve'a i obiecała, że od razu zadzwoni do Hectora.

– Jeszcze jedno – rzekł Lou. – Czy pani mąż wspominał kiedyś o klinice Pine Forest?

– Nie przypominam sobie. Co to za miejsce?

– Sądząc po logo, jakaś klinika w Shockley w stanie Minnesota. W górnej szufladzie biurka pani męża znalazłem pustą kopertę zaadresowaną do niejakiego Jamesa Stylesa na skrytkę pocztową w Bowie.

– W Bowie w Marylandzie?

– Owszem. Jako adres zwrotny podano tę klinikę w Minnesocie.

– Nie mam pojęcia. Gdybym coś sobie przypomniała, dam panu znać.

Powtórzywszy obietnicę, że postara się skontaktować z Hectorem Rodriguezem, Jeannine zakończyła rozmowę.

Lou zostawił wiadomość Papie Steve'owi. Słyszac chropawy głos, którym przywitała go poczta głosowa, pomyślał, że tak mógłby mówić Święty Mikołaj, gdyby woził w saniach bazookę i worek materiału wybuchowego C4. Kiedy wracał do stołu w kuchni, zza kanapy wypadł Multik i rzucił się na niego, jak gdyby ścigał go kojot, a Lou był pniem dębu. Starcie trwało zaledwie parę sekund, po których Lou zdołał wreszcie strząsnąć z siebie swoją nemezis, ale ból miał pozostać na znacznie dłużej.

Przeklinając pod nosem, podwinął nogawkę, osuszył krew z trzech równiutkich rządów wyżłobień, po czym przemył rany wodą z mydłem i zaaplikował sobie maść neosporin. Następnie do listy rzeczy do zrobienia przyklejonej na drzwiach lodówki dopisał zakup plastrów.

Dwadzieścia minut później zadzwonił telefon.

– Doktor Welcome – powiedział Lou, przypuszczając, że dzwoni Papa Steve, który odsłuchał jego wiadomość.

W słuchawce odezwał się młody, jak gdyby zaniepokojony głos:

– Nazywam się Hector Rodriguez. Niedawno dzwoniła do mnie matka Marka Colstona. Mówiła, że chce pan ze mną rozmawiać o morderstwie kongresmena Colstona.

Lou wyjaśnił, na czym polega jego rola w sprawie.

– Co to ma wspólnego ze mną? – zdziwił się Rodriguez.

– Elias Colston zanotował parę uwag w związku z rozmową, jaką z panem przeprowadził. Przypomina pan sobie spotkanie z nim w barze jakiś czas temu? Rozmawialiście na różne tematy, o Marku Colstonie, Wyatcie Brodym i jakiejś grupie, którą nazywaliście Gwardią Pałacową.

Lou zastanawiał się, czy powiedzieć mu, że rozmowa została nagrana, nie chciał jednak ryzykować i jeszcze bardziej go wystraszyć. Zwykle potrafił się zorientować, kiedy pacjent coś przed nim ukrywał, a teraz wyczuwał te same sygnały płynące od Hectora.

– Hm... tak, nie wiem, o czym pan mówi – odparł żołnierz po chwili nerwowego milczenia.

– Hectorze, mojemu przyjacielowi grozi dożywocie za przestępstwo, którego być może wcale nie popełnił. Wydaje mi się, że twoja rozmowa z panem Colstonem jest kluczem do wyjaśnienia tej sprawy. Posłuchaj, przyjadę, żeby z tobą porozmawiać. Wystarczy, jeżeli poświęcisz mi godzinę swojego czasu.

Lou wstrzymał oddech, a Hector znów umilkł.

– Godzinę – powiedział wreszcie. – I ani minuty dłużej.

ROZDZIAŁ 21

Lou zakończył całonocny dyżur na oddziale ratunkowym, po którym jeszcze przez trzy godziny zastępował jednego z lekarzy cierpiącego na jakieś żołądkowo-jelitowe paskudztwo. Ryzyko zawodowe. W końcu dowlókł się do dyżurki i runął twarzą na proste wąskie łóżko. Tego dnia, jeśli dobrze zapamiętał, dręczył go koszmar z kotami w roli głównej.

Kiedy o pierwszej po południu rozległ się dźwięk budzika, Lou ocknął się zupełnie zdezorientowany, z bólem brzucha prawdopodobnie takim jak u lekarza, którego wcześniej zastępował. W mięśniach czworobocznym czuł zgrubienie wielkości piłki golfowej, piasek spod powiek nie chciał się zmyć. Typowe objawy po nocnym dyżurze na ratunkowym, równie znajome jak oddychanie.

Lou wstąpił do szpitalnego Starbucksa na filiżankę paliwa na drogę, jak nazywał espresso macchiato. Następnie skierował się na parking dla lekarzy, pośrodku szpitalnego kompleksu, między kilkunastoma budynkami, z których połowa była przestarzała, a połowa w budowie.

Zanim wyruszył z parkingu w czterogodzinną podróż do Hayes w Wirginii Zachodniej, zadzwonił do domu, pragnąc w duchu usłyszeć jakąś wiadomość pozostawioną na sekretarce przez detektywa Chrisa Bryzinskiego z prośbą, aby wstąpił na komendę i odebrał znaną płytę. Nic z tego. Pogarda Sarah i wyrzuty Jeannine Colston były dla niego sygnałem, że nie jest w szczytowej formie. Lata trzeźwości dały

mu wiele bezcennych lekcji, wciąż jednak uparcie dążył do perfekcji, nie akceptując u siebie żadnych niedoskonałości.

Ale detektyw się nie nagrał.

Przy całkiem znośnym ruchu Lou wyjechał z miasta i ruszył w stronę gór Monongahela, pasma należącego do łańcucha Appalachów, rozciągającego się po obu stronach granicy między Wirginią a Wirginią Zachodnią. Ze zmęczeniem pomagała mu walczyć płyta Talking Heads oraz myśl o spotkaniu oko w oko z Hectorem Rodriguezem.

Czy Hector będzie sobie potrafił przypomnieć tyle szczegółów z rozmowy sprzed paru lat, żeby zadowolić Sarah? Lou miał co do tego wątpliwości. Zastanawiał się, jak Gary radzi sobie za kratkami. Zamknięcie w areszcie z pewnością było dla niego lekcją ostatecznego upokorzenia.

Wjeżdżał do Hayes tuż po zachodzie słońca przy temperaturze wahającej się w okolicach zera. Tablica HAYES była czytelna, ale podziurawiona kulami. Zamierzał poświęcić trochę czasu, jaki pozostał mu do spotkania, żeby rozejrzeć się po mieście. Hector podał mu dokładne wskazówki, jak dotrzeć na umówione miejsce, ale Lou musiał tylko zjechać z autostrady i znaleźć motel Wildwood. Zatrzymując się na podjeździe, przyjrzał się stylizowanej na rustykalną, zniszczonej przez deszcz i słońce tablicy zawieszanej na dwóch zardzewiałych hakach. Sądząc po skąpej liczbie samochodów na motelowym parkingu, przypuszczał, że rzadko zamiast tabliczki WOLNE MIEJSCA na drzwiach wisi informacja BRAK MIEJSC.

Jeśli nawet Wildwood nie mógł się poszczycić czterema gwiazdkami nadanymi przez związek motorowy, to ten czysty parterowy motel bił na głowę kwatery lekarzy w szpitalu Eisenhowera. Lou zadzwonił wcześniej, więc czekał na niego zarezerwowany pokój. Gdyby spotkanie z Hectorem się nie udało i nie

miałby żadnych notatek do opracowania, prawdopodobnie włączyłby następną płytę Talking Heads, zostawił napiwek na niepościelonym łóżku i pojechał do domu.

Hayes było wojskowym miasteczkiem i wyglądało mniej więcej tak, jak się spodziewał, choć w mniejszej skali. Pojeździł bocznymi uliczkami, ale szybko doszedł do wniosku, że najwięcej się dzieje – jeżeli w ogóle cokolwiek się działo – na Main Street. Były przy niej dwa bary, chińska restauracja, bar z hamburgerami i rozpadający się tartak, który chyba nadal pracował. Chcąc lepiej poznać siedzibę kompanii Mantis, Lou zrobił sobie przystanek w barze U Ralphiego, roztaczającym urok zapyziałych knajp, do których dawniej często zaglądał; tu jednak, przynajmniej tego dnia i o tej godzinie, nie było ani jednego klienta.

Zamówił coca-colę light u barmana – czterdzieści kilka lat, fartuch, tatuaże, nikotynowe plamy na palcach, popołudniowy zarost na policzkach – i zaskoczony ocenił colę z nalewaka na siedem i pół za smak, temperaturę i nasycenie dwutlenkiem węgla. Według skali Welcome’a, która powstała, gdy na liście jego ulubionych napojów coca-cola light zmieniła bourbona Wild Turkey, trzy oznaczało colę niezdatną do picia, chyba że zwiedzał Dolinę Śmierci, a dwa – niezdatną do picia w każdych okolicznościach. Jak dotąd, nie skosztował jeszcze kandydata na dziesiątkę.

– Nie jest pan stąd – zauważył barman z nosowym appalaskim akcentem.

– Domyślił się pan, nie stawiając nawet tarota.

– Czego?

– Skąd pan wie, że jestem przyjezdny?

– Hayes to małe miasteczko. Wszyscy znają wszystkich. Nawet gości bazy.

– Nazywam się Lou Welcome.

– Bell – odparł barman, wyciągając rękę. – Ralphie Bell. Powiedział pan „Welcome”?

– Jak napis na słomiance.

– Jak na... aha, kapuję. – Zachichotał, a potem wybuchnął śmiechem. I śmiał się, dopóki nie zgiął go atak kaszlu palacza.

– Gdzie są klienci? – spytał Lou.

– W Hayes jest dość spokojnie aż do mniej więcej ósmej wieczorem. Wtedy chłopakom z bazy wolno wyjść do miasta. Znaczy się, jeżeli nie mają wieczorem służby.

– Daleko stąd do bazy?

– Brama jest niecały kilometr stąd. Ale lepiej uważać, żeby przez przypadek nie wtarabanić się na ich teren.

– Dlaczego?

– Baza zajmuje jakieś czterdzieści kilometrów kwadratowych, w tym najbardziej dzikie miejsca w tych górach, rzadko kiedy ogrodzone. Nastawiali tam tablic WSTĘP WZBRONIONY, ale najwięksi przestępcy w Hayes to myśliwi, którzy łamią zakaz wstępu na teren wojskowy i w ogóle nie zdają sobie z tego sprawy. Naprawdę krzywo tu patrzą na każdego, kto bezprawnie wchodzi z bronią na cudzy teren. – Bell pokazał na migi, jak przeładowuje wyimaginowany karabin.

– Ach! – krzyknął Lou, łapiąc się za serce. – Powiedz mi, Ralphie, przychodzi tu czasem Wyatt Brody?

Bell prychnął drwiąco.

– Od wielkiego dzwonu wpadnie na drinka i posiedzi parę minut. Ale prawdę mówiąc, pułkownik Brody nie kumpluje się z nikim, kogo znam. Żołnierze mówią, że ma jakąś misję od Boga, i czasem naprawdę tak się zachowuje.

Lou jeszcze próbował, lecz nie udało mu się już niczego więcej dowiedzieć o człowieku, który mógł zabić Eliasa Colstona. Na

wypadek gdyby musiał jeszcze raz zasięgnąć języka u Ralphiego Bella, zostawił mu dwa dolary za colę plus dziesięć. Wypełnienie ogromnych luk informacyjnych będzie zatem należało do Hectora Rodrigueza.

Lou bez kłopotu znalazł drogę powrotną do motelu Wildwood, ale trudniej było mu odszukać miejsce na ognisko, gdzie umówił się z Hectorem, który nalegał, by właśnie tam się spotkali. Ścieżkę prowadzącą od dwóch zniszczonych stołów piknikowych za budynkiem motelu częściowo zarosły chaszczce, a pod stopami chrzęściła cienka warstwa lodu. Zaczął wiać przenikliwy wiatr i Lou cieszył się w duchu, że wybierając kurtkę w sklepie Eastern Mountain Sports, ominął półki z promocjami.

Świecąc sobie telefonem jak latarką, po około trzydziestu metrach wyszedł na rozległą polankę. Z szerokiej, otoczonej kamieniami jamy wciąż unosił się silny zapach niedawno palonego drewna. Za miejscem na ognisko, w nikłym blasku księżyca, którego rąbek wyłonił się z za szybujących po niebie chmur, ukazała się sylwetka krępego mężczyzny stojącego prawie na baczność. Para jego oddechu wirowała jak widmo w słabym świetle.

– Doktor Welcome? – Głosu i akcentu Hectora nie sposób było nie rozpoznać.

– To ja. Dziękuję, że przyszedłeś, Hectorze. – Lou zbliżył się, żeby podać mu rękę, ale tamten nie ruszył się z miejsca. Nawet obszerna wojskowa kurtka nie mogła ukryć jego potężnej budowy, a w wieczornym półmroku było widać, że jest smagły i przystojny.

Wojownik.

– Cieszę się, że pozwoliłeś mi przyjechać – ciągnął Lou. – Myślę, że to może być ważne spotkanie.

– Niech pan mówi, co pan chce wiedzieć. – Chłód Hectora pasował do wieczornej temperatury.

Lou przestąpił z nogi na nogę, żeby pobudzić krążenie w stopach. Sięgnął do kieszeni po rękawiczki, ale uświadomił sobie, że zostawił je na przednim siedzeniu toyoty.

– Jeżeli się zgodzisz, wolałbym pogadać pod dachem – powiedział. – Wynająłem pokój w Wildwood, więc moglibyśmy tam pójść.

Hector zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie mogę. Ktoś mógłby nas zobaczyć razem, wchodzących albo wychodzących. Dlatego przyszedłem wcześniej, z drugiej strony, przez las. Kiedy ktoś w tym mieście rozmawia z obcym, ludzie mają pytania, a pytania nie są dobre dla mojej kariery.

– Rozumiem. – Lou chuchnął na rękę.

Sądząc po obłokach pary, doszedł do wniosku, że Hector oddycha mniej więcej dwa razy wolniej od niego. Przypuszczał też, że częstotliwość pulsu żołnierza to zaledwie ułamek jego tętna.

– No to do rzeczy – powiedział Hector. – Co chce pan wiedzieć?

– Najpierw chcę, żebyś ty się czegoś dowiedział – odparł Lou. – Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, nie powiedziałem ci całej prawdy. Elias Colston nie zrobił żadnych notatek z waszej rozmowy. Nagrał ją i zapisał nagranie na płycie. Oddałem ją policji, ale im zaginęła, tak jak jej kopia, którą miałem u siebie.

Nie wspomniał o tym, że jego mieszkanie zostało splądrowane, ale chyba dobrze, że tego nie zrobił. Nawet z odległości dwóch metrów zauważył, jak twarz młodego człowieka blednie i tężeje.

Hector głęboko nabrał powietrza i odchylił głowę, spoglądając w niebo.

– Kongresmen Colston był ojcem mojego najlepszego przyjaciela – powiedział. – Tamtego wieczoru mówiłem mu o rzeczach, o których niektórzy nie powinni wiedzieć. Dlaczego nie powiedział mi pan o tym przez telefon?

– Bałem się, że gdybyś się dowiedział, wpadłbyś w panikę i nie zgodziłbyś się ze mną spotkać. Posłuchaj, Hectorze, przepraszam, że wprowadziłem cię w błąd, ale musimy jak najdokładniej odtworzyć treść tej rozmowy. Każdy szczegół. Każdy temat, jaki poruszyłeś. Wszystko, co powiedziałeś. Mam tu dyktafon. – Lou wyciągnął z kieszeni kurtki miniaturowe, supernowoczesne urządzenie. – Nie wiadomo, co jest ważne, a co nie, dopóki wszystkiego nie zarejestrujemy.

Oczy Hectora błysnęły.

– Człowieku, ty nic nie rozumiesz – odparował. – Powiedziałem panu Colstonowi o rzeczach, o których nie powinienem mu mówić. Uwielbiałem tego człowieka. Był dla mnie jak ojciec. Dlatego próbowałem go ostrzec, żeby dał spokój pułkownikowi Brody’emu i Mantis. Ale jak się rozniesie, że mówiłem o Gwardii Pałacowej, będzie po mnie. Co się mogło stać z tą cholerną płytą? Kto ją teraz ma?

– Nie... nie wiem. Na pewno policja.

– Niech to szlag!

– Jeśli dobrze pamiętam, niewiele mówiłeś o Gwardii Pałacowej. Możesz mi teraz coś o niej powiedzieć?

– W ogóle nie powinienem nic mówić. To może być dla ciebie niebezpieczne. Ci goście, Gwardia, to prawdziwe dranie.

– Proszę cię, Hectorze. Musisz mi pomóc, żebym pomógł człowiekowi, który siedzi w areszcie za morderstwo Eliasa Colstona. Nie wierzę, że to zrobił.

– W wiadomościach mówili, że miał romans z żoną kongresmena. Co on mnie może obchodzić?

– Ojca Marka bardzo by to obchodziło. Bez względu na wszystko zależałoby mu na sprawiedliwości, nawet gdyby trzeba było uwolnić kochanka jego żony.

Hector rozejrzał się ukradkiem.

– No dobra. Pomogę ci, bo kocham tę rodzinę. Ale musisz znaleźć płytę.

– Robię wszystko, co się da.

– Ludzi do Gwardii Pałacowej wybiera pułkownik Brody, zanim jeszcze wstąpią do kompani. Tatuują sobie na nadgarstku drut kolczasty. Po tym znaku można poznać, kto jest w Gwardii. Wszyscy na przedramieniu nosimy wytatuowaną modliszkę. Po tym można poznać, kto należy do kompanii².

– Na czym więc polega związek Brody’ego z Gwardią Pałacową?

– Już mówiłem. Jeżeli ktoś zaczyna rozrabiać, wierzgać i zadzierać z Brodym, Gwardia może mu złożyć wizytę, trochę go poturbować, przypomnieć mu, że lepiej nie zadzierać z pułkownikiem Brodym, a w następnym ruchu człowiek wylatuje z Mantis.

– Sądysz, że Brody bardzo potrzebuje pieniędzy na finansowanie Mantis? – zapytał Lou. – Bo wasza jednostka mocno ucierpiała na cięciach budżetowych, których projekt wyszedł od Colstona.

Hector wzruszył tylko ramionami.

– Może – odparł. – Wszyscy bardzo potrzebują pieniędzy. Pułkownik zawsze narzeka, że Waszyngton przykręca Mantis śrubę mocniej niż innym oddziałom marines, a nawet reszcie armii.

– Sądysz, że Brody mógł zamordować kongresmena, dlatego że Colston wiedział o Gwardii Pałacowej?

– Wątpię – rzekł Hector. – W każdym razie modlę się, żeby to nagranie nie trafiło do pułkownika. Bo jeśli trafi, może mnie czekać niespodziewana wizyta...

Nagle mrok rozświetliła seria jasnych błysków, a ciszę rozdarły głośne huki dobiegające od strony ścieżki prowadzącej na polankę. Od blatu stołu piknikowego przed Lou odłupało się kilka kawałków drewna i prysnęło mu w twarz. Potem znów wystrzały... i znów błyski.

– Uciekaj! – wrzasnął Hector. – Rozdzielamy się i wiejemy!

Obaj w tym samym momencie ruszyli biegiem w kierunku lasu. Kiedy dzieliła ich odległość około dwudziestu pięciu metrów, huknął następny strzał. Lou zobaczył, jak Hector potyka się i pada, łapiąc się za nogę. Zatrzymał się i ruszył do żołnierza, ale grad pocisków wzbił przed nim tuman śniegu.

Hector dźwignął się z trudem, wciąż trzymając się za nogę.

– Nic mi nie jest! – zawołał. – Spadaj stąd! Wiej!

Lou patrzył, jak żołnierz znika w lesie.

A potem dostrzegł lukę w gęstych zaroślach i dał w nią nura.

ROZDZIAŁ 22

Kiedy Lou dotarł do lasu, słał się na nogach, ale zdołał chwycić się pnia drzewa, żeby nie upaść. Obladzona ziemia dawała stopom tyle oparcia co lodowisko. Gałęzie smagały jak pazury, raniąc mu twarz i ręce. Gdy zahaczył butem o ukryty pod śniegiem korzeń, runął jak długi. Wylądował ciężko na twardej, zbitej ziemi i zsunął się po kamieniach. Gdzieś w oddali znowu rozległy się strzały. Potem usłyszał coś innego – coś, co sprawiło, że zaczął rozpaczliwie gramolić się na czworakach po zamarzniętym śniegu, dopóki nie odzyskał równowagi.

Głosy.

Chyba dwóch mężczyzn. Którzy go ścigali – co do tego nie miał wątpliwości. Las rozpraszał dźwięk, przez co Lou trudno było się zorientować, gdzie są.

– Widzę jego ślady! – zawołał ktoś ochrypłym głosem gdzieś za jego plecami. – Nie ruszaj latarką.

Lou nie miał innego wyjścia, jak uciekać dalej, ale w wysokich do kostek butach trekkingowych każdy krok był ciężki i niepewny. Lodowaty wiatr coraz bardziej utrudniał oddychanie. Lou co chwila musiał się zatrzymać, by nabrać powietrza, i ruszał dalej. Piekły go płuca, a na dodatek chwyciła go kolka w boku.

– Tędy! – krzyknął mężczyzna z latynoskim akcentem. – Chodź tutaj.

Księżyc z rzadka oświecił ścieżkę, przebijając się przez korony drzew, ale chwilę później zasłoniły go chmury, pogrążając las w prawie zupełnej ciemności. Kiedy Lou pomyślał, że udało mu się zostawić prześladowców daleko w tyle, nagle wkroczył na bardziej stromy teren. Zanim zdążył zwolnić, poślizgnął się i zsunął w dół zbocza. Zahaczył prawą stopą o kamień i upadł, lądując pod dziwnym kątem na dnie niewielkiego wąwozu. Gdy dotknął lewej skroni, pod palcami poczuł krew. Bolał go lewy bark i stłuczone kolano; obawiał się, że nie udźwignie ciężaru jego ciała.

Blask księżyca zniknął i zapanowały prawie nieprzeniknione ciemności. Oszołomiony Lou dźwignął się na nogi. Kolano wytrzymało. Stojąc na stromym wzniesieniu, ujrzał dwa snopy światła tańczące na drzewach i zaroślach.

– Sukinsyny – mruknął, zastanawiając się, jak najlepiej wykorzystać czas, który mu pozostał. – Uciekać czy się ukryć.

Niemal minutę stał bez ruchu i nasłuchiwał. Przez szelest ośnieżonych gałęzi usłyszał dobiegający z prawej wyraźny szum wody – strumienia albo wodospadu. Nie chciał kierować się w tę stronę. Utykając, ruszył w przeciwnym kierunku, oddalając się od źródła dźwięku i trzymając się brzegu mokradła u stóp wzgórza. Co parę metrów przystawał i znów nasłuchiwał. Z góry nie dobiegały żadne głosy, ale wyczuwał, że tamci gdzieś tu są. Starając się zmylić trop, cofał się po własnych śladach, dopóki nie stanął na kawałku kamienistego gruntu. Potem poszedł w górę, skręcając w prawo.

Pewnie to nic nie da, pomyślał. Nie, gorzej... to głupota i strata czasu.

W tym momencie przed i nad sobą znów zobaczył przecinające mrok snopy światła. Obrócił się i nie zważając na przeszywający ból w kolanie, spotęgowany przez nierówności terenu, ruszył z powrotem w stronę szumu wody. Strumień był szerszy, niż się spodziewał –

wyglądał bardziej jak rzeka o skutych lodem i śniegiem brzegach, której wartki nurt obmywał kamienie i głazy rozmiarów lodówek. Lou wpatrywał się w mrok, usiłując zobaczyć coś więcej w świetle ekranu komórki. Kilka razy usłyszał głosy niesione wiatrem, który wiał mu w plecy.

Najwyraźniej dwaj mężczyźni mieli więcej wprawy niż on w poruszaniu się po lesie zimą. Tylko parę sekund wahał się, co zrobić. Wyszarpnął ze śniegu solidną gałąź, odłamał suche gałązki, zebrał siły i wszedł do lodowatej rzeki. Woda błyskawicznie wypełniła mu buty i przemoczyła skarpety. Natychmiast ogarnęło go nieprzyjemne odrętwienie. Zamiast zmierzać prosto do drugiego brzegu, ruszył z prądem, opierając się na gałęzi i modląc się, żeby nie upaść.

Jeden krok... drugi... następny.

Dziwne, ale przypomniały mu się wieczory spędzone w bibliotece college'u, gdy uczył się na pamięć nieskończenie długiej listy wzorów chemicznych, wiedząc, że jeżeli poświęci nauce dwadzieścia trzy godziny, ktoś przy sąsiednim stoliku będzie się uczył dwadzieścia cztery godziny.

Dyscyplina. Jeden krok. Drugi. Jeden wzór. Drugi. Dyscyplina.

Karbokation z trzema elektronami walencyjnymi to jon karbeniowy... z sześcioma to... co?

Skupiając myśli na czymś innym, zapanował nad zimnem paraliżującym mu stopy. Stopniowo zaczął się kierować w stronę przeciwnego brzegu rzeki. Wiedział, że im dłużej będzie szedł przez nurt, tym większe ma szanse. Woda sięgała mu kolan. Gdyby teraz upadł, byłoby po nim. Po prostu. A gdyby trafił na głębszą wodę, poszedłby na dno.

Skup się.

Utlenianie plus karbokation równa się... czemu? Cholera, jakim cudem to zdałem?

Woda wciąż utrzymywała się tuż powyżej jego kolan. Dżinsy miał mokre aż do pachwin. Na zakręcie zaryzykował i obejrzał się. Światła wciąż były daleko. Ile zostawił śladów? Ile jeszcze zdoła przejść? Stojąc pośrodku rzeki, skulił się za głazem i patrzył, jak latarki rysują w ciemności nieregularne wzory.

– Mam trop! – usłyszał głos jednego z mężczyzn.

– Mógł pójść wzdłuż rzeki – powiedział drugi.

– Albo wejść do wody.

– Rozdzielmy się. Pójdiesz w górę zbocza, a ja tędy. Gdybyś go zauważył, strzelaj.

Lou zaryzykował i odetchnął z ulgą. Stosunek sił dwóch na jednego był dla niego nie do przyjęcia, ale jeden na jednego? Pewną przewagę dawał mu przynajmniej element zaskoczenia. Element zaskoczenia i woda... I Emily.

Wyprostował się i dalej brnął przez rzekę. Bolało go kolano i bark, lodowata woda przenikała go do szpiku kości, ale krok za krokiem posuwał się naprzód. Jeszcze raz się obejrzał. Sądząc po pojedynczym świetle latarki, ścigający go człowiek był w odległości około pięćdziesięciu metrów. Poziom wody znów obniżył się do kolan, lecz drogę wciąż utrudniały śliskie kamienie. Mimo to Lou coraz pewniej kroczył naprzód.

Błąd.

Jego but ześlizgnął się z nienacka z omszałego kamienia i Lou runął do wody, rozkładając ręce. Kolanami uderzył w kamienie, którymi było najeżone dno. Pod wpływem impetu upadku nienaturalnie wykręcił kostkę. Przez chwilę bał się, że ją złamał, ale udało mu się wstać. Przemoczony do suchej nitki, zaczynał dygotać. Po kilku

niepewnych próbach przeniósł prawie cały ciężar ciała na obolałą nogę. Skręcona.

Ruszył w dalszą drogę, teraz jednak w znacznie wolniejszym tempie. Płuca znów paliły go żywym ogniem, wróciła też dokuczliwa kolka. Za sobą usłyszał plusk.

Nie zatrzymuj się... nie zatrzymuj się...

Wstrząsały nim coraz gwałtowniejsze dreszcze. Zaczynały się objawy hipotermii. Pewnie niewiele to mogło pomóc, ale musiał szybko wyjść z rzeki. W tym momencie padł strzał.

– Jesteś tam?! – rozległ się w ciemności szyderczy, ochryply głos. – Znajdę cię i zabiję.

Huknęło jeszcze dwa razy. Choć napastnik prawdopodobnie strzelał na oślep, pocisk odłupał parę drzazg z gałęzi na prawo od Lou. Do brzegu zostało mu nie więcej niż trzy metry. Nie zważając na paralizujące zimno, dalej brnął naprzód. Pozbawiony kija, na którym się wspierał, ślizgał się przy każdym kroku. Przed sobą dostrzegł jakąś rozległą polanę – może pole. Po chwili jednak uświadomił sobie, że czarna przestrzeń bynajmniej nie jest polem.

To było jezioro.

ROZDZIAŁ 23

Lou wygramolił się z lodowatej rzeki i chwiejnym krokiem podszedł do brzegu kolistego jeziora, które jak okiem sięgnąć skuwał lód. Nie potrafił określić jego obwodu, choć wcale by się nie zdziwił, gdyby wynosił około dwóch kilometrów. Siłą woli próbował opanować dreszcze. Lepiej byłoby mu w zimnym, przemoczonym ubraniu czy bez niego?

Po prawej, w odległości ponad pięciu metrów, ujrzał rozsypujący się hangar na łódzie. Dach częściowo się zapadł, okna zostały wybite. Resztki okapu zasnuwały pajęczyny, a teren wokół budynku zarosły wysokie chwasty. O ścianę szopy od strony Lou stała oparta gnijąca łódź wiosłowa, która chyba już od dawna nie nadawała się do pływania. Kamień wielkości piłki do koszykówki postawiony przy nadburciu, nie pozwalał się jej przewrócić.

Wiatr przybrał na sile, kołyszając wysokimi drzewami, które zaczęły skrzypieć jak zeszywniałe stawy. Wydawało się mało prawdopodobne, że Lou znajdzie w hangarze coś, czym mógłby się okryć, ale warto było sprawdzić. Musiał jednak działać szybko. Człowiek, który ruszył wzdłuż rzeki, żeby go zabić, na pewno od razu zajrzy do hangaru. Nie do wiary, ale drzwi były zamknięte na głucho zardzewiałą zasuwą. Lou porzucił pomysł, aby je wyważyć, i zajrzał do ciemnego wnętrza przez otwór, który kiedyś był oknem. Mokry telefon był bezużyteczny jako latarka.

Z tego, co Lou zauważył, hangar był pusty.

Czas uciekał. Lou potwornie dygotał. Nie przychodził mu do głowy żaden lepszy plan, niż powlec się brzegiem jeziora i dać się zastrzelić.

W tym momencie z oddali dobiegł trzask gałęzi. Koniec był coraz bliżej. Próba rzucenia się do ucieczki byłaby równie udana jak próba uruchomienia komórki. Nagle Lou zerknął na gnijącą łódź i w głowie zakiełkował mu pewien pomysł. Markowanego ataku – jednego z ulubionych manewrów Capa na ringu.

Bezszelestnie, wyciągając wszystkie siły, odstawił na bok wielki kamień i obrócił łódź, amortyzując jej upadek ramieniem. Odłupało się trochę drewna, ale poza tym żalosna szalupa pozostała cała. Popchnął łódź w stronę brzegu jeziora i zsunął na lód, który zatrzeszczał, lecz wytrzymał.

A teraz markowany cios.

Poruszając się na kolanach i pchając łódź, żeby równomiernie rozłożyć ciężar ciała, ruszył w głąb zamrożonego jeziora. Tafla lodu trzeszczała i jęczała potępieńczo, ale nadal nie pękała.

– Ej, bracie! – rozległ się głos. – Nie masz dokąd uciec. Może będzie lepiej, jak przestaniesz się męczyć? Ja na pewno nie będę cię męczyć.

Pięć metrów w głąb lodowej tafli. Potem następne pięć. Dwadzieścia metrów od brzegu. Wydawało się, że lód lada chwila puści, ale kości zostały rzucone. Lou obrócił łódź o dziewięćdziesiąt stopni, po czym ostrożnie zdjął kurtkę i rzucił ją obok na lód. Odpowiednikiem tego ruchu na ringu byłoby opuszczenie prawej ręki i obniżenie prawego barku, co mogło sygnalizować, że za chwilę przeciwnik wyprowadzi prawy hak, podczas gdy w rzeczywistości cios miał paść z lewej.

Potem, czołgając się na brzuchu jak komandos, ostrożnie wrócił na brzeg. Zaciągnął kamień za szopę i sprawdził, czy potrafi go unieść. Kolana... brzuch... klatka. Kamień był lżejszy od stukilogramowej sztangi, którą wyciskał w seriach po dziesięć w Kontrze, ale na pewno

ważył swoje i Lou był w stanie podnieść go tylko na wysokość klatki piersiowej. Gdy nadejdzie decydująca chwila, będzie musiał wykrzesać z siebie więcej sił... albo zginie.

Kłęcząc obok hangaru, poczuł, jak poziom adrenaliny w żyłach opada, i znów zaczął dzwonić zębami. Wyrzwał z za węgła, patrząc w stronę drzew. W tym momencie z lasu ostrożnie wysunęła się ciemna sylwetka z latarką w jednej i pistoletem w drugiej ręce. Lou cofnął się i rozpląszczył na ścianie.

– Jesteś tu, bracie?! – zawołał mężczyzna.

Ziemia zachrzęściła mu pod stopami, gdy zbliżył się do ściany, przy której przed chwilą stała łódź. Przez okno nad sobą Lou zobaczył światło latarki omiatające wnętrze hangaru. Zacisnął szczęki, zmuszając zęby, żeby się uciszyły.

Znowu chrzęst. Snop światła skierował się w stronę jeziora, a potem na łód i ciemny zarys łodzi. Wreszcie światło zatrzymało się na kurtce Lou.

– Nie nabierzesz mnie, bracie. Wiem, że jesteś za tą łódką.

Napastnik wyszedł na łód i oddał dwa strzały. Lou domyślił się, że patrzy w dół, śledząc pozostawione przez niego ślady.

– Trafiłem cię już? Nie martw się, trafię. Podejdę tam i strzele ci prosto między oczy.

Wyglądało na to, że strzelał z pistoletu samopowtarzalnego, ale Lou nie miał pojęcia, ile pocisków ma w magazynku. Wiedział tylko, że łódź i kurtka zmyliły go i przyciągnęły jego uwagę. Ostrożnie posuwając się krok za krokiem, napastnik wszedł na zamrożone jezioro. Lou przypuszczał, że pokonał już jedną czwartą drogi... teraz może połowę.

Podniósł kamień na wysokość piersi i ruszył naprzód. Czuł, jak w mięśniach klatki piersiowej i ramion pulsuje mu adrenalina strachu.

Napastnik strzelił jeszcze trzy razy.

Śmiało, ważniaku. Strzelaj dalej... strzelaj.

Lou podkradł się na skraj jeziora. Wielki kamień miał już na ramieniu. Aby rzut był skuteczny, musiał się odważyć znów wejść na lód.

Ale nie za daleko.

Musiał zmniejszyć dystans ponad pięciu metrów o co najmniej połowę.

– Trafiłem cię już?! – krzyknął znowu mężczyzna, nie zdając sobie sprawy, że ktoś zachodzi go od tyłu. – Mam duży zapas amunicji, gnojku. – Wsunął nowy magazynek i po chwili huknęło jeszcze kilka strzałów.

Półtora metra.

Napastnik, który był mniej więcej takiej samej wagi i budowy jak Lou, w końcu wyczuł, że coś jest nie tak, i zaczął się odwracać. Lou uniósł kamień nad głowę i cisnął go ze wszystkich sił. Impet odrzucił go do tyłu, Lou upadł i lód pękł pod jego ciężarem, a przez szczeliny natychmiast wypłynęła lodowata woda.

Napastnik obracał się w stronę, z której dobiegał hałas, gdy kamień wylądował dokładnie u jego stóp. Błyskawicznie załamał się pod nim lód i zanim mężczyzna zdążył unieść broń, aby strzelić, zniknął. Lou usłyszał plusk, ale gramoląc się na brzeg, nie mógł mu w żaden sposób pomóc. Napastnik krzyknął. A potem zapadła cisza. Zziębnięty do szpiku kości Lou wydostał się na twardy grunt i na miękkich nogach ruszył wzdłuż zadrzewionego brzegu, potykając się o korzenie i pokonując z trudem gęste, bezlistne krzewy przypominające szkielety.

Żył, ale wiedział, że niebawem zamarznie na śmierć. Dźwignął się na nogi i szedł dalej, nie mogąc porządnie odetchnąć. Oparł się o pień drzewa i odważył się obejrzeć za siebie. Udało mu się oddalić od ruiny

hangaru, ale co z tego? W dzieciństwie, kiedy sprzeczał się z kolegami o to, jaka śmierć jest najgorsza – spalenie, utopienie czy zamarznięcie – zawsze stawiał na spalenie. Teraz nie był już taki pewien.

Z trudem łapiąc powietrze i trzęsąc się jak osika, osunął się na zwalone drzewo. Pochylił się, aby obejrzeć skręconą kostkę, i kiedy zsuwał skarpetkę, poczuł lufę pistoletu mocno wbijającą mu się w kark.

– Nie odwracaj się – usłyszał dość młody męski głos. – Ręce w górę i twarzą do ziemi. No już, bo strzełę!

Lou spełnił rozkaz. Zęby klekotały mu jak kastaniety.

Silne ręce wykręciły mu do tyłu ramiona.

Zanim stracił przytomność, zdążył jeszcze poczuć, jak na jego nadgarstkach zatrzasnęły się obręcze kajdanek.

ROZDZIAŁ 24

Lou powoli odzyskiwał przytomność, a w powrocie do rzeczywistości towarzyszył mu pulsujący ból głowy. Był przykuty kajdankami do noszy w furgonetce wyposażonej jak karetka. Zdjęto mu przemoczone ubranie, założono polowy mundur wojskowy i przykryto go stertą koców. Przypuszczał, że temperatura jego ciała waha się w okolicach trzydziestu stopni.

Furgonetka podskakiwała na zrytej koleinami drodze, a każdy wybój powodował odpalenie pocisku haubicznego w jego głowie. Siedzący obok niego młody człowiek miał na ramieniu opaskę z czerwonym krzyżem. Kierowca, zdecydowanie bardziej siwy, miał opaskę z literami MP – żołnierz żandarmerii. Żaden z nich nie był w nastroju do rozmowy. Kiedy Lou powiedział im, kim jest i jak znalazł się w tej sytuacji, nie zareagowali.

– Powtarzam, że jeden z waszych został postrzelony – mówił Lou. – Hector Rodriguez. Być może ciągle jest gdzieś w lesie. W ogóle was to nie obchodzi?

– Obchodzą nas tylko rozkazy – odrzekł w końcu kierowca. – A rozkazano nam przywieźć cię do bazy. Tam powiesz wszystko, co masz do powiedzenia.

To nikomu w niczym nie pomoże, pomyślał Lou.

Nie miał prawie żadnych wątpliwości, że Brody wysłał swoich ludzi, żeby zabili jego i Hectora – być może członków Gwardii Pałacowej, o której mówił Hector. Pewnie w jakiś sposób dotarła do

niego informacja o zawartości zaginionej płyty. Nie było chyba innego logicznego uzasadnienia. Karetka zwolniła i zatrzymała się przy posterunku kontrolnym, na którym pełnił straż zespół uzbrojonych marines.

Żandarm i sanitariusz pokazali przepustki i otworzyła się brama z drutu kolczastego, za którą ukazała się wąska dróżka. Minutę później furgonetka ruszyła dalej. Kiedy Lou wyciągnął szyję i spojrzał do tyłu, zobaczył, jak ogrodzenie się zamyka. Nie wiedział, czy kiedykolwiek będzie się mógł stąd wydostać.

Jechali gruntowymi drogami, mijając dwa niskie budynki, w których, jak przypuszczał, mieściły się koszary. Po prawej ujrzał strzelnicę oświetloną mocnymi reflektorami, a po lewej początek jakiegoś toru przeszkód. Zahamowali ostro na dziedzińcu, przy którym stały trzy parterowe budynki – kryte dachówką, z drewnianym sidingiem. Największy z nich stał na niskich palach, a wzdłuż frontu biegła weranda. Na tablicy pośrodku widniał napis:

KOMPANIA MANTIS
GOTOWI NA WSZYSTKO

– Pamiętajcie tylko, że jestem cywilem – powiedział Lou, gdy mężczyźni uwolnili go z kajdanek i wyprowadzali z furgonetki. – Mam swoje prawa.

– Nie masz, kiedy naruszasz zakaz wstępu na teren wojskowy – odparł żandarm.

Razem z sanitariuszem chwycili Lou pod łokcie i odeskortowali do środkowego, największego z trzech budynków. Zatrzymali się przed drewnianymi drzwiami żaluzjowymi, nad którymi wypisano równiutkimi czarnymi literami:

KOMPANIA MANTIS PŁK WYATT BRODY, DOWÓDCA

Groźna modliszka wymalowana pod napisem wyglądała, jak gdyby potrafiła zjeść krowę. Żandarm zapukał i zaczekał, aż usłyszy pozwolenie na wejście. Następnie położył przemoczony portfel Lou na prostym biurku z drewna. Na nielakierowanym blacie leżało tylko kilka równo ułożonych dokumentów. Wyatt Brody lekceważąco spojrzął na portfel. Słabo oświetlony gabinet był urządzony z surową prostotą: u sufitu było widać odsłonięte belki, drewniane regały wypełniały pamiątki i opasłe książki o tematyce wojskowej. Żadnych zdjęć, żadnych obrazów na ścianach, żadnych odznaczeń ani dyplomów.

Największe wrażenie w pomieszczeniu robiły dwie olbrzymie, starannie wykonane oszklone gabloty, zawieszane za biurkiem Brody'ego i na przeciwległej ścianie. W jasno oświetlonych szafkach urządzono muzeum krótkiej broni – Lou nigdy nie widział tylu wypolerowanych pistoletów naraz. Każda sztuka broni była wyeksponowana na zielonym filcu i opatrzona mosiężną tabliczką z nazwą marki i modelu, rokiem produkcji i krótkim opisem. Przez uchylone drzwi za dowódcą Lou zobaczył więcej gablot i więcej pistoletów.

– Robi wrażenie, prawda, doktorze Welcome? – rzekł Brody zza biurka. – Kilka z nich to jedyne egzemplarze.

Lou nie poczuł się zaskoczony, słysząc swoje nazwisko. Żandarmi najwyraźniej sprawdzili portfel i przekazali mu jego dane.

Brody ruchem głowy wskazał drzwi i dwaj żołnierze wyszli.

– Jeden z pańskich ludzi został postrzelony – rzekł Lou, gdy tylko drzwi się zamknęły. – Może być ciężko ranny.

– Wysłałem już zespół na poszukiwania – odrzekł Brody. – Podobnie jak wysłałem paru ludzi na poszukiwania pana.

Lou przyjrzał się surowej twarzy pułkownika, ale nie potrafił ocenić ani odgadnąć, czy ten człowiek mówi prawdę. Brody, w beżowej koszuli, krawacie i oliwkowozielonej kurtce mundurowej, dobiegał sześćdziesiątki i był dystyngowany w każdym calu. Miał wysokie czoło bez zmarszczek, zwieńczone krótko ostrzyżonymi, szpakowatymi włosami, w jego rysach było coś słowiańskiego – wąska twarz, orli nos, wystające kości policzkowe, błękitne jak lód oczy. Ale ze wszystkich szczegółów najbardziej zaniepokoiły Lou jego usta. Wydawało się, jakby cienkie wargi pułkownika krzywiły się i uśmiechały jednocześnie, jak gdyby sprawianie ludziom radości dawało mu taką samą satysfakcję jak zadawanie im bólu.

– Niech pan siada – powiedział, wskazując drewniane krzesło naprzeciwko biurka.

– Wolę stać – odparł Lou.

– To nie jest prośba. Nie aresztowałem pana jeszcze za złamanie zakazu wstępu na nasz teren, ale to bez trudu można zmienić – oświadczył Brody. – Wystarczy kilka godzin, żeby cele w naszym areszcie stały się nieznośnie ciasne. No, niech pan siada.

Po chwili wahania Lou ustąpił.

Brody splótł palce i otaksował spojrzeniem lodowatych niebieskich oczu. Kiedy się wreszcie odezwał, Lou zrozumiał, dlaczego apodyktyczny głos Brody'ego, surowy, choć prawie bezbarwny, mógł mieć hipnotyczny wpływ na podlegających mu ludzi.

– Może mi pan powie, co pan robił na terenie należącym do Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych? – zaczął pułkownik.

– Płacę podatki. Czy to nie oznacza, że jestem w części właścicielem? Jak można nielegalnie wejść na własny teren?

– Niech pan posłucha, doktorze Welcome. Żandarmi wcześniej zameldowali mi wszystko przez radio, że pana złapali, kazałem moim ludziom pana sprawdzić. Gdzie pan pracuje. Co pan robi. Nawet gdzie pan boksuje. Coś wyjaśnię: uniki i próby grania spryciarza to najkrótsza droga, żeby trafić do jednej z naszych cel. Spróbujmy jeszcze raz. Dlaczego znalazł się pan na terenie Mantis?

– Czy ratowanie własnego życia to nie wystarczający powód? – odparował Lou. – Co najmniej czterech ludzi próbowało zabić Hectora Rodrigueza i mnie. I chyba wiem, kto to był.

– Słucham. Któż to taki? – rzekł Brody.

– Słyszał pan kiedyś o Gwardii Pałacowej? – spytał Lou. – Krążą plotki, że pracuje dla pana. – Patrzył badawczo na nieprzeniknioną twarz pułkownika, szukając jakiegoś charakterystycznego mrugnięcia, drobnego tikku, który mógłby mu coś zdradzić. Więcej informacji mógłby wyczytać ze zwłok.

– Nigdy o nikim takim nie słyszałem – oświadczył Brody z wieloznacznym uśmiechem. – To jakiś gang? W bazach wojskowych na całym świecie identyfikuje się członków prawie wszystkich ważnych gangów. To zjawisko szerzy się we wszystkich formacjach, a szczególnie dotyczy szeregowych i młodszych podoficerów.

– Zechce więc pan wyjaśnić, dlaczego pańscy ludzie próbowali zabić mnie i Hectora?

– Moi ludzie? Nie prześladowujemy cywilów. Polujemy na przeciwników, na przestępców. Jeżeli ktoś pana zaatakował, to nie był to nikt bezpośrednio związany z Mantis.

Brody nawet na ułamek sekundy nie odrywał wzroku od twarzy Lou, a ten wcale nie był przekonany, że chętnie napotkałby taki wzrok na ringu.

– Skoro tak świetnie zna się pan na gangach w wojsku, to może mi pan wyjaśni, dlaczego Gwardii Pałacowej, czy kimkolwiek byli ci

ludzie, zależałoby na mojej śmierci?

– Mówiłem panu, doktorze, że nie wiem, co to jest Gwardia Pałacowa. Wiem tylko, że gangi mają swoje własne cele. Może wcale nie chodziło im o pana. Może po prostu znalazł się pan w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie.

– Mógłbym przyjąć takie wyjaśnienie, gdyby mi pan powiedział, dlaczego chcieli zabić Hectora.

Brody wciąż mierzył go wzrokiem.

– Jeżeli naprawdę musi pan wiedzieć – odezwał się wreszcie – Hector Rodriguez nie należał do żołnierzy cieszących się najlepszą opinią w bazie. Słyszał pan o Cienkiej Niebieskiej Linii?

– Owszem, w odniesieniu do policji.

– Otóż w wojsku mamy własną cienką linię, a Hector Rodriguez wielokrotnie ją przekraczał. Prawdę mówiąc, mieliśmy go wyrzucić z Mantis za wyniki szkolenia, a on w odwecie zaczął rozgłaszać kłamstwa na temat kompanii i ludzi z własnego plutonu. Dlatego wcale bym się nie zdziwił, gdyby starszy sierżant Rodriguez nastąpił na odcisk niewłaściwej osoby, która ma właściwe powiązania. Oto odpowiedź na pańskie pytanie, doktorze. Czekam teraz, żeby pan odpowiedział. Przede wszystkim dlaczego rozmawiał pan z Hectorem Rodriguezem?

Lou też próbował przybrać nieodgadniony wyraz twarzy, ale był niemal pewien, że mu się nie udało. Przemknęło mu przez myśl, czy nie spróbować tańca w stylu Muhammada Alego, postanowił jednak uderzyć pułkownika kilkoma prostymi w korpus i przekonać się, co zdoła z niego wytrząsnąć.

– Przyjechałem porozmawiać z najlepszym przyjacielem Marka Colstona – oznajmił. Proszę, kawa na ławę: pierwszy sygnał, że jego wizyta w Hayes ma związek z morderstwem Eliasa Colstona.

Ale Brody nie zareagował, nie drgnął mu żaden mięsień twarzy, jak u pokerzysty.

– Po co chciał pan to zrobić? – spytał.

– Otóż wyszły na jaw pewne sprawy, które postanowiłem zbadać na prośbę człowieka oskarżonego o zabójstwo kongresmena Colstona.

– Tę rodzinę rzeczywiście spotkała tragedia.

– Dziwne, że im więcej się dowiaduję o prawdopodobnych przyczynach śmierci kongresmena – ciągnął Lou – tym częściej pojawia się pańskie nazwisko.

– Moje? – Śmiech Brody’ego nie zdradzał niczego. – Mogę panu tylko powiedzieć to, co wiedzą wszyscy: że Elias Colston i ja nigdy nie byliśmy przyjaciółmi.

– Dziwne, że nie zbliżyła was śmierć jego syna.

– Mark Colston należał do najodważniejszych ludzi, jakimi miałem zaszczyt dowodzić – odparł Brody. – Ale to żadna tajemnica, że byłem w ostrej opozycji wobec programu kongresmena. Zamierzał obciąć nam fundusze, a ja naturalnie chciałem ich zwiększenia. W naszym rządzie takie konflikty są na porządku dziennym. To forma wzajemnej kontroli. Ale mimo dzielących nas różnic nie zabijam swoich przeciwników politycznych, jeżeli to pan insynuuje.

Ciosy w korpus miały podobny efekt jak walenie pięściami w kamienny mur. Przyszła pora na firmowe uderzenie Capa – prosty w twarz.

– Przyznaję, że coś takiego chodzi mi po głowie – powiedział Lou. Poczul, że w pomieszczeniu rośnie napięcie, jak gdyby za moment miała się rozpuścić burza z piorunami.

– Słuchaj no, Welcome. – Brody był teraz purpurowy na twarzy. – To nie ja sypiałem z żoną Colstona. I nie ja przyszedłem pijany do ich domu, kiedy kongresmen zginął.

Chrup!

– Nie wiadomo jeszcze, kiedy to się dokładnie stało – rzekł Lou. – Wystarczy sekunda, żeby do kogoś podejść i nacisnąć spust. Każdy mógł przejść przez las za domem, żeby ominąć kamery monitoringu, i zastrzelić kongresmena, zanim pojawił się tam Gary McHugh.

Burza ucichła równie szybko, jak się rozszalała, a Wyatt Brody z powrotem zmienił się w bryłę lodu.

– W każdym razie tą osobą nie mogłem być ja. Wprawdzie nie muszę się przed panem usprawiedliwiać, ale w dniu śmierci Colstona byłem na paradzie z okazji Dnia Marines. Może to potwierdzić około tysiąca świadków.

– Zaplanowanie morderstwa niczym się nie różni od naciśnięcia spustu.

– Niech pan to sobie zapamięta, doktorze.

Grozi mi pan?

Lou w ostatnim momencie ugryzł się w język, powstrzymując się przed tą melodramatyczną ripostą.

– Dobrze wszystko pamiętam – rzekł. – Między innymi to, co czułem, kiedy zobaczyłem, jak strzelają do tego chłopaka.

– Wydaje mi się, że skończyliśmy tę rozmowę – oświadczył Brody, lekceważąco machając ręką. – Może pan odejść.

– Świetnie. Czyli ci dwaj, którzy mnie tu przywieźli, odwiozą mnie z powrotem do Hayes?

Brody zacisnął kąciki ust.

– Moi ludzie są zajęci poszukiwaniami sierżanta Rodrigueza. Niestety, będzie pan musiał wrócić do Hayes na własną rękę.

– Co? Pieszko?

– Odnoszę wrażenie, że całkiem sprawnie porusza się pan po lesie. To bardzo dobrze, bo trzeba przejść przez las, zanim dotrze pan do głównej drogi. Należy tylko patrzeć pod nogi. Jak się pan już przekonał, mogą się tu zdarzać bardzo nieprzyjemne rzeczy. –

Czubkiem palca wskazującego pchnął leżący na biurku portfel w stronę Lou.

– Dziękuję za ostrzeżenie.

– Chcę, żeby pan miał czas... na przemyślenia.

Lou spojrzał ponad głową Brody'ego na gabloty z pistoletami, zastanawiając się, czy broń jest naładowana i czy mógłby szybko rozbić szkło i dostać się do którejś z nich. Szanse miał marne.

Brody sięgnął pod szufladę biurka i mało subtelnym ruchem wcisnął przycisk. Pół minuty później zapukało i weszło dwóch mężczyzn. Mieli na sobie kurtki, mundury polowe i mocne buty, prawie dokładnie takie same jak tamci dwaj, którzy gonili go w lesie. Gwardia Pałacowa. Jeden z nich trzymał dodatkową kurtkę.

– Odprowadźcie tego pana do szlaku przy rzece i pokażcie mu drogę do miasta. Miłego wieczoru, doktorze Welcome. Na pewno dam panu znać, jeżeli nasza grupa poszukiwawcza odnajdzie pańskiego przyjaciela Hectora. Wiem, że się pan niepokoi.

Kiedy eskorta podeszła do miejsca, gdzie siedział Lou, za ich plecami pojawił się człowiek w mundurze maskującym i zapukał do uchylonych drzwi gabinetu Brody'ego. Wysoki, o surowej męskiej urodzie, mógł być w każdym wieku, ale Lou dawał mu około sześćdziesiątki. Był w puchowej kamizelce, ale miał podwinięte rękawy bluzy, które odsłaniały wyblakłe tatuaże: na jednym muskularnym przedramieniu jakąś eksplozję, a na drugim litery TNT umieszczone na lasce dynamitu z podpalonym lontem. Jasne włosy były ostrzyżone krótko, zgodnie z wojskową normą, równo jak pod linijkę.

Brody posłał mu niezadowolone spojrzenie.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie pułkowniku – powiedział mężczyzna. Głos miał równie twardy i suchy jak skórę.

– O co chodzi? – warknął Brody. – Gdyby wparował tu ktoś inny niż ty, dobrałbym ci się za to do tyłka.

– Możemy chwilę porozmawiać?

– Słucham.

– Wyjdziemy?

Brody westchnął i ruszył za zwalistą sylwetką żołnierza na korytarz. Drzwi zostały zamknięte, ale nie do końca, więc Lou zdołał przez szparę usłyszeć niemal całą rozmowę.

– Jest tu policja – powiedział starszy z mężczyzn. – Kiedy sprawdzałem stan w budynku numer dwa, wjechali na dziedziniec i zapytali mnie, gdzie mogą pana znaleźć. Widocznie na bramie jest nowy człowiek, który ich wpuścił.

– Podaj mi nazwisko tego strażnika – odparł Brody. – Czego gliny chcą tym razem?

– Podobno doszło do jakiejś strzelaniny za motelem Wildwood w Hayes. Właścicielowi zdawało się, że ci ludzie byli ubrani w stroje maskujące. Z powodu kamuflażu policja sprawdza, czy brał w tym udział ktoś z bazy. Pomyślałem, że powinien pan wiedzieć, na wypadek gdyby chciał pan z nimi porozmawiać.

– Nie chcę – odrzekł krótko Brody.

– Halo! – zawołał Lou. – Przecież była strzelanina. Paru ludzi próbowało...

Żołnierze Gwardii Pałacowej działali szybko. Jeden z nich ręką zakrył Lou usta. Drugi wyciągnął z buta dwudziestocentymetrowy nóż i przyłożył mu do gardła.

Z korytarza dobiegł odgłos kroków nadchodzących osób.

– Pułkowniku Brody, jestem sierżant Kendall. To starszy posterunkowy Walsh. Przepraszam, że przeszkadzamy, ale sprawdzamy doniesienia o strzelaninie za motelem Wildwood.

– Tak – rzekł Brody. – Mamy tu człowieka, którego zatrzymano na terenie bazy. Jeżeli chcecie go panowie przesłuchać, nie mam nic przeciwko temu. Proszę go tylko uprzedzić, że kiedy następnym razem złamie zakaz wstępu na teren Mantis, możemy już nie być tak wyrozumiali.

Wrócił do gabinetu i dał znak eskortcie, by się cofnęła.

Lou odruchowo potarł szyję.

– Wie pan co, chyba się zgodzę, żeby tamci panowie mnie podwieźli – powiedział i odsunął się od eskorty. – Nie trzeba mnie odprowadzać, chłopcy. Dziękuję za miłą pogawędkę, pułkownik.

Brody patrzył na niego nieruchomym wzrokiem. Po chwili cień uśmiechu lekko wygiął mu wargi.

– Ma pan dzisiaj szczęście – rzekł.

ROZDZIAŁ 25

Lou zdawał sobie sprawę, że jego skłonność do obsesji czasami może być wielkim atutem, a czasami jeszcze większą przeszkodą. Znajomi z college'u wciąż mówili o dniu, w którym przez dwadzieścia cztery godziny bez przerwy uczył się do testu z chemii organicznej. Skończyło się na tym, że w połowie egzaminu zasłabł i gdyby nie wyrozumiały profesor, który zgodził się na drugie podejście, na pewno by oblał.

Kiedy w tajemnicy zgodził się finansowo poratować ojca i przejął na siebie większą część ciężaru finansowania czesnego Grahama, nic nie mogło go odwieść od tego celu – nawet potrzeba przyjmowania środków pobudzających, by chodzić z pracy do pracy. Uzależnienie ciągnęło się latami. W końcu, aby przeżyć, był zmuszony poddać się terapii z taką samą determinacją, z jaką się odurzał. Przez lata ta skłonność do obsesji straciła na intensywności, a trzeźwość i abstynencja stały się sposobem na życie. Dziś, gdy automatycznie kontrolował się, by nie wpaść z powrotem w szpony nałogu, poświęcił całą uwagę i wysiłek, żeby poznać wszystkie fakty związane z jednym człowiekiem, pułkownikiem Wyattem Brodym. Mijała godzina za godziną, a Lou, pochylony nad laptopem, przeszukiwał w przeglądarce niezliczone informacje o Wyacie Brodym.

Siedem godzin... osiem...

Od wpatrywania się w ekran monitora piekły go oczy. Unosił wzrok tylko po to, aby zapisać coś w żółtym notatniku, a wstawał

tylko po to, by pójść do łazienki albo dolać sobie kawy. Od manipulowania myszką bolał go nadgarstek – sygnał ostrzegawczy niebezpiecznego zmęczenia mięśni i ścięgien. Nogi zeszywniały mu jak schłodzony olej silnikowy, żołądek zwinął się w bolesny supeł.

Brody...

Multik kręcił się po dywanie obok, starając się nie rzucać w oczy. O dziwo, nie miał najmniejszej ochoty powrócić do swojej roli dręczyciela Lou.

Dziewięć godzin...

Podczas przeszukiwania sieci nazwisko Brody'ego przewijało się wielokrotnie, ale nigdy w kontekście żadnych niepokojących informacji. W życiu osobistym i przebiegu służby wojskowej pułkownika nie było nic, co pomogłoby dojść do jednoznacznych wniosków. Ożenił się raz. Rozwiódł się dawno temu. Urodził się i wychował na Wschodnim Wybrzeżu. Miał jedno dziecko – córkę. Pełnił służbę w Korpusie Piechoty Morskiej od ukończenia Akademii Marynarki Wojennej.

Co takiego wiedział Hector, że Brody chciał go uciszyć? Lou miał wrażenie, że im dłużej szuka odpowiedzi, tym mniej ich znajduje.

Kompania Mantis okazała się równie zagadkowa. Jednostka utworzona w 2002 roku pod dowództwem ówczesnego majora Wyatta Brody'ego – według pewnej strony internetowej, śledzącej statystyki wojskowe – miała na koncie największy odsetek żołnierzy poległych podczas akcji bojowych i najwięcej nadanych odznaczeń za męstwo. Był to wzorowy oddział, w którym służbę uważano powszechnie za najbardziej wymagającą i najtrudniejszą. W przeciwieństwie do SEAL, Rangersów i innych jednostek sił specjalnych, Mantis nie miała w internecie swojej strony werbunkowej. Wyglądało na to, że jej członków wybierał osobiście Wyatt Brody.

Z jakiego powodu człowiek tak oddany swojej jednostce miałby zabić jednego z jej żołnierzy? Lou zamartwiał się o Hectora. Nie mogło go spotkać nic przyjemnego. Został złapany albo nie żył. Realistycznie rzecz biorąc, dla młodego żołnierza nie było innej możliwości. Jeżeli złapała go Gwardia Pałacowa Brody'ego, która podejrzewała go o posiadanie informacji związanych z Eliaszem Colstonem, mógł zostać poddany torturom, aby je wyjawiał.

Lou został w Hayes dłużej, by złożyć oficjalne doniesienie w małym miejscowym komisariacie, lecz od początku nie było wątpliwości, że największą przeszkodę w jakichkolwiek czynnościach śledczych stanowią granice jurysdykcji. Policja mogła prowadzić poszukiwania na leśnym obszarze chronionym i w lasach za motelem, ale nie miała wstępu na teren bazy.

Sprawa wojskowa. Lou słyszał te słowa tak często, że mógłby do nich napisać muzykę.

Zajrzał do „Hayes Examiner”, niewielkiego dwutygodnika, a potem sprawdził witrynę czasopisma i źródła informacyjne z okolicznych miast, szukając wiadomości o Hectorze. Zadzwoił nawet do barmana Ralphiego Bella, wychodząc z założenia, że jeżeli ktokolwiek coś usłyszał, to na pewno właściciel lokalu, którego klientom alkohol rozwiązuje język. Ralphie nie powiedział mu nic, zupełnie nic; do tego stopnia nie puszczał pary z ust, że Lou nie miał wątpliwości, iż rozeszła się już wieść, że strzelanina za motelem Wildwood znalazła się na liście tematów zakazanych.

Jedyny trop – jeśli można go tak było nazwać – dała mu matka Hectora, wdowa mieszkająca w San Antonio, która znała po angielsku zaledwie kilka słów. Z ich krótkiej rozmowy telefonicznej dowiedział się tylko tyle, że oficjalnie Hector samowolnie oddalił się z jednostki. Lou nie podzielił się z nią swoimi podejrzeniami, żeby jej nie martwić. Złapany albo nie żyje.

Dziesięć godzin... szukaj dalej... Być może ten człowiek zabił Colstona... Prawdopodobnie miał w ręku klucz do uwolnienia Gary'ego.

Lou przeglądał listy z adresami stron znalezionymi w Google, gdy jego wzrok zawędrował do poziomego menu i zatrzymał się na opcji „grafika”.

Nie korzystał z niej wcześniej po prostu dlatego, że wiedział już, jak wygląda Brody. Co jeszcze mógł znaleźć?

Zgodnie z przewidywaniami, wyświetlone na ekranie obrazy okazały się zupełnie nieprzydatne. Zobaczył kilka oficjalnych zdjęć Brody'ego, parę okładek książek autorstwa osób noszących to samo nazwisko, zdjęcia rodzinne (ale innej rodziny Brodych), jakiś kwiatek, psa, superbohatera, dziecko i tak dalej, i tak dalej... miszmasz zniechęcający do dalszych poszukiwań.

Przejrzał czterdzieści stron wyników, oglądając zdjęcie po zdjęciu, gdy coś przykuło jego wzrok. Fotografia wyglądała na dość starą i została zeskanowana i umieszczona gdzieś w internecie. Lou ustawił kursor na zdjęciu i zobaczył, że pochodzi z Facebooka. Kliknął na link i na ekranie ukazała się strona Facebooka niejakiego Dereka Vaughana, emerytowanego wykładowcy.

Doktor Vaughan albo nie przejmował się tym, że zamieszczane przez niego zdjęcia może oglądać każdy, albo – zważywszy na jego wiek – nie wiedział, jak udostępnić je tylko znajomym. Przewodniczką Lou po internecie była Emily. Choć nie należał do grupy znajomych Vaughana na Facebooku, mógł oglądać jego galerię i czytać opisy fotografii.

Zdjęcie przedstawiało znacznie młodszego Wyatta Brody'ego, w birecie i todze, odbierającego jakąś odznakę z rąk elegancko ubranego mężczyzny w okularach, który szeroko się uśmiechał. Pod fotografią widniał podpis:

Wręczam Medal Dziekana za wybitne osiągnięcia naukowe swojemu ulubionemu studentowi, Wyattowi Brody'emu, absolwentowi studiów doktoranckich na WUM, 1985. Tytuł jego pracy: „Badania neurochemii strachu”.

Neurochemia strachu.

Lou siedział jak skamieniały, wpatrując się w monitor, zapominając o bólu szyi i ramion i o piekących ze zmęczenia oczach.

Wiedział, że WUM to Wojskowy Uniwersytet Medyczny, uczelnia prowadzona przez rząd federalny, której zadaniem było kształcenie osób do służby w korpusie medycznym armii Stanów Zjednoczonych. Usiłował posklejać ze sobą te elementy. Doktorant prowadzi badania nad neurochemią strachu i dostaje za to nagrodę. Parę lat później pomaga sformować kompanię marines, która odznacza się wyjątkową walecznością, i może się poszczycić co najmniej jednym zdobywcą Medalu Honoru. Jego kompania, Mantis, wyróżnia się najwyższym odsetkiem żołnierzy poległych w akcjach bojowych, a równocześnie największą liczbą odznaczeń za męstwo.

Kim są ci żołnierze? – zastanawiał się Lou. Dlaczego tak odstają od reszty korpusu marines?

W kompanii Mantis i jej dowódcy było coś nietypowego i Lou nie umiał się pozbyć podejrzeń, że wyjaśnienie tej zagadki ma jakiś związek z tematem pracy doktorskiej Wyatta Brody'ego. Przesłał zdjęcie z Facebooka do drukarki i słuchał, jak materializuje się na jego biurku.

Jest, myślał. Pierwszy krok na drodze do odkrycia tajemnicy pułkownika Wyatta Brody'ego.

Uśmiechnął się ponuro. Nie tylko zrobił pierwszy krok, ale doskonale wiedział, jaki będzie następny. Położył palce na klawiszach. Kilka sekund później otworzyła się przed nim strona internetowa biblioteki Wojskowego Uniwersytetu Medycznego.

ROZDZIAŁ 26

Biblioteka, nosząca imię admirała floty Chestera W. Nimitza, znajdowała się w samym środku luksusowego kampusu Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis. Lou zapoznał się z regulaminem dla gości i podszedł do stanowiska informacji, trzymając w ręku dokument ze zdjęciem.

Energiczna bibliotekarka, Adele Green, jak wynikało z identyfikatora, była od niego młodsza o co najmniej dziesięć lat. Uniosła wzrok znad komputera i zmierzyła go badawczym spojrzeniem.

– Czym mogę panu służyć? – spytała.

– Dzwoniłem wcześniej – oznajmił Lou. – Jestem lekarzem z Waszyngtonu, z...

– Doktor Welcome – przerwała mu, nie spuszczając z niego wzroku.

– Zgadza się, chciałem...

– Przeczytać pracę doktorską Wyatta Brody'ego z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku – dokończyła z uśmiechem Green.

Ze wszystkich profesji, z jakimi Lou miał do czynienia, do jego ulubionych należeli bibliotekarze – zwłaszcza ci z informacji.

Odwzajemnił uśmiech.

– Pewnie już to pani słyszała, ale czy widziała pani kiedyś...

– *MASH*? Jeżeli ma pan na myśli Gary’ego Burghoffa, który grał kaprala „Radara” O’Reilly’ego w filmie z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku i w serialu, jedyne go aktora z filmu Altmana, poza George’em Woodem, który zagrał również w serialu, to tak. Ludzie mówią, że przypominam im jego żeński odpowiednik. Postanowiłam przyjmować to jako komplement, przynajmniej jeżeli chodzi o nasz styl pracy.

Lou się roześmiał. Jeżeli istniał jakiś panteon pracowników informacji naukowej i bibliotecznej, to Adele Green miała tam zapewnione miejsce.

Sięgnęła pod ladę i wyciągnęła średnio grubą, oprawioną w skórę książkę formatu listowego.

– Dam ją panu, kiedy się pan zapisze i przejdzie przez naszą kontrolę. Byłoby lepiej, gdyby nie uruchomił pan alarmu.

– Wydaje mi się, że jest pani osobą, która naprawdę lubi swoją pracę – zauważył Lou.

– Lubię dostarczać ludziom informacji, jeżeli to ma pan na myśli.

Odnotowała stosowne dane, podczas gdy Lou niecierpliwie patrzył na oprawioną pracę.

– Dziwne – ciągnęła. – Wciągamy do katalogu różne prace, a potem przez dziesiątki lat nikt o nie w ogóle nie pyta. Jest pan drugą osobą w ciągu pięciu lat, która chce zobaczyć ten doktorat.

Informacja natychmiast obudziła czujność Lou.

– Naprawdę? – zapytał, starając się przybrać w miarę obojętny ton.

– Ciekawe. Zastanawiam się, kto jeszcze mógł studiować geniusz Wyatta Brody’ego.

– Mam tu wszystko zapisane – odparła Green, zerkając na ekran. – Ojej. Ostatnim czytelnikiem był nasz kongresmen, Elias Colston.

– Colston?

– To straszne, co go spotkało. Po prostu potworne. Mam nadzieję, że złapali już człowieka, który to zrobił.

Zaskakująca informacja od Adele Green uderzyła go jak młotem. Elias Colston nie tylko interesował się Wyattem Brodym, ale odkrył też niezwykle temat jego pracy doktorskiej. Tylko po co?

– Sprawiedliwości stanie się zadość – rzekł Lou, przypominając sobie Gary’ego McHugh w okropnym pomarańczowym kombinezonie.

Wziął doktorat, usadowił się w ustronnym boksie, otworzył opracowaną pracę i przeczytał stronę tytułową:

Badania nad neurochemią strachu
Doświadczenia kliniczne i przegląd
literatury

Doktorat, w tradycyjnej formie rozprawy naukowej podzielonej na standardowe części, był obszerny i imponujący.

Wstęp
Materiały i metody
Obserwacje
Omówienie i przegląd literatury
Wnioski
Bibliografia

Lou szybko się zorientował, że badania Brody’ego skupiają się przede wszystkim na ośrodkach śródmózgowia zwanych podwzgórzem i ciałem migdałowatym – temat nie był błahy. Nawet gdy pojawiło się obrazowanie metodą rezonansu magnetycznego w czasie rzeczywistym, która w ciągu ostatnich lat pomogła rozwiązać wiele neurologicznych zagadek, nad mechanizmem funkcjonowania ciała migdałowatego i związanego z nim układu limbicznego nadal toczyły się spory. Ale już w połowie lat osiemdziesiątych Wyatt Brody

sformułował solidne, fascynujące teorie, a przeprowadzone przez niego badania laboratoryjne chyba potwierdzały jego tezy.

W doświadczeniach, z których wiele było niemal genialnych w swej prostocie, Brody aplikował szczerom impulsy elektryczne w nogi, programując w nich strach przed łagodnymi bodźcami, takimi jak pluszowe zabawki albo specyficzny rodzaj pokarmu. Nazwał ten proces „nauką strachu”. Mierząc aktywność chemiczną w mózgu szczurów reagujących na bodźce, odkrył wiele struktur odpowiedzialnych za stan lęku. Następnie przystąpił do identyfikacji neuroprzekaźników wytwarzanych i uwalnianych przez te struktury.

Proste... wcale nie!

Mijały godziny. Lou przestawił się na tryb pracy na studiach medycznych – przetwarzał informacje, analizował je, zapamiętywał i zapisywał w nieodłącznym żółtym notatniku. Nauka na studiach nigdy nie przychodziła mu szczególnie łatwo, ale uwielbiał poczucie satysfakcji, kiedy opanował jakieś zagadnienie.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu, czytając błyskotliwe wywody Brody'ego. Zastanawiał się, ile Elias Colston, z wykształcenia prawnik, zrozumiał z niezwykle trudnych wyjaśnień wniosków płynących z badań – zwłaszcza teorii na temat metod blokowania reakcji lękowych, kiedy te zostaną już zaszczepione.

Badając neurochemiczne blokady pobudzenia emocjonalnego, Brody wziął pod lupę receptory rozsiane w śródmózgowiu. Ta część doktoratu wydawała się nieco mniej dopracowana i brzmiała mniej wiarygodnie niż pozostałe. Wyglądało na to, że Brody zidentyfikował trzy czy cztery przekaźniki. Kiedy jednak spisywał wnioski ze swoich badań, nie wyjaśnił zbyt jasno mechanizmu blokowania neuroprzekaźników za pomocą innych substancji chemicznych.

Dziwne, pomyślał Lou. Jak gdyby Brody w mgnieniu oka stracił wiarę w badania lub może nawet przestał się nimi interesować. Mimo

to na podstawie swojej znajomości neurochemii Lou nie miał wątpliwości, że to nowatorska praca, a jej autor w pełni zasługiwał na tytuł doktora.

Przeczytał ostatnią część dysertacji, szukając jakichkolwiek wskazówek, dlaczego Brody nie poszedł dalej w analizie i wnioskach. W pracy trudno się było doszukać rewelacji czy rewolucyjnego wkładu w medycynę na miarę Nagrody Nobla, było jednak coś zaskakującego, i to bardzo. Brody uważał, że najbardziej obiecującą substancją działającą antagonistycznie na przekaźniki uwalniane przez ośrodki strachu ciała migdałowatego i reszty śródmózgowia jest dobra znajoma Lou – metamfetamina.

Metamfetamina dostępna na ulicy wyglądała jak kryształki cukru i nazywano ją „kryształkiem”. Poza alkoholem Lou zazwyczaj odurzał się adderalem, lekiem zawierającym dekstroamfetaminę, od czasu do czasu przechodził jednak na ciemną stronę nałogu i miał kontakt z kryształkami. Na ogół udawało mu się trzymać od nich z daleka, ponieważ stale sobie powtarzał, że to jeden z najbardziej niebezpiecznych i uzależniających narkotyków, jakie wymyślono – stymulant, który przyjmowany przez długi czas i w dużych dawkach, może doprowadzić do specyficznych i nieodwracalnych zmian w mózgu.

Zanim zdążył się poważnie uzależnić, wkroczone z terapią, ale przez te lata widział dość nałogowców – rozdygotanych, gadatliwych i wybuchowych, ze straszliwą próchnicą, rozszerzonymi źrenicami, zwiotczalymi mięśniami i ranami na całym ciele.

Choć metamfetamina została wspomniana w pracy doktorskiej, to spostrzeżeniom Brody'ego na jej temat brakowało dogłębnego omówienia i mocnej, jednoznacznej konkluzji. Jeżeli istniało praktyczne zastosowanie tego związku, samego lub w kombinacji z innymi substancjami, przyszły twórca Mantis go nie przedstawił.

Dziwne.

Zmęczony Lou zrobił ostatnie notatki, po czym uznał, że pora zwrócić doktorat Adele Green. Od ich rozmowy minęły cztery godziny. W tym czasie Lou udało się wyjaśnić kilka zagadek, ale pozostało mrowie pytań bez odpowiedzi.

Jeśli to Wyatt Brody był odpowiedzialny za włamanie do jego mieszkania, to skąd wiedział o płycie z nagraniem? Zważywszy na atak Gwardii Pałacowej, było mało prawdopodobne, żeby dowiedział się od Hectora. Chociaż wydawało się, że pod koniec badań Brody dał za wygraną, to czy potem opracował neurochemiczny związek zdolny do blokowania reakcji lękowej? Jeżeli tak, to czy go stosuje? W jakim celu? Co to wszystko może mieć wspólnego z magazynem broni Reddy Creek albo morderstwem Eliasa Colstona?

Z głową pełną kłębiących się myśli Lou zamknął pracę, zebrał swoje rzeczy i wrócił do informacji, czując się tak, jakby jego nogi próbowały sobie przypomnieć, jak mają się poruszać.

Adele Green wyglądała, jakby właśnie przyszła do pracy.

– Parę razy podeszłam do pana boksu, żeby sprawdzić, czy mogłabym jakoś pomóc – powiedziała, w roztargnieniu kartkując pracę doktorską Brody’ego. – Sądziłam, że pan zasnął, ale nie. W ogóle nie podniósł pan głowy, żeby na mnie popatrzeć.

– Jeżeli istnieje jakieś przeciwieństwo ADHD, to chyba je mam – odrzekł Lou.

– Pewnie jest pan bardzo dobrym lekarzem.

– Staram się.

– Znalazł pan to, czego pan szukał?

– Nie tyle, ile się spodziewałem, ale tak, znalazłem parę przydatnych informacji.

– Cieszę się. Zauważyłam, że poza kongresmenem Colstonem, doktor Brody miał związki z innymi ważnymi osobami.

– Co pani ma na myśli?

– Proszę popatrzeć. – Adele odwróciła do Lou doktorat. Był otwarty na ostatniej stronie, gdzie autor zamieścił dedykację.

Lou momentalnie zmroziło.

*Mojemu mentorowi, przyjacielowi i doradcy,
admirałowi Spencerowi Hogarthrowi,
z wyrazami najgłębszego szacunku*

– To bardzo ciekawe – powiedziała Adele. – Nie sądzi pan?

ROZDZIAŁ 27

Lou siedział w luksusowej poczekalni kancelarii Devlin i Rodgers, nerwowo wystukując na aktówce jak na bongosach przeróżne rytmy i próbując zawrzeć rozejm ze sztywnym skórzanym fotelem, który sam sobie wybrał. Nie kontaktował się z Sarah od włamania i kiedy wreszcie zadzwonił, żeby się z nią umówić, był pewien, że nie będzie się chciała z nim spotkać. A jednak się tu znalazł.

Obawiał się, że dobre stosunki między nimi, jeżeli w ogóle zostały nawiązane, zniknęły razem z płytą Eliasa Colstona. Starał się, jak umiał najlepiej, ignorować temat, ale w końcu musiał przyznać, że Sarah zrobiła na nim ogromne wrażenie i jako prawniczka, i jako kobieta. Nadzieję na pojednanie wiązał z jej profesjonalizmem i troską o dobro klienta. Był nawet gotów chwycić się brzytwy.

Wyglądało na to, że – przynajmniej na razie – trafnie ją ocenił. Sarah Cooper była przede wszystkim prawniczką i zależało jej na informacjach o wszystkich dowodach związanych z Garym McHugh, łącznie z tym, co Lou ustalił na temat Mantis i Wyatta Brody'ego. Spędził w poczekalni dziesięć minut, gdy wyszła zza wyłożonych drewnem drzwi w eleganckim szarym kostiumie i nienagannie wyprasowanej białej bluzce. Jak zwykle – w każdym razie w jego obecności – miała kamienną twarz.

– Pójdziemy do mnie – powiedziała, nie racząc się nawet przywitać czy podać ręki. Trzeba się chwytać choćby i brzytwy, powtórzył w myśli Lou. Przynajmniej Sarah wpuściła go do kancelarii. Sądząc

jednak po jej obojętności, nadzieja na ocieplenie stosunków mogła niebawem prysnąć jak bańka mydlana. Niezrażony Lou z ulgą podniósł się z fotela i ruszył za Sarah długim korytarzem; przy każdym kroku jego stopy zanurzały się w puszystej wykładzinie, jakby szedł przez pole golfowe.

Jak się spodziewał, gabinet Sarah był urządzone z gustem i stonowaną elegancją. Przez okna sięgające od podłogi do sufitu wpadało szare światło pochmurnego dnia. Jak na osobę, która nie została jeszcze współnikiem w kancelarii, Sarah miała w swoim pokoju imponującą kolekcję sztuki, skórzaną kanapę z dwoma fotelami do kompletu oraz wbudowany mahoniowy regał pełen ksiąg prawniczych. Kilka zdjęć wskazywało na to, że osoba pracująca w tym biurze jest kobietą, która ceni sport, przyjaźń i wyprawy do dzikich miejsc. Fotografia umieszczona najbliżej biurka przedstawiała wysokiego, opalonego i niezwykle wysportowanego mężczyznę stojącego z dumną miną obok kajaka. Lou był niemal pewien, że to jej zmarły mąż, David.

– Masz naprawdę piękny gabinet – powiedział.

– Dziękuję.

– Zawsze się zastanawiałem, czy ludzie pracujący w takich gabinetach nie martwią się, że ich klienci mogą pomyśleć, że pieniądze od nich idą na ekskluzywne meble.

– Naszym zdaniem, klienci wolą myśleć, że zarabiamy tak dużo, bo jesteśmy tak dobrzy. – Sarah usiadła za biurkiem o powierzchni mniej więcej boiska do polo.

– Punkt dla ciebie.

– Przyszedłeś mi powiedzieć, że znalazłeś płytę?

– Znowu punkt dla ciebie – odrzekł Lou. – Ładny strzał. Kiedy ostatnim razem ktoś wykrwawił się na śmierć na tym dywanie? Posłuchaj, Sarah, postanowiłem złożyć zbiorcze przeprosiny za swoje

wszystkie karygodne postęпки, od odszczekiwania się moim starym i potajemnego pocałunku z Arlene Silver w ostatnim rzędzie Big Cinema aż do braku ostrożności, przez który nie upilnowałem płyty.

– Dość skromna lista – zauważyła Sarah. – Mam nadzieję, że to wersja skrócona.

– Szczerze mówiąc, ten punkt z Arlene zmyśliłem. Nie pozwoliła się nawet wziąć za rękę. Próbuję tylko powiedzieć, że jeżeli chcesz mojej pomocy, będziesz mi musiała wybaczyć.

– Tak nazywasz to, co robisz? – spytała drwiąco. – Pomocą?

– Być może z początku odniosłaś inne wrażenie – odparł Lou. – Ale pomagam bardziej, niż ci się wydaje... jak dotąd.

Oparła łokcie o blat biurka, położyła brodę na splecionych dłoniach i pochyliła się z figlarnym błyskiem w oczach.

– W takim razie, proszę, oświeć mnie – powiedziała.

Zaczął od swoich długich i niefortunnych prób sporządzenia dosłownego zapisu nagrania z płyty Colstona.

– Mówiłam ci, że to niemożliwe – skomentowała.

– Powiedziałem, już nie będę więcej przeproszać. Proszę tylko, żebyś mi dała szansę poprawy. Od włamania pracuję nad tym non stop i mam coś dla ciebie.

Wyprostowała się na krześle, a z mowy jej ciała wyczytał nieco większą otwartość.

– *Uparty mały szczeniaczek* – powiedziała.

– Słucham?

– To była moja ulubiona książka z dzieciństwa. Szczeniaczek ciągle się starał i starał, dopóki w końcu nie dostał, czego chciał. Ta historia nigdy mi się nie nudziła. Doprowadzałam mamę do szału. Ale mów dalej. Przepraszam, że ci przerwałam. – Dała mu znak, by kontynuował.

– Kiedy dałem sobie spokój z odtworzeniem nagrania, zadzwoniłem do Jeannine Colston.

Lou zrelacjonował treść rozmowy i przebieg spotkania z Hectorem. Sarah zbladła jak kreda, kiedy opowiadał o wydarzeniach w Hayes i pościgu przez las, który prawdopodobnie doprowadził do śmierci żołnierza z Gwardii Pałacowej.

– Popatrz mi w oczy i powiedz, że niczego nie zmyśliłeś – poprosiła.

Najlepsza propozycja, jaką dzisiaj usłyszałem, pomyślał Lou, spełniając jej prośbę.

– To nie wszystko – dodał. – Jeszcze sporo przed nami. Jak brzmiał tytuł tej książeczki?

– *Uparty mały szczeniaczek.*

– Nigdy nie sprawiałaś na mnie wrażenia osoby, która zakochałaby się w książce z masłem maślanym w tytule.

Sarah natychmiast zrozumiała. Lou uznał, że ma przepiękny uśmiech.

– Zabawne – rzuciła. – Czytałam tę książeczkę z obrazkami jeszcze w szkole średniej i nigdy nie zwróciłam na to uwagi.

– Mówiłem, że w którymś momencie się przydam. Nie wiem, jaki właściwie płynie z tego morał, ale na pewno jakiś płynie.

– Powiedziałeś, że to jeszcze nie wszystko.

– Bohaterem drugiego rozdziału tej opowieści jest Wyatt Brody. Zanim zacznę, lepiej zapnij pasy.

Sarah słuchała jak zahipnotyzowana, podczas gdy Lou opowiadał o fortecy Mantis, Brodym i jego tajemniczej galerii broni.

– Naprawdę ci groził?

– Nie użył zbyt wielu słów, ale zamierzał mnie wysłać do miasta pieszo, jakieś dwa kilometry w ciemności i mrozie. Trudno uwierzyć, że po drodze nie czekałoby na mnie kilku tych chłopaków z lasu.

– Boże.

– Gdyby nie przyjechali policjanci i jeden z żołnierzy nie przyprowadził ich do biura, pewnie zmieniłbym się w mrożonkę.

Sarah podniosła się z krzesła, odwróciła się plecami do Lou i utkwiała wzrok za oknem. Kiedy znów na niego spojrzała, miała skrzyżowane ręce na piersi i mocno zaciśnięte szczęki.

– Kim on jest? – zapytała, mówiąc bardziej do siebie niż do Lou. – Kim jest ten Wyatt Brody?

– Skoro o nim mowa... – Lou odpiął zamek aktówki. Wyciągnął teczkę z notatkami i kserokopiami i położył ją na biurku w zasięgu ręki Sarah, po czym zdał relację z godzin spędzonych w bibliotece.

– Uparty trochę większy szczeniaczek – oceniła, nie próbując nawet ukryć podziwu.

– Możesz mnie nazywać dużym psem. Pytaj śmiało, jeżeli czegoś nie będziesz rozumiała – dodał.

Przez kilka minut Sarah przeglądała kopie, wykresy i notatki.

– Wspominasz tu, że wydaje ci się, jak gdyby pod koniec pracy doktorskiej Brody pisał coraz mniej analitycznie. Co o tym sądzisz?

Lou pokręcił głową.

– Po prostu rzuciło mi się to w oczy, nic więcej.

– Myślisz, że jego doświadczenia zakończyły się niepowodzeniem?

Popatrzył jej w oczy i zrozumiał, że Sarah doskonale wie, co sądzi.

– Albo sukcesem – powiedział.

– Później to przeczytam. Co dalej?

Lou czekał na tę chwilę.

– To zależy – odparł. – Robiłaś sobie ostatnio EKG?

– Mam serce jak dzwon – zapewniła go, uderzając się w pierś. – Devlin każdego z nas co roku wysyła na badania. Nie chce, żeby ktoś wykorkował w trakcie jakiejś ważnej sprawy.

– W porządku. Jeżeli jesteś pewna, że dasz radę, popatrz na to. – Lou podsunął jej stronę z dedykacją, wkładając w ten gest

odpowiednią dozę dramatyzmu.

– Hogarth! – krzyknęła. – Niech to szlag, zadedykował to Spencerowi Hogarhowi!

– Kiedy to zobaczyłem, nie wierzyłem własnym oczom.

– No i co teraz zrobimy?

Tym razem uśmiechnął się Lou.

– Co? – zdziwiła się Sarah. – Co cię tak bawi?

– Właśnie powiedziałaś: „zrobimy”. Tylko tyle. „Co teraz zrobimy?”.

– Dobra, powiedziałam. Od tej chwili gramy w jednej drużynie i pracujemy nad tym razem. Dlatego myślę, że powinnam zacząć od przeprosin... za to, że traktowałam cię w taki sposób.

– Możesz mówić, co chcesz, ale chyba już znam powód.

Sarah uniosła brwi.

– Mnie też sprawdzałeś?

– Ja nie, ale moja trzynastoletnia córka.

– Sprytna mała.

– Nie masz pojęcia, jaka ona jest. Ma trzynaście lat, ale uważa się za dorosłą. Powiedziałem jej, że między tobą a mną nie układa się najlepiej i nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Weszła do internetu i dowiedziała się o twoich nieszczęsnych doświadczeniach... z lekarzem twojego męża.

– To prawda. Próbuję sobie z tym radzić najlepiej, jak potrafię, ale czasem ta historia znienacka wychodzi. Tylko tyle mogę ci powiedzieć.

– Wystarczy. Gdybyś kiedyś chciała o tym pogadać, nie krępuj się.

– Dzięki. Dobra, ale co teraz? Dla sądu ten doktorat nie będzie dowodem. Wyśmiałyby mnie każdy przyzwoity sędzia, gdybym przyszła z tym do niego.

– Tak – przyznał Lou. – Ale można spróbować ustalić, czy na tej zaginionej płycie było coś, za co Elias Colston przypłacił życiem.

– Na przykład? – spytała Sarah, przeglądając notatki Lou na temat Wyatta Brody’ego.

– Na przykład Reddy Creek.

Uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Jaśniej.

– Niewiele mogę ci o tym powiedzieć. Colston spytał Hectora, czy coś wie o jakimś Reddy Creek, ale Hector nie wiedział, w każdym razie tak twierdził. Colston powiedział, że czytał na blogu jakiegoś dziennikarza, że zginęli tam dwaj żołnierze Mantis, ale chyba nie podał żadnych szczegółów. Sprawdziłem to. Nie znalazłem żadnego takiego bloga, a szukałem dość dokładnie. To wojskowy magazyn broni w Raleigh w Karolinie Północnej. Na razie niczego więcej się nie dowiedziałem. Nie udało mi się znaleźć żadnej informacji o jakimkolwiek zdarzeniu, w którym zginęli dwaj żołnierze marines.

– Skąd Colston wiedział, że byli z Mantis?

– Nie mam pojęcia. Hector powiedział mi tylko, że każdy członek kompanii ma na wewnętrznej stronie przedramienia wytatuowaną modliszkę.

– Mówiłeś, że ten blog, który zniknął z sieci, pisał jakiś dziennikarz. Wiadomo, w której gazecie mógł pracować?

– Nie bardzo. Przypuszczam, że w jakiejś wychodzącej w Raleigh.

– Sądzisz, że to ważne?

– Sam nie wiem. Może Colston próbował zbadać tę sprawę. Nie przypuszczam jednak, żeby udało mu się dotrzeć do oficjalnego raportu o śmierci dwóch żołnierzy z Mantis.

– Dwaj marines zginęli w wojskowym magazynie broni... jakiś dziennikarz pisał blog... a teraz nie ma śladu po jednym i drugim. Czuję, że ktoś tuszuje sprawę.

– W takim razie będę szukał dalej.

– Nie, zostaw to mnie. Pamiętaj, gramy w jednej drużynie.

– Chcesz zacząć szperać w internecie?

– Szczerze mówiąc, pomyślałam, że zacznę od swojego szefa, Graysona.

– Dlaczego?

– Po tylu latach pracy Grayson ma koneksje wśród ludzi, których warto znać. Wydaje mi się, że gazeta w Raleigh i śmierć dwóch marines to dla niego pestka. Grayson Devlin zna wszystkich i jeżeli ktokolwiek potrafi odnaleźć tego zaginionego dziennikarza z Karoliny Północnej, to stawiam na swojego szefa.

– Wspaniale. Będę czekał na wiadomość i dalej szukał, czego się da, o Brodym i Hogarcie. Jeżeli będziesz chciała, żebym przekazał coś Gary’emu, daj mi znać.

Oczy Sarah rozbłysły.

– Brawo, doktorze! – wykrzyknęła. – Naprawdę to zrobiłeś!

– Co zrobiłem? Co?

Uśmiechnęła się jak marzenie.

– Zamiast pędzić na widzenie z Garym, najpierw zapytałeś.

ROZDZIAŁ 28

Następny nocny dyżur zaczął się i skończył, tym razem dość spokojnie. Podtrzymywany na duchu myślą o nowym etapie relacji z Sarah, Lou spakował swoje rzeczy, opuścił szpital i ruszył w kierunku parkingu dla lekarzy. Mimo wczesnej pory czuł się świeżo i rześko. Na pierwszym miejscu listy rzeczy do załatwienia figurował zakup biletu z lotniska Dulles do Minneapolis i wynajęcie samochodu, którym zamierzał pojechać do kliniki Pine Forest w Shockley, osiemdziesiąt minut jazdy na północ od miasta. Dyrektor medyczny kliniki, doktor Gerald Sherwood, wyraził zgodę na godzinną konsultację, ale aby ją uzyskać, Lou musiał skłamać co do celu swojej wizyty.

Według pewnej skromnej strony internetowej, klinika była ekskluzywną placówką zajmującą się diagnozowaniem i leczeniem chorób wewnętrznych i neurologicznych. Choć Lou zebrał sporo informacji o tej instytucji, nie był pewien zakresu świadczonych tam usług. Wydawało się, że najważniejszymi z nich są prywatność i dyskrecja. Sherwood był specjalistą chorób wewnętrznych i neurologii, kształcił się w Klinice Mayo i innych pierwszorzędných placówkach medycznych. Pine Forest założono przed dwudziestu laty. Zanim Lou umówił się na wizytę u Sherwooda, usłyszał, że ubezpieczenie nie pokrywa kosztów wstępnej godzinnej konsultacji.

Należało zapłacić tysiąc dolarów gotówką lub czekiem w czasie wizyty. Lou porzucił pomysł, by wspomnieć o Jamesie Stylesie z Bowie

w stanie Maryland, którego nazwisko znalazł na kopercie w szufladzie Eliasa Colstona, podał natomiast adres i dane swojego brata Grahama. W razie potrzeby mógłby poprosić Grahama o ten tysiąc. Łącznie z ceną biletu koszt wyprawy miał poważnie nadszarpnąć jego konto, ale Lou miał przeczucie, że musi tam pojechać. Podobnie jak oprawiony w ramki Medal Honoru odwrócony do ściany, koperta z nazwiskiem Stylesa wydawała się ważna.

Wędrując między budynkami w kierunku parkingu dla lekarzy, Lou pogrążył się we wspomnieniach poranka po swoim pierwszym nocnym dyżurze, który pełnił jako stażysta w Eisenhower Memorial. Wtedy wyszedł ze szpitala i powłókł się w stronę parkingu po pełnym napięcia, wyczerpującym dyżurze, podczas którego dręczyło go mnóstwo wątpliwości, niepokoju i niepewności, niemal ponad siły jednego człowieka. Jego wiekowy chevrolet stał na klockach, a trzech mężczyźni fachowo odkręcali koła.

– Hej, co wy robicie? – zdołał wykrztusić Lou.

– Niech się pan do tego nie miesza, doktorze – odrzekł jeden z nich.

– To pana nie dotyczy.

– Oczywiście, że mnie dotyczy. To mój wóz.

– Ojoj. Chłopaki, to wóz doktora. Pardon, doktorze.

Jak gdyby nigdy nic założyli koła z powrotem, dokręcili nakrętki, opuścili samochód i zabrali podnośnik.

Witajcie w Eisenhower Memorial.

Tego zimowego ranka, gdy dopiero co świt rozjaśnił niebo, nie spotkał żadnych mężczyzn kradnących koła. Zobaczył za to policjanta w mundurze, który wsuwał mandat za wycieraczkę po stronie kierowcy. Radiowóz stał zaparkowany dwa metry dalej.

– Hej! – krzyknął Lou, gdy funkcjonariusz odwracał się, by odejść. – O co chodzi?

Policjant o mocno zarysowanej szczęce i głęboko osadzonych oczach widocznych spod daszka czapki odchylił do tyłu głowę i z zaciekawieniem przyjrzał się Lou.

– Jest pan tu lekarzem? – zapytał.

– Oczywiście. W szpitalu mamy własną ochronę. Nie daje nam mandatów.

– Szpital prosił, żebyśmy się tym zajęli. Nie ma pan naklejki na aucie. To znaczy, że dostaje pan pouczenie.

Dobry nastrój Lou błyskawicznie się ulotnił.

– Przecież nikt nie ma naklejki, niech się pan rozejrzy.

– Ale będą mieli.

– To idiotyzm.

– Słuchaj pan, ja nie ustalam prawa tylko pilnuję, żeby go przestrzegano. Na razie to tylko ostrzeżenie, ale mamy już pana numery rejestracyjne. Jeśli nie pójdzie pan do biura parkingu po naklejkę, następnym razem będzie dwadzieścia pięć dolarów kary.

– Kompletny idiotyzm – uznał Lou.

Policjant schował bloczek z mandatami takim ruchem, jak gdyby wsuwał broń do kabury, wsiadł do radiowozu i otworzył okno najbliższej Lou.

– Życzę miłego dnia – powiedział. – I niech pan dokładnie przeczyta pouczenie. Na odwrocie są wszystkie nowe przepisy w skrócie.

Radiowóz skręcił między samochody i po chwili odjechał.

Bryzinski, pomyślał Lou. To musiała być robota tego podejrzanego typu.

Wyciągnął kartkę zza wycieraczki, wziął ją ze sobą do samochodu i włączył wewnętrzną lampkę. Z jednej strony świstek wyglądał jak zwykły pomarańczowy mandat. Na drugiej Lou zobaczył list starannie napisany ciężką męską ręką.

Doktorze Lou Welcome!

Powinien Pan bardzo uważać, ale musi Pan też komuś ufać. Mnie może Pan zaufać. Policjant, który dał Panu ten mandat, jest przyjacielem Eliasa Colstona i moim. Chcemy poznać prawdę o mordercy Eliasa. Jeżeli to Wyatt Brody, zdemaskujemy go i zapłaci za to, co zrobił. Spotkajmy się we wtorek w miejscu o współrzędnych 38,84783; 76,73744. Punktualnie o dziewiątej wieczorem. Niech Pan się schowa między drzewami. Dowie się Pan, kiedy się pojawię.

***Pański przyjaciel
Steve Papavassiliou (Papa Steve Marka Colstona)***

ROZDZIAŁ 29

Dowie się pan, kiedy się pojawię.

Ciarki przeszły mu po plecach.

Co, do cholery, Papa Steve Papavassiliou chciał przez to powiedzieć? Sądząc po sposobie doręczenia wiadomości i fakcie, że wyznaczył miejsce spotkania za pomocą współrzędnych geograficznych, był albo zagorzałym graczem albo paranoikiem, a może jednym i drugim. Choć dzięki Emily Lou sam stał się całkiem niezłym graczem, nie był zbyt skłonny zaufać Papavassiliou. Mimo to postanowił zagrać.

Wcale się nie zdziwił, kiedy wprowadziwszy współrzędne GPS na stronie internetowej, zobaczył, że określają położenie dziewiątego dołka na dostępnym dla wszystkich polu golfowym w Midwood w Wirginii, czterdzieści kilometrów od stolicy.

Naprawdę ciarki mogą przejść po plecach.

O wpół do dziewiątej Lou zjawił się w miejscu oznaczonym przez współrzędne 38,84783; 76,73744. Klub golfowy Sharpton Hills był ciemny i zupełnie pusty. Lou pokonał bramę ze stalowych rurek, zaparkował toyotę za garażem dla wózków, po czym, trzymając wydruk z planem pola, ruszył pieszo do dziewiątego dołka. Niebo było bezchmurne, temperatura utrzymywała się poniżej zera i ziemię przykrywała cienka warstwa skrzypiącego śniegu. Lou zajął miejsce między drzewami na skraju pobliskiego lasu, dygocząc w chłodzie.

Dzięki bezchmurnemu niebu i jasnemu światłu księżycy miał otwarty widok na dziewiąty dołek, który należało rozegrać w czterech uderzeniach. Zastanawiał się, w jaki spektakularny sposób pojawi się tu Papa Steve. Na psi zaprzęg było za mało śniegu. Mogłoby wystarczyć ewentualnie na narty biegówki. Za dużo na wózek golfowy. Lou stawiałaby raczej na skuter śnieżny albo wóz terenowy. Wyciągnął z kieszeni kurtki złożone pouczenie z parkingu i jeszcze raz przeczytał pierwsze linijki listu od Papy Steve'a.

Powinien Pan bardzo uważać, ale musi Pan też komuś ufać. Mnie może Pan zaufać.

Wrócił myślą to tego, co prawdopodobnie zrobił detektyw Chris Bryzinski, niewykluczone, że w zмовie ze Spencerem Hogarthem.

Powinien pan bardzo uważać...

Mimo że list miał mu dodać otuchy, Lou postanowił trzymać Papavassiliou na dystans, dopóki nie pozna jego zamiarów. Rozmawiał o tym telefonicznie z Sarah i uzgodnili, że powinien odbyć to spotkanie, ale musi zachować ostrożność. Uznali, że potem zdecydują, do jakiego stopnia można zaufać Papavassiliou.

Wcześniej Lou przez cały dzień nadrabiał zaległości w pracy w Ośrodku Opieki dla Lekarzy, między innymi pisząc raporty z przebiegu terapii i spędzając szczególnie nieprzyjemną godzinę z szefem, Walterem Filstrupem, który mocno go zirytował tyradą o alkoholizmie jako chorobie.

– Mam tu twoją ostatnią opinię na temat Gary'ego McHugh – powiedział Filstrup. – Posłuchaj, to twoje własne słowa: „Wydaje się, że lekarz trzysta siedem ma już kontrolę nad swoim uzależnieniem. Minęły ponad cztery lata, odkąd ostatni raz pił alkohol lub przyjmował narkotyki. Losowo przeprowadzone badania moczu dają wynik negatywny. Nadal niepokoi mnie jego brak zaufania do spotkań terapeutycznych i innych form wsparcia, nikt jednak nie może

kwestionować jego determinacji, by zapanować nad chorobą”. Naprawdę schrzaniłeś to, Welcome. A w każdym razie człowiek, który tak świetnie zapanował nad swoją chorobą, znalazł się tam, gdzie jego miejsce. Za kratkami.

– Nawet alkoholicy są ludźmi – odparł Lou.

– W porządku, panie Odwyk, jak sobie chcesz. Tymczasem McHugh skompromitował ten program na całej linii, ty zresztą też jako współodpowiedzialny.

– McHugh nie zabił Colstona.

– Tak jak ja nie jadłem dzisiaj jajeczniczy na śniadanie. Wiesz co, lepiej wróć do pracy, dopóki ją jeszcze masz. Kiedy nie będziesz miał nic więcej do roboty, zacznij sobie kaligrafować „winny”.

– W porządku, ale McHugh jest niewinny. Wiesz co, Walter?

– Co?

– Trochę tej jajeczniczy zostało ci na krawacie.

Teraz, na polu golfowym, miał wrażenie, jakby wraz z wybiciem dziewiątej temperatura spadła o dziesięć stopni. Ani śladu Papavassiliou. Lou przycisnął się do pnia drzewa, ciesząc się w duchu, że wziął ciepłą kurtkę, wełnianą czapkę i rękawiczki, które kupił w L.L Bean. Z każdą upływającą minutą coraz bardziej podejrzewał, że to pułapka. Co łączyło Papavassiliou z Brodym? Miał jakieś dowody, które oczyszczą z zarzutów Gary’ego McHugh? Może za plecami Lou czai się już Gwardia Pałacowa?

Minęło dziesięć minut. Pora iść. Ostrożnie wysunął się spomiędzy drzew. Krajobraz był zimny i posepny jak na Księżycu. Może coś się stało. Może Brody dowiedział się o liście i wysłał Gwardię Pałacową, żeby zatrzymała Papavassiliou. Pytania. Coraz więcej pytań. Lou odwrócił się i rozejrzał po lesie. Nic. Żadnego odgłosu. Wyrzucał sobie, że nie wziął latarki.

W tym momencie usłyszał dobiegający z oddali cichy pomruk jakiejś maszyny. Pół minuty później ujrzał silne światła śmigłowca, który jak statek kosmitów nisko sunął nad falistym terenem. Mały helikopter z pojedynczym wirnikiem nośnym zatrzymał się ponad pięć metrów nad ziemią i siadł dokładnie przed Lou, tuż za greenem dziewiątego dołka.

Dowie się pan, kiedy się pojawię.

Ładnie powiedziane.

Lou osłonił oczy przed przelotną śnieżycą, którą wywołał podmuch wirujących łopat. Silnik i światła zostały szybko wyłączone i otworzyły się drzwi niewielkiej kabiny. Wskoczyła z niej wysoka, barczysta postać, narzucając na głowę obszyty futrem kaptur. Kiedy obu mężczyzn dzieliła odległość około trzech metrów, Papavassiliou zsunął kaptur. Lou natychmiast go poznał. Gdyby zdjął kurtkę i podwinął rękawy, na jego muskularnych przedramionach Lou zobaczyłby wyblakłe tatuaże – jeden przedstawiający grzyb po eksplozji, a drugi wykaligrafowane litery TNT. Naraz zrozumiał, że tamtej nocy przyjazd policji, która w samą porę zjawiała się w siedzibie Mantis, nie był żadnym szczęśliwym przypadkiem. Steve Papavassiliou pracował w bazie i to on uratował Lou przed Wyattem Brodym.

Czy to znaczy, że mogę mu ufać? – zastanawiał się Lou. Może to tylko był misterny podstęp, żeby zdobyć moje zaufanie?

– Mówiłem, że się pan dowie, kiedy się pojawię, doktorze Welcome.

– Wystarczy Lou.

– Mnie wystarczy Papa Steve. Tak cię zaczynają nazywać, kiedy jesteś w wieku ojców większości chłopaków. – Uścisnął mu dłoń z siłą, która mogłaby zmiażdżyć ząbek czosnku.

– Dlaczego helikopter? – zapytał Lou.

– Odpowiedź chyba podobna jak na pytanie, dlaczego pies liże sobie jaja.

– Bo może – odparł Lou.

– Chyba tak samo długo latam wiatrakami, jak wysadzam w powietrze różne rzeczy. Mam w firmie znajomych, więc pożyczyłem sobie od nich jedną taką zabawkę. Wyatt Brody to świr. Cholernie inteligentny, ale jednak świr. Ludzi, którzy są blisko Brody’ego, nazywają w bazie Gwardią Pałacową. To wyćwiczeni twardziele, gotowi zrobić dla niego prawie wszystko. Musimy naprawdę uważać. Chociaż starałem się być bardzo ostrożny, Gwardia mogła mnie śledzić. Przynajmniej na ziemi i wodzie. Ale nie ma mowy, żeby dała radę upilnować mnie w powietrzu.

– Ale dlaczego Brody w ogóle cię śledzi? Co się z nim dzieje?

– To się dzieje, że, moim zdaniem, to Brody zamordował Eliasa.

– Masz dowód?

– Nazwijmy to mocnym podejrzeniem.

– Nie zrobił tego ktoś z Gwardii?

– Możliwe, ale wątpię, żeby Brody oddał któremuś z nich taką kontrolę nad sobą. Sam chce mieć kontrolę nad wszystkim.

Przebijając ciemność wzrokiem, Lou przyjrzał się stojącemu przed nim mężczyźnie. Przynajmniej na razie podobało mu się to, co zobaczył. Wciąż jednak boleśnie drażniła go myśl, że powierzył Chrisowi Bryzinskiemu płytę Colstona.

– Co mogę zrobić? – spytał.

– Brody polubił mnie, odkąd przeniosłem się do Mantis, ale nikomu nie pozwala się do siebie zbliżyć. Jeżeli zabił Eliasa, chcę mu się dobrać do tyłka, Lou. Tak, żeby to dobrze zapamiętał. Niejedno przeszliśmy razem z Eliaszem. Brakuje mi go. Możesz mi pomóc, bo w ten sposób pomożesz swojemu przyjacielowi, Gary’emu McHugh. I zemścisz się za Hectora.

– Zemszczę się? – Lou odsunął się o krok. Poczuł, jak sztywnieje mu szczęka.

– Przepraszam. Powinienem się domyślić, że możesz jeszcze nie wiedzieć. Ekipa poszukiwawcza wczoraj znalazła jego ciało.

– Gdzie? – Lou z trudem przełknął ślinę, ponieważ w gardle urosła mu nagle wielka gruda. Wina za śmierć Hectora spadała na niego tak samo jak na ludzi, którzy go zabili.

– Znaleźli go w dzikiej części bazy – powiedział Papa Steve. – Podobno spadł z urwiska i złamał sobie kark. Zginął na miejscu. Był ponoć pijany, ale pełny raport toksykologiczny będzie dopiero za kilka tygodni. Słyszałem, że niedaleko miejsca, gdzie spadł, znaleziono butelkę po wódce. Chodził zgnębiony, bo krążyły plotki, że zostanie wyrzucony z Mantis, tak myśleli ludzie. Niektórzy przypuszczają, że skoczył.

– Kłamstwo – wyrzucił z siebie Lou. – Byłem w lesie, kiedy próbowali nas zabić tamci, których nazywał Gwardią Pałacową. Hector był daleko od bazy. I wcale nie był pijany. To przedstawienie zaaranżowane przez Wyatta Brody’ego.

Oczy Papy Steve’a błysnęły.

– Myślisz, że nie wiem? – odparował. – Siądźmy w kabinie i pogadajmy, będzie cieplej. Mamy do omówienia parę rzeczy.

Wnętrze helikoptera wyglądało jak z marzeń pilotów – niewielkie i pełne nowoczesnych gadżetów.

– Kiedy człowiek zarabia na życie rozbieraniem bomb, ma wielu przyjaciół na wysokich stanowiskach. To do mnie się dzwoni, kiedy ktoś nie wie, który przewód trzeba przeciąć. Zresztą to ja je podłączam.

– Wtedy w Mantis widziałem twoje tatuaże – rzekł Lou. – Myślę, że uratowałeś mi życie.

– Też tak myślę. Zobaczyłem, jak przywiózł cię ambulans. Kumpluję... kumplowałem się z Hectorem, bo był najlepszym przyjacielem mojego chrześniaka w Mantis. Zapytał mnie, czy, moim zdaniem, powinien się z tobą spotkać. Powiedziałem: czemu nie? Gliniarze przyjechali z powodu strzelaniny no i po prostu zaprowadziłem ich do Brody'ego.

Lou znów zaczął się zastanawiać nad Papą Steve'em. Ktoś musiał powiedzieć Brody'emu o jego spotkaniu z Hectorem. No i ten policjant, który przywiózł list Papavassiliou na parking dla lekarzy... Najprawdopodobniej Papa Steve kazał mu go pilnować, może nawet śledzić.

– No i co z tym robimy? – zapytał Lou. – Wygląda na to, że mamy do złapania morderców dwóch ofiar, Colstona i Hectora.

– Chodzi nam o Brody'ego. Tylko on się liczy. Ale trzeba się do tego zabrać bardzo ostrożnie, a ja muszę wiedzieć, czy chcesz zaangażować się na sto pięćdziesiąt procent. Brody kombinuje coś już od paru lat. Kiedy zgodziłem się na przeniesienie do Mantis, obiecałem Eliasowi, że nie wtajemniczę w tę sprawę nikogo, kto nie będzie gotów poświęcić wszystkiego, żeby ustalić, o co w tym może chodzić. I nie zrobiłem tego... aż do tej chwili.

– Czyli pomagałeś Colstonowi sprawdzać Brody'ego?

– Właśnie z tego powodu zostałem przeniesiony – wyjaśnił Papa Steve. – Colston chciał rozwiązać Mantis nie dlatego, że jego syn zginął podczas służby w tej jednostce, ale po prostu, jak wielu innych w Kongresie, uważał, że ta jednostka jest niepotrzebna. Żeby zwiększyć skuteczność, funkcje Mantis można zintegrować z zadaniami SEAL i innych sił specjalnych. Chyba się domyślasz, że ten projekt nie cieszył się poparciem Wyatta Brody'ego.

– I co się stało?

– Brody zaczął wojnę z Colstonem z powodu sporu o finanse. Przynależał niszczyć go w każdy możliwy sposób. Myślę, że po prostu stracił cierpliwość.

– Nie wie o twoich związkach z Colstonem?

– Trudno powiedzieć. Znasz to stare porzekadło: trzymaj przyjaciół blisko siebie, a wrogów jeszcze bliżej? Być może Brody je stosuje.

– Jezu – mruknął Lou. – Sądzisz, że to, co Elias robił w Kongresie, było dla Brody'ego wystarczającym motywem do popełnienia morderstwa?

– Sądzę, że każdy, kto zagrozi Mantis, sam naraża się na niebezpieczeństwo.

– Łącznie z tobą.

– I z tobą – rzucił Papavassiliou.

Lou miał własne teorie o związkach między doktoratem Brody'ego na temat strachu a zainteresowaniem Colstona magazynem Reddy Creek, ale nie był jeszcze gotowy podzielić się nimi z Papą Steve'em.

– No i czego się dowiedziałeś?

– Że wszystko jedno, ile środków dla Mantis Colston postanowił obciąć, Brody zawsze znalazł sposób, żeby je zdobyć.

– Może skończyły mu się sztuczki.

– Tak właśnie myślę. Elias za mocno przykręcał śrubę, i Brody w końcu postanowił go zlikwidować.

– Co to w takim razie oznacza dla nas? – spytał Lou.

– Potrzebuję czegoś od ciebie.

– Czego?

– Śledzę sprawę doktora McHugh. Wiem, która kancelaria go broni. Jest znana z własnych metod badań materiałów wybuchowych i balistyki. Mój znajomy, jeden z najlepszych speców od łączenia drucików i wysadzania w powietrze, dostał kiedyś grubą kasę za wygłoszenie paru wykładów dla ich adwokatów. Mówił, że to same

tęgie głowy. Skoro przyjaźnisz się z McHugh, pomyślałem, że możesz znać jego adwokatkę, niejaką Sarah Cooper.

– Znam ją – potwierdził Lou.

– No więc muszę zobaczyć raport balistyczny o pociskach, od których zginął Elias.

– Po co?

– Widziałeś kolekcję broni Brody’ego, prawda?

– Ten widok trudno mi będzie zapomnieć.

– No więc jestem gotów się założyć, że mojego przyjaciela zastrzelono z jednego z tych pistoletów. Potrzebuję raportu balistycznego, żeby zawęzić poszukiwania, i muszę działać dyskretnie, gdyby broń, z której zabito Colstona, jeszcze istniała.

Amunicja. Ciekawe, czy nie był to przypadkiem jedyny powód, dla którego Papa Steve umówił się na to spotkanie. Może był kryształowo uczciwy, a może Brody chciał wiedzieć, czy w raporcie z badań balistycznych jest coś, czego powinien się obawiać, poprosił więc Papę Steve’a, żeby to sprawdził. Lou niepokoił się myślą, że Sarah miałyby wejść w konszachty z kimś z Mantis.

– Zobaczą, co się da zrobić – powiedział. – Ale nie będziesz w stanie udowodnić, że Brody miał okazję zabić Colstona.

– Dlaczego? – spytał Papa Steve.

– Mówił mi, że w dniu morderstwa był na paradzie z okazji Dnia Marines. Ludzie widzieli, jak wchodził na stadion na czele Mantis. Będą gotowi potwierdzić, że nie mógł strzelać do Eliasa.

Papa Steve wydawał się zupełnie niezrażony tą wiadomością.

– Mam Brody’ego na oku od kilku lat – oznajmił. – I widziałem rzeczy, które nie zgadzają się z tym, co ci powiedział. To schemat.

– Schemat? Co to znaczy?

– Brody wyjeżdża z bazy o tej samej porze w każdą środę. W każdą środę, bez wyjątku.

– Dokąd jedzie?

Papa Steve pokręcił głową.

– Tego nie wiem. A chciałbym. Niełatwo go śledzić. Gwardia Pałacowa dobrze go pilnuje. Ale wiem, że co środę gdzieś jeździ. Wraca zwykle po trzech, czterech godzinach.

– Byłeś na tej paradzie, prawda? – spytał Lou.

Papa Steve się uśmiechnął.

– Chciałem zobaczyć, czy z parady też zniknie. Czy dalej będzie działał zgodnie ze schematem. I zniknął. Wyszedł, jakby wybierał się do toalety. Przez jakiś czas szedłem za nim, ale Gwardia Pałacowa zaczęła mi deptać po piętach, więc musiałem dać sobie spokój. Przeszkadzają mi za każdym razem, kiedy próbuję go śledzić. Wiem jednak, że Brody pojechał na zachód, w kierunku domu Eliasa Colstona. I jest niezbity dowód, bo mam to nagrane na wideo.

Lou zastanawiał się w milczeniu, co z tego może wynikać.

– Coś ci to mówi? – zapytał Papa Steve.

– Że Brody kłamie, ale to już wiedziałem. Co teraz?

– Dostarczysz mi raport balistyczny i wtedy zajmiemy się resztą.

ROZDZIAŁ 30

Po rozmowie z dwojgiem miejscowych, którzy skierowali ją pod zupełnie inne adresy, Sarah zatrzymała samochód z wypożyczalni przed redakcją „Belmore Current”, gazety, którą przejęła Edith Harmon po ucieczce z Karoliny Północnej.

WIADOMOŚCI ZE WSCHODNIEGO MAINE W ZASIĘGU RĘKI – głosiła tablica nad wejściem.

Sarah pociągnęła klamkę i dopiero potem zauważyła, że światła w środku są zgaszone, a drzwi zamknięte na klucz. Niech to szlag! Na chwilę ogarnęła ją rezygnacja. Nagle dostrzegła niewielką, ręcznie napisaną kartkę, przyczepioną do drzwi za pomocą przyssawki.

Wyszłam do pralni. Zaraz wracam.

Z doświadczenia wiedziała, że w prawie każdym miasteczku dowolnej wielkości jest co najmniej jedna pralnia samoobsługowa. W Belmore była pralnia Caribou, naprzeciwko redakcji „Current”.

Być może nie jestem dziennikarzem śledczym, pomyślała Sarah, ale chyba się domyślam, gdzie znajdę Cassie Wilkins alias Edith Harmon. Zanim się tam skierowała, obejrzała redakcję przez oszklone drzwi. Widziała już kiedyś od środka, jak funkcjonuje gazeta, ale nie taka mała. Wyglądało na to, że Edith świetnie potrafi ekonomicznie wykorzystać przestrzeń. Regały pod ścianami wypełniały pudła na papiery, wszystkie starannie oznaczone odpowiednimi etykietami.

Drukarka stała na szafce na akta z trzema szufladami, a na rozkładanym stole na środku mieściły się tylko dwa najmniejsze laptopy, jakie Sarah kiedykolwiek widziała. W redakcji „Current” mogły pracować najwyżej dwie osoby, co naprawdę ją zaskoczyło. W drodze do miasteczka kupiła numer gazety i była pod wrażeniem rozległości tematyki i wnikliwości tekstów. Wszystko wskazywało na to, że Edith Harmon tak samo świetnie pisze i redaguje gazetę, jak potrafi zapaść się pod ziemię.

Niestety, Edith, pomyślała Sarah, wchodząc z chłodnego poranka do wilgotnego i gorącego wnętrza pralni. Znalazłam cię. Przekonajmy się, co masz mi do powiedzenia.

W nozdrza natychmiast uderzył ją silny zapach detergentów, przypominając jej o stercie brudnych ubrań, którą zostawiła w swoim mieszkaniu – co się często zdarzało, ilekroć na pierwszy plan w jej życiu wysuwała się jakaś duża sprawa. Zobaczyła dwa rzędy stalowych pralek, a pod ścianą ustawione piętrowo suszarki tego samego producenta. Sarah nie korzystała z pralni na monety od czasu studiów w Princeton, kiedy o każdą wolną pralkę toczyły się gladiatorskie walki.

Rozglądając się, ujrzała cztery osoby, spośród których dwie miały mniej niż pięć lat. Matka niesfornych chłopców, bawiących się w „a kuku” przez okrągłe szklane drzwiczki pralki, była kręłą kobietą o potężnych ramionach, ozdobionych barwnymi tatuażami. Druga kobieta składała rzeczy wyciągnięte z suszarki na końcu pomieszczenia. Z tyłu wydawała się drobna i miała ciemne kręcone włosy do ramion. Była w dzinsach, sfatygowanych kowbojkach i krótkiej kurtce z wełnianymi ściągaczami, doskonale dopasowanej do jej szczupłej sylwetki.

Musisz być Edith, mam tylko nadzieję, że nie uciekniesz, kiedy się dowiesz, że tu jestem, pomyślała Sarah.

Odnalezienie tej kobiety wydawało się niełatwym zadaniem. Znając zdolności i koneksje Graysona Devlina, Sarah przekazała mu bardzo niewiele danych – nieistniejący blog sprzed kilku lat i jakąś wzmiankę o dwóch żołnierzach Mantis, którzy podobno zginęli w trakcie próby kradzieży w magazynie broni Reddy Creek w Raleigh w Karolinie Północnej. Nie znalazła żadnych wiadomości o kradzieży w magazynie broni, ani w Reddy Creek, ani w żadnym innym; nazwa nie pojawiała się też w żadnym innym blogu.

Okazało się jednak, że te nieliczne informacje jej szefowi wystarczyły. Zanim Sarah zwróciła się do niego z prośbą o pomoc, sama wykonała kawał roboty. Doszła do wniosku, że tajemniczy bloger musiał być dziennikarzem śledczym. W rejonie Raleigh wychodziły trzy gazety, które mogłyby zatrudniać dziennikarza zainteresowanego kradzieżą w Reddy Creek – „News & Observer”, „Raleigh Downtowner” i „Metro”. Nie zdziwiła się, że Devlin ma znajomych w każdej z nich. Niecałe dwa dni później zadzwonił do gabinetu Sarah.

Żyła złota.

– Nazywa się Edith Harmon – poinformował ją. – Pracowała w „News and Observer”.

Oczy jej rozblęły.

– To fantastyczna wiadomość – powiedziała. – Gdzie ona teraz jest?

– Porzuciła poprzednią tożsamość i teraz nazywa się Cassie Wilkins

– odparł Devlin, zaglądając do notatek. – Wydaje skromną gazetę w Belmore w stanie Maine.

– Dlaczego zmieniła nazwisko i przestała pracować w Raleigh?

– Nie wiem. Nie było łatwo wyciągnąć te informacje od jej byłego naczelnego.

Słyszając to, Sarah się wzdrygnęła. Kiedy Devlin przyznawał, że coś nie przyszło mu łatwo, nie były to puste słowa. Dowiedziała się od

niego, że przed laty ich kancelaria wygrała dużą sprawę o zniesławienie, która mogła doprowadzić gazetę z Karoliny Północnej do bankructwa. Nową tożsamość i miejsce pobytu Edith okrywała ścisła tajemnica i Devlin obiecał, że Sarah utrzyma to w sekrecie.

– Innymi słowy, spodziewam się, że przywieziesz z Maine coś, co pomoże nam wygrać sprawę Gary’ego McHugh – podsumował.

Wygrana w sprawie McHugh postawiłaby Devlina w centrum uwagi mediów, co mogłoby mu zrekompensować cenę, jaką zapłacił, albo dług wdzięczności, o którego spłatę musiał się upomnieć, aby zdobyć informacje o Edith Harmon. Przegrana miałaby równie poważne skutki, tyle że przeciwne. Devlin nigdy nie zagroził Sarah, że nie przyjmie jej do spółki w kancelarii, ale słyszała opowieści o prawnikach, którym tak długo odmawiano awansu, że zaczęli zawodowo więdnąć i w końcu sami zrezygnowali. Zdawała sobie sprawę, że i ona musi się liczyć z taką ewentualnością.

– Zrobię wszystko, co się da – obiecała.

Siłą woli powstrzymała się, by nie powiedzieć Devlinowi, co naprawdę sądzi o sprawie Gary’ego McHugh – że, jej zdaniem, jego uniewinnienie może być wierzchołkiem góry lodowej sięgającej najwyższych szczybli rządu i pierwszym krokiem do ujawnienia gigantycznego spisku, do którego klucz mogła mieć Edith Harmon. Sarah i Lou uzgodnili, że dopóki nie dowiedzą się czegoś więcej, najlepiej ograniczyć ujawnianie faktów do minimum, nawet gdyby musieli zaryzykować, utrzymując w nieświadomości Devlina.

Radość Sarah z perspektywy spotkania z Edith Harmon studziło tylko jedno bolesne i uporczywe pytanie.

Czy mogę wrócić na wybrzeże Maine? Czy naprawdę potrafię?

Pytanie wisiało nad nią jak miecz Damoklesa. Gdy tylko samolot wylądował na lotnisku w Bangor, zderzyła się z twardą rzeczywistością, uświadamiając sobie, co ta podróż dla niej oznacza.

Wiedziała, że powrót do Maine obudzi w niej emocje, ale zaskoczyła ją gwałtowność własnych reakcji. W drodze do Belmore dwa razy nie mogła złapać tchu, musiała zjechać na pobocze i poczekać, aż przestaną płynąć łzy.

W postanowieniu, aby wytrwać, niespodziewanie utwierdził ją Lou. Podczas rozmowy w jej gabinecie powiedziała mu, że grają w jednej drużynie, i jeśli jej nieustępliwość na sali sądowej o czymś świadczyła, to z pewnością o niechęci do sprawienia zawodu członkom własnej drużyny. Lou był szczery i praktyczny – wspaniale łączył w sobie zaciętość i charakter. Sarah zdecydowała, że go nie zawiedzie, nawet gdyby oznaczało to bolesny powrót do magicznych dni spędzonych z Davidem.

Kiedy mijiała tablicę, która witała ją w Belmore, ogarnęły ją wspomnienia z ostatniego pobytu w tym stanie. Wtedy było lato i wyruszyła z Davidem na jedną z wypraw „w nieszczególnie znane”, jak David nazywał ich coroczne podróże.

Zawsze w lipcu wybierali stan, który chcieli zwiedzić, wynajmowali samochód, czasem rowery, i włóczyli się przez tydzień, poznając mieszkańców, szukając miejscowego odpowiednika największego kłębka sznurka³ i rozkoszując się każdą spędzoną razem bezstresową sekundą. Uzgodnili, że wakacje są wolne od pracy. Komórki i laptopy były zakazane. To samo dotyczyło GPS-u. Skorzystanie z mapy wymagało jednomyślnej decyzji.

Sarah uwielbiała włóczęgi z Davidem, lecz wspomnienie podróży przez Maine sprawiało jej szczególną przykrość, ponieważ była to ich ostatnia wyprawa. Rankiem sześć miesięcy po ich powrocie David szybko odwrócił głowę, żeby się z nią przywitać, i sparaliżowało go od szyi w dół.

– Cześć, kochanie...

Chrup.

Naprawdę usłyszała, jak przerywa się rdzeń kręgowy, który przecięły więzadła, czy to tylko jej wyobraźnia?

Chrup. Chrup.

Wszystko jedno, czy dźwięk był rzeczywisty, czy nie, odtąd każdego ranka rozbrzmiewał w jej głowie, kiedy się budziła.

– David! David!

Bez końca wykrzykiwała jego imię. Mąż nie reagował, wpatrując się w sufit szeroko otwartymi oczami bez wyrazu, zupełnie nieruchomy.

David...

Choć centrum Belmore przykrywała miękka warstewka śniegu, było podobne do kilku miasteczek, przez które przejeżdżała z mężem. Pięknie odrestaurowane budynki z czerwonej cegły, najwyżej dwupiętrowe, stały wśród eleganckich nowoangielskich domów, stylowych antykwariatów i wybornych restauracji. Głęboko odetchnęła zimnym morskim powietrzem, czując w całym ciele jego krzepiącą moc. Ze wszystkich wypraw Davidowi najbardziej podobało się Maine.

Stojąc tuż za progiem pralni, Sarah wciągnęła powietrze przesycone wonią detergentów, po czym ruszyła wzdłuż szeregu pralek w kierunku filigranowej kobiety, która składała ubrania. Zażywna matka z tatuażami wyprowadzała swoje dzieci na ulicę, taszcząc pełen kosz.

– Cassie Wilkins? – zapytała Sarah.

Uciekłabyś, gdybym nazwała cię Edith Harmon? – pomyślała.

Kobieta odwróciła się, a Sarah drgnęła zaskoczona. Zdziwiła się, że Edith w pomieszczeniu i szarego grudniowego dnia nosiła ciemne, za duże okulary. Miała około czterdziestu lat i była niezwykle blada, ale ładna i kobieca.

– Tak? – rzuciła kobieta bez uśmiechu. – Czym mogę służyć?

Jej brak czujności nie dziwił Sarah. W końcu była redaktorką gazety w tym miasteczku.

– Nazywam się Sarah Cooper. Jestem adwokatką z Waszyngtonu i bronię człowieka oskarżonego o morderstwo. Liczyłam na to, że uda mi się z panią porozmawiać.

– O czym?

Sarah wstrzymała oddech, lecz po chwili postanowiła po prostu wyłożyć karty na stół.

– O Reddy Creek.

Edith Harmon zacisnęła usta. Choć miała oczy przysłonięte ciemnymi okularami, wydawało się, że błysnęły. Mimo to nie próbowała się rozglądać, aby sprawdzić, czy ktoś ich nie podsłuchuje. Zresztą zostały w pralni same.

– Przepraszam, ale nie wiem, o czym pani mówi – odparła, panując nad głosem.

– Nazywa się pani Edith Harmon – powiedziała Sarah. – Muszę koniecznie z panią porozmawiać o Reddy Creek.

– Przepraszam, ale...

– Proszę – przerwała jej błagalnym tonem Sarah. – Przyrzekam, nikomu nie wyjawię pani tajemnicy, cokolwiek to jest. Chodzi o życie niewinnego człowieka. Niech mi pani poświęci chwilę i pomoże w tej sprawie.

– Mam pani poświęcić chwilę?

– Tak. Chcę wiedzieć, co pani ma do powiedzenia.

Kobieta gwałtownym ruchem zdjęła okulary. Sarah zasłoniła dłonią usta i cofnęła się o krok. Edith Harmon miała wokół oczu makabryczne ciemne blizny i groteskowe wgłębienia. W mętnoszarych gałkach ocznych nie można było dostrzec źrenic ani tęczówek.

– Wydaje mi się, że dość już poświęciłam – powiedziała Edith, podnosząc i rozkładając opartą o kosz z praniem białą laskę, której Sarah wcześniej nie zauważyła. – Poświęciłam bardzo dużo.

ROZDZIAŁ 31

Edith nałożyła z powrotem okulary i jak gdyby nigdy nic wróciła do składania prania. Być może sądziła, że jeśli zignoruje Sarah, upiory przeszłości po prostu znikną. Stojąc w odległości mniej więcej półtora metra od niej i zastanawiając się, co zrobić, Sarah zauważyła agrafki wpięte w różne części garderoby Edith. Zorientowała się, że jedna agrafka oznacza kolor niebieski; dwie – zielony; trzy – biały. Dopiero teraz zobaczyła, że w niektórych rzeczach są wszyte w tkaninę metalowe etykiety, prawdopodobnie z nazwami innych kolorów zapisanymi alfabetem Braille’a. Skarpety były połączone w pary specjalnymi spinaczami – Sarah widziała reklamę tego gadżetu w jednej z reklam w wieczornym programie telezakupowym.

– Nie stanowią dla pani żadnego zagrożenia – powiedziała. – Nie przyjechałam pani skrzywdzić. Nikomu nie zdradzę pani sekretu.

Milczenie.

– Edith, proszę, niech pani ze mną porozmawia.

Wciąż cisza. Edith kontynuowała swoje zajęcie, pedantycznie składając ubrania.

Sarah nadal szukała drogi do niej, jakiegokolwiek.

– Używasz agrafek, żeby nie pomieszać kolorów? – zapytała, tłumiąc westchnienie irytacji.

Edith odwróciła się do niej.

– Właśnie zdobyła pani punkt, pani mecenas – oznajmiła.

– Naprawdę? Za co?

– Odkąd tu pani stoi, ani razu nie usłyszałam, że jest pani przykro, chociaż nie mam wątpliwości, że kiedy pani weszła, nie wiedziała pani, że jestem niewidoma. Nie znoszę litości.

Sarah zaśmiała się z zakłopotaniem.

– Ale... ale po czym pani poznała, że nie wiem?

– Po pierwsze, usłyszałam skrzypnięcie butów o podłogę, kiedy zdjęłam okulary. W szoku cofnęła się pani o krok. Potem zagrzechotały rzeczy w pani torebce, jak gdyby wykonała pani gwałtowny ruch, znów krok do tyłu. Wszystko działo się szybko. Była pani zaskoczona czymś nieoczekiwanym.

– Ma pani rację, oczywiście, ale czy to się pani podoba, czy nie, naprawdę mi przykro. I chcę wiedzieć, czy utrata wzroku ma związek z Reddy Creek. Chcę wiedzieć, dlaczego uciekła pani z Karoliny Północnej.

Edith równiutko złożyła białą bluzkę. Ani na moment nie odwróciła się od Sarah.

– Bałam się, że ktoś mnie wytropi – odrzekła. – Ktoś panią śledził?

– Nie, nikt. Na pewno.

Choć nie mogła kierować się wzrokiem, Edith wyglądała na nieprzekonaną.

Sarah przypomniała sobie wykładowcę psychologii z college'u, który mówił na zajęciach, że siedemdziesiąt pięć procent wspomnień i myśli pochodzi z bodźców wzrokowych. Skąd pochodzi reszta, gdy siedemdziesiąt pięć procent przepada albo nigdy nie istniało?

– Jeżeli mnie pani znalazła, to oni też mogą – powiedziała Edith. – Kto to był? Kto mnie wydał?

Do pralni Caribou weszła kobieta z małą dziewczynką. Edith raptownie odwróciła głowę w stronę drzwi, zanim Sarah zdążyła zareagować na odgłos.

– W porządku – uspokoiła ją Sarah.

– Wiem. Szczupła kobieta z trzyletnią dziewczynką, ciepło opatulone, w wysokich butach.

– Możemy gdzieś porozmawiać? – spytała Sarah. – Proszę, nie zajmę pani dużo czasu.

Edith prychnęła drwiąco.

– Nie, nie zajmie mi panu dużo czasu. Za to rozwali mi pani cały świat. – Zaciskając pięknie wykrojone usta, Edith chwyciła pod pachę kosz z praniem, a drugą ręką rozłożyła laskę.

– Proszę ze mną porozmawiać. Potrzebuję pani pomocy. Chodzi o życie człowieka.

– A co z moim życiem? – Edith zrobiła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze. Mowa jej ciała zdradzała już nieco większą przystępność. – Zgoda, może pani iść ze mną do redakcji. Dam pani dziesięć minut. Nie obiecuję, że odpowiem na wszystkie czy nawet jedno z pani pytań. Ale pani odpowie na moje. Jasne?

– Dziesięć minut – powtórzyła Sarah. – Dziękuję. Bardzo pani dziękuję.

Patrzyła w zdumieniu na ekwilibrystyczne popisy Edith, która zmierzała do wyjścia z pralni samoobsługowej, dźwigając kosz pełen prania i manewrując laską.

Czy mogłabym żyć bez wzroku? – pomyślała Sarah. Czy również potrafiłabym sprawiać tak naturalne wrażenie?

– Zastanawia się pani, czy mogłaby funkcjonować, gdyby straciła pani wzrok, i czy można mi pomóc z tym koszykiem – powiedziała Edith. – Pamiętaj pani, co mówiłam o litości?

Sarah skwitowała jej przenikliwość uśmiechem.

– Mogę przynajmniej otworzyć pani drzwi?

– A to już nie będzie przejaw litości – odparła Edith. – To po prostu grzeczność.

Na zewnątrz za pomocą kilku wyćwiczonych stuknięć laską odnalazła krawężnik i zaczęła chwilę, nasłuchując odgłosów dobiegających z ulicy. Potem bez pośpiechu przeszła na drugą stronę; Sarah podążała za nią, zostając kilka kroków z tyłu. Edith miała w ręku gruby pęk kluczy, ale bez trudu znalazła ten pasujący do zamka drzwi redakcji „Current”; Sarah rzadko udawało się tego dokonać z którymkolwiek ze swoich kluczy.

Edith poruszała się po ciasnym pokoiku jak pełnosprawna widząca osoba. Powiesiła kurtkę na wieszaku przy drzwiach i dała znak Sarah, by zrobiła to samo. Następnie dołożyła do ognia w małym piecyku, podeszła do kuchenki mikrofalowej w głębi biura, zdjęła z półki pudełko z herbatą i napełniła dwa kubki wodą z kranu nad małą umywalką obok.

– Nauczyłam się na pamięć kroków – wyjaśniła, jak gdyby czytając w myślach Sarah.

– Właśnie się nad tym zastanawiałam. I nad tym, że chyba całkiem dobrze radzi sobie pani z brajlem.

– O tyle, o ile. Porównałabym to z przeprowadzką do Włoch bez możliwości powrotu. Trzeba się jak najszybciej nauczyć włoskiego, bo inaczej nie dostanie się ulubionych dodatków do pizzy. Zawsze nieźle radziłam sobie z językami, a brajl jest po prostu jeszcze jednym. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko herbacie bezkofeinowej. Kofeina wywołuje we mnie niepokój.

– Bardzo chętnie napiję się herbaty – zapewniła ją Sarah. – Dowolnej. Bez mleka, bez słodzika. Ale szczerze mówiąc, trochę się dziwię, że nie jest pani bardziej zaniepokojona. Zdaję sobie sprawę, że moje pojawienie się musiało być dla pani prawdziwym szokiem.

Edith wcisnęła kilka przycisków mikrofalówki.

– Kiedy traci się wzrok po trzydziestu sześciu latach widzenia – stała odwrócona do Sarah plecami – człowiek ma skłonność do

filozoficznego spojrzenia na świat.

– To znaczy?

– Zupełnie nic nie mogę poradzić na to, że mnie pani znalazła. Złość czy nerwy i tak niczego nie zmieniają. Jeżeli natomiast zachowam spokój i rozsądek, to przynajmniej będę mogła uważnie słuchać, kiedy opowie mi pani, jak mnie znalazła i przede wszystkim po co.

Wkrótce siedziały obie przy rozkładanym stole pośrodku pokoiku wielkości trumny i piły herbatę. Zerkając na komputer Edith, Sarah zwróciła uwagę, że jest do niego podłączona klawiatura brajlowska. Zauważyła też, że wszystkie etykiety umieszczone na ustawionych równo pudłach na papierach także mają napisy w alfabecie Braille'a.

– Co się stało z pani oczami? – spytała.

Edith uniosła palec.

– Nie, najpierw pani – nakazała. – Jak mnie pani znalazła?

Sarah opowiedziała jej o Graysonie Devlinie i jego kontakcie w poprzedniej gazecie Edith.

– Oho, pani szef musi mieć porządnego haka na Bruce'a – zauważyła Edith.

– Bruce'a?

– Bruce'a Pattersona. To naczelny „News and Observer”, mój były szef i jedyny człowiek, który zna moją tajemnicę. To znaczy jedyny poza panią i pani szefem, taką przynajmniej mam nadzieję.

– Nie powiedzieliśmy nikomu innemu – uspokoiła ją Sarah.

Edith wypła duży łyk herbaty, a potem wdychała parę i rozmyślała.

– Nie mam się już gdzie podziać – powiedziała. – I nie wyjadę z Belmore. Nawet gdyby mnie ścigali, nigdy nie znajdą mojego syna.

– Syna?

– Owszem, mojego syna, Iana – przytaknęła Edith. – Kiedy mnie oślepił, wiedziałam, że są zdolni do wszystkiego, łącznie

z wykorzystaniem mojego syna, żeby do mnie dotrzeć.

– Czyli jest bezpieczny? – zapytała Sarah.

– Nikt nie zna jego prawdziwego imienia i nazwiska, nikt nie wie, gdzie mieszka. Nawet Bruce. Ian studiuje teraz w college'u, ale kiedy to wszystko się stało, miał zaledwie czternaście lat. Urodziłam go, gdy miałam dwadzieścia dwa lata. Jego ojciec był człowiekiem, którego można by najogólniej nazwać zaborczym narcyzem. Nie chciał zakładać ze mną rodziny, chciał mnie mieć tylko dla siebie, więc zanim jeszcze urodziłam, wpadł w panikę i zwiął. Zresztą i tak w dwójkę z Ianem było nam lepiej. Wyrósł na zupełne przeciwieństwo ojca. Chociaż tu ze mną nie mieszkał, zachęcał mnie, żebym się uczyła patrzeć bez oczu. Pomógł mi nawet przestać uważać się nad sobą i nauczyć się Braille'a. Bez niego nigdy nie miałabym dość pewności siebie, żeby przejąć ten szmatławiec.

– Kto to zrobił? – spytała Sarah. – I co się właściwie stało?

– Dokładnie nie wiem. Wiem tylko, że pracowałam nad artykułem śledczym o przechowywaniu i pilnowaniu broni w magazynie Reddy Creek, kiedy umówił się ze mną na potajemne spotkanie młody żołnierz, Mike Fitz. Twierdził, że nikt inny nie uwierzy w jego opowieść.

– Jaką opowieść?

– Mówił, że dwaj żołnierze marines z kompanii Mantis... każdy miał na przedramieniu wytatuowaną modliszkę i wieniec z drutu kolczastego... próbowali okraść magazyn broni. Mike miał wtedy wartość. Doszło do strzelaniny i obu zabił. Jego dowódca przyjął obszerny raport ze zdarzenia, służby medyczne zabrały ciała, a potem zrobiła się cisza. Ktoś zatuszował całą tę historię. Według oficjalnego komunikatu, obaj żołnierze samowolnie oddalili się z jednostki. Ich rodziny próbowały walczyć, ale nikt nie zwracał na to uwagi.

Sarah słuchała z szeroko otwartymi oczami, przygryzając wargę i trzymając dłoń na piersi, jakby w obronnym geście. Zastanawiała się, czy Edith wyczuwa napięcie malujące się na jej twarzy, zaskoczenie i grozę, które można było wyczytać z jej ciała.

– Ten Mike wiedział, co próbowali ukraść? – zapytała.

– Oczywiście broń. Chociaż nie rozumiał, dlaczego wybrali akurat taką. Mogli zabrać coś lepszego, większego i bardziej nowoczesnego. Ale wybrali coś innego. Dlaczego? Wzięli karabiny szturmowe i jakieś granatniki, zostawiając wyraźnie oznaczoną skrzynkę karabinków Bushmaster ACR, uznawanych za jeden z najlepszych modeli na świecie. Mike’owi od razu zapaliła się czerwona lampka.

– Nie rozumiem...

– Bo to oznaczało, że nie szukali, chyba że zostali zastrzeleni, zanim zauważyli bushmastery. Wydawało się, że od samego początku wiedzieli, po co przyszli. Dokładnie wiedzieli, jaką wziąć broń. Robili to, do czego szkoli się marines.

– Czyli co? – dopytywała się Sarah.

– Wykonywali rozkazy. To nie był samowolny wybryk dwóch chłopaków, którzy szukali emocjonujących przeżyć. Zostali wysłani z konkretnym zadaniem.

– Jak w ogóle dostali się do magazynu broni?

– Dobre pytanie – odparła Edith. – Według Mike’a, nie mogli się tam dostać bez pozwolenia. Nie przecięto żadnych przewodów alarmowych. Nie zwolniono żadnych automatycznych zamków. Ktoś to wszystko zorganizował. Tak przynajmniej uważaliśmy.

– Krecia robota kogoś z jednostki – orzekła Sarah.

– Właśnie.

– Kim jest ten Mike?

– Kim był – poprawiła ją Edith.

– Przykro mi. – Sarah wyraźnie się strapiła.

Edith uniosła palec i poruszyła nim z boku na bok.

– Słowa „przykro” nie ma w moim słowniku, pamięta pani?

– Jasne. – Sarah pomyślała, że ta kobieta coraz bardziej jej się podoba.

– Mówię o nim w czasie przeszłym – ciągnęła Edith – bo mój informator, Mike Fitz, nie żyje. Zginął, kiedy samochód, który prowadziłam, został zepchnięty z drogi i spadł z urwiska. Mike siedział na fotelu pasażera. Złamał kark, a ja tak bardzo pokieraszowałam sobie twarz, że straciłam wzrok.

– Ktoś was zepchnął z drogi? – Niedowierzenie podwyższyło ton głosu Sarah.

– Myśląc o tym z perspektywy czasu, nie mam wątpliwości, że ktoś nas śledził – odparła Edith. – Zaczekał, aż wjedziemy na szczególnie kręty odcinek drogi, i wtedy zaatakował. Wystarczyły trzy solidne uderzenia z boku, żeby zepchnąć mój wóz ze skarpy. Była noc i nie było żadnych świadków, ale mogę przysiąc, że potrafiła nas wojskowa ciężarówka. Według oficjalnej wersji policji, straciłam panowanie nad pojazdem. Nie potrafiłam udowodnić, że było inaczej.

– Ale zabrali panią do szpitala – odezwała się Sarah. – Ten, kto próbował panią zabić, mógłby tam przecież panią znaleźć, prawda?

– W tajemnicy przeniesiono mnie do innego szpitala.

– W tajemnicy?

– Mój szef Bruce jest człowiekiem o rozległych wpływach i nieograniczonych możliwościach.

– Narażał się dla pani na niebezpieczeństwo?

– Wyrzuty sumienia – wyjaśniła Edith ze smutkiem w głosie. – Kiedy przyniosłam artykuł o Reddy Creek, Bruce nie chciał go wydrukować. Domagał się więcej dowodów, ale nie mieliśmy wiarygodnych źródeł. Dzisiaj też nie mamy.

Sarah z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Przecież miała pani Mike’a.

– Niezupełnie. Po zatuszowaniu historii w Reddy Creek Mike został dyscyplinarnie zwolniony ze służby pod sfabrykowanym zarzutem. Przeprowadzone losowo badanie moczu wykazało obecność dużej ilości kokainy. Potem szybko odbyła się rozprawa przed sądem wojskowym i Mike stracił całą wiarygodność w oczach mojego szefa. Bruce nie chciał puścić artykułu. Za nic w świecie. Uważał, że Mike’owi chodzi o zemstę, i nie wierzył w żadne tuszowanie sprawy.

– Stąd blog – domyśliła się Sarah. – Napisała pani o tym na blogu, bo nie mogła pani opublikować artykułu.

Edith znów zdjęła ciemne okulary, odsłaniając blizny szpecące oczy, które kiedyś były chyba bardzo piękne.

– Znalazłam sposób, żeby przekonać Bruce’a, że Mike mówił prawdę.

– Czyli kiedy szef blokował pani tekst, pani razem z Mikiem dalej badała temat, tak? – zapytała Sarah. – Dlatego byliście wtedy razem. Prowadziliście śledztwo w sprawie Reddy Creek.

Edith przytaknęła skinieniem głowy.

– Skąd pani wie?

– Bo właśnie tak sama bym postąpiła.

– Byliśmy razem, bo ktoś tak chciał – odrzekła Edith.

– Kto?

– Mieliśmy nowego informatora, tak w każdym razie sądziliśmy. Z Mikiem skontaktował się anonimowo jakiś żołnierz marines. Twierdził, że ma dowód na to, że za Reddy Creek stoi ktoś z wojska. Chciał się spotkać osobiście.

– Ale to nie była prawdziwa informacja?

– Nie, to był podstęp, żeby nas zwabić na drogę, gdzie Mike zginął, a... – Po raz pierwszy Edith nie potrafiła dokończyć zdania.

– Nie można tego odpuścić – oświadczyła Sarah. – Trzeba się dowiedzieć, kto to pani zrobił i dlaczego.

– Proszę mi powiedzieć – odezwała się w końcu Edith – dlaczego tak bardzo pani na tym zależy?

– Bo Elias Colston, kongresmen, za którego morderstwo aresztowano mojego klienta, przed śmiercią zadawał pytania o Reddy Creek. Przypuszczam, że jeżeli połączymy wszystkie fakty, znajdziemy związek z człowiekiem, który zabił Mike'a i omal nie zabił pani.

Edith zerwała się z krzesła i odwróciła plecami do Sarah.

– Niestety, nasze dziesięć minut upłynęło już jakiś czas temu – oznajmiła cicho.

Sarah też wstała. Podeszła do niej z przodu i ujęła szczupłe nadgarstki Edith. Ta nie odsunęła rąk.

– Proszę – powiedziała Sarah. – To, co się pani przytrafiło, jest bardziej niż potworne. Nie próbuję sobie nawet wyobrazić, co pani przeżyła. Ale niewinnemu człowiekowi grozi kara śmierci za przestępstwo, którego nie popełnił. Nie można odwrócić tego, co się pani stało, ale ciągle może pani walczyć. Może pani odpłacić tym ludziom tą samą monetą. Może mi pani pomóc poznać prawdę.

– Dlaczego ja? Jestem tylko ślepą dziennikarką z gazety w małym miasteczku. Pani ma do dyspozycji siłę dużej kancelarii prawnej z Waszyngtonu.

Sarah chwyciła jej dłonie.

– Nie, to ja byłabym ślepa, gdybym pomyślała, że uda mi się tego dokonać bez pani. Dobrze pani o tym wie. Ale jeżeli uważa pani, że w ten sposób narazi pani Iana, proszę mi powiedzieć, a zaraz sobie pójdę. Mówię serio.

– Nie, Ian mieszka u naszych krewnych. To naprawdę chłopak z charakterem. Ryzykuję i co dwa tygodnie rozmawiam z nim przez

Skype'a. To on podtrzymawał mnie na duchu, kiedy zaczęłam się załamywać. Gdyby tak nie nalegał, nigdy nie nauczyłabym się brajla.

– Musi być wspaniały.

– Czasami trochę pyskuje, ale nawet mi się to podoba. Zachęcił mnie też, żebym znalazła sposób, jak się bronić. – Sięgnęła do kieszeni zapinanego swetra i wyciągnęła mały pistolet, deringer, jak Sarah zapamiętała ze szkoleń w firmie, o dwóch lufach ułożonych pionowo, z inkrustowaną kamieniami rękojeścią. – Pewien człowiek w mieście nauczył mnie, jak strzelać z tego snake slayera. Wystarczy dźwięk, a robię w celu dziurę. Chce pani zobaczyć?

– Nie, Edith, dziękuję. Wierzę.

Twarz Edith rozjaśnił uśmiech.

– Co takiego? – zdziwiła się Sarah.

– Odkąd straciłam wzrok, czekałam na dwie rzeczy.

– Jakie?

– Po pierwsze, aby mój syn dorósł na tyle, żeby ruszyć w świat i zacząć żyć własnym życiem.

– To już się chyba stało – powiedziała Sarah. – A ta druga rzecz?

– Chciałam, żeby w Maine pojawiły się moje oczy. Żebym mogła się zemścić na draniach, którzy mi to zrobili. Sarah Cooper, czy będziesz moimi oczami?

– Oczywiście, że tak – odrzekła Sarah.

Edith wsunęła pistolet z powrotem do kieszeni.

– W takim razie mam coś więcej do powiedzenia.

ROZDZIAŁ 32

Była środa rano.

Od chwili, gdy Steve Papavassiliou poderwał śmigłowiec ze zmrożonego pola golfowego klubu Sharpton Hills, Lou dręczyła obsesyjna myśl, dokąd Wyatt Brody jeździ w prawie każdą środę. Papa Steve twierdził, że robił, co tylko mógł, aby nie stracić z oczu dowódcy Mantis, ale pilnująca Brody'ego Gwardia Pałacowa utrudniała mu to zadanie, czyniąc je niebezpiecznym. Jeżeli podejrzenia Papavassiliou były słuszne, to w środę przed czterema tygodniami podczas wojskowej parady Brody zboczył z drogi i zastrzelił Eliasa Colstona.

Dziś zadanie Lou miało polegać na tym, aby nie spuszczać z oka Brody'ego i jednocześnie nie dać się znowu Gwardii Pałacowej zakuć w kajdanki. Ze słów Papy Steve'a wynikało, że Gwardia po mniej więcej godzinie wraca do bazy, pozwalając, by dowódca sam załatwiał to, co miał do załatwienia.

Pogoda nie mogła mu utrudnić tego zadania. Temperatura wahała się w okolicach zera. Błękitne niebo z pojawiającymi się gdzieś chmurami. Miejscami zamrożony śnieg. Toyota z napędem na przednie koła, choć niezawodna, nie była najlepszym autem do zimowej jazdy w górach. Dobrze pamiętając szaloną wyprawę do Hayes, Lou przenocował w hotelu godzinę drogi na wschód od miasta. Po zjedzeniu na śniadanie całkiem niezłego omletu z serem i pieczarkami, popijając trzeci kubek kawy, zajął pozycję na

niewielkiej przecznicy, niedaleko wjazdu na drogę prowadzącą do bazy.

Niełatwo było rozgryźć Papę Steve'a. Na pewno obaj myśleli podobnie, ale Lou nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ojciec chrzestny Marka Colstona coś przed nim ukrywa. Był przekonujący, opowiadając mu między innymi o roli Gwardii Pałacowej w ochronie środowych wypadów Brody'ego. Żołnierz był pewny siebie i twardy. Tamtego wieczoru w gabinecie Brody'ego wkroczył do akcji, gdy Lou go potrzebował, prawdopodobnie uratował mu życie.

Lou chciał wierzyć w relację o tym, że Papa Steve zgubił Brody'ego w dniu parady z okazji Dnia Marines. Czemu nie? Papavassiliou sprawiał na Lou wrażenie niezwykle profesjonalnego żołnierza. Dla przyjemności latał helikopterami, a zarabiał na życie rozbieraniem bomb. Wydawałoby się, że dla kogoś o takich kwalifikacjach śledzenie Brody'ego to bułka z masłem. Miał jakiś powód, żeby kłamać? To pytanie nie dawało Lou spokoju. Czy z środowymi wyjazdami Brody'ego wiązało się coś, czego Papa Steve nie chciał mu ujawnić?

Postanowiwszy śledzić Brody'ego, Lou sięgnął do źródła, w którym na pewno mógł znaleźć najlepsze i najbardziej aktualne informacje i porady na ten temat. Sięgnął do Google.

Jak śledzić kogoś w samochodzie.

Z początku czuł się okropnie głupio, wpisując pytanie w okno wyszukiwarki, ale w niecałą sekundę zobaczył ponad dwadzieścia pięć milionów rezultatów. Kliknął na pierwszy link – artykułu w wikiHow z ośmioma poradami, jak niepostrzeżenie śledzić kogoś poruszającego się samochodem. Wskazówki były proste, ale przydatne, poczynając od pierwszej, aby dokładnie wiedzieć, kogo zamierza się tropić. Siedem kolejnych brzmiało:

Zachowaj czujność i nie pozwól sobie na dekoncentrację.

W miarę możliwości wtapiaj się w tłum.

Unikaj nagłych skrętów i gwałtownych ruchów.

Trzymaj się z tyłu od czterech do sześciu długości samochodu.

Kiedy jest dostępnych więcej pasów ruchu niż jeden, trzymaj się pasa na prawo od obserwowanego – od strony rzadziej używanego lusterka.

Staraj się cały czas mieć obserwowanego w polu widzenia. Nie rozpraszaj się.

Jeżeli stracisz go z oczu, nie rezygnuj. Zwiększ czujność i jedź dalej, patrząc na parkingi przed sklepami i na stacje benzynowe, na wypadek gdyby obserwowany zjechał z trasy.

Dwupasmowa droga z bazy Mantis prowadziła do drogi stanowej numer 10, która miała miękkie pobocze i dobrą nawierzchnię. Pierwszy i być może największy problem polegał na tym, że Lou nie miał pojęcia, czym Brody mógł jechać. Zapytałby o to Papę Steve'a, gdyby bardziej mu ufał. Prawdopodobnie powinien to zrobić.

Na to było już jednak za późno.

Dziewiąta czterdzieści dziewięć... dziesiąta...

Brody'ego ani śladu.

Ruch od strony bazy był niewielki. Nawet nie znając marki samochodu pułkownika, Lou trudno było uwierzyć, że nie zauważy dowódcy i ubezpieczającej go Gwardii Pałacowej.

Jego myśli powędrowały do Sarah. Wczoraj późnym wieczorem zadzwoniła z Belmore w stanie Maine, po rozmowie z Edith Harmon. Dziennikarka, która próbowała wydobyć na światło dzienne strzelaninę w Reddy Creek i zapłaciła za to utratą wzroku, okazała się niezwykłą kobietą i miała wszelkie powody, żeby nie mieszać się do tej sprawy. Lou nie zdziwił się jednak na wieść, że Sarah przekonała ją, by przyłączyła się do ich działań, aby miejsce Gary'ego McHugh w celi aresztu zajął Wyatt Brody.

Sarah wciąż zdobywała u Lou kolejne punkty, jak zawodowa drużyna koszykarzy. Coraz częściej łapał się na tym, że zastanawia się, jak byłoby im razem – i coraz częściej nakazywał sobie w duchu powściągnąć swoją chroniczną niecierpliwość. Sarah od ich

pierwszego spotkania nie ukrywała przed nim swoich uczuć, był więc przekonany, że jeśli będzie miała do powiedzenia coś więcej, on na pewno to usłyszy.

Znowu zerknął na zegarek. Pięć po dziesiątej. Bębniąc palcami w kierownicę, wpatrywał się w drogę dojazdową do bazy.

No już!

Minęła dziesiąta piętnaście. Lou zrezygnowany zagłębił się w fotelu.

Dlaczego mnie okłamałeś, Papo Steve? Byłeś najlepszym przyjacielem Eliasa Colstona, ojcem chrzestnym Marka. Co przede mną ukrywasz?

W tym momencie przez półotwarte okno dobiegł odgłos nadjeżdżającego samochodu. Parę sekund później na drodze dojazdowej pojawiło się błyszczące srebrne bmw, przemknęło obok Lou i popruło w kierunku drogi numer 10. Za kierownicą siedział Wyatt Brody w słonecznych pilotkach. Lou wrzucił bieg i nagle uświadomił sobie, że za chwilę złamie pierwsze przykazanie skutecznego śledzenia osoby poruszającej się samochodem. Straci z oczu obserwowanego. Bmw mknęło już na południe i za kilka sekund zniknie z jego pola widzenia. Po lewej Lou nie widział żadnego zbliżającego się pojazdu Gwardii Pałacowej.

Nieruchomo trzymał stopę na pedale hamulca. Jeszcze pięć sekund, postanowił, zerkając na pustą autostradę po prawej. Cztery... trzy...

Powietrze wypełniło dudnienie silnika dużego wozu i z drogi dojazdowej wytoczył się wojskowy range rover z dwoma mężczyznami z przodu. Obaj mieli ciemne okulary, takie jak Brody, a jeden z nich mówił do walkie-talkie.

Ci ludzie najwyraźniej wiedzieli, co robią. Byli w tym lepsi od Lou, który miał szczęście, że udało mu się dotrzeć aż tutaj. Uśmiechnął się

na myśl, że być może Gwardia Pałacowa czytała te same strony internetowe co on, potem zaczekał, aż range rover zniknie za Brodym, i wyjechał na drogę numer 10, patrząc w lewo, aby sprawdzić, czy nie zostanie wzięty w dwa ognie między rovera i jeszcze jeden wóz. Rozpoczął się pościg. Lou zostawił Wyatta Brody'ego, skupiając się na Gwardii Pałacowej i trzymając się sześć długości samochodu za nimi.

Nic prostszego.

Ruch stopniowo gęstniał i Lou odważył się odetchnąć. Wojskowego SUV-a nietrudno było zauważyć.

Mogło się udać.

Zachowaj czujność i nie pozwól sobie na dekoncentrację.

Minęło pół godziny. Jechali dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Droga numer 10 poszerzyła się i była teraz czteropasmówką. Zgodnie z radą numer trzy Lou zjechał na prawo. Range rover pozostawał w sporej odległości, ale nigdzie nie widział srebrnego bmw Brody'ego. Nagle Lou w lusterku wstecznym zobaczył błyskające niebieskie światła. Gliny!

Niech to szlag!

Trzydzieści minut jazdy i koniec.

Zwolnił, włączył prawy kierunkowskaz i zaczął szukać miejsca, aby się zatrzymać. Istniała jeszcze możliwość, że radiowóz włączy syrenę, wyprzedzi go i popędzi dalej, ale Lou już po sekundzie wiedział, że tak się nie stanie. Od kilku lat zamierzał się zaopatrzyć w indywidualne tablice rejestracyjne z informacją, że jest lekarzem – nie po to, żeby mieć ochronę przed mandatami podczas wizyt domowych, ale po to, by ludzie zobaczyli, że nie wszyscy lekarze jeżdżą mercedesami i lexusami. Teraz jednak było już za późno.

Bezpiecznym przystankiem wydawał się wjazd na parking małego centrum handlowego. Jak zawsze, gdy zatrzymywała go policja, Lou zastanawiał się, czy lepiej będzie wyskoczyć z auta i wyjść

funkcjonariuszowi na spotkanie, czy potulnie siedzieć i czekać z prawem jazdy i dowodem rejestracyjnym w garści.

Właśnie śledziłem człowieka, który, jak podejrzewam, zamordował kongresmena Colstona. Nie, nie tego lekarza donżuana, ale odznaczonego orderami pułkownika marines. Jechałem z taką samą prędkością jak on, chyba jednak tylko ja zostałem zatrzymany.

Po namyśle Lou zrezygnował z prawdziwej wersji wydarzeń i szukał alternatywnej, kiedy usłyszał rutynową prośbę o okazanie dokumentów.

Daruj sobie wszystkie dowcipne riposty, powiedział sobie. W mniej dojrzałym wieku często doprowadzał do sytuacji, gdy po zwykłym zatrzymaniu przez drogówkę odwożono go na posterunek. Policjantka, biała kobieta o imponująco obfitych kształtach i całkiem ładnej twarzy, wyglądałaby seksownie i nieco groźnie w każdym stroju, ale czarny krawat, kapelusz z szerokim rondem i dystyngowany oliwkowy mundur policji stanowej Wirginii Zachodniej szczególnie podkreślały jej atrybuty. Spędziła kilka minut w radiowozie, sprawdzając jego dane, po czym wróciła z dokumentami. Dotychczas wypowiedziała tylko pięć słów: „Poproszę prawo jazdy, dowód rejestracyjny”. Teraz dodała jeszcze kilka. Całkiem sporo.

– Nie trafi pan chyba do panteonu kierowców, doktorze.

– Sądziłem, że jestem na najlepszej drodze.

– Jaką ma pan specjalizację, doktorze?

Spokojnie, nakazał sobie.

– Informacja za informacją. Powiem pani, jeżeli pani mi powie, co zrobiłem nie tak.

– Zmienił pan pas ruchu, nie sygnalizując swojego zamiaru. W Wirginii Zachodniej nie bardzo nam się to podoba.

Cholera. Doskonałe wskazówki z wikiHow, nie ma co!

– Jestem lekarzem na oddziale ratunkowym w szpitalu Eisenhower Memorial w Waszyngtonie. Zapewniam panią, że zawsze sygnalizuję swoje zamiary, kiedy zmieniam narzędzia chirurgiczne.

– Zabawne. Ma pan szczęście, że znam się na żartach. Doktorze, ma pan dzisiaj podwójne szczęście. Może mi pan nie uwierzy, ale niewykluczone, że w zeszłym roku uratował pan życie mojej matce. W każdym razie to był ktoś z pana oddziału. Pojechała na wycieczkę autobusową do Waszyngtonu z chórem emerytów Silver Belles i miała atak serca. Trzeba jej było zrobić defibrylację. Nie pamiętam, czy w ogóle słyszałam nazwisko lekarza, który przeprowadzał zabieg, ale ludzie ze szpitala mówili mi, że uratował jej życie.

– Udało się wszczepić jej stent?

– Dwa.

– A teraz dobrze się czuje?

– Wspaniale. Miło, że pan pyta.

– Zapytałbym, nawet gdyby nie zamierzała dorzucić pani dużej garści punktów do mojej historii ubezpieczenia.

– Ponieważ jest pan bardzo miłym człowiekiem, spytał pan o moją mamę i być może nawet uratował jej życie, udzielię panu tylko pouczenia. Także dlatego, że nie należy pan do tych zarozumiałców, którzy każą sobie wypisywać na tablicach rejestracyjnych, że są lekarzami.

– Dziękuję pani.

– Lemon. Judy Lemon. Oto moja wizytówka, na wypadek gdyby znów znalazł się pan w tych stronach. – Wyciągnęła jedną z pliku około pięćdziesięciu. – Radzę też trochę zwolnić. Brakowało panu ośmiu kilometrów na godzinę do mandatu.

– Jasne, pani Lemon. Zwolnić.

A teraz daj mi już spokój.

– Zresztą nie ma sensu się rozpędzać. Przed panem jest korek na dwa kilometry. Roboty drogowe.

Lou poczuł, jak przyśpiesza mu puls. Dwukilometrowy korek. Jego mózg zaczął analizować możliwe scenariusze. W tym momencie Lou zerknął na przeciwległe pasy ruchu i zdążył dostrzec range rovera Mantis zmierzającego z powrotem w kierunku Hayes. Srebrnego bmw nie było w zasięgu wzroku.

Czyżby król rozstał się ze swoją Gwardią Pałacową?

Ostrożnie, aby nie przeholować, Lou przybrał odrobinę flirciarski ton.

– Proszę posłuchać, może to nie są najlepsze okoliczności, ale naprawdę jestem pani wdzięczny, że dostałem tylko pouczenie.

– Proszę bardzo.

– Wykonywała pani tylko swoje obowiązki.

– Mam wrażenie, że chciałby pan powiedzieć coś więcej. – Jej uśmiech zdawał się promieniować feromonami.

– Skoro pani mówi, że mam przed sobą roboty drogowe, a jeszcze zostałem zatrzymany, to znaczy, że jestem strasznie spóźniony na spotkanie.

– No i?

– Co pani powie na jeszcze jedną wymianę: gdyby przeprowadziła mnie pani przez zator, obiecuję kolację w wybranej przez panią restauracji. Proszę mi wierzyć, dotrzymam obietnicy, zresztą w ogóle jestem słowny, zwłaszcza jeżeli dostaję to, o co się staram.

Policjantka namyśliła się nad propozycją Lou – może przez nanosekundę.

– Wie pan, co się mówi o pogardzie dla kobiety z bronią? – spytała, żartobliwie klepiąc się w biodro.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, ale się domyślam. Nie ma mowy o żadnej pogardzie. Słowo.

– Lubię steki.

– Nie ma sprawy. Obiecuję największy i najbardziej soczysty w całym hrabstwie.

– Umowa stoi. Za mną, kowboju.

Lou zdawało się, że w drodze powrotnej do radiowozu Judy Lemon lekko podskakiwała. Ciekawe, ile wizytówek jej zostanie pod koniec dzisiejszej służby. Nieważne. Takiego scenariusza raczej na pewno nie było w żadnym z dwudziestu pięciu milionów wyników podanych mu przez Google.

Błysnęły niebieskie koguty na radiowozie Judy Lemon i dziesięć minut później osobliwa karawana złożona z dwóch pojazdów sunęła pasem awaryjnym wzdłuż długiej kolejki poruszających się w żółwym tempie zirytowanych podróżnych. Kilometr dalej Lou dostrzegł srebrne bmw, nałożył spłowiałą czapkę Redskins i zagłębił się w fotelu, patrząc na drogę przez szczelinę między górą kierownicy a tablicą rozdzielczą. Najwyraźniej Brody uznał, że eskorta Gwardii Pałacowej nie jest mu już potrzebna.

Jakieś pięćset metrów za robotami drogowymi Lou zwolnił, zjechał na pobocze, pokazał Judy Lemon uniesiony kciuk i pomachał jej na pożegnanie. Piętnaście minut później przemknął obok niego wóz Wyatta Brody'ego. Zaciskając ze złością zęby, pułkownik nie zwracał uwagi na nic innego poza drogą przed nim.

Lou wiedział, że jego toyota camry zwykle radzi sobie do stu piętnastu kilometrów na godzinę, a potem zaczyna dygotać. Brody pędził ponad sto dwadzieścia. Lou robił, co mógł, aby utrzymać odległość i nie stracić go z oczu, ale to nie było łatwe. Przyszło mu na myśl, co by się stało, gdyby jak na ironię Brody'ego zatrzymała Judy Lemon, tak się jednak nie stało. Zobaczył czerwony blask świateł stopu i odbłysek słońca od srebrnego lakieru, gdy dowódca Mantis

ostro skręcił w lewo, w kierunku oznaczonym drogowskazem na Billingham.

Rozdzieleni jednym samochodem, ruszyli na zachód, wzdłuż wzniesień pogórza. W końcu lesisty teren się skończył i wjechali w bardziej uprzemysłowioną część Billingham. Po obu stronach drogi wśród warsztatów samochodowych stało kilka fast foodów i magazynów – wiele z nich zbudowanych z blachy falistej. Bmw Brody'ego mrugnęło lewym kierunkowskazem, a Lou zwolnił, patrząc, jak samochód skręca na parking dużego magazynu samoobsługowego z boksami do wynajęcia.

Lou ustalił, która część obiektu interesuje Brody'ego, i utrzymywał się w pewnej odległości. Magazyn był podzielony na rzędy boksów wielkości garaży, z zielonymi bramami żaluzjowymi, rozmieszczonych po obu stronach podjazdów. Lou oceniał, że w sumie jest ich około pięćdziesięciu.

Skręcił w alejkę równoległą do tej, w którą wjechał Brody, zatrzymał toyotę, wysiadł i dalej ruszył pieszo. Pobudzony adrenaliną, działał na najwyższych obrotach, jak podczas dyżuru na oddziale ratunkowym – uwielbiał ten stan. Karetki są już w drodze z wieloma ofiarami poważnej kraksy. Napięty jak struna i przygotowany na wszystko, podkradał się wzdłuż bocznej ściany ostatniego boksu w rzędzie, coraz bardziej zbliżając się do narożnika.

Srebrne bmw, bez kierowcy, stało z włączonym silnikiem obok otwartego magazynu. Po chwili wyjechała z niego tyłem biała furgonetka bez żadnych napisów, długości około pięciu metrów. Brody, wyraźnie spokojniejszy i z większą energią niż w chwili, gdy mijał roboty drogowe, wysiadł z niej i wstawił do garażu bmw. Następnie zasunął bramę, pociągając za sznurek, zamknął ciężką kłódkę i wszedł do furgonetki.

Lou popędził sprintem do toyoty i czekał, aż Brody ruszy. Wtedy wrzucił bieg, wytoczył samochód z alejki, przepuścił przed sobą zdezelowanego pick-upa i pod jego osłoną ruszył za białą furgonetką.

ROZDZIAŁ 33

Droga na południe byłaby całkiem malownicza, gdyby Lou poświęcił na podziwianie widoków trochę więcej niż kilka sekund. Wydawało się, jakby na tle jasnego słońca wczesnego popołudnia góry Monongahela stale się przesuwały. Droga była kręta, Lou musiał więc trzymać się furgonetki Brody'ego bliżej, niż chciał. Na wąskim odcinku bok toyoty o mały włos otarłby się o duży kamień. Lou jechał za pułkownikiem już prawie dwie godziny. Dowódca Mantis zachowywał się tak, jakby wszystko przebiegało zgodnie z planem, i nie bardzo się nawet śpieszył.

Stacja benzynowa byłaby tu prawdziwą oazą. Ponieważ na drodze nie było żadnych samochodów, które Lou mógłby wykorzystać jako kamuflaż, musiał zostać nieco w tyle za obserwowanym. Wcześniejsze ożywienie zniknęło, ustępując miejsca obawie, że lada chwila może zgubić białą furgonetkę albo, co gorsza, zostanie zauważony.

Zastanawiał się, czy po prostu nie zaryzykować i nie przyśpieszyć, kiedy mijając ostry zakręt, zobaczył kilkaset metrów przed sobą samochód Brody'ego. Zapaliły się światła hamowania, a po kilku sekundach furgonetka skręciła w prawo. Gdy tylko zniknęła mu z oczu, Lou mocniej wcisnął pedał gazu. Droga, jeśli w ogóle można ją tak było nazwać, była leśnym duktem wyciętym między drzewami – wzdłuż stromego wzniesienia biegły dwie koleiny przykryte dwucentymetrową warstwą zamarzniętego śniegu, który toyocie utrudniał jazdę znacznie bardziej niż prawdopodobnie furgonetce.

Od wstrząsów na wybojach Lou kilka razy zadzwonił zębami. Toyotę miejscami zarzucało na boki, a chwilami zupełnie traciła przyczepność. Pół kilometra... kilometr. Lou, chcąc nie chcąc, zwolnił. Po jakimś czasie, gdy właśnie odzyskał panowanie nad kierownicą, zupełnie zjechał z kolein w prawo, na biegnący równolegle do nich, położony poniżej wzniesienia trakt – który chyba lepiej nadawał się do jazdy niż droga wybrana przez Brody'ego. Przyszło mu na myśl, że najlepszym rozwiązaniem byłoby zostawić samochód i przejść przez las pieszo.

W pewnym momencie spojrzął w lewo w górę, zobaczył, że furgonetka hamuje i staje na polanie znajdującej się około stu metrów przed nim.

Ostrożnie cofnął toyotę do miejsca, w którym droga na krótkim odcinku stawała się szersza i bardziej płaska. Mógłby teraz wycofać aż do głównej drogi albo nawet zawrócić. Znalazł jednak dość miejsca za dużym głazem na poboczu, aby zatrzymać tam samochód, tak by nie był widoczny. Otworzył drzwi, krzywiąc się na ich skrzypiący dźwięk, i wysiadł, wciągając do płuc chłodne górskie powietrze. Z góry po lewej dobiegł go odgłos świadczący o tym, że Brody nie wyłączył silnika. Być może nadal siedział za kierownicą.

Lou postanowił zaryzykować i wspiąć się na wzniesienie po prawej. Gdyby dostał się wystarczająco wysoko, miałby widok z góry na furgonetkę. Chwytał się kamieni i oblodzonych pni drzew, czując, że szybko drętwieją mu ręce. Dwa razy się poślizgnął i zjechał ponad metr na brzuchu. Nie miał wątpliwości, że przed zdemaskowaniem ratuje go tylko głośny warkot silnika. Siedem metrów nad samochodem Brody'ego Lou zdołał się wczołgać na brzeg skalistego urwiska, gdzie rosło parę krzewów, wśród których mógł się ukryć. Zasłaniając usta i nos rękawem kurtki, czekał.

Pięć minut później usłyszał dudnienie zbliżającego się pojazdu. Przez chwilę robił sobie wyrzuty, że nie wziął lornetki, ale uznał, że nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Ze wzniesienia zjechała, podskakując na wybojach, druga furgonetka, taka sama jak wóz Brody'ego, i ostro zahamowała, zatrzymując się tuż przed jego maską. Ze swojego punktu obserwacyjnego Lou ledwie mógł dojrzeć toyotę na drodze w dole, prawie pięćdziesiąt metrów za furgonetkami.

Drzwi tej, która właśnie przyjechała, otworzyły się i wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Chwilę później skrzypnęły drzwi z tyłu i ukazało się jeszcze trzech. Wszyscy byli ciepło ubrani, mieli oliwkową skórę i albo gładko ogolone czaszki, albo gęste hebanowe czupryny. Latynosi. Może Meksykanie. Brody też wysiadł. Jeden z nowo przybyłych mu zasalutował.

– Witaj, Manolo – powiedział pułkownik na tyle głośno, że Lou słyszał go wyraźnie.

Czterej pozostali okrążyli furgonetkę Brody'ego i otworzyli drzwi z tyłu. Lou zwrócił uwagę, że prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiają. Ich ruchy były automatyczne, wytrenowane, celowe. Co zresztą było całkiem zrozumiałe. Jeżeli Brody odbywał ten sam kurs w prawie każdą środę, już wiele razy mieli okazję to przećwiczyć. Dwaj mężczyźni wskoczyli do furgonetki, a dwaj inni ustawili się z tyłu pojazdu, aby odebrać od nich ładunek. Brody stał w milczeniu obok człowieka o imieniu Manolo: mocno zbudowanego, z podkreconym wąsem i grubym karkiem, pokrytym tatuażami. Lou domyślał się, co wyładowują z furgonetki, jeszcze zanim zobaczył, jak otwierają jedną z drewnianych skrzynek.

Broń. Nowoczesna wojskowa broń, i to w dużej ilości.

Brody stał kilka kroków od Manola, który sprawdzał zawartość ładunku.

– Dobrze – zwrócił się do pułkownika, wążąc w dłoni karabin. – Bardzo dobre. Nasi ludzie w Juárez będą zadowoleni, *amigo*. Same M cztery?

– Odkąd zmniejszamy siły w Afganistanie, coraz łatwiej je zdobyć.

Brody mówił głównie po angielsku, ale gdy miał ochotę, płynnie przechodził na hiszpański. Lou nigdy nie był w szkole orłem z hiszpańskiego, mimo to bez trudu rozumiał prostsze zwroty. Przywarł do skały, wstrzymując oddech.

No i mamy Reddy Creek, myślał, dodając jeszcze jeden element do łamigłówni, jaką stanowił dowódca Mantis. Brody płacił nowoczesną bronią kartelowi z Juárez za... Za co?

Po zakończeniu przeglądu broni otrzymał odpowiedź – przynajmniej częściową. Manolo dał znak jednemu ze swoich ludzi, a ten otworzył tylne drzwi drugiego vana i wyciągnął wielką lodówkę turystyczną. Potem drugą.

Zmartwiały Lou przyglądał się z góry, jak Manolo stawia lodówkę na ziemi u stóp Brody'ego i zdejmuje pokrywę. Ze środka buchnął obłok pary suchego lodu.

– To nasza najlepsza partia towaru – oznajmił Manolo, wyciągając jedną z chyba bardzo wielu plastikowych torebek do zamrażania. – Siedemset kapsulek w każdej torebce, *señor*. Policzone i przeliczone. Moi ludzie poświęcili wiele godzin, żeby napełnić i policzyć kapsułki.

– Bez końca powtarzam waszemu szefowi – warknął po angielsku Brody – nie kombinujcie nic z formułą.

Z formułą... Lou zeszywniał.

– Tylko ją ulepszamy – odparł Manolo.

Głośno gwizdnął na palcach i podszedł do niego mężczyzna chudy jak bezlistne gałęzie kołyszące się w górze.

– *Sí?*

Tym razem Lou dosłyszał tylko parę słów – między innymi „Pedro”.

Brody wziął z fotela pasażera w furgonetce termos i nalał do plastikowego kubka przezroczystego czerwonego płynu.

– Może zechce mi pan powiedzieć, co to za napój? – spytał Manolo.

– Mówisz swojej żonie, jak ma na imię twoja kochanka? – odciął się Brody. – Powiem ci tylko, że to, co dla mnie produkujesz, nie działa jak należy z tym, co produkuje dla mnie inne źródło. Tak chyba lepiej, *sí*?

– Zdaje się. Moja żona i kochanka! Podoba mi się, *señor*.

Chudzielec, Pedro, wziął kubek ze szkarłatnym płynem, przyglądał mu się badawczo przez kilka sekund, po czym połknął jednym haustem razem z kapsułą.

Manolo spojrział na zegarek.

– Za pięć minut powinno zacząć działać – powiedział.

– Od kiedy ten człowiek przyjmuje formułę? – zapytał pułkownik.

– Mniej więcej od miesiąca. Codziennie.

– Dajcie mu co najmniej piętnaście minut. Mogę poczekać.

– Mówiłem panu, to dobry towar.

Manolo podszedł do swojej furgonetki i z przedniego siedzenia wziął coś, co wyglądało jak przenośny aparat EKG. Pedro rozsunął zamek kurtki i rozpiął guziki koszuli, obnażając pierś i bez cienia dyskomfortu pozwalając sobie zamontować elementy urządzenia. Gdy Manolo przyklejał kilka elektrod na skórze Pedra, reszta zespołu otoczyła go ciasnym kręgiem, aby się przyglądać. Kamienny spokój Pedra wcale nie dziwił Lou. Nawet bez narkotyku w organizmie wyglądał na kogoś, kto na śniadanie potrafi pochłonąć garść gwoździ i szkła bez popijania choćby sokiem pomarańczowym.

Manolo podał Brody’emu aparat.

– Sam pan zobaczy, jaki dobry, *amigo* – powiedział. – Sam pan zobaczy.

Wciśnięty w ziemię pokrytą liśćmi i śniegiem, Lou patrzył z góry, jak Manolo wyciąga zza paska spodni wielki rewolwer. Załadował jeden pocisk, po czym demonstracyjnym gestem pokazał Brody'emu, że w bębenu nie ma więcej kul. Następnie raptownym ruchem nadgarstka zatrzaskał bębenek i zakręcił nim teatralnie, aż rozległ się dźwięk wirującej tarczy ruletki.

Lou nie musiał znać hiszpańskiego, aby zrozumieć polecenia Manola.

Chudzielec, patrząc w dal tak spokojnie, jakby obserwował ptaki, wsunął lufę rewolweru głęboko do ust. Zbici wokół niego koledzy zaczęli go głośno dopingować. Brody'ego najwyraźniej interesował tylko odczyt na aparacie EKG. Lou, wstrząśnięty barbarzyństwem, którego był świadkiem, wciągnął do płuc powietrze i wstrzymał oddech. Całym sobą pragnął powstrzymać to szaleństwo, wiedział jednak, że nie może nic zrobić. Pedro wydał jakiś gardłowy krzyk i bez żadnych dalszych przygotowań nacisnął spust.

Trzask.

Pusta komora.

Lou bezgłośnie wypuścił powietrze.

Pedro z uśmiechem oddał broń Brody'emu, a ten, nie patrząc na niego, wycelował w drzewo i dwa razy pociągnął za spust, zanim rozległ się huk i pocisk odłupał fragment drewna. Wtedy pułkownik wręczył Pedrowi kopertę i oddał rewolwer Manolowi, po czym znów zajął się studiowaniem wyników wskazanych przez aparat.

– Niewiarygodne – powiedział. – Czas reakcji jest nadzwyczajny. Co z tym zrobiliście?

– Mówiłem już, *señor*, ulepszyliśmy formułę – wyjaśnił Manolo. – Lepsze i czystsze składniki.

– Metamfetamina?

– Nowy chemik. Nowa receptura.

Brody tylko skinął głową.

W milczeniu kontynuowano przeładunek. Pedro, który właśnie oszukał śmierć, jak gdyby nigdy nic wrócił do skrzynek z bronią. Pułkownik wsunął z powrotem plastikową torebkę do suchego lodu i sprawdził, czy chłodziarki w furgonetce są dobrze zabezpieczone. Potem bez słowa usiadł za kierownicą, zawrócił i skierował się w stronę głównej drogi. Lou nie miał szans ruszyć za nim, ale dowiedział się prawie wszystkiego, co chciał – z wyjątkiem tego, kim są ci ludzie i gdzie mają kwaterę. Manolo, wąsaty przywódca grupy, bez trudu zawrócił i furgonetka ruszyła pod górę.

Lou tkwił skulony na skalnym występie, dopóki nie ucichł warkot silników i zapanowała ciężka cisza. Dopiero wtedy – nie bez trudności – zszedł z góry, stanął w miejscu, gdzie rozegrała się scena w dole, i ostrożnie podążył po śladach furgonetki w górę wzniesienia. Zaczynało już zachodzić słońce, lecz popołudniowy chłód był całkiem znośny.

Broń za narkotyki.

Mantis i jakiś meksykański kartel.

Czy Elias Colston zginął, bo miał te informacje? Wiedział coś więcej?

Lou domyślał się, w jaki sposób Brody może wykorzystywać towar, który uzyskiwał w transakcji, ale w tym momencie nic nie było pewne, włącznie z rolą sekretarza obrony.

Po jakichś trzydziestu minutach wspinaczki las zgęstniał, a śniegu było więcej. Lou brnął naprzód, obolały i zziębnięty, trzymając się skraju drogi i czujnie wypatrując strażników. Jego uwagę przyciągnęła widoczna z oddali polanka. Promienie słońca padające zza chmury jak reflektor punktowy oświetliły rozsypującą się budowlę.

Ruina, w której, jak przypuszczają, mieściła się destylarnia kartelu, była szopą skleconą z blachy falistej i belek z surowego drewna. Budynek miał chyba więcej kominów i wywietrzników niż okien. Buchał z nich biały dym, gęsty i przesycony ostrą wonią amoniaku, który drażnił płuca Lou. Biała furgonetka stała zaparkowana po prawej od budynku, obok szarego wozu terenowego – być może hondy. Pedro i trzech pozostali mężczyźni wyciągali z samochodu broń i zanosili na drugą stronę destylarni. Lou obserwował ich zza pnia wysokiej sosny.

Narkotyki za broń.

Jakiś rodzaj superamfetaminy za karabinki M4.

Klasyczny barter, nie bardziej wyrafinowany niż kupno colta kalibru .45 za kwartę bimbru na Dzikim Zachodzie. Z destylarni wyłonił się Manolo i zdjął z twarzy papierową maskę chirurgiczną. Tym razem jednak nie był sam. Na smyczy owiniętej wokół nadgarstka prowadził największego owczarka niemieckiego, jakiego Lou w życiu widział. Pies położył uszy płasko na łbie, a wzrok jak gdyby skupił na powietrzu. Lou patrzył, jak nozdrza zwierzęcia się rozszerzają, a łeb porusza się gwałtownie we wszystkie strony.

Cholera jasna! – przemknęło mu przez głowę.

Pies pojawił się tu przypadkowo czy coś zaczęli podejrzewać?

Manolo rzucił parę słów po hiszpańsku. Potem ruszył drogą w kierunku Lou – nieśpiesznym krokiem, jakby szedł z psem na zwykły spacer. Owczarek jednak zaczął się opierać. Manolo zrobił cztery kroki, lecz pies zaparł się nogami o ziemię. Rozchylił wargi, wydając gniewne warknięcie. Niski i groźny pomruk rozbrzmiał echem wśród drzew. Nagle owczarek utkwiał oczy w celu, a warczenie przerodziło się we wściekłe ujadanie. Zaczął kłapać szczękami, jakby domagał się ciała, które mógłby rozerwać. W otwartym pysku, z którego kapiała ślina, błysnęły rzędy białych, ostrych jak sztylety

zębów. Lou podążył za wzrokiem psa i poczuł na plecach nagłą falę gorąca.

Zwierzę patrzyło prosto na drzewo, za którym się ukrywał.

ROZDZIAŁ 34

Ogromny owczarek niemiecki wciąż warczał, szarpiąc smyczą.

– Co się dzieje? – zapytał jeden z mężczyzn.

– Nie wiem. Jest w bardzo złym humorze.

– Matador zawsze ma zły humor. Może coś wyczuł, królika albo szczura. Pewnie Pedro znowu nie przykrył śmieci.

Matador. Imię oznaczało toreadora walczącego z bykiem, ale oznaczało także zabójcę.

Lou poczuł, że zaschło mu w ustach.

Przywarł całym ciałem do pnia sosny, dwadzieścia pięć metrów od psa. Z hiszpańskiego zawsze miał najwyżej czwórki, a teraz tłumaczył ze słuchu może na trzy plus. Z jakiegoś powodu jednak świetnie wiedział, co oznacza „matador”.

Trzymając mocno psa i usiłując go osadzić, Manolo zaczął się rozglądać po lesie, szukając przyczyn niepokoję zwierzęcia.

Lou przypuszczał, że niebawem pozna odpowiedź.

Mimo przenikliwego chłodu czuł, że się poci. Matador trochę się uspokoił, powarkując basem, jak gdyby postanowił oszczędzić energię na to, co go za chwilę czeka. Lou wciąż kulił się za drzewem, rozpaczliwie zastanawiając się nad scenariuszami ucieczki, ale nie znalazł żadnego, który dawałby mu jakąkolwiek szansę. Wydawało mu się, że Manolo powiedział *ardilla*, i miał nadzieję, że to słowo oznacza „wiewiórkę”, nie „kolację”. Gniewne pomruki psa wzbudziły

w Lou głęboko zakorzeniony strach, który prawdopodobnie miał swoje źródło w jakimś zdarzeniu z dzieciństwa.

Do listy najokropniejszych śmierci dopisał w myślach „rozszarpanie przez zwierzę”. Zęby owczarka były ukształtowane w ten sposób, by zaciskać się na ciele i odrywać z niego powoli kawałek po kawałku. Lou wyobraził sobie przerażenie i ból, bezsilne próby wyswobodzenia się z zaślinionego pyska potężnego zwierzęcia zatapiającego szczękę w jego brzuchu, aby go wypatroszyć. Wizja była tak dojmująca i realna, że Lou przełknął ślinę, czując miedziany smak krwi, jakby już wypełniała mu gardło.

Matador.

Stał sztywno za pniem sosny, starając się jakoś opanować nierówny oddech i kłębiące się myśli. *Wciągaj powietrze nosem... wydychaj ustami, jak na ringu, jak w czasie sparingu... wdech nosem, wydech ustami.* Ewangelia według Capa Duncana.

Pomyślał o Emily. Powinien się skupić tylko na ucieczce, ale kiedy ma się dzieci, jest inaczej. Myślał o tym, jak wstrząśnie nią jego śmierć. Czy w ogóle odnajdą jego ciało? Prawdopodobnie nie. Manolo i jego banda zakopią go w kawałkach gdzieś w lesie, samochód spalą i *voilà*, załatwione. Zaginiony, miejsce pobytu nieznane. Wywieszają ogłoszenia. Zorganizują się grupy poszukiwawcze, może nawet zaoferują skromną nagrodę. Judy Lemon powie swoim przełożonym w policji stanowej, że pamięta tylko mężczyznę, który wczoraj nieprzepisowo zmienił pas ruchu. Manolo i kartel z Juárez rozbiorą barak laboratorium i odbudują wiele kilometrów dalej. Koniec.

Warczenie znów przybrało na sile.

Nie możesz umrzeć w tym lesie. Nie wolno ci do tego dopuścić.

Próby opanowania oddechu zaczynały przynosić skutek. Myśli Lou stały się bardziej uporządkowane i logiczne, choć żadna z nich nie przynosiła mu nadziei. Mógłby zaryzykować i odczołgać się tyłem, aby

znaleźć się niżej, bliżej drogi, ale wówczas byłby widoczny między drzewami. Nie miał pojęcia, jak czujny jest Matador – ile ruchu i zmiany położenia źródła zapachu potrzeba, by ruszył do ataku. Na razie Lou stał w dość dużej odległości, ale gdyby puścił się biegiem, pies dopędziłby go w parę sekund. I koniec.

Po chwili, jak gdyby wysłuchawszy niemej modlitwy Lou, Manolo przywiązał warczące zwierzę do jakiegoś słupka i skierował się za destylarnię, być może, żeby sprawdzić, co z bronią. Lou oderwał się od drzewa i słysząc, jak pomruk owczarka przechodzi w nowe crescendo, ostrożnie ruszył do tyłu, oddalając się od śmierci o następne dziesięć metrów. Jeszcze parę takich manewrów i będzie mógł uciec w kierunku toyoty.

Pies znów nieco ucichł, wydając tylko gardłowy bulgot. Nadal wyginał grzbiet w łuk, bez przerwy przeczesując las bystrymi oczami jak żołnierz marines na patrolu. Lou skulił się i pokonał kolejne cenne dziesięć metrów. Po chwili następne. Wrócił Manolo i ponownie chwycił smycz Matadora. Szarpnął mocno, ale olbrzymi pies ciągnął go w przeciwną stronę. Lou wykorzystał moment nieuwagi człowieka i sprintem ruszył za następne drzewo. Zabójca, słysząc chyba szelest liści albo czując gęstniejący w powietrzu zapach strachu, rzucał łbem we wszystkie strony. Pragnąc za wszelką cenę wygrać z bestią walkę o władzę, Manolo gwałtownie pociągnął smycz Matadora, aby pies wrócił do nogi.

Lou widział dym, ale nie widział laboratorium. Opadł na tyłek i zaczął zjeżdżać ze wzgórza. Teraz uznał, że głupio zrobił, przychodząc pod destylarnię, ale już wcześniej robił głupstwa, choć może bez takich konsekwencji. Kamienie orały mu dzinsy, boleśnie raniąc nogi. Wciąż słyszał rozgorączkowane ujadanie, lecz nie potrafił określić, czy ten odgłos się zbliża. Wreszcie zaryzykował i wstał.

Już niedaleko.

Po następnych piętnastu minutach uznał, że oddalił się już wystarczająco, by pies przestał go słyszeć. Wściekły jazgot przekonał go, że się myli. Zbocze stało się bardziej strome, spadała temperatura. Dodatkową przeszkodą okazał się lód. Dobrym rozwiązaniem byłby sprint do samochodu, ale mógłby się skończyć skręceniem kostki albo, co gorsza, złamaniem.

Lou okrążył polanę, gdzie odbyła się transakcja wymiany broni za narkotyki. Zostało mu do pokonania około siedemdziesięciu metrów. Ostrożność nie miała już sensu. Ruszył truchtem ze stromego wzniesienia w kierunku głazu, za którym ukrył toyotę. Nagle usłyszał dobiegający z góry chrzęst pękającego lodu i miażdżonych liści, któremu towarzyszył niski pomruk. Obrócił się przez ramię i nad sobą ujrzał Matadora mknącego ze szczytu wzgórza i ciągnącego za sobą smycz.

Czując, że serce lada chwila mu eksploduje, Lou puścił się naprzód chaotycznym sprintem. Stopy ślizgały się na oblodzonej stromiźnie, utrudniając bieg.

Ostrożnie... ostrożnie...

Zza głazu przed nim błysnęła czerwień – fragment maski jego wozu. Za jego plecami, nie dalej niż piętnaście metrów od niego, prosto do celu z zawrotną prędkością zmierzała brązowa rakietka, aby rozszarpać go na kawałki. Pies miał obnażone zęby. Z pyska zwisały nitki śliny przypominające serpentyny.

Lou spojrział przed siebie w stronę toyoty i dokonał szybkich obliczeń. Jakies osiem, dziesięć metrów do drzwi samochodu plus dwie sekundy, żeby wsiąść, równało się śmierci. Bez cienia wątpliwości. Wyobraził sobie, jak bestia rzuca się na niego od tyłu, przewraca go twarzą do ziemi, a potem wbija mu zęby w kark.

Nie mógł do tego dopuścić – musiał jakoś zareagować. Wspiąć się na dach samochodu? Co by się wtedy stało? Może przeleźć przez dach

i wsiąść od strony pasażera? Pomysły przebiegały mu przez głowę jak rozpędzony skład Pendolino.

Zza jego pleców dobiegało coraz głośniejsze warczenie – coraz bliżej.

I wtedy się potknął.

Na częściowo zakopanym korzeniu, grubym jak pięść. Ciężko runął na zamarznąłą ziemię, ryjąc w niej twarzą. Powietrze uciekło mu z płuc jak z przekłutego balonu, a upadek trochę go ogłuszył. Mimo to zdołał się obrócić na wznak. W tym momencie bardzo zaskoczony zdał sobie sprawę, że trzyma w dłoni ułamaną gałąź – ponad metrowej długości, bez liści, sękatą jak artretyczna kończyzna.

Kiedy gramolił się na nogi, niewyraźna sylwetka Matadora nagle nabrała ostrości – pies znalazł się już trzy metry od niego i w pełnym biegu gotował się do skoku. Stojąc na nogach jak z gumy, Lou instynktownie obrócił się bokiem i oburącz chwycił koniec gałęzi. Między jednym a drugim mrugnięciem powiek wróciło do niego wspomnienie, które przetworzył z szybkością komputera.

Miał dwanaście lat i grał w młodzieżowej lidze bejsbolowej. Chociaż był wysportowany, w tej dyscyplinie był skazany na porażkę, bo nie umiał odbijać. Był remis, wszystkie trzy bazy zajęte, dwa zbiecia. Jego drużynie, Dodgerson, brakowało tylko jednego punktu do zdobycia mistrzostwa ligi. Miał nadzieję, że na zawsze zapamięta scenę, jaka się miała rozegrać na boisku – koledzy z drużyny biegnący w stronę stanowiska pałkarza, roześmiani, przybijający piątki, padający sobie w ramiona i tworzący radosną górę ciał na ziemi. Boże, ależ tego pragnął. Trzy rzuty, trzy zamachy, trzy nieudane odbicia. Tego dnia żaden z Dodgersonów nie miał powodów do świętowania.

Owczarek szalał z wściekłości. Szeroko rozwarł szczęki; z kłów kapła ślina. Za moment pysk wypełni się krwią, jego krwią. Lou mocniej zacisnął palce na gałęzi i całą uwagę skupił na paszczy

zwierzęcia. Po chwili, wysuwając do przodu jedną nogę, wziął zamach i walnął z całej siły. Jedno odbicie... tylko jedno. Uderzenie było straszne. Siła rozpędu owczarka przewróciła Lou na ziemię. Ale Matador też był ogłuszony; runął u jego stóp z przeraźliwym skowytom i próbował się pozbierać.

Nie patrząc nawet na czworonożnego toreadora, Lou pokonał sprintem pozostałe cztery metry, wskoczył za kierownicę samochodu i dygoczącymi rękami wsunął kluczyk do stacyjki. W tym samym momencie poczuł, jak toyota lekko przychyła się naprzód. Przez przednią szybę zobaczył stojącego na masce warczącego psa. Rozcięte w kącikach wargi krwawiły, ale mimo to wciąż obnażał zęby. Walnął pyskiem o szybę, pozostawiając na niej spienione ślady śliny i krwi. Lou przekręcił kluczyk i szarpnął za dźwignię, wrzucając wsteczny.

Owczarek został na masce tak długo, jak się dało – surfer, który za wszelką cenę chce dojechać na fali do brzegu. Wreszcie zeskoczył i wylądował na ziemi na czterech łapach. Lou wyjechał z powrotem na drogę. Manolo i jego olbrzymi sześciostrzałowiec musieli być już blisko.

Kiedy wracał na główną drogę, myślał o pracy doktorskiej Wyatta Brody'ego, w której rzucał się w oczy brak omówienia pracy laboratoryjnej i konkretnych wniosków. Transakcja, której był świadkiem, stanowiła dowód, że badania nie tylko się powiodły, ale były także stosowane w praktyce na żołnierzach Mantis. Tylko w jakim celu? – zastanawiał się Lou, wciskając mocniej pedał gazu i kierując się na północ. W jakim celu?

ROZDZIAŁ 35

Wyatt Brody wszedł do zatłoczonej jadalni. Na spartańskich drewnianych ławach siedziało siedmiuset marines – wielu z nich odznaczonych za męstwo, niektórzy wielokrotnie. Na długich składanych stołach przed każdym z nich stał plastikowy kubeczek pojemności dwustu mililitrów napełniony do połowy przezroczystym szkarłatnym płynem. Obok leżała kapsułka w takim samym kolorze. Jadalnię rozjaśniało słabe światło brzasku. Rozpoczął się codzienny rytuał.

Tuż za Brodym podążył major Charles Coon.

– Bacność! – zawołał, gdy tylko doszli do swojego stołu.

W sali rozległo się skrzypienie odsuwanych ław i żołnierze Mantis zerwali się na nogi – las najdzielniejszych, najlepiej wyszkolonych ludzi, jakimi mogła się poszczycić armia. Brody z miną, jak gdyby podziwiał dzieło sztuki, powiódł wzrokiem po jadalni.

Żołnierze, których w większości przygotowywano w niewielkich grupkach do tajnych misji w różnych częściach świata, czekali, czy dowódca wybierze spośród nich kogoś do porannego ofiarowania. Nie szafowano tym zaszczytem. Zwykle ceremonię prowadził Brody, Coon albo któryś z oficerów, czasem jednak ten honor spotykał zwykłego żołnierza, którego wybierano, jeżeli w szczególny sposób ucieleśniał zasady Mantis. Prawdę mówiąc, prawie wszyscy na to zasługiwali. Siedmiuset mężczyzn stało wyprężonych na bacność i czekało.

– Starszy sierżant Bucky Townsend! – zawołał Brody.

Townsend, który i tak stał już sztywny jak trup, starał się wyprostować jeszcze bardziej.

– Panie pułkowniku! Starszy sierżant Bucky Townsend obecny! – wrzasnął.

Nikt nie patrzył na Bucky’ego. Oczy wszystkich były utkwione w Brodym, jak gdyby był wśród nich jedyną żywą istotą.

– Sierżancie Townsend.

– Tak jest, panie pułkowniku! – Townsend nie okazywał żadnych emocji i zachował kamienną twarz, chociaż został wybrany po raz pierwszy.

– Wystąp do ceremonii.

Townsend stanął obok niego i zasalutował, unosząc rękę pod wzorowym kątem. *Jestem z Mantis.*

– Bracia, wznieśmy kielichy – powiedział.

Poruszając się jak jedno ciało, każdy z żołnierzy wziął do jednej ręki kapsułkę, a do drugiej kubek z napojem.

– Szkarłat to kolor odwagi – odezwali się jednym głosem – kolor krwi przelanej w boju, kolor męstwa. Za sprawiedliwość. Za kraj. Za Boga. Za Mantis. Gotowi na wszystko!

Następnie, razem ze swoim dowództwem, wszyscy jak jeden mąż położyli kapsułki na języku i wypili symbol swojej zbiorowej siły i odwagi. Byli Mantis, łączyło ich braterstwo mocy szkarłatnego płynu.

Kiedy skończyło się śniadanie, Brody znów wstał, żeby przemówić do swoich ludzi. Zerkając na kartkę na podkładce, odczytał listę dwudziestu nazwisk – członków oddziału taktycznego operacji Pazur.

– Ci, których nazwiska zostały wyczytane, zbierają się niezwłocznie w sali odpraw – dodał Coon.

– Tak jest, panie majorze – odpowiedział mu chór dwudziestu głosów.

Sala odpraw znajdowała się w budynku z surowego drewna wielkości jednoizbowej szkoły, kilka kroków od jadalni. Była wyposażona w projektory, mapy i kilka komputerów. Przenośne grzejniki zapewniały ciepło. Coon stanął na środku, a Brody zajął miejsce za biurkiem po jego prawej ręce.

– Panowie – zaczął Coon – każdy z was otrzymał wstępne informacje na temat operacji Pazur. Jesteście oddziałem taktycznym, grupą, która będzie działać na lądzie. Wspierać będą was dziesiątki waszych braci z Mantis. Powodzenie tej ambitnej misji spoczywa w waszych rękach. Od tej chwili ten budynek i zgromadzony w nim sprzęt nadal będą do waszej dyspozycji, ale nikt oprócz was nie będzie tu miał wstępu. Klucze są w kopertach na stolikach przed wami. Proponuję, żebyście cały czas poświęcili teraz na naukę. Koniec z zabawą i sportem.

– Będziemy się uczyć, panie majorze – oświadczył Townsend. – Ale skoro to nasze pierwsze wspólne spotkanie, mógłby pan omówić ogólną strategię zadania?

– Oczywiście, sierżancie. Operacja Pazur będzie atakiem przeprowadzonym zgodnie z metodą „szoku i przerażenia”, w wyniku którego zlikwidujemy dziesięciu najważniejszych terrorystów podczas jednoczesnego, zsynchronizowanego uderzenia.

– Czy obiekty są zlokalizowane centralnie, panie majorze? – zapytał Fenton Morales.

– Nie – odparł Coon. – Obiekty są rozproszone, zlokalizowane w pięciu krajach.

– Czy do ataku wykorzystamy drony?

– Też nie – rzekł Coon. – Nie sposób w stu procentach potwierdzić prawdziwości otrzymanych informacji wywiadowczych na temat lokalizacji. Dlatego nie możemy przeprowadzić uderzenia przy użyciu dronów, nie ryzykując licznych strat wśród cywilów i negatywnych

reakcji światowych. Przed atakiem musimy mieć naoczne potwierdzenie tożsamości obiektów. Nie chcemy zabijać kobiet i dzieci, żeby nie dawać niezdecydowanym powodów do poparcia dżihadu. W dwa tysiące trzecim roku przeprowadziliśmy w Khewie udaną operację selektywnej eliminacji, ale zginęło wielu miejscowych. Nie chcemy powtórki tamtego zdarzenia.

– Czy zostaniemy wysłani na misję w dwuosobowych zespołach, tak jak wcześniej ustalono?

– W dwuosobowych zespołach, zgadza się – przytaknął Coon.

– Jaki jest termin wyjazdu?

– Za pięć dni lub wcześniej. Coś jeszcze?

– Jakie działania mamy podjąć po zlokalizowaniu obiektu?

– Każdy zespół spenetruje podejrzane miejsce, zweryfikuje tożsamość obiektu i przeprowadzi synchroniczny atak, likwidując obiekt za pomocą bomby. Jeśli któryś z zespołów precyzyjnie nie potwierdzi tożsamości, będzie musiał poczekać z detonacją, aż obiekt się pojawi. Chcemy zlikwidować dziesięć obiektów w ciągu dwudziestu czterech godzin. „Dziesięć w dwadzieścia” – to będzie wasz okrzyk. Ta operacja odetnie łeb hydrze.

– Gdzie otrzymamy materiały wybuchowe? – zapytał Morales.

Coon odwrócił się do Brody’ego, a ten wstał i spojrzał na żołnierzy.

– Będziecie je mieli na sobie – powiedział.

ROZDZIAŁ 36

Lou przejechał kawał drogi, zanim znalazł odcinek, na którym jego telefon złapał zasięg. Do Waszyngtonu miał jeszcze trzy godziny jazdy, pod warunkiem że toyota będzie dalej dziarsko pruć naprzód – może trochę więcej, ponieważ zaczynał już zapadać zmierzch. Kiedy wstukiwał numer Sarah, ręce ciągle mu drżały od resztek adrenaliny w organizmie. Wprost nie mieściło mu się w głowie, ile razy w ciągu minionych kilku godzin groziła mu śmierć. Meksykański kartel narkotykowy. Gwardia Pałacowa. Wyatt Brody. Zły pies. Nie licząc Judy Lemon z policji stanowej Wirginii Zachodniej.

Odnosił wrażenie, że ilekroć uzupełnia układankę kolejnym elementem, dodając nową informację o Brodym, pojawia się w niej nowa luka. Władza tego człowieka i ogromna skala jego projektu zdumiewała Lou i sprawiała, że coraz bardziej bał się o Gary'ego. Jeśli Lou się nie mylił, to morderstwo Eliasa Colstona było częścią wielkiego spisku, w którym uczestniczyli niezwykle potężni gracze, gotowi użyć wszelkich sposobów, aby ochronić swoje tajemnice.

Sarah odebrała po trzecim dzwonku i Lou poczuł, że jej głos podnosi go – udręczonego – na duchu. Grali w jednej drużynie; może jeszcze nie współpracowali gładko jak dobrze naoliwiona maszyna, ale wytworzyła się między nimi więź – przyjaźń, którą szybko pogłębiały nadzwyczajne okoliczności.

– Hej, strasznie się o ciebie martwiłam – powiedziała. – Nic ci się nie stało?

– Poza tym, że niewiele brakowało, żebym się zmienił w puszkę Pedigree, to czuję się doskonale.

– Mów jaśniej – poprosiła Sarah.

Lou zrelacjonował przebieg przeprowadzonej przez Wyatta Brody'ego transakcji „broń za narkotyki” i swojego bliskiego spotkania z Matadorem.

– Dlaczego sądzisz, że Brody ma związki z jakimś meksykańskim kartelem? – spytała, kiedy Lou skończył.

– Chemik kartelu produkuje duże ilości narkotyku, o którym Brody wspomniał w swoim doktoracie, specyfiku eliminującym strach. Sarah, szkoda, że nie widziałas, jak spokojnie ten Pedro włożył sobie do ust lufę rewolweru i zagrał w rosyjską ruletkę. Jak głaz.

– Straszne.

– Naprawdę niewiele brakowało, a krzyknąłbym na niego, żeby nie naciskał spustu, ale to chyba nie byłby dobry pomysł. W skład specyfiku Brody'ego wchodzi metamfetamina, towar, którego wojsko raczej nie nabywa, składając oficjalne zlecenie zakupu. Jestem prawie pewien, że podaje tę miksturę żołnierzom Mantis.

– W jakim celu?

– Tego nie wiem – odparł Lou. – A chciałbym. Mógłbym wymyślić jakieś teorie, ale opierałyby się wyłącznie na domysłach. Kartel dostarcza narkotyk, ale nie uczestniczy w całym procesie produkcji koktajlu Mantis.

– A jaki to ma związek z Reddy Creek? – spytała Sarah.

– Zastanawiałem się nad tym. I możemy prześledzić pewien łańcuch logiczny, który, moim zdaniem, doprowadzi nas do niepodważalnego i zaskakującego wniosku.

– Słucham.

– Przyjmujemy, że Reddy Creek to dzieło Mantis, prawda?

– Według tego, co mówi Edith, dwaj marines, którzy zginęli w czasie napadu na magazyn broni, mieli tatuaże Mantis. Czyli tak, Reddy Creek to dzieło Mantis.

– I zgadzamy się, że Brody to Mantis.

– Bez zastrzeżeń.

– A komu Brody zadedykował doktorat?

– Spencerowi Hogarthrowi – powiedziała. – Już rozumiem.

– Czyli, jeżeli Hogarth to Brody, Brody to Mantis, a Mantis to Reddy Creek, wynika z tego, że...

– Hogarth to Reddy Creek – dokończyła Sarah. – Boże, Lou, o co w tym wszystkim chodzi?

– Sam nie wiem. Ale wydaje mi się, że mój kumpel Gary niechcący dał się złapać w pułapkę. Myślę też, że cała sprawa sięga znacznie dalej niż do Reddy Creek.

– To znaczy?

– To znaczy, że transakcje „broń za narkotyki” prowadzi się już od jakiegoś czasu. Nie wyobrażam sobie, żeby Brody i jego Gwardia Pałacowa korzystali z tego samego źródła zaopatrzenia za każdym razem, gdy trzeba było zasilić kartel.

– Masz na myśli więcej magazynów broni?

– Nieprzyjemny wniosek, ale innego chyba nie da się wyciągnąć. Poza tym podejrzewam, że Brody potrzebuje kogoś bardzo wysoko postawionego, kto pomaga mu w tym procederze. Kogoś z wystarczająco dużymi wpływami politycznymi, żeby kupować informacje i współpracę potrzebną do prowadzenia całej operacji.

– Hogarth – rzuciła Sarah głosem zniżonym prawie do szeptu.

– Otóż to.

– Myślisz, że Hogarth wiedziałaby, gdyby Wyatt Brody zabił Eliasa Colstona, żeby go uciszyć?

– Niewykluczone. A nawet jeżeli nie wie, możemy mu pomóc się dowiedzieć. Na pewno nie ma ochoty dać się uwikłać w poważny skandal. Zwłaszcza gdyby to miało zagrozić jego ambicjom politycznym. W każdym razie wyciągniemy Gary’ego z aresztu, a to przecież nasz cel.

– Nie jedyny – odrzekła Sarah. – Obiecałam Edith, że pomogę jej odnaleźć ludzi, którzy są odpowiedzialni za jej oślepienie i śmierć Mike’a. Teraz już wiem, od czego zacząć.

– Wszystkie drogi prowadzą do Hogartha – podsumował Lou.

– Być może będę potrzebowała trochę czasu, żeby się z nim umówić, ale do spotkania na pewno dojdzie.

– Musisz być ostrożna. Twoja przyjaciółka Edith to żywy dowód na to, jaki niebezpieczny może być Hogarth, kiedy poczuje zagrożenie.

– Nie martw się, będziemy uważać i oglądać się za siebie.

– Ludzie grający w jednej drużynie martwią się o siebie nawzajem.

– I nie działają w pojedynkę – dodała Sarah. – Jasne. Dzięki, że się tak o mnie troszczysz, Lou.

– Dzięki, że mi pozwalasz.

– Dobra, czyli staram się dotrzeć do Hogartha i będę przy tym wyjątkowo ostrożna. A co ty zamierzasz robić w tym czasie?

– Myślę, że pojedę uściskać córkę i siądę z nią do maratonu w monopol.

– Masz szczęście, że żyjesz – zauważyła Sarah.

– Nikt nie wie o tym lepiej ode mnie.

– Musisz się przyczaić – poradziła mu. – Nie próbuj wsadzać kija w mrowisko. Pozwól, że ja i Edith zajmiemy się Hogarthem. I pamiętaj, być może Brody nie wie, że to ty byłeś w lesie, ale dostał sygnał, że ktoś jest na jego tropie, a ty należysz do wąskiej grupy podejrzanych.

– W takim razie uznajmy, że się zaszyłem.

– Mówię poważnie, Lou. Mogłeś mnie przynajmniej uprzedzić, że chcesz to zrobić. – W jej głosie pojawił się ostry ton. Najwyraźniej nowo zawarty sojusz był gałęzią, która nie mogła wytrzymać zbyt wielkiego ciężaru.

Lou wzdrygał się na myśl, że właśnie ukrył prawdę przed Sarah, lecz sądząc po jej reakcji, był przekonany, że podjął słuszną decyzję. W rzeczywistości do zaplanowanego weekendu z Emily pozostało jeszcze parę dni. Choć bardzo chętnie spędziłby dzisiejszy wieczór z córką, w najbliższej przyszłości nie zamierzał brać udziału w maratonie rozgrywek w monopol. W szufladzie jego komody leżał bilet w obie strony na samolot, który nazajutrz późnym wieczorem odlatywał do Minneapolis.

ROZDZIAŁ 37

Zgodnie z przypuszczeniami Lou, klinika Pine Forest nie była przeznaczona dla pacjentów ze szczupłym portfelem. Jadąc według wskazówek GPS-u, dotarł do położonej na uboczu rozległej posesji otoczonej zaśnieżonymi ogrodami i murem. Umundurowany strażnik zajrzał do listy gości i wpuścił go przez zamykaną bramę. Panowała za nią spokojna atmosfera, ale w budynku unosiły się zapachy, które Lou dobrze znał – woń środków dezynfekujących i ludzkich cierpień.

Herbatą poczęstowała go sarniooka recepcjonistka, która mówiła z brytyjskim akcentem i wyglądała, jakby zeszła prosto ze stron „Vogue’a”. Potem wręczyła mu formularze, na których miał wpisać swoje dane osobowe oraz informacje o stanie zdrowia, ale niezbyt szczegółowe. Dodała, że tym zajmie się już doktor Sherwood. Lou był przekonany, że nie każą mu długo czekać, i w tym względzie nie spotkało go rozczarowanie. Pozostawało pytanie, ile czasu upłynie, zanim lekarz pozna prawdziwy cel jego wizyty.

Otworzyły się ciężkie mahoniowe drzwi gabinetu Geralda Sherwooda i doktor wyszedł, żeby się z nim przywitać. Miał na sobie wykrochmalony biały fartuch z wyhaftowanym niebieską nicią nazwiskiem i tytułem naukowym nad lewą kieszenią, a na szyi stetoskop znakomitej marki Littmann. Jak można się było spodziewać, wyglądał dystyngowanie – sześćdziesiąt kilka lat, siwiejące, cieniowane włosy i jasne niebieskozielone oczy. Od pierwszej chwili

Lou z niewiadomego powodu odnosił wrażenie, że lekarz podejrzewa, iż motyw jego wizyty jest inny niż zadeklarowany.

Podchodząc do krzesła stojącego naprzeciwko biurka dyrektora kliniki, obrzucił spojrzeniem kilkanaście gustownie oprawionych dyplomów i certyfikatów na ścianach. Jeden z nich natychmiast przyciągnął jego wzrok – dyplom Uniwersytetu Wirginii, alma mater Eliasa Colstona. Bezskutecznie próbował sobie przypomnieć, w którym roku Colston ukończył studia, ale to nie miałyby znaczenia. Przed pójściem do college'u Colston służył w marines. Bez względu na ich wiek, było całkiem możliwe, że znaleźli się na jednym roku. Trudno uwierzyć, że ten związek mógł być dziełem przypadku.

Lou uznał, że nie ma sensu dłużej owijać w bawełnę.

– Hm, panie Welcome – odezwał się Sherwood głębokim, melodyjnym głosem, który świetnie sprawdziłby się w radiu – z tego, co tu czytam, wynika, że cierpi pan na bóle głowy pochodzenia migrenowego.

– Doktorze Sherwood, szczerze mówiąc, nigdy nie miałem bólów głowy znacząco upośledzających funkcjonowanie. Nazywam się Welcome, chociaż nie mam na imię Graham tylko Lou.

– „Znacząco upośledzających funkcjonowanie”. Ciekawe wyrażenie. Jest pan lekarzem, Lou Welcome?

Lou próbował się uśmiechnąć, ale twarz miał stężałą jak na mrozie. Sherwood był bystry.

– Medycyna ratunkowa. Pracuję w Eisenhower Memorial w Waszyngtonie.

– Rozumiem. Chce się pan ubiegać o posadę u nas?

– Nie. Dlaczego pan pyta?

– Ponieważ nie szukamy współpracowników, a nie przychodzi mi na myśl inny powód, dla którego postanowił pan posłużyć się pretekstem i wydać taką kwotę, żeby się ze mną zobaczyć.

Wyraziste oczy Sherwooda naprawdę były oknem jego myśli. Lou skupił się na nich.

– Potrzebuję informacji – powiedział.

– Na jaki temat?

– Na temat jednego z pańskich pacjentów. Niejakiego Jamesa Stylesa z Bowie w Marylandzie. – Lou podsunął mu kopertę z nazwiskiem Stylesa.

W oczach Sherwooda pojawił się błysk – przelotny, mimo to wiele mówiący.

– Wygląda na to, że odbył pan tę długą podróż niepotrzebnie. Jako lekarz z pewnością pan wie, że nawet gdyby to nazwisko coś mi mówiło, nic bym panu nie powiedział. Poufność to nie jest u nas puste słowo. To dzięki niej zdobywamy pacjentów i funkcjonujemy.

Lou wyciągnął z aktówki zdjęcie Eliasa Colstona i położył obok koperty.

– Dwa tygodnie temu zamordowano w Marylandzie kongresmena Eliasa Colstona. Znalazłem tę kopertę w szufladzie jego biurka, kiedy szukałem wskazówek, kto mógł go zastrzelić z zimną krwią. – Lou czekał na odpowiedź, ale jedyną reakcją dyrektora było wzruszenie ramion. – Przyjechałem tu, ponieważ człowiek, którego aresztowano za to morderstwo, również jest lekarzem i moim przyjacielem. Lata samolotem, uprawia sport, bywa szalony i czasem nieprzewidywalny, ale jest całkowicie oddany swoim pacjentom...

Cisza.

– Widzę, że skończył pan Uniwersytet Wirginii mniej więcej w tym samym czasie co Colston – powiedział Lou. – Niewykluczone, że byliście na tym samym roku. Zastanawiam się, czy nie przyjechał tu z jakimś kłopotem zdrowotnym właśnie przez wzgląd na wasze związki.

Wciąż milczenie.

– Doktorze Welcome – odezwał się w końcu Sherwood – potraktuję pana życzliwie i nie wezmę od pana ani grosza za tę konsultację. Nie odpowiem jednak na żadne pytanie o jakąkolwiek osobę, prawdziwą czy fikcyjną, żywą czy martwą. Tak to wygląda. A teraz zechce pan zabrać swoje rzeczy i wyjść.

Lou wstał i włożył kopertę do teczki, zostawił jednak na biurku zdjęcie portretowe osiem na dziesięć, zwrócone w stronę gospodarza.

– Jestem człowiekiem z zasadami i lekarzem – oświadczył na odchodnym Lou. – Ale jestem też człowiekiem pragmatycznym i szczerę się tym, że potrafię rozwiązać problemy etyczne na własny użytek. Przepisy o ubezpieczeniach zdrowotnych są, jakie są. Podobnie jak starożytna przysięga, którą składamy po zakończeniu studiów medycznych. Ale w ostatecznych wypadkach najważniejszym głosem, którego muszę słuchać, jest mój wewnętrzny głos, mówiący mi, co w danej sytuacji jest słuszne, a co nie. Uważam, że mój przyjaciel nie jest winny morderstwa Eliasa Colstona. Teraz siedzi sparaliżowany ze strachu w brudnej celi aresztu w Baltimore. Prokurator jest gotów zrobić wszystko, żeby spędził za kratkami resztę życia. Pan ma jeden z tropów, który może pomóc go uwolnić, informację, czy ofiara morderstwa miała kłopoty zdrowotne i czy zjawiała się tu pod przybranym nazwiskiem Jamesa Stylesa. Jeżeli to dla pana za trudne, nie musi pan nic mówić. Proszę mi tylko oddać zdjęcie i to mi wystarczy.

Sherwood ani drgnął.

– Doktorze Welcome, proszę mnie nie zmuszać do wezwania ochrony, żeby pana stąd usunęła – powiedział po chwili obojętnym tonem.

Zostawiwszy fotografię, Lou odwrócił się i wyszedł przed budynek, gdzie zaparkował wypożyczony samochód. Zapowiadała się potwornie długa podróż do domu.



Lou nigdy wcześniej nie czuł się tak dobrze w tłumie. Jak można się było spodziewać, lotnisko Minneapolis-St. Paul było zatłoczone. Wciśnięty do kolejki, wolno przesuwał się w stronę urządzeń kontrolnych Agencji Bezpieczeństwa Transportu, kiedy zadzwoniła jego komórka.

– Doktor Welcome – powiedział.

W słuchawce odezwał się kobiecy głos mówiący z brytyjskim akcentem.

– Doktorze Welcome, zostawił pan dzisiaj u nas zdjęcie. Doktor mówi, że odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: tak.

ROZDZIAŁ 38

Na twarz Lou posypały się drobinki ziemi. Gwałtownie zamrugął, choć miał wrażenie, jakby każdy ruch powiek wbijał mu w oczy więcej ziaren. Próbował je otrzeć, ale ręce i nogi krępował mu gruby sznur. Z góry znów sypnęła się ziemia, tym razem wpadając mu do ust i dławiąc go. Lou usłyszał zgrzyt łopaty wbijającej się w kopczyk mokrego piachu. Spadła następna szufla ziemi, siekąc jego twarz, szyję i ramiona. Nogi miał już zupełnie zakopane, podobnie jak większą część tułowia. Głowę Manolo zostawił na koniec.

– Podoba ci się ta kąpiel, *amigo*? – zapytał.

Znowu ziemia. W ostatniej grudzie była gruba dżdżownica, która wylądowała na policzku Lou i zaczęła się wić, szukając otworu, w którym mogłaby się schować. Wybrała kryjówkę w jego ustach. Następna porcja piachu. Miał już pełne gardło.

Przepraszam Cię, Em. Przepraszam, że Cię zawiodłem. Kocham Cię ponad wszystko. Przykro mi...

Lou zmusił się do otwarcia oczu, ale świat tonął w mroku. Próbował nerwowo zaczerpnąć tchu, ale w nosie i ustach miał tylko futro. Leżał zwinięty na kanapie w salonie, z boleśnie zeszywniałym karkiem. Na jego twarzy umościł się Multik. Powoli wracała mu świadomość. To był jeden z najbardziej nieprzyjemnych i dojmujących koszmarów, jakie przeżył. Zanurzył palce w gęstej sierści kota i już miał nim rzucić na drugi koniec pokoju, ale wreszcie zupełnie oprzytomniał.

– Hej, ważniaku – powiedział, delikatnie odsuwając zwierzaka na bok. – Dzięki, że pomogłeś mi się nie udusić.

Przez otwarte żaluzje zobaczył, że właśnie wstaje świt. W szpitalu miał opinię człowieka, który potrafi walczyć ze stresem i brakiem snu jak równy z równym. Tę bitwę najwyraźniej przegrał. Czuł się jak drapieżny ptak krążący wokół zagadki śmierci Eliasa Colstona. Wiedział jednak, że wkrótce będzie mógł pomknąć prosto do celu. Potrząsnął głową, aby pozbyć się resztek koszmaru. Nie bez wysiłku wstał i przeciągnął się.

Multik miauknął. Podczas wyprawy Lou do Minneapolis karmili go ludzie z pizzerii Dimitri's na dole i wydawało się, że kocur przytył o jakieś dwa kilo.

– Od kiedy Wyatt Brody zadaje się z meksykańskim kartelem? – zapytał kota. – Mogę próbować wyciągnąć jeszcze jakieś informacje od doktora Sherwooda?

Multik przechylił na bok głowę.

– Nie obchodzi cię, od kiedy, bo obchodzi cię tylko tuńczyk. Tuńczyk, a teraz jeszcze pizza.

Starając się nawiązać z Multikiem nic porozumienia, Lou zauważył ulotkę w jasnych kolorach leżącą pod drzwiami wejściowymi. Znowu menu jakiejś restauracji. Najwyraźniej w dzielnicy już było wiadomo, że w budynku nie ma porządnej ochrony. Mimo to wydało mu się dziwne, że ktoś o tej godzinie roznosi ulotki. Prawdopodobnie leżała tam już, kiedy w nocy wrócił do domu, i po prostu po niej przeszedł.

Podniósł ulotkę, zamierzając od razu wyrzucić ją do śmieci. Odwiedził już prawie wszystkie restauracje w okolicy, ale nigdy nie słyszał o lokalu Al's All-American Grill. Jeszcze bardziej się zaciekawiał, gdy zwrócił uwagę na adres. Restauracja znajdowała się w Alexandrii w Wirginii, po drugiej stronie Potomacu, jakieś dwanaście kilometrów

na południe od miasta, trudno więc było sobie wyobrazić gorszą strategię dystrybucji ulotek.

Lou otworzył menu i wcale się tak bardzo nie zdziwił, widząc wiadomość od Papy Steve'a napisaną czarnym flamastrem. Ten człowiek przypominał zjawę – pomysłową i nieuchwytną.

Doktorze!

Wpadnij dzisiaj do tej restauracji między ósmą rano a południem. Pogadajmy.

Twój kumpel

Papa

Dwie godziny później Lou, już po prysznicu, zaparkował przed Al's All-American Grill. Jego wejście zaanonsował dźwięk mosiężnego dzwoneczka nad drzwiami. Wnętrze lokalu niczym nie różniło się od wielu innych, w których bywał Lou, ale charakterystyczna woń wskazywała na to, że podają tu niezłe i tłuste gorące dania. Zajętych była mniej więcej połowa z ośmiu boksów z czerwonymi skórzanymi kanapami. Odrapana lada oddzielała klientów od dwóch kucharzy serwujących jajka i placki ziemniaczane prawie natychmiast po złożeniu zamówienia. Lou szedł wąskim przejściem między stołkami i boksami, szukając Papy Steve'a. Ani śladu. Zerknął na ulotkę, a potem na zegarek. Była dopiero za kwadrans jedenasta. Wreszcie usiadł przy wolnym stoliku, żeby zaczekać.

Zamówił kawę u krępej kelnerki o oliwkowej cerze i potarganych czarnych włosach. Choć umierał z głodu, uznał, że z zamówieniem czegoś do jedzenia zaczeka na Papę Steve'a. Kiedy kelnerka zjawiła się ponownie, niosła nie tylko kawę, ale i talerz parującej jajecznicy i idealnie wysmażonych ziemniaków z siekaną wołowiną.

– Przepraszam – powiedział Lou z uprzejmym uśmiechem. – To wygląda bardzo smacznie, ale ja tego nie zamawiałem.

– Ależ tak. Nasz szef przyrzędził to specjalnie dla pana.

Lou spojrział za wąskie przejście między ladą a kuchnią i zobaczył Papę Steve'a w fartuchu i czapce kucharskiej stojącego za grillem i machającego do niego łąpatką.

– No i jak smakuje, doktorze?! – zawołał.

Lou zaczął się już przyzwyczajać do jego dziwactw, ale to ostatnie jednak go zaskoczyło.

– Jesteś kucharzem? – zapytał.

– Tylko raz czy dwa w miesiącu, kiedy uda mi się wyrwać. Lubie gotować, ale szczególnie szybkie dania na śniadanie, zwłaszcza gdy pracuję u mojej koleżanki Alex. – Wskazał kelnerkę. – To najważniejszy posiłek dnia. Kumplujemy się od lat.

– Niech zgadnę. Służyła w wojsku.

– Kiedy człowiek zarabia na życie rozbieraniem bomb...

– ...ma wielu przyjaciół – dokończył za niego Lou.

Ojciec chrzestny Marka Colstona zdjął fartuch i poinformował kolegę z kuchni, że idzie na przerwę. Po chwili wyłonił się zza wahadłowych drzwi i usiadł w boksie naprzeciwko Lou.

– Wyglądasz mi na amatora pszennych grzanek, więc postanowiłem poczęstować cię tym – rzekł Papa Steve.

– Trafiłeś w dziesiątkę. Domyślałam się, że odsłuchałeś moją wiadomość.

Po telefonie do Sarah z autostrady w Wirginii Zachodniej Lou zadzwonił do Papy Steve'a i nagrał mu krótką wiadomość.

– Rozmowy przez telefon nie są bezpieczne – ostrzegł go Papa Steve, nagle poważniejąc i rozglądając się po sali. – Mówiłem ci. Dlatego wysłałem z listem do ciebie Paula, naszego pomocnika ze zmywaka. Na szczęście nie powiedziałeś nic, o co musielibyśmy się martwić.

– Tak, dobra, od teraz żadnych telefonów. Widziałem na własne oczy, jakie niebezpieczne mogą być kontakty z twoim dowódcą.

– Mów – poprosił Papa Steve.

Lou powtórzył tę samą historię, którą opowiedział Sarah.

Papa Steve słuchał w skupieniu, ale z ponurą miną.

– Czyli Brody podaje nam nie tylko witaminy, co? – odezwał się w końcu.

– Tak wam mówił? Że to witaminy?

– Aha, specjalny zestaw, który zawdzięczamy Wujowi Samowi i badaniom samego Brody’ego. Wiesz przecież, że jest lekarzem.

– Och, świetnie o tym wiem. Ale raczej nie takim, co zdobędzie Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny.

– Powiedzieli nam, że skład preparatu opracowano tak, żeby dodawał nam siłę i wzmacniał układ odpornościowy. Teraz rozumiem, dlaczego wszyscy wierzyliśmy, że te kapsułki i napój naprawdę poprawiają nam nastrój i samopoczucie i dlatego Gwardia Pałacowa miała do pogadania z każdym, kto nie chciał ich brać. Prawdę mówiąc, nie miałem nic przeciwko temu i nie zauważyłem, żeby to mi jakoś zaszkodziło.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby po przerwaniu przyjmowania tego specyfiku pojawił się zespół odstawienia.

– Wiesz co, Lou, to było dość głupie, że postanowiłeś sam śledzić Brody’ego. Mogłeś zginąć albo jeszcze gorzej.

– Gorzej niż zginąć? – zdziwił się Lou.

– Widziałem ludzi, którzy przeżyli atak psa. Tak, jest coś gorszego od śmierci.

– Warto było zaryzykować – powiedział Lou. – Teraz wiemy, że Brody w jakiś sposób odpowiada za morderstwo Eliasa, i wiemy dlaczego. Musimy to tylko udowodnić.

– Jeżeli twoja kumpela Sarah jest tak pomysłowa, jak mówisz, to może Hogarth pęknie i wyda swojego protegowanego.

– Na to właśnie liczymy – odparł Lou. – Świetne śniadanie, wiesz?

– Dodaj trochę sosu chili mojej roboty – poradził mu Papa Steve, wskazując małą czerwoną buteleczkę z etykietą, na której nie było żadnego napisu tylko czaszka i skrzyżowane piszczele.

– Najpierw powinienem chyba wychylić kubek tego rubinowego nektaru.

– Za naszą misję. Za męstwo. Za sprawiedliwość. Za nasz kraj. Za Boga. Za Mantis. Taką przysięgę składamy codziennie, zanim wypijemy to świństwo. Przyjacielu, postąpiłeś głupio, ale świetnie sobie poradziłeś. Naprawdę świetnie. Teraz pora, żeby dorwać drania.

– Co masz na myśli?

Papa Steve przysunął się bliżej.

– Zdobędziemy narzędzie zbrodni – powiedział.

Lou spróbował kropelkę sosu i zaczął się krztusić.

– Woda z lodem. Napij się wody z lodem.

Zanim Lou znów mógł się odezwać, minęły dwie minuty.

– Teraz rozumiem, skąd ta etykieta – powiedział. – Gdzie, twoim zdaniem, znajdziemy narzędzie zbrodni?

– W gablocie z bronią Wyatta Brody’ego.

– Najwyraźniej wiesz coś, czego ja nie wiem. Dlaczego sądzisz, że narzędzie zbrodni jest tam?

– Wiem z raportu balistycznego, który mi przefaksowałeś – odparł Papa Steve.

– Mów jaśniej.

– Według tego raportu, Eliasa zastrzelono z pistoletu kalibru czterdzieści pięć ACP, a na pociskach były ślady sześciu lewoskrętnych bruzd gwintowania.

– No i?

– No i Brody ma w swojej kolekcji parę pistoletów kalibru czterdzieści pięć, ale tylko jeden z takim gwintem lufy. Zrobiłem listę

wszystkich czterdziestekpiątek Brody'ego i dałem do sprawdzenia znajomemu, który dobrze zna się na broni.

– Masz mnóstwo uczynnych znajomych – zauważył Lou.

– Uratowałem życie wielu ludziom, nie dopuszczając do tego, żeby wylecieli w powietrze – odparł Papa Steve. – A innym, wysadzając w powietrze ludzi, którzy coś do nich mieli. W każdym razie, według mojego źródła, jedyny egzemplarz z kolekcji Brody'ego, który pasuje parametrami, to wojskowy colt tysiąc dziewięćset jedenaście kalibru czterdzieści pięć ACP z lufą sto dwadzieścia siedem milimetrów. Ładna zabytkowa broń. Na wolnym rynku za jakieś dwa tysiące w detalu. Obaj przypuszczamy, że strzelał Brody, ale teraz wiem, z której broni zamordował Eliasa. Zdobędziemy ten pistolet, przeprowadzimy jeszcze jeden test balistyczny i udowodnimy związek narzędzia zbrodni z jego właścicielem.

Mimo że Papa Steve nieźle gotował, Lou zupełnie stracił apetyt. Myśl o powrocie do bazy Mantis wydała mu się równie pociągająca jak propozycja wyprowadzenia na spacer Matadora.

– Byłem już w gabinecie Brody'ego, pamiętasz? – spytał Lou. – Zakładając nawet, że uda nam się niepostrzeżenie wejść do bazy, to jego gabloty ma pewnie skomplikowane zabezpieczenia i zamki. Niech zgadnę! Masz znajomego, który zna się na otwieraniu zamków wytrychem?

– Zgadza się, mam znajomą – odrzekł Papa Steve. – Ale najpierw musiałaby się sama uwolnić z pudła. Jak będzie trzeba, mogę zrobić zamieszanie i przygotować jakieś małe co nieco, żeby wysadzić zamek gabinetu, a potem gablotkę z bronią. Tyle że wtedy cała operacja sprowadzi się do tego, że będziemy musieli złapać pistolet i uciekać, a poza siedmiuset ludźmi w bazie na pewno są alarmy.

– Hm, znam kogoś takiego – powiedział Lou. – Obawiam się jednak, że to będzie zbyt niebezpieczne.

– Sam się wpakowałeś w to bagno, Lou – przypomniał mu Papa Steve. – Jeżeli chcesz się z niego wydostać i pomóc swojemu kumplowi lekarzowi, a przypuszczam, że tak, to musimy przejść do ofensywy i podjąć ryzyko. Ten twój człowiek dobrze się zna na włamie?

– Cap zna się dobrze na prawie wszystkim, co robi.

– W takim razie weź go do drużyny. Świetnie, że Sarah chce dotrzeć do Hogartha. Trzymamy kciuki. Ale nie możemy liczyć na to, że nakłoni go do sypnięcia Brody’ego. Musimy mieć więcej dowodów.

– Broń – rzucił Lou.

– Pracuję nad tym, jak zorganizować jakąś małą dywersję, która pomoże się nam przedostać na teren bazy.

– Wspaniale.

– No więc słucham. Wchodzisz w to?

Nie próbuj wsadzać kija w mrowisko.

W głowie wciąż rozbrzmiewało mu ostrzeżenie Sarah. Kradzież ważnego dowodu na pewno nie przypadnie jej do gustu i prawdopodobnie doprowadzi do starcia na sali rozpraw, zrozumiałego tylko dla wtajemniczonych. Jeżeli go nie ukradną albo odłożą to na później, mogą ich czekać zupełnie inne kłopoty, na przykład taki, że Brody stanie się czujny, zacznie się domyślać, że jest podejrzany o morderstwo Eliasa Colstona, i po prostu utopi broń w jednym z wielu jezior i mokradeł w bazie Mantis.

– No? – ponaglił Papa Steve.

Lou wrócił do dziobania widelcem jedzenia na talerzu. Cap, mimo niebezpieczeństwa, od razy zgodziłby się wystąpić w roli włamywacza. Wszystko będzie zależało od niego i od planu Steve’a Papavassiliou. Kielkująca przyjaźń między Lou i Sarah mogłaby tego nie przetrwać, ale gdyby przetrwała, stałaby się silniejsza.

No i oczywiście wykonywanie czyichś rozkazów nigdy nie należało do jego mocnych stron.

– Wchodzę w to – rzekł Lou.

– Dobry z ciebie dzieciak, Charlie Brown. Ruszamy we wtorek. Mamy cztery dni. Szczegóły później.

Żołnierz położył dłonie płasko na blacie, a Lou przykrył je swoimi.

– Powiedz mi jedną rzecz – poprosił Lou, wstając od stołu. – Czy mówi ci coś nazwisko James Styles?

Papa Steve po krótkim namyśle pokręcił głową.

– Nie – odparł. – Dlaczego pytasz?

– Och, to nic ważnego – powiedział Lou. – Trafiłem na takie imię i nazwisko, kiedy przeszukiwałem biurko Eliasa.

ROZDZIAŁ 39

La Cucina Dolce pachniała sosem pomidorowym i wonnymi włoskimi przyprawami. Sarah przyjrzała się urządzonej z niewymuszoną elegancją restauracji, odnosząc wrażenie, jak gdyby została teleportowana do Toskanii. Charakterystyczny głos Andrei Bocellego, płynący z głośników o idealnym natężeniu dźwięku, stanowił odpowiednie tło do jedzenia. Ściany były udekorowane pejzażami w złotych ramach, a hebanowe stoły nakryte kryształem, srebrem i kosztną porcelaną.

Kierownik sali, o wybrylantynowanych kruczoczarnych włosach, przyprószonych tu i ówdzie wykwintną siwizną, zaprowadził Sarah do prywatnej części restauracji, która, z wyjątkiem stolika w rogu, była pusta. Siedzący plecami do ściany sekretarz obrony Spencer Hogarth niedbale skinął głową w jej stronę i wrócił do posiłku, podczas gdy jeden z jego trzech ochroniarzy pomagał jej zdjąć płaszcz. Drugi wyciągnął z czarnej skórzanej teczki skaner i przejechał nim wzdłuż jej ciała, wymachując aparatem jak dyrygent orkiestry batutą.

Szukał urządzeń rejestrujących.

Żadnego nie znalazł.

Przewidując, że zostanie zrewidowana, Sarah włożyła beżowe spodnie i obcisły czarny sweter, a jedynym akcentem jej stroju był skromny sznur pereł. Nie miała żadnych kieszeni. Kiedy ochrona zajęła miejsca tuż za drzwiami, kierownik sali przyprowadził prawniczkę do stolika Hogartha.

Sekretarz obrony ruchem głowy wskazał jej krzesło dokładnie naprzeciw siebie.

– Właśnie przyniesiono mi kolację. Ma pani ochotę coś zjeść albo czegoś się napić?

Zatoczył ręką łuk, pokazując porcję linguine z owocami morza, bruschettę z pomidorami, wybór włoskich przystawek i porcelanowy półmisek, na którym piętrzyły się oliwki rozmaitej wielkości i barwy. Sarah, której nigdy nie onieśmielał żaden sędzia czy znany klient, poczuła, że w obecności Hogartha zaschło jej w gardle. Tyle razy widziała go w telewizji, że spotkanie oko w oko z sekretarzem obrony graniczyło z surrealizmem.

– Powinniśmy przystąpić do rzeczy – powiedziała.

– Proszę przynajmniej wypić ze mną kieliszek wina.

Wziął opróżnioną do połowy butelkę i napełnił kieliszek stojący przed Sarah. Powąchała wino i wypła łyk. Nie obawiała się, że Hogarth może próbować ją otruć – przynajmniej dopóki się nie dowie, co ma mu do powiedzenia.

– Jestem w tych sprawach raczej amatorką, ale bardzo mi smakuje – wyznała.

– I powinno – odparł Hogarth. – Monfortino, rocznik tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy.

– Brzmi jak bardzo drogie – uznała Sarah. – Mam nadzieję, że nie płacą za nie podatnicy.

Hogarth odpowiedział cierpkim uśmiechem, bez śladu rozbawienia.

– Jeżeli cokolwiek pani wie na mój temat, to chyba wiadomo pani, że sam doszedłem do swoich pieniędzy. Dużych pieniędzy.

– A jeżeli pan cokolwiek wie o mnie, to chyba wiadomo panu, że jestem obrońcą Gary’ego McHugh, który właśnie siedzi w areszcie za zamordowanie Eliasa Colstona – odparowała Sarah. – Być może wie

pan też, że doktor McHugh jest niewinny. Zamierzam doprowadzić do uchYLENIA zarzutów przeciwko niemu, a jedną z osób, które trafią do grona głównych podejrzanych, jest pan.

Sekretarz obrony spochmurniał i w odpowiedzi pociągnął łyk wina. Włożył do ust trochę makaronu i otarł kąciki ust płócienną serwetką, ale jedzenie wyraźnie nie sprawiało mu przyjemności.

– Zgodziłem się z panią spotkać, pani Cooper, ponieważ Elias Colston był moim serdecznym przyjacielem. Chcę służyć każdą pomocą, jakiej tylko mogę udzielić, żeby mordercę dosięgła sprawiedliwość. Ale muszę przyznać, że nie miałem pojęcia, że przyjdzie tu pani, aby mi grozić i stawiać wysrane z palca zarzuty. Gdybym o tym wiedział, nalałbym pani tańszego wina.

– Nie sądzę, żebym poczuła różnicę. Panie sekretarzu, może pan pomóc uczcić pamięć swojego przyjaciela, jeżeli powie mi pan prawdę. Czy zabił pan Eliasa Colstona?

Hogarth sapnął ze zniecierpliwieniem.

– Co pani wygaduje? Jaki mógłbym mieć motyw, żeby zabić starego przyjaciela? Przez ostatnie lata spieraliśmy się z powodu jego poglądów dotyczących przydziału środków na cele wojskowe, ale dyskutowaliśmy o tych różnicach, nigdy nie zaczynaliśmy do siebie strzelać.

– Czy nazwa Reddy Creek coś panu mówi? – Sarah posłała mu enigmatyczny uśmiech i wypła solidny łyk jego kosztownego wina.

– Reddy Creek to nazwa miasteczka – odparł Hogarth. – W Karolinie Północnej zdaje się.

– To także nazwa jednego z waszych magazynów broni.

W oczach Hogartha błysnął gniew. Sekretarz obrony pstryknął palcami i stojący za drzwiami kelner natychmiast podbiegł do stolika.

– Linguine smakuje dziś okropnie – oświadczył Hogarth, odsuwając talerz na bok. – Każ Josephowi porządnie to przyrządzić, bo inaczej

może sobie szukać pracy gdzie indziej.

– Tak, panie sekretarzu. Już idę, panie sekretarzu.

Sarah przysłuchiwała się tej krótkiej rozmowie z żywym zainteresowaniem.

– Lubi pan mieć kontrolę nad ludźmi, prawda?

– Przez całe życie byłem wojskowym. Lubię, kiedy robi się coś porządnie, na przykład przyrządza moje posiłki. Nie lubię natomiast, kiedy jakaś smarkata pannica, uważająca się za prawniczkę, przychodzi do mojej restauracji, gdzie wolę rozmawiać o sprawach osobistych, i zaczyna mi stawiać zupełnie bezpodstawne zarzuty.

– Mogę pana zapewnić, że zarzuty bynajmniej nie są bezpodstawne – odparła z niewzruszonym spokojem.

– Wobec tego proszę mnie oświecić. Proszę mi powiedzieć, jaki motyw mógłby mnie skłonić do zamordowania przyjaciela. Tylko proszę nie mówić, że chodziło o jego stanowisko w sprawie finansowania wojska.

– Motyw? Przekazuje pan Wyattowi Brody'emu informacje o transportach do różnych magazynów broni na Wschodnim Wybrzeżu. Następnie do akcji wkraczają jego ludzie i kradną broń, a ktoś zaufany, ktoś posłuszny panu, tuszuje wszystkie te incydenty.

– W jakim celu?

– Broń służy jako waluta w nielegalnym kupnie narkotyków, które przynoszą jakieś korzyści waszej kompanii Mantis. Co pan sądzi o takim motywie?

– Sądzę, że czegoś takiego nie da się udowodnić – odparł Hogarth.

– Dowód naprawdę ma jakieś znaczenie? – zapytała Sarah. – Przecież pańskie ambicje polityczne nie są raczej pilnie strzeżoną tajemnicą. Słyszałam coś o stanowisku wiceprezydenta. O funkcji sekretarza stanu. Wydaje mi się, że wystarczyłby tylko sygnał o tym skandalu, żeby na zawsze zniszczyć pańską karierę polityczną.

– Czego pani chce, pani Cooper?

– Chcę, żeby pan pomógł ukarać Wyatta Brody'ego. Próbował tego dokonać Elias Colston, ale przypłacił to życiem. Przypuszczam, że Brody jest zabójcą, a pan jest na tyle blisko niego, żeby pomóc nam pociągnąć go do odpowiedzialności.

– Elias udowodnił, że próby dobrania się do Mantis nie cieszą się uznaniem społeczeństwa. Niewiele brakowało, żeby zapłacił za to przegraną w wyborach.

– Jeżeli zgodzi się pan pomóc, być może będzie to dla pana oznaczało polityczne samobójstwo, panie sekretarzu, ale drugie wyjście jest chyba gorsze, o wiele gorsze.

– To wszystko wierutne bzdury! – krzyknął Hogarth, czerwieniejąc.

Do sali natychmiast weszli jego ochroniarze, ale uspokoił ich ruchem ręki. Pełna kontrola. Wszystko u Spencera Hogartha wiązało się z kontrolą, a Sarah była gotowa zmienić to upodobanie w słaby punkt.

– Na sali rozpraw nazywamy to dowodami – odparła.

– Nic pani nie ma. – Oskarżycielsko wymierzył w nią palec. – Wydaje się pani, że wolno tu pani wejść i mi grozić? Nikt nie może mi grozić, młoda damo, zwłaszcza prawnicy bez żadnych dowodów w ręku.

W tym momencie w drzwiach ukazał się kierownik sali, prowadząc pod ramię Edith Harmon w ciemnych okularach. Ochroniarze ruszyli za nimi, ale Hogarth znów powstrzymał ich gestem.

– Tutaj – powiedziała Sarah.

Edith zbliżyła się do stolika, badając drogę białą laską.

– Pozwoli pan, że się przysiędę? – spytała Hogartha, jak gdyby patrzyła mu prosto w oczy.

– Kim pani jest? – zapytał ostro.

– To moja przyjaciółka, Edith Harmon – przedstawiła ją Sarah, pilnie obserwując sekretarza obrony i szukając oznak świadczących o tym, że ją poznaje. Jego twarz ani drgnęła.

Edith usiadła obok Sarah. Kobiety szybko się zaprzyjaźniły, a obecność Edith dodała Sarah odwagi. Dziennikarka okazała wyjątkowy hart ducha, godząc się spotkać z człowiekiem, który, ich zdaniem, ponosił częściową odpowiedzialność za jej utratę wzroku.

– Mam faktury – poinformowała go bezbarwnym głosem.

Hogarth drwiąco pokręcił głową.

– Nie widzi mowy pańskiego ciała – wyjaśniła Sarah. – Nie ma pojęcia, że udaje pan, jakby nie wiedział, o czym ona mówi.

– Nie wiem, jak panu się udało nakłonić do współpracy sekcję logistyki batalionu – ciągnęła Edith. – Szantażem czy może drobną łapówką? Ale znamy tożsamość przynajmniej jednego człowieka odpowiedzialnego za podrabianie faktur.

– Cóż ta kobieta wygaduje? – zwrócił się do Sarah Hogarth.

Broniła w życiu dość przestępców, aby od razu się zorientować, kiedy któryś z klientów kłamał, a sekretarz obrony właśnie się zdradził.

– Mówi o fakturach, które kazał pan sfałszować – wytłumaczyła. – Spis stanu magazynowego musi się zgadzać ze sztukami broni przywiezionymi od producenta. Jeżeli jest jej na stanie mniej, niż figuruje na fakturach, odpowiednia jednostka kontrolna będzie miała pytania. Ale jeżeli faktury zostaną sfałszowane, wtedy Brody czy ktoś inny może zmieniać przeznaczenie wielu sztuk broni, nie budząc żadnych podejrzeń, i nikt nie będzie o tym wiedział.

– To niedorzeczne – rzekł Hogarth. – Dość tego, zegnaj panie.

– Tak więc o ustalonej godzinie w nocy – kontynuowała Edith – w konkretnym magazynie broni, gdzie wartownik został opłacony, dochodzi do kradzieży. Traf chciał, że w jednym magazynie, Reddy

Creek, coś poszło nie tak. Może wartownik zachorował i zmienił go ktoś inny. Może zapomniał, że to miała być noc, kiedy zjawia się ludzie i załadują broń na ciężarówkę. W każdym razie pewien nieszczęśnik, Mike Fitz, zostaje zaskoczony i robi to, co do niego należy. Giną dwaj ludzie z tatuażami Mantis na rękach, a on zostaje potem zamordowany.

– Absurd! Nie mam ochoty wysłuchiwać tego rodzaju pomówień od osób waszego pokroju.

– Czy przez osoby „naszego pokroju” rozumie pan mnie? – spytała spokojnie Edith. – Niewidomą? Kobieta, której postanowił pan zniszczyć życie tylko dlatego, że próbowała dotrzeć do prawdy? Kobieta, która jest dziennikarką śledczą, i tak się złożyło, że miała wiele przydatnych kontaktów, między innymi Mike’a Fitz’a. Kobieta, która zdobyła oryginały faktur u producenta broni zaopatrującego Reddy Creek? Mimo pańskiej władzy i przywilejów, panie sekretarzu, nawet pan nie wie, co może panu zrobić osoba mojego pokroju.

Na twarzy Hogartha odmalował się wyraz namysłu. Zrezygnowany, pomyślała Sarah. Ugnie się.

– Czego ode mnie chcecie? – zapytał w końcu.

– Panie sekretarzu, jeżeli chce pan mieć jeszcze nadzieję na ocalenie swojej kariery politycznej, musi pan pójść z podsłuchem do Wyatta Brody’ego i skłonić go, żeby się przyznał do zamordowania kongresmena Colstona. – Sarah podniosła się i rzuciła na stół swoją wizytówkę. – Daję panu dwadzieścia cztery godziny na podjęcie decyzji. Jeżeli nie odezwie się pan do mnie w tym czasie, ujawnimy nasze informacje opinii publicznej.

Wrócił kelner ze świeżo przyrządzonym *linguine nettuno*.

– Szef zapewnia mnie, że to danie z pewnością zaspokoi pański wyrafinowany smak, panie sekretarzu – powiedział. – Mam podać coś jeszcze?

– Owszem – odrzekła Sarah, wskazując otwartą butelkę drogiego wina. – Poprosimy takie dwie. Na wynos.

ROZDZIAŁ 40

Od chwili, gdy Papa Steve ujawnił część swojego planu włamania do siedziby Mantis, Lou towarzyszył niepokój, w tym momencie jednak denerwował się jeszcze bardziej. Termin realizacji planu uległ zmianie i wszystko zostało przyspieszone o dwa dni. Przesunięcie zaskoczyło Capa; okazało się, że ma mniej czasu na odświeżenie umiejętności włamywacza.

Łamiąc własne zasady, Papa Steve zadzwonił do Lou, aby przekazać mu wiadomość.

- Ruszamy w niedzielę – oznajmił. – Nie we wtorek.
- W niedzielę? Dlaczego tak szybko?
- Nie mogę o tym mówić przez telefon. To jak, wchodzisz w to?
- Wchodzę. Wchodzę.
- A twój kumpel?
- Też. Na pewno. Po prostu nie cierpię zmian.
- Spotkajmy się na miejscu i wszystko wyjaśnię.

„Miejsce”, o którym Papa Steve zawiadomił Lou w następnej ulotce podrzuconej pod drzwi, znajdowało się trzydzieści pięć kilometrów na południowy wschód od bazy Mantis, niedaleko miasteczka Dudley. Lou i Cap czekali w lesie na poboczu drogi gruntowej zrytej koleinami, przy tablicy reklamującej krem do golenia Barbasol. Byli w niezabudowanej części miasta, gdzie panował niewielki ruch. Jasne słońce na tle bezchmurnego nieba nie zdołało ocieplić poranka.

Choć Cap miał na sobie kurtkę, polar i rękawiczki, żeby nie zmarznąć, musiał ćwiczyć swoją popisową pracę nóg.

– Bahamska krew ma wyższą temperaturę zamarzania – powiedział. – Dlaczego ten twój koleś nie umówił się z nami w jakimś motelu?

– Ma swoje dziwactwa, ostrożność na granicy paranoi.

– Świetnie. Po warunkiem że nie przekroczy tej niewidzialnej granicy.

Zgodnie z planem Lou zostawił samochód pod motelem w Dudley, w którym wynajął pokój na dwa dni, po czym razem z Capem pokonali ponad trzy kilometry do umówionego miejsca spotkania.

– Pewnie dlatego chciał, żebyśmy się ciepło ubrali – rzekł Lou.

Odsunął rękaw kurtki, aby zerknąć na zegarek z Myszka Miki. Papa Steve powinien właśnie przybyć na miejsce, ale Lou mógł się tylko domyślać, jakim środkiem transportu. Samolotem? Helikopterem? Wozem terenowym? Wokół nich rozciągały się pola, co nie wykluczało żadnej z tych możliwości.

Cap ciężko westchnął, puszczając z ust obłok pary.

– Kurczę, Welcome, nie denerwowałem się tak chyba od ostatniej zawodowej walki.

– Możemy się jeszcze wycofać – rzucił Lou. – Powiem Papie Steve’owi, że mieliśmy za mało czasu na ułożenie dokładnego planu. Słuchaj, Cap, nie chcę, żebyś przeze mnie został ranny albo żeby spotkało cię coś gorszego.

Cap tylko się zaśmiał.

– Myślisz, że po tym, co mi opowiedziałeś o swoich ostatnich odwiedzinach w bazie, pozwolę, żebyś sam narażał swój żalony biały tyłek? Z początku chciałem ci wybić z głowy tę małą eskapadę, ale wiedziałem, że nic z tego. Już postanowiłeś, a ja muszę ci zabezpieczać tyły.

– Nie ma nikogo lepszego. Jeżeli to cię pocieszy, to też się denerwuję.

Cap zastanawiał się przez chwilę.

– Nie, to mnie w ogóle nie pociesza – odparł, po czym żartobliwie klepnął przyjaciela w ramię.

– Słuchaj, ułożyłem mały plan awaryjny, tak na wszelki wypadek, gdyby coś się posypało.

Cap zadygotał z zimna i potarł dłońmi ramiona.

Lou zamierzał zdradzić mu szczegóły dodatkowego planu, lecz w tym momencie usłyszeli dudnienie silnika. Zza wzniesienia, jakieś pięćset metrów od nich, wyłoniły się światła oliwkowozielonej wojskowej ciężarówki. Plandeka z tyłu dużego samochodu łopotała na wietrze, który wiał ze stałą siłą. Minutę później wóz z jękiem hamulców zatrzymał się przy nich.

Z kabiny wyskoczył Papa Steve w kurtce obszytej futrem. Wyszczrzył zęby w uśmiechu jak szyper wyczarterowanej łodzi gotowy wyruszyć na połów tuńczyka.

– Siemasz, Cap! – rzucił, ujmując w obie ręce jego dłoń. – To dla mnie prawdziwa przyjemność i zaszczyt. W swoim czasie byłem twoim wiernym kibicem.

– Dzięki za dobre słowo. Przyjaciele doktora są moimi przyjaciółmi.

– Zanim zaczniemy... wiem, że dałem wam mniej czasu. Potrzebujecie jakichś narzędzi?

– Wziąłem swoje. Wczoraj wieczorem ćwiczyłem otwieranie zamków w naszym pokoju motelowym.

– Znam z pierwszej ręki systemy Brody'ego, Cap. Zapewniam cię, że takich zamków jak u niego nie znajdziesz w żadnym motelu.

– Mogę zrobić tylko to, co umiem, bracie.

– Warto go mieć w drużynie, doktorze.

– Co się stało? – spytał Lou. – Przecież mieliśmy to zrobić później.

– Takie jest życie w wojsku, synu – odparł Papa Steve. – Kiedy mówimy o jutrze, Bóg chichocze. Brody dał nam za dobrą okazję, żeby ją zmarnować.

– Mów.

– Nie możemy pogadać w drodze? – zaproponował Cap. – W kabinie tego zielonego gruchota masz chyba jakieś ogrzewanie, co?

– Jeżeli chodzi o ścisłość, chłopcy, to nie będziecie siedzieć w kabinie. Pojedziecie pod podwoziem, jakbyście przekraczali na dziko granicę z Meksykiem. – Papa Steve uklęknął i wskazał stalową platformę, którą umocował pod samochodem. – Wykombinowałem, jak zasłonić boki, ale zanim zamontuję zasłony, musicie wleźć na platformę.

– Chcesz, żebyśmy jechali pod tą ciężarówką ponad trzydzieści kilometrów? – zdumiał się Lou.

– Hm, prawdę mówiąc, będziecie musieli siedzieć pod wozem nieco dłużej.

– Jak długo? – spytał Cap. – Nie za dobrze znoszę ciasne miejsca. Radzę sobie, ale nie przepadam za nimi.

– Do wieczora.

– To jeszcze parę dobrych godzin! – krzyknął Lou.

– Kiedy powiedziałem „nieco”, miałem na myśli „cholernie długo”. Mam nadzieję, że posłuchaliście mojej rady i ubraliście się naprawdę ciepło. Wziąłem dla was kaski i maski tlenowe naszych spadochroniarzy. Pomogą wam oddychać w drodze.

– Nie możemy po prostu wsiąść na tył tej ciężarówki? – podsunął Cap.

Papa Steve pokręcił głową.

– Przy wjeździe do bazy, będą sprawdzać ładunek. To za duże ryzyko próbować się tam ukryć. Nie chcę też, żeby blisko Hayes ktoś

was zobaczył, jak schodzicie z paki i chowacie się pod podwoziem. Wszędzie wokół bazy są teraz oczy.

– Co wieziesz? – zapytał Cap.

– Fajerwerki. Całą masę fajerwerków. Brody kazał mi przygotować wielki pokaz jak na Czwartego Lipca. Między innymi dlatego zmieniłem plan. Tyle że dostanie coś innego, niż się spodziewa.

– Mów – poprosił Lou.

– W Mantis coś się dzieje. Zaczyna się nowa operacja. Cokolwiek to będzie, chyba jest ważne, bo Brody przynajmniej przez jakiś czas będzie z żołnierzami, którzy są do niej wyznaczeni.

– Nie znasz więcej szczegółów?

– Od paru tygodni słyszałem, jak wszędzie powtarza się słowa „operacja Pazur”. Brody katuje chłopaków z Mantis seriami męczących testów. Kilku z nich nawet zostało postrzelonych. Zagrożenia życia nie było, ale zostali ranni na torze przeszkód, który nazywamy Wielkim Bólem.

– Bo to chyba wielki ból – zauważył Cap.

– Brody już od paru tygodni przesiewał kandydatów do misji, szukając najlepszych z najlepszych w Mantis. Wybrał już cały skład i jest gotowy do drogi. Kazał mi urządzić dzisiaj wielkie pożegnanie z fajerwerkami. Robił to już przy okazji różnych misji, ale nigdy nie na taką skalę, jak teraz sobie zażyczył. W heliporcie stoją trzy śmigłowce Chinook, które dokądś ich zabiorą, pewnie do jakiegoś punktu przerzutowego. Brody chce, żeby chinooki odleciały w czerwonym blasku rac. Moim zdaniem, gość o parę razy za dużo obejrzał *Czas Apokalipsy*. Ale dlaczego mam mu odmawiać przedstawienia? Przygotował nawet muzykę i chce, żebym jak najlepiej dopasował do niej pokaz fajerwerków.

– Jak się zorientujemy, kiedy mamy się włamać do jego gabinetu? – zapytał Lou.

– Zaczekacie, aż usłyszycie uwerturę *Rok 1812*. Znacnie ten kawałek?

– Ja znam – rzekł Cap.

– Świetnie. Kiedy go usłyszycie, biegniecie do gabinetu, nie włączając żadnych alarmów, włamujecie się i robicie swoje. Możecie mi wierzyć, że nikt nie będzie patrzył. Dzięki mnie będą mieli inne kłopoty. Jesteście pewni, że dacie radę, chłopaki?

Lou patrzył na niego.

– Uwertura *Rok 1812*? Żartujesz sobie ze mnie? – zapytał.

– Co? Co?

– Albo to jest bardzo dobry znak, albo bardzo zły – odparł Lou. – Posłuchaj. Na pierwszym roku college’u mieszkałem z niejakim Bobem, którego w kampusie nazywano Doktor Strange, jak tego superbohatera z komiksów. Wszystko, co robił, było, oględnie mówiąc, mało normalne. Miał pieniądze, masę pieniędzy, i był właścicielem najbardziej niesamowitego i drogiego zestawu stereo, jaki w życiu widziałem. Banga i Olufsena.

– No i co? – spytał Cap.

– No i nie uwierzycie, ale miał dwie płyty, tylko dwie. *Szeherezadę* Rimskiego-Korsakowa i uwerturę *Rok 1812*. W zależności od nastroju puszczał jedną albo drugą przez cały dzień, codziennie. Próbowałem przenieść się do innego pokoju. Próbowałem mu przemówić do rozsądku. Przeniosłem nawet swoje łóżko z sypialni do salonu. Wszystko na nic. Aż do dnia, kiedy mi zapłacił.

– Co takiego?

– Miałem stypendium, a on dał mi jakieś tysiąc pięćset dolców, żebym się od niego odczepił i pozwolił mu słuchać płyt, kiedy będzie miał na to ochotę.

– Wziąłeś tę kasę?

– Oczywiście, że wziąłem. To było tylko na rok. Powoli przyzwyczałem się do tej muzyki. Nie tylko przestała mi przeszkadzać, ale nawet, kiedy go nie było, sam ją sobie włączałem. Znam prawie każdą nutę uwertury *Rok 1812* i dokładnie wiem, kiedy zaczynają się różne części.

– To za dużo – orzekł Papa Steve. – W takim razie niech duch Doktora Strange’a będzie dzisiaj z tobą.

– Amen – dorzucił Cap. – Nie uwierzycie, ale przez całe lata, kiedy trenowałem, słuchałem tematu z *Rocky’ego*. Ale czasem...

– Tylko mi nie mów, że uwertury *Rok 1812*.

– Trafiłeś, Papo.

– No dobra. Doktorze, jesteś zwarty i gotowy?

– Jeszcze nie – odrzekł Lou.

– Na co mamy czekać? Za godzinę muszę być w bazie.

– Nie zjawiał się jeszcze mój plan awaryjny.

Papa Steve spiorunował go wzrokiem.

– Plan awaryjny? Co za...

W tym momencie w oddali pojawił się jadący w ich stronę radiowóz z włączonymi światłami; zatrzymał się tuż za ciężarówką.

– Nie odzywajcie się, sam będę mówił – polecił Papa Steve.

– Nie ma obawy – uspokoił go Lou. – Ja się tym zajmę.

Z radiowozu wysiadła Judy Lemon, prezentując się doskonale w dopasowanym mundurze policji stanowej, i zbliżyła się do nich, dumnie kołysząc biodrami, które przykuły wzrok Capa i Papy Steve’a. Podeszła prosto do Lou i zdjęła lustrzane okulary.

– Powinnam cię aresztować za utrudnianie wyjścia na kolację – oznajmiła karcącym tonem, grożąc mu palcem.

– Słowo honoru lekarza, że zaproszę cię na ten stek – obiecał Lou, unosząc dłoń jak do przysięgi.

– Akurat honoru od ciebie nie oczekuję, doktorze – powiedziała Lemon.

Lou przełknął ślinę na widok jej prowokującego uśmiechu.

– Chłopaki, to funkcjonariuszka Judy Lemon alias nasze wsparcie.

Papa Steve posłał mu gniewne spojrzenie.

– Nie mówiłem nic, że potrzebujemy jakiegoś planu awaryjnego! Lou, co jej powiedziałaś?

– Niewiele – bąknął Lou. – Tylko...

– Nie ma obaw – wtrąciła się Lemon. – Przymyślałam oczy na znacznie gorsze rzeczy niż włamanie do bazy wojskowej i kradzież pistoletu.

– Dobrze wiedzieć – ucieszył się nieszczercze Papa Steve.

– Poza tym Brody od tak dawna dopieka stanowej, że bardzo chętnie dopiekę mu w rewanżu. Zatrzymaliśmy tylu pijanych żołnierzy Mantis za kierownicą, że nie zmieściliby się w całej komendzie stanowej, ale czy któryś z nich stanął przed sądem albo choćby stracił prawo jazdy? Nie wiem, kogo przekupuje czy szantażuje Brody, ale z wielką przyjemnością nagnę prawo, żeby dobrać się do skóry tym draniom.

Papa Steve wcale nie wyglądał na przekonanego.

– Lou, to nie jest żaden prosty włam. W bazie jest masa niebezpiecznych facetów uzbrojonych w niebezpieczne karabiny. Nie rozumiem, jak policja mogłaby nam pomóc. Bez obrazu.

– Nie obrażam się, słoneczko – odparła Lemon. – A jeżeli Lou nie chce mnie zaprosić na kolację, to ty mógłbyś go zastąpić. Tymczasem Lou wie, jak się ze mną skontaktować, a ja wiem, jak wam pomóc, gdyby tych niebezpiecznych facetów z niebezpiecznymi karabinami nagle zaswędziały palce na spustach.

– Nie chodzi o to, że nie wierzę w twój plan, Papo Steve – włączył się Lou – ale mam dziecko, które potrzebuje ojca.

Papa Steve podparł się pod boki. Miał minę człowieka, który jest gotowy lada chwila odwołać całą akcję. Utkwił jednak w Lou znaczące spojrzenie.

– Dobra, wystarczy – uciął. – Mamy wsparcie. Lou zadzwoni w razie potrzeby, ale potrzeby nie będzie.

– Cieszę się, że potrafisz na to popatrzeć z mojej strony.

– Nie powiedziałem, że potrafię popatrzeć z twojej strony. No, szykujcie się. Pod ciężarówką będzie zimno.

– Postaram się być jak najbliżej bazy, ale nie zwracać na siebie za bardzo uwagi – obiecała Lemon.

Lou i Cap założyli hełmy i maski, wzięli przenośne butle tlenowe, wleźli pod samochód i wczołgali się na środek zimnej stalowej platformy. Leżąc na brzuchu z głową na cieniutkich jak papier poduszkach, mieli dość miejsca, aby móc się wiercić, ale niewiele więcej.

Papa Steve zawiesił metalowe boczne płyty na hakach, które przyspawał do podwozia ciężarówki, i stalowy kokon został zamknięty. Po chwili radiowóz odjechał. Potem zadudnił silnik, ociężały wóz stęknął, zachwiał się i ruszył naprzód.

Następny przystanek – Mantis.

ROZDZIAŁ 41

Lou nie miał pojęcia, jak długo jechali w stalowej skrzynce. Kiedy człowiek zostaje zamknięty w zupełnych ciemnościach, wkrótce traci poczucie czasu. Piętnaście minut? Pięćdziesiąt? Zorientował się tylko, że ciężarówka nagle się zatrzymała i od jakiegoś czasu już stała. Pewnie dotarli do wartowni przy bramie.

Podróż z Dudley do Hayes nie przebiegła spokojnie, całą drogę trzęsło i Lou i Cap obijali się o siebie jak pasażerowie drewnianej kolejki górskiej. Lou miał zeszywniałe ręce i nogi, a w każdym punkcie, w którym jego ciało stykało się ze stalą, pulsował niewyobrażalny ból. Dwa razy chwycił go skurcz w stopie, ale nie mając miejsca, by ją rozmasować, musiał zacisnąć zęby i cierpieć. Dopóki ciężarówka jechała, mógł krzyczeć, ale ponieważ stali, tylko przygryzał wargi i czekał. Palce u rąk i stóp miał zdrętwiałe z zimna. Wibracje pracującego na wolnych obrotach silnika działały na niego jak elektrowstrząsy.

Myślał jednak przede wszystkim o swoim trenerze boksu i patronie ze wspólnoty AA, skulonym obok niego i trącającym go jak miękki taran. Być może to za dużo powiedziane, że Cap ocalił mu życie, ale nie było w tym żadnej przesady. Lou żałował, że w ogóle przyszło mu do głowy, aby brać go na tę wyprawę. Przysunął się bliżej Capa i poczuł, że przyjaciel drży.

- Nic ci nie jest? – szepnął, zsuwając na bok maskę.
- Bywało lepiej, bywało gorzej – odrzekł Cap.

- Przepraszam, że cię w to wrobiłem, stary.
- Daj spokój. Nikt za mnie nie decyduje.

Usłyszeli chrzęst kroków na twardej zmrożonej ziemi. Lou przemieścił ciało na bok platformy, licząc na to, że usłyszy choć strzępy rozmowy.

Rzeczywiście dobiegł go autorytatywny głos Papy Steve'a, który zagadnął wartowników bazy Mantis:

- Siemacie, panowie oficerowie! Dzieńdoberek!
- Dzisiaj sprawdzamy dokumenty, Papo Steve. Rozkaz dowódcy.
- Brody żąda, Brody dostaje. Trzymaj, Chuckie.
- Co jest w wozie?
- Fajerwerki na dzisiejszy wielki pokaz.
- Musimy przeszukać pakę.
- Uu, Miasto Paranoi. Tylko szybko. Muszę przygotować swoją wersję Wielkiego Wybuchu dla Mantis.
- Nie mogę się doczekać.

Lou wstrzymał oddech. Jeśli słuch go nie mylił, na platformę ciężarówki, kilka centymetrów nad nim i Capem, weszło co najmniej dwóch żołnierzy i przystąpiło do dokładnego przeszukiwania ładunku. Chyba nawet otwierali niektóre skrzynie.

Zgadza się – Miasto Paranoi.

- Możesz jechać, Papo Steve! – zawołał jeden z wartowników.

Papavassiliou wrzucił bieg i ciężarówka szarpnęła. Lou jęknął i poruszył nogami, błagając swoje mięśnie o jeszcze odrobinę wyrozumiałości. Kilka minut później znów się zatrzymali. Otworzyły się drzwi od strony kierowcy, a potem zatrzasnęły. Tylna kłapa została opuszczona.

- Może to już – szepnął Lou.
- Gdybym następnym razem narzekał, że trening jest za ciężki, przypomnij mi o tej przejażdżce.

– Ty mi też, chłopie.

Zza metalowych płyt usłyszeli z bliska donośny szept Papy Steve'a:

– Lou, Cap, wszystko u was w porządku, chłopaki? Stuknijcie w płytę raz na tak, dwa razy na nie. Tu jest bezpiecznie.

Lou uderzył w metal, powstrzymując chęć, by załomotać jeszcze parę razy.

– Dobra. Teraz siedźcie cicho. Jeszcze tylko góra dwie godzinki. Widowisko zacznie się od paru krótkich przemówień wygłaszanych przez dość mocne głośniki, potem zagrają dwa marsze ze sztucznymi ogniami. Na koniec będzie uwertura *Rok 1812*, przy salwach z haubic i takiej masie fajerwerków, że się we łbie nie mieści, plus trochę poważnych wybuchów, żeby ich bardziej zainteresować. Jak tylko usłyszycie *1812*, idźcie do gabinetu Brody'ego. Lepiej, żebyście zdążyli wrócić do ciężarówki, zanim zaczną wylatywać w powietrze różne rzeczy. Odbezpieczyłem tylną osłonę, więc dacie radę ją wypchnąć. Ale słuchajcie uważnie. Najważniejsze jest zgranie wszystkiego w czasie. Jeśli dobrze pójdzie, będziemy mogli wyjechać z bazy bez większych kłopotów. Puknijcie raz, jeżeli wszystko jest jasne.

Lou stuknął w metal.

– Trzymajcie się, chłopaki.

Poczuł lekkie stuknięcie w nogę.

– Ciekawe, czego się mamy trzymać – szepnął Cap.

Po mniej więcej dziesięciu minutach, jak przypuszczał Lou, usłyszeli zbliżające się kroki. A potem głos:

– Hej, Papo Steve, jak tam?

Brody!

– Zaraz będę gotowy do wyładunku – rzekł Papa Steve. – Chyba będzie pan zadowolony z mojego wyboru, pułkownika.

– Masz tego tyle, żeby zrobić prawdziwe widowisko?

– Mam skrzynki petard, flary, moździerze, rakiety, wyrzutnie. Będzie widowisko na sto dwa.

– Dobrze – ucieszył się Brody. – Ci ludzie jadą na bardzo niebezpieczną misję. Zaslужują na odpowiednie pożegnanie.

Znów rozległy się kroki.

– Cześć, Papo Steve.

– Major Coon, witam.

Lou nie znał tego nowego głosu.

– Wszystko gotowe do wielkiego pożegnania?

– Zespół jest gotowy do rozładowania ciężarówki i rozmieszczenia sprzętu na platformie. Potem wszystko podłączę i łubu-du. Czwarty Lipca w grudniu. A jak obsługa haubic? Gotowa?

– Już się nie może doczekać – odparł Coon. – Przepraszam, pułkowniku, ale chciałbym zamienić dwa słowa.

– Papo Steve, daj nam pięć minut, a potem przyprowadź swoich ludzi, żeby pomogli wylądować te skrzynie – powiedział Brody.

– Tak jest.

Rozległy się kroki, prawdopodobnie oddalającego się Papy Steve’a, a potem na minutę zapadła cisza.

– No dobra – odezwał się wreszcie Brody. – O co chodzi, Charlie?

– Chciałem tylko panu powiedzieć, że postanowiłem osobiście zawiadomić rodziny.

– Wszystkie?

– Uważam, że tak będzie lepiej.

– Pewnie będę ci towarzyszył przy paru takich wizytach. Jaka jest ostateczna wersja?

– Tak jak uzgodniliśmy. Katastrofa helikoptera w drodze powrotnej, po przeprowadzeniu likwidacji i odwrocie oddziału. To najbardziej wiarygodny sposób wytłumaczenia, dlaczego naraz zginęło dwudziestu żołnierzy.

– Brzmi sensownie – usłyszał Lou głos Brody’ego. – To kamień milowy w ewolucji nowej wojny, Charlie. Już za długo szanse w tej walce są nierówne. Nasza technika to tylko dowód na to, że mamy więcej pieniędzy, ale zdecydowania nam brakuje. Z operacją Pazur wszystko się jednak zmieni. Terrorysty na całym świecie wkrótce się dowiedzą, że na każde działanie Amerykanie są gotowi odpowiedzieć taką samą taktyką, jaka została użyta przeciwko nim, nie wyłączając zasady „życie za życie”.

– Dobrze pan robi, pułkowniku. Z czasem to położy kres terroryzmowi i zmieni bieg wojny. Najważniejsze, że ukaże naszą determinację w nowym świetle. Te pasożyty nauczą się nie tylko nas szanować, ale, co ważniejsze, nauczą się nas bać. Właśnie wyszedłem od żołnierzy. Są gotowi, pułkowniku. Chciałem też pana zawiadomić, że przenieśliśmy miejsce startu z lądowiska w Langley do Dover, zgodnie z pana sugestią.

– Lepiej w Dover – rzekł Brody. – Mają rozsądniejszą ochronę, a wolę, żeby o naszej akcji wiedziało jak najmniej osób.

– Rozumiem i zgadzam się.

– Chodźmy się przygotować, przyjacielu.

– Tak jest.

Kroki... Brody i Coon odeszli.

Lou poczuł bolesne ścisnięcie żołądka. To, co widział w lesie, śledząc Brody’ego, to, czego dowiedział się od Papy Steve’a, i to, co przed chwilą usłyszeli, składało się w naprawdę przerażający scenariusz. Operacja Pazur miała być masową misją samobójczą. Dwudziestu żołnierzy, napompowanych rubinowym napojem Brody’ego, gotowych bez lęku zginąć gwałtowną śmiercią za swój kraj. Choć Lou nie znał obiektów ataku ani innych szczegółów, cel misji był jasny i nikczemny. Leżąc w ciemności obok przyjaciela, przypomniał

sobie, z jaką swobodą Pedro, człowiek z kartelu, wsunął sobie do ust lufę częściowo załadowanego rewolweru i nacisnął spust.

Trzask!

Bezprzykładne bohaterstwo Marka Colstona, zaskakujące nawet dla jego ojca, teraz zaczynało mieć sens. Rozwiązanie tej zagadki przez Eliasa Colstona było najwyraźniej tylko kwestią czasu. Chory umysł megalomana Wyatta Brody'ego dopuszczał tylko jedno wyjście – ten człowiek musiał zginąć.

Pojawił się jednak nowy problem.

Teraz Lou nie tylko musiał udowodnić, że Brody zabił Eliasa Colstona, lecz miał także w ręku los co najmniej dwudziestu odważnych i w gruncie rzeczy niewinnych ludzi, których życie miało niebawem zostać złożone na ołtarzu operacji Pazur.

Kiedy uznał, że można się już bezpiecznie odezwać, zapytał:

– Cap, wiesz, co oznaczała ta rozmowa?

– Wiem, że umieram, Welcome. Nogi i ręce zupełnie mi zdrętwiały i cholernie mi zimno.

Lou czuł, że Cap dygocze. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że też się trzęsie.

– Nie możemy się już wycofać, Cap.

– Tak tylko gadam, przystojniaczku. Żeby nie myśleć o własnym nieszczęściu. Zdaje się, że twój kumpel Brody niczym się nie przejmuje i idzie po trupach.

– To szalenie. Kompletnie upojony władzą i swoim wypaczonym pojęciem patriotyzmu. Jeżeli nie zostanie powstrzymany, zginie masa ludzi.

Znów zapadła cisza i sekunda wlokła się za sekundą. Lou przypuszczał, że zrobiło się już ciemno – bardziej sobie tego życzył, niż wiedział. Godziny czekania na stalowej platformie miały swoje poważne skutki fizyczne i emocjonalne. Papa Steve już dawno wrócił

z grupą żołnierzy Mantis i wyładował skrzynie fajerwerków. Chwila rozpoczęcia akcji musiała być blisko.

– Nie dam rady, Cap. Nie wytrzymam już ani...

– Panowie, mówi wasz dowódca – huknął z gigantycznych głośników głos Brody’ego, przerywając Lou w pół słowa. – Dziś chcemy uhonorować ludzi, którzy będą reprezentować Mantis w najważniejszej misji od sformowania naszej młodej jednostki. Od początku swojego istnienia kompania Mantis ucieleśniała cnoty prawdziwego żołnierza. Złożmy razem przysięgę wierności tym cnotom.

– Kolor naszego napoju to kolor odwagi – zaczęło skandować zgodnym chórem siedemset głosów. – Kolor krwi przelanej w boju, kolor ognia płonącego w imię wolności. Za naszą misję. Za męstwo. Za sprawiedliwość. Za nasz kraj. Za Boga. Za Mantis... Gotowi na wszystko!

Lou poczuł nagły przyływ adrenaliny i miał wrażenie, że leżący obok Cap zareagował tak samo. Trzeba było za wszelką cenę nie dopuścić, aby ci ludzie złożyli siebie w ofierze.

– W pojedynkę jesteście silni – ciągnął Brody. – Razem jesteście niepokonani. Uczcijmy ludzi, którzy przeżyją najbardziej niebezpieczne i najtrudniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek miała zaszczyt wykonać Mantis, ludzi wyruszających na operację Pazur. Każdy, kogo nazwisko wyczytam, ma wsiąść do jednej z dwóch ciężarówek, które zawiozą was do heliportu. Starszy sierżant Bucky Townsend, Muskogee, Oklahoma... kapral Luis Sanchez, Vicksburg, Missisipi...

Po każdym nazwisku wybuchały coraz bardziej entuzjastyczne owacje. Kiedy lista dobiegła końca, z głośników gruchnęła marsz Sousy *Stars and Stripes Forever*, przy akompaniamencie huku sztucznych ogni i dudnienia silników ciężarówek.

Potem zabrzmiał jeszcze jeden marsz przy wtórze fajerwerków. A później w potężnych głośnikach rozległ się początek uwertury *Rok 1812*.

Wszystko miało się odbyć zgodnie z zaleceniami pułkownika – trzy wielkie śmigłowce Chinook wzniosą się jednocześnie wśród wybuchów sztucznych ogni i huku słynnego utworu Czajkowskiego. Pod osłoną zgiełku Lou przeciągnął się i obrócił na bok, wyobrażając sobie, co będzie przeżywał Wyatt Brody, podczas gdy z jego fantastycznej kolekcji broni zniknie pistolet, który pomoże prokuratorom zamknąć go w celi śmierci.

Wokół nich rozbrzmiały majestatyczne dźwięki smyczków, z początku wolne i czyste.

Muzyka, dla której warto umrzeć, pomyślał Lou.

– Przygotuj się, stary – powiedział, nie zniżając już głosu do szeptu.
– Wchodzimy.

ROZDZIAŁ 42

Lou i Cap wparli się obcasami w tylną osłonę swojego więzienia i poczuli, że płyta odpada. Wylądowała ze stłumionym, ale przyjemnym dla ucha łoskotem. Wyczołgali się tyłem i stanęli skuleni na ziemi za ciężarówką. Płuca wypełniło im zimne powietrze. W odległości nie większej niż piętnaście metrów stał zamontowany na wysokim słupie wielki głośnik, z którego dobiegał subtelny smyczkowy początek uwertury *Rok 1812*. Cap wyprostował się, jęcząc i przeklinając swoje stawy.

Spoglądając w lewo, Lou ujrzał znajomy widok. Ciężarówka stała zaparkowana na dziedzińcu przed siedzibą Brody'ego i dwoma mniejszymi budynkami. Feeria sztucznych ogni zmieniła ciemną bezksiężycową noc w ogród fantazji. Od eksplozji towarzyszących pokazowi drżała ziemia.

Jeśli nie liczyć muzyki, w centrum bazy, które wydawało się zupełnie puste, panowała upiorna cisza. Okna w trzech budynkach i pobliskich koszarach były ciemne. W zasięgu wzroku Lou nie było żadnych wartowników. Papa Steve wspominał, że ceremonia ma się odbyć trochę dalej, w miejscu zbiórki przed odlotem. Przyspieszenie akcji okazało się sprytnym posunięciem. Nie było chyba lepszej chwili do spenetrowania świata Wyatta Brody'ego.

Zsunąwszy się z platformy, Cap wyciągnął mały plecak, który miał wciśnięty pod głowę. Kawałek sznurka, mocna latarka, skórzana torba z narzędziami, latarki czołowa, stetoskop, nóż myśliwski i pistolet.

– Przepraszam, to nie w moim stylu – rzekł Lou, gdy przyjaciel podał mu podobną broń.

– Kocham naszych żołnierzy – odparł Cap. – Kocham ich, szanuję i jestem im wdzięczny. Ale jeżeli ta Gwardia Pałacowa jest taka, jak mówisz, to nie dam się wziąć żywcem.

KOMPANIA MANTIS GOTOWI NA WSZYSTKO

Tablica wyglądała tak samo, jak Lou zapamiętał ją z pierwszego koszmarne go pobytu w bazie. Brody na swój przewrotny sposób miał rację, przemawiając do swojego wojska. To rzeczywiście było więcej niż motto... Dla dwudziestu żołnierzy ruszających na operację Pazur to był wyrok śmierci.

Lou klepnął Capa w ramię i wskazał budynek, który ich interesował. Bokser rozejrzał się, skinął głową i zaskakująco zwinnie pomknął przez utwardzony dziedziniec do biura Brody'ego. Bez przeszkód dotarł do drzwi i dał znak Lou, aby do niego dołączył. Pochylając się jak najniżej, Lou ruszył ciężkim krokiem przez otwarty plac, tracąc wszystkie punkty za styl, które przed chwilą zdobył Cap. Jego nogi wciąż były sztywne i słabe, raz nawet się potknął. Łapiąc oddech, dotarł do kilku stopni prowadzących na werandę i przywarł plecami do wspornika obok Capa.

W ogromnych głośnikach rozbrzmiał pierwszy łącznik uwertury *Rok 1812*, seria chromatycznych pasaży – obraz niepokoju Rosjan oczekujących bitwy. Muzyka, której towarzyszył huk wybuchających niżej fajerwerków, wiernie odzwierciedlała coraz większe zniecierpliwienie i pośpiech Lou. Przelotnie ujrzał w pamięci luksusowe stereo swojego ultraekscentrycznego współlokatora z pierwszego roku college'u.

Ustawił zegarek i uruchomił odliczanie.

– Mamy jedenaście minut do kanonady – powiedział.

Cap obrzucił go spojrzeniem.

– Naprawdę znasz *Rok 1812* aż tak dobrze?

– Kiedyś, gdy to wszystko zostanie już daleko za nami, zagram ci to na kazoo. Dalej, stary, pora zabierać się do roboty.

Wspięli się po drewnianych schodkach do drzwi wejściowych. Z systemu nagłaśniającego dobiegł właśnie początek walki smyczków z instrumentami dętymi. Zagrożenie... obawa... narastająca panika... determinacja. Wojna.

Cap włączył latarkę czołową i wyciągnął z plecaka zestaw wytrychów.

– Rygiel – orzekł, oglądając drzwi. – Trudniejszy, niż się wydaje na pierwszy rzut oka, ale diament powinien sobie poradzić z tym maleństwem. – Wyciągnął długi srebrny pręt z małym zagięciem na końcu.

– Skąd to masz? – spytał szeptem Lou.

– Z internetu. Gdzie się dzisiaj kupuje? Jakiś rok temu nie mogłem znaleźć swojego starego zestawu, więc wszedłem na lockpicktools.com.

Fajerwerki przybrały na sile w momencie, gdy rogi zaczęły gromki motyw *Marsylianki*. Trwał francuski kontratak.

– Artysta potrzebuje spokoju – rzekł Cap, cofając się o krok i wskazując na eksplozje i błyski. – Poważnie, szefie. Nie panikuj. Wchodzimy.

Lou przekręcił gałkę i drzwi gładko się otworzyły.

– Ty skurczybyku – mruknął.

Marsylianka sięgnęła zenitu. Losy bitwy się odwróciły. Przyjaciele podbiegli do żaluzjowych drewnianych drzwi gabinetu Wyatta

Brody'ego. Na zewnątrz smyczki coraz ciszej grały spokojną, romantyczną melodię.

– Jakieś siedem minut – oznajmił Lou.

Widok surowego wnętrza wywołał nieprzyjemne wspomnienia. Gdyby nie Papa Steve, Lou spędziłby w nim swoje ostatnie dziesięć minut życia. Podeszli prosto do gabloty w małym pokoiku za biurkiem Brody'ego. Papa Steve miał dokładne informacje – wypolerowany stary wojskowy pistolet Colta był w samym środku gabloty, właśnie tak jak przypuszczał. Lufa broni pozostawiała na każdym wystrzelonym pocisku ślad sześciu lewoskrętnych bruzd gwintu.

Z oddali dobiegały przyciszone dźwięki zbliżającego się zwycięstwa. Karta znów się odwróciła. Rozpoczęło się dorzynanie wroga.

– Dobra, pora otwierać. – Lou spojrział na zegarek. – Za chwilę zostanie nam pięć minut.

Cap przez moment oceniał sytuację – jak rzeźbiarz patrzący na blok marmuru przed uderzeniem młotka w dłuto.

– Założyli w gablocie alarm z czujnikami zbitcia szyb, jakby się spodziewali, że złodziej ją roztrzaska, ale zamkiem nie bardzo się przejmowali. Yale. Trudny, ale do zrobienia.

Cap zręcznie wsunął do zamka następne długie, haczykowato zakończone narzędzie. Jego zwalista muskularna sylwetka boksera, który poturbował na ringu dziesiątki przeciwników, wydawała się zupełnie spokojna i rozluźniona. Spędziwszy wiele lat na zszywaniu ran twarzy i ścięgien, Lou doskonale rozumiał tę absolutną koncentrację.

– Bębenek ma skośne krawędzie – rzekł Cap, mówiąc bardziej do siebie niż do Lou. – A końcówki dolnych bolców są zaokrąglone. Muszę jeszcze trochę pogmerać, bo górne zastawki są pod kątem. Nie

obrócę bębenka, jeżeli górny bolec zahaczy o skos. Powinno łatwo pójść.

Muzyka na zewnątrz przybierała na sile – szalone pasaż smyczków, huk czyneli, ryk waltorni grających francuski hymn, łomot kotłów zapowiadający kanonadę. Potem przedostatnia część – sielskie melodie, śmiertelne zmęczenie wojska. Lou przypuszczał, że mają cztery minuty na otwarciu gabloty, wyjęcie pistoletu i powrót do ciężarówki.

– Niech to szlag! Bolce są ustawione, ale zamek się nie otwiera – mruknął Cap. – Nie będę tak mocno obracał i poskrobie jeszcze bolce. Tylko tyle mogę zrobić.

– Jeszcze dwie minuty, a będziemy musieli rozwalić gablotę, wszystko jedno, czy alarm się włączy, czy nie – uprzedził Lou.

Kręcił się nerwowo, obserwując przyjaciela przy pracy. Muzyka na zewnątrz znów potężniała. Od huku fajerwerków dygotały szyby w gablotach. Zbliżał się finał. W momencie gdy odezwały się dzwony, zamek puścił z miłym dla ucha trzaskiem i gablotą stała otworem. Colt nie był przymocowany do aksamitnej podkładki, tylko zawieszony na dwóch hakach. Cap zdjął go i wsunął do plecaka razem z narzędziami.

– Musimy uciekać, Cap! Wiej!

Lou wziął jakiś pistolet z dolnego rzędu, żeby zapełnić puste miejsce po colcie, następnie starannie zamknął gablotę i ruszył za Capem na werandę. Dotarli na dziedziniec równo z początkiem dramatycznej kulminacji uwertury. W głośnikach zagrzemiała sekcja blaszanych instrumentów dętych powtarzająca poprzednie tematy. Zakołysały się gałęzie drzew, gdy dołączyły się smyczki, flety, klarnety, oboje, fagoty i rożki, grając swoją wersję hymnu *Boże, chroń cara*.

Sztuczne ognie przycichały. W oddali po lewej Lou ujrzał światła trzech helikopterów, które wolno i majestatycznie wznosiły się

w zasnuć dymem niebo. W momencie gdy śmigłowce się poderwały, rozpoczęła się kanonada. Finał. Lou poczuł, jak jego ciałem wstrząsa fala uderzeniowa od grzmotu haubic, od której omal nie wypadły mu plomby. Na niebie wykwitły ogromne rozety – czerwone, fioletowe i niebieskie. Na moment Lou znów znalazł się w swoim pokoju w akademiku, przygotowując się psychicznie z Doktorem Strange'em do egzaminów.

Zobaczył stojącego obok ciężarówki Papę Steve'a, który gorączkowo dawał im znaki, aby się pośpieszyli. Trzymał coś w lewej ręce.

Lou nie miał wątpliwości, że to zdalny detonator.

ROZDZIAŁ 43

Idąc ramię w ramię, Lou i Cap zdążyli zrobić trzy kroki w kierunku Papy Steve'a, gdy z budynku po lewej wyszedł wartownik Mantis.

– Stać, bo strzelam!

Lou gwałtownym ruchem obrócił się w stronę, z której dobiegł głos, i padł twarzą na ubitą ziemię. W tle wciąż rozbrzmiewała kulminacyjna część uwertury i w głośnikach huczały salwy artyleryjskie, jak gdyby baza była obleżona.

A ułamek sekundy później rzeczywistość była.

Wojskowe pojazdy zaparkowane wzdłuż drogi zaczęły jeden po drugim wybuchać. W ciemne niebo strzeliły jasnopomarańczowe płomienie. Prysnęło tłuczone szkło i we wszystkie strony posypał się grad ostrych odłamków. Wyrzucone w powietrze ciężarówki i terenówki lądowały z przeraźliwym zgrzytem miażdżonego metalu. Dwie mniejsze eksplozje bluznęły wysoko w niebo mieszaniną ziemi i kamieni.

Papa Steve albo będzie się musiał gęsto tłumaczyć, albo zamierzał przed powrotem dowódcy samowolnie oddalić się z jednostki.

– Powiedziałem, stać! – krzyknął wartownik.

Trzasnęła seria z broni maszynowej. Pociski zaryły się w ziemię tuż przy stopach Lou. Jak oszalały próbował szukać schronienia, ale Cap miał inny pomysł. Obrócił się na plecy, a potem znów na brzuch. Przy drugim obrocie miał już w dłoni pistolet. Padł strzał, żołnierz krzyknął, rzucił broń i upadł, trzymając się za ramię.

- Niezły strzał! – zawołał Lou.
- Akurat, niezły! Celowałem w nogę!
- Do wozu! – wrzeszczał Papa Steve.

Z pistoletem w ręku starał się osłaniać ich ogniem, strzelając na oślep. W różnych miejscach lasu wciąż dochodziło do małych eksplozji. Zakładając, że celem Papy Steve'a było wywołanie chaosu i strachu, okazał się prawdziwym Picassem zniszczenia. Lou i Cap poderwali się z ziemi i pochyleni biegli zygzakiem po dziedzińcu. Obok rannego żołnierza zmaterializowało się kilku strażników. Kule świsnęły koło głowy Lou w chwili, gdy skręcał w stronę ciężarówki. Gdyby się potknął, już by nie żył. Po prostu nie żył.

Sytuacja była surrealistyczna. Lou znalazł się w bazie wojskowej w wiejskiej części Wirginii Zachodniej, bez broni, w środku strzelaniny ze świetnie wyszkolonymi żołnierzami, patologicznie gotowymi na śmierć w obronie swojego świata. W Arlington Emily pewnie była teraz w swoim pokoju i słuchała muzyki, szykując się do pójścia spać, zupełnie nieświadoma okropności rozgrywających się w miejscu oddalonym o trzy godziny drogi na zachód. Następny pocisk trafił w ziemię całkiem blisko niego. Lou powstrzymał chęć, by paść. Nie miał gdzie się ukryć i zanimby zdążył wziąć następny oddech, zostałby zastrzelony. Cap w biegu strzelał przez ramię, od czasu do czasu wlokąc po ziemi plecak z cenną zawartością. Papa Steve nadal strzelał, ale odpowiedzią na każdą serię był grad kul.

Gdy Lou w końcu dopadł ciężarówki, usłyszał wyraźny grzechot pocisków o metal. Potem kule zadudniły o gumę i rozległ się głośny świst. Z lewej opony błyskawicznie zeszło powietrze. Chwilę później siadła też prawa.

Lou w pełnym pędzie pokonał ostatni odcinek i dobiegł do drzwi kabiny od strony pasażera. Cap deptał mu po piętach. Wdrapali się do środka, a Papa Steve strzelił ostatni raz i wskoczył za kierownicę.

Mimo dramatycznej sytuacji sprawiał wrażenie, jakby był w wyśmienitym nastroju – niczym kowboj, który właśnie dosiada ważącego tonę narowistego byka.

– Macie pistolet? – zapytał, gdy ciężarówka szarpnęła do przodu i ruszyła.

Lou skinął głową, dysząc ciężko.

– Jak się stąd wydostaniemy na dwóch kapciach?

Papa Steve, którego śniade kostki zbieleły od ściskania kierownicy, obrzucił go przelotnym spojrzeniem.

– Myślałem, że to ty miałeś seksowny blond plan awaryjny.

– Jedźmy na wartownię. Po drodze zadzwonię. Możesz trochę rozpędzić tego grata?

– Dopóki on się nie zorientuje, że jedzie na dwóch kapciach.

Lou zapisał numer Judy Lemon tak, że mógł skorzystać z szybkiego wybierania. Uwertura *Rok 1812* już się skończyła, a dym po fajerwerkach powoli się rozwiewał. Wybuchy przygotowane przez Papę Steve'a także cichły. Z lasu wyłaniali się oszołomieni żołnierze z bronią w pogotowiu, próbując się zorientować, co się stało i do kogo strzelać.

Ciężarówka z rykiem silnika toczyła się naprzód, wzbijając pióropusze ziemi i kurzu, a co parę metrów Lou miał wrażenie, że lada moment rozsypie się skrzynia biegów.

– Doktor Lou?! To ty?! – zatrzeszczał w telefonie ledwie słyszalny głos Judy Lemon. Od czasu do czasu znów padały strzały i parę kul trafiło w ciężarówkę.

– Judy, słyszysz mnie? – Lou nie miał pojęcia, czy odpowiedziała. – Judy! – krzyknął. – Czekaj na nas przy bramie! Przy bramie!

Wóz zwalniał ze zgrzytem silnika.

– To niedaleko! – zawołał Papa Steve. – Może trzeba będzie pobiec.

Lou dojrzał przed sobą koniec drogi i wartownię. Ciężarówka dogorywała, wydając przedostatnie tchnienie. Papa Steve wcisnął przycisk w detonatorze i wojskowa terenówka stojąca po prawej, mniej więcej sześć metrów od Capa, została rozerwana z potężnym hukiem, a w górę strzeliły płomienie i słup dymu.

– Jezu! – wrzasnął Cap, uchylając się przed podmuchem.

– Zupełnie o tym zapomniałem, dopóki nie zobaczyłem tego jeepa – oznajmił Papa Steve, śmiejąc się, gdy piach i kamienie zabębniły o dach kabiny. – Wóz zdechł. Do broni! Trzeba dobiec do bramy. Lou, gdzie to nasze wsparcie?

Jak na komendę w oddali zamigotały niebieskie i czerwone światła. Dzięki nocnemu zamętowi wywołanemu przez Papę Steve'a brama wjazdowa do bazy Mantis pozostała bez nadzoru.

Po krótkim sprincie, podczas którego Papa Steve bez trudu dotrzymywał im kroku, Cap otworzył bramę, aby wpuścić radiowóz Judy Lemon.

Otworzyło się okno od strony pasażera, przez które wychyliła się policjantka. Schowała włosy pod kapeluszem, ale Lou zauważył, że prawdopodobnie nałożyła świeżą warstwę makijażu.

– Cześć, chłopaki, podwieźć was?

Wszyscy trzej wgramolili się do radiowozu dokładnie w chwili, gdy eksplodowała stojąca nieopodal mała szopa.

– Wiem, wiem – powiedział Lou. – O tym też zapomniałeś.

– Który z was miał pozwolenie na odpalenie fajerwerków? – spytała Lemon.

– Chyba chodzi o mnie – rzekł Papa Steve.

– Operacja Pazur – wykrztusił Lou, ciężko dysząc. – Trzeba ją przerwać.

– Dlaczego? – zdziwił się Papa Steve. – Mamy narzędzie zbrodni. Wykorzystamy je, żeby dobrać się Brody'emu do skóry.

– Pazur to misja samobójcza. Dwudziestu ludzi wróci w czarnych workach, jeżeli nic nie zrobimy, żeby temu zapobiec.

– Słyszałeś, dokąd lecą? – zapytał Papa Steve.

– Do bazy lotniczej w Dover. Zamierzali startować z Langley, ale zmienili plany. Nie wiem, jaki jest ostateczny cel misji, ale z tego, co słyszałem, domyślam się, że chodzi o kilka miejsc.

Papa Steve wahał się przez chwilę. Stężały mu mięśnie twarzy i wyglądał, jakby trudno mu było przyjąć do wiadomości tę nową informację.

– Co jest, szefie? – zniecierpliwził się Cap. – Na razie szczęście nam dopisuje, ale chyba nie powinniśmy tu dłużej zostawać.

Wreszcie Papa Steve wzruszył ramionami i wskazał wąską gruntową drogę przed nimi.

– Tędy można dojechać do heliportu. Judy, możesz nas tam podrzucić?

– Brody odleciał – powiedział Lou. – Co nam z tego przyjdzie?

– Zaufaj mi – uspokoił go Papa Steve.

– No dobra. Ruszaj, Judy!

Radiowóz pomknął naprzód, dwa razy zarzucając tyłem, zanim opanowała go wprawna ręka policjantki. Minutę później byli już w heliportcie. Zza hangaru wyszedł wartownik, być może zawiadomiony przez radio, i wycelował karabin w radiowóz.

– Na dół! – krzyknęła Lemon.

Wszyscy czworo błyskawicznie pochylili głowy, a pocisk trafił w sam środek przedniej szyby i wyleciał przez tylną, pozostawiając na szkle równiutkie pajęczyny. Lemon jak mistrz wyścigów NASCAR wdusiła hamulec i samochód wśród wstęg dymu wykonał pełen obrót. Potem, zanim radiowóz zupełnie się zatrzymał, wyskoczyła na zewnątrz, poderwała się na nogi z szybkością błyskawicy i wymierzyła pistolet w środek piersi wartownika.

– Rzuć broń, żołnierzu – powiedziała. – To rozkaz.

Papa Steve wysiadł z samochodu.

– Rób, co ci każe, synu. Nic do ciebie nie mamy.

Impas trwał bardzo krótko. Żołnierz o twarzy dziecka położył karabin na ziemi, Lemon błyskawicznie skuła mu rękę za plecami, a on zaprowadził trzech mężczyzn do szafek, gdzie były hełmy ze słuchawkami i mikrofonami dla każdego z nich.

– Nie rozumiem – powiedział Lou. – Co my tu robimy? Trzeba powstrzymać Brody’ego.

Papa Steve wskazał spłowiały od słońca wojskowy helikopter, jeden z dwóch pozostałych na lądowisku.

– Panowie, jeżeli chcemy powstrzymać Wyatta Brody’ego, to musimy wyruszyć na małą wycieczkę – oznajmił. – Chodźcie ze mną, chłopaki, a nauczę was, jak odpalić śmigłowiec bez kluczyka.

ROZDZIAŁ 44

Sarah nigdy nie mogła dojrzeć do decyzji o sprzedaży domu, który przed dziesięcioma laty kupili z Davidem. Beckman Place było jednym z kilku strzeżonych osiedli w granicach stolicy. Położone na wzgórzu, skąd roztaczał się imponujący widok na Szesną Ulicę i Florida Avenue, zostało zbudowane na ziemi, na której dawniej stał zamek wzniesiony dla senatora Johna Hendersona, współautora trzynastej poprawki do Konstytucji, która znosiła niewolnictwo. David zakochał się w historii tego miejsca do tego stopnia, że gotów był zaakceptować obciążenie, jakim dla ich ograniczonego budżetu okazał się zakup stuczterdziestometrowej nieruchomości. Dziś jedyną pozostałością po zamku Hendersona były kamienne słupki u bramy, a wszystkie wspomnienia wiązały się tylko z Davidem.

Spędziwszy cały dzień z Edith, Sarah jeszcze bardziej polubiła tę niezwykłą kobietę i zaczęła uważać ją za przyjaciółkę. Edith ostatni raz była w Waszyngtonie przed tak zwanym wypadkiem, w wyniku którego straciła wzrok, ale poruszała się po ulicach prawie tak pewnie jak osoba widząca. Raz, gdy szły do kancelarii Devlin i Rodgers, żeby zrobić kopie faktur z Reddy Creek, zatrzymała Sarah laską, aby ta nie weszła na ulicę pod nadjeżdżający samochód.

– Otwórz uszy – powiedziała jej z uśmiechem.

Gdy dotarły do biura Sarah, czekała na nie niespodzianka. Bruce Patterson, były szef Edith z „News & Observer”, przysłał kurierem pudło pełne dokumentów, notatek i materiałów zebranych przez

Edith podczas śledztwa w sprawie Reddy Creek. Razem z Sarah spędziły resztę popołudnia zamknięte w jej gabinecie, analizując materiały ze skrupulatnością archeologów pracujących na wykopalisku.

Było już późne popołudnie, a wciąż nie miały sygnału od Hogartha, czy przyjmuje propozycję Sarah.

– Chcesz to ujawnić? – spytała Edith.

– Nie możemy się wycofać – odparła Sarah. – Sam zdecydował. Poza tym dzięki tobie mamy mnóstwo dowodów i nawet bez współpracy Hogartha możemy pokazać, że Brody miał silny motyw, żeby popełnić morderstwo. Jestem pewna, że ława przysięgłych znajdzie dość uzasadnionych wątpliwości i uniewinni McHugh, jeżeli w ogóle prokuratorom uda się doprowadzić do procesu.

Kiedy metrem wróciły do Beckman Place, do wyznaczonego Hogarthowi terminu pozostało już niewiele godzin. Sarah machnęła elektronicznym kluczem przed czytnikiem. Automatyczna brama otworzyła się, sunąc gładko na dobrze naoliwionych kółkach. Strażnik, siedzący w kamiennej wartowni wielkości budki w punkcie pobierania opłaty na autostradzie, nie oderwał wzroku od telewizora, gdy kobiety go mijaly. Sarah nawet pomachała do niego i przywitała się, ale nie zwrócił na nią uwagi. Choć okna budki były zamknięte, Sarah wiedziała, że na pewno ogląda jakąś transmisję sportową.

– Chyba bardziej interesuje go koszykówka niż ochrona – zauważyła Edith, sprawdzając laską teren przed sobą. – Trzecia kwarta, Wizards przegrywają dziesięcioma punktami z Celtics.

Nie dziwiąc się już żadnym umiejętnościom Edith, Sarah spojrzała na nią z uśmiechem.

– Może właśnie dlatego w sezonie futbolowym popełnia się u nas więcej przestępstw.

Wzięła Edith pod ramię, ciesząc się z więzi, jaka się między nimi wytworzyła, i pomogła jej pokonać ostatnie sto metrów do domu.

– Co to? – zapytała nagle Edith.

Sarah zrobiła zaskoczoną minę.

– Co?

– Chyba usłyszałam jakiś ruch. Szelest.

Sarah znieruchomiała i w ciszy zaczęła nasłuchiwać. Nic. Żadnego dźwięku.

– Może wiatr? – podsunęła.

– Może.

Sarah spojrzała na gałęzie rosnących w pobliżu drzew, żałując, że nie szumią. Wyciągnęła klucz i niepewnie wsunęła do zamka. W chwili gdy go przekręciła, zza krzewów za nimi wynurzył się nadzwyczaj zwalisty mężczyzna. Sarah poznała go po sekundzie.

Detektyw Chris Bryzinski.

Policjant z College Park wycelował pistolet w Sarah, obrzucając Edith tylko przelotnym spojrzeniem.

– Do środka. Szybko. I ani słowa, jedna i druga.

Sarah poczuła, że serce jej stanęło. Ledwie mogąc się poruszać, uchyliła drzwi i wprowadziła Edith do małego oświetlonego korytarza. Bryzinski chwycił Edith za ramię i brutalnie rzucił ją na kolana na dywan w salonie. Sarah podeszła, żeby jej pomóc, ale potężny detektyw ją powstrzymał. W jego zimnych oczach otoczonych masą tłuszczu zobaczyła determinację – to był wzrok człowieka z misją.

Niedobrze.

– To Hogarth cię przysłał, prawda? – zapytała.

– Zamknij się i siadaj w fotelu.

– Będę krzyczała.

Odsuwając na bok Edith czubkiem buta, Bryzinski wcisnął lufę pistoletu w brzuch Sarah. Tłumiąc krzyk, zatoczyła się do tyłu i opadła na fotel Eamesa – jeden z dwóch, który wybrali razem z Davidem. Dopiero teraz zauważyła, że pistolet ma zamontowany tłumik.

– Zastrzelę was obie, tu i teraz – zapowiedział Bryzinski. – Macie jeszcze szansę przeżyć, ale musicie robić wszystko, co powiem.

Krew ścięła jej się w żyłach. Sarah potrafiła odczytywać zamiary ludzi, a ten człowiek przyszedł tu w jednym celu. Nie miała wątpliwości, że egzekucja jej i Edith jest kwestią minut. Znaleźć jakąś broń? Szukać drogi ucieczki? Wrzeszczeć? Zaatakować? Rozsądne wydawało się tylko jedno wyjście – zachować spokój i próbować odwieść policjanta od jego zamiarów. Trzy metry od niej Edith, której ciemne okulary leżały na dywanie, zdołała podnieść się na kolana.

– Proszę – wykrztusiła Sarah, nieruchomo patrząc detektywowi prosto w oczy. – Nie musisz tego robić. Nie wiem, ile Hogarth ci zapłacił albo co na ciebie ma, ale to będzie zwykłe morderstwo.

– Zamknij się!

– Chyba nie chcesz mieć krwi na rękach. Nie jesteśmy rzeczami, które można po prostu usunąć. Jesteśmy ludźmi. Proszę, Chris, przysięgałeś, że będziesz chronić ludzi i im służyć. Hogarth to potwór. Potwór z przerostem ambicji. Gdybyś wszedł mu w drogę, rozgniółłby cię jak robaka. Nie ulegaj mu.

– Zamknij się, do cholery!

Sarah dostrzegła w jego oczach cień konsternacji. Musiała naciskać dalej. Trzeba go było przekonać, że nie jest demonem.

Jak gdyby czytając w jej myślach, Bryzinski spojrzął na Edith i bez ostrzeżenia kopniakiem przewrócił ją na bok.

Sarah wiedziała, co się teraz stanie, i nie przychodziło jej na myśl zupełnie nic, co mogłaby zrobić, żeby do tego nie dopuścić. Na końcu stołu po prawej stała porcelanowa figurka, prezent ślubny od

rodziców. Mogłaby rzucić mu ją w twarz i zaatakować, licząc na to, że dzięki swojej szybkości i być może pomocy Edith poradzi sobie z jego masywnym cielskiem.

– Chodzi o pieniądze, Chris? Tylko o pieniądze? Dlatego chcesz zamordować dwie kobiety, które nigdy nie zrobiły ci nic złego?

Niedostrzegalnym ruchem przesunęła dłoń bliżej figurki, starając się jednocześnie ocenić Bryzinskiego – pozycję ciała, położenie broni, zdecydowanie w oczach.

– Wolałbym, żeby chodziło o pieniądze – powiedział. – Niestety, zrobiłaś sobie wroga z bardzo wpływowego człowieka. Nic na to nie poradzę.

– A twoja żona? Co by pomyślała, gdyby wiedziała, co chcesz zrobić?

– Nie mieszaj jej do tego.

Znajdująca się po prawej stronie Bryzinskiego Edith znów klęczała na jednym kolanie. Sarah siłą woli zmusiła się, by na nią nie patrzeć. Do porcelanowej figurki miała już parę centymetrów. Nie wymyśliwszy niczego innego, mogła dalej mówić... próbować go przekonać... błagać.

– Nie wydaje mi się, żebyś był do tego przygotowany, Chris. Zabiłeś kiedyś kogoś z zimną krwią?

– Strzelę tak, że nic nie poczujesz. Ona też.

– Powiedz mi przynajmniej, ile Hogarth ci płaci. Mam miliony dolarów z odszkodowania po śmierci męża. Miliony. Oddam ci wszystko, co do centa. Naprawdę. Pozwól mi tylko wstać, a pokażę ci mój wyciąg z konta. Wszystko jedno, ile Hogarth ci płaci, na pewno go przebiję.

Edith, wciąż oparta jednym kolaniem o dywan, zaczęła się podnosić.

– Wolałbym, żeby chodziło o pieniądze – powtórzył ze smutkiem Bryzinski. – Nie mam wyboru, chyba że masz czarodziejską różdżkę, którą da się wymazać przeszłość. Przykro mi. Naprawdę. Ale tak się musi stać.

– Mówiłeś chyba, że porozmawiamy – przypomniała mu Sarah.

– Skłamałem. – Uniósł pistolet i wycelował prosto w czoło Sarah. – Wybacz mi, Boże – mruknął pod nosem.

Zobaczyła przed sobą wylot tłumika, jak hebanową dziurę we wszechświecie. Chwyciła figurkę i cisnęła nią w twarz Bryzinskiego dokładnie w chwili, gdy usłyszała wystrzał. Tym samym ruchem przewróciła się do tyłu razem z fotelem. Uderzyła głową w dębową podłogę obok dywanu. Błysnęło białe światło, a potem wszystko pograżyło się w ciemnościach.

Minęła sekunda? Minuta? Dziesięć minut? Kiedy Sarah się ocknęła, jako pierwsza przemknęła jej przez głowę radosna myśl, że żyje, a nawet nic jej nie boli. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, był leżący na brzuchu Chris Bryzinski, który rozpaczliwie usiłował czołgać się po dywanie. Pierwszą rzeczą, jaką usłyszała, był głos Edith.

– ...nie żartuję! Jeżeli przesuniesz się jeszcze o centymetr, przekonasz się, jak celnie potrafię się tym posługiwać. A jak dalej będziesz dyszeć jak bawół, na pewno nie spudłuję.

– Kurwa mać, postrzeliłaś mnie, dziwko!

– Mów dalej, przyjacielu – odparła Edith. – Mów dalej. Twój głos i bawoli oddech jest jak środek tarczy. Trzymam cię na muszce, a mój snake slayer ma jeszcze jedną kulę. – Machnęła w jego stronę pistolecikiem z dwiema lufami i inkrustowaną rękojeścią.

Sarah, drżąc, z trudem dźwignęła się na nogi i podbiegła do Edith, zatrzymując się po drodze, aby kopnąć Bryzinskiego w głowę, podnieść pistolet i odrzucić na bok tłumik.

– Nic ci nie jest? – spytała, obejmując Edith ramieniem.

– Zakrwawił ci dywan?

– Trochę.

– Wschodni?

– Tak jakby. Z Pottery Barn.

– Dobrze, że zanim nacisnął spust, zwrócił się do Boga – powiedziała Edith. – Inaczej nie mogłabym w niego dobrze wycelować.

– Rzeczywiście, jeszcze w swojej redakcji proponowałam, że pokażesz mi, jak doskonale strzelasz. Zupełnie zapomniałam.

– Mój instruktor uczył mnie, żebym nie nosiła broni, jeżeli nie jestem gotowa jej użyć. Byłam świetnie przygotowana.

– Ktoś mi pomoże? – jęknął Bryzinski. – Postrzeliła mnie.

– Potrafi kropnąć, co? – powiedziała Edith. – Strzeż się ślepego.

Sarah zostawiła Bryzinskiego, który wił się na podłodze, ściskając udo grube jak pień drzewa, i po chwili wróciła z prześcieradłem oraz nożem kuchennym. Rozcięła prześcieradło na pasy i jednym zakneblowała detektywa, a resztą zabandażowała mu nogę. Z rany ciągle płynęła krew, ale nie w tempie zagrażającym życiu. Następnie Sarah znalazła kajdanki w kieszonce z tkaniny zawieszanej na jego pasku i skuliła mu ręce na plecach.

– Co teraz? – spytała Edith.

– Teraz pójde do szopy po wózek.

– Po co?

– Trzeba gdzieś odstawić te brudy.

Sarah mocno objęła Edith i nie chciała jej puścić. Miała wrażenie, że nie przytula przyjaciółki, ale siostrę.

ROZDZIAŁ 45

– Główne zadanie helikoptera polega na tym, żeby cię zabić – mówił Papa Steve do mikrofonu w hełmie. – A zadanie pilota na tym, żeby do tego nie dopuścić. Na razie mi się udaje.

Przestarzały dwusilnikowy UH-1N, lecąc na północny wschód w kierunku Delaware, zadygotał od uderzenia przeciwnego wiatru. Z fotela drugiego pilota Lou przyglądał się zafascynowany, jak człowiek, który podobno potrafił wysadzić w powietrze musze czułki, nie pozbawiając przy tym owadów wzroku, prezentuje skrajnie odmienne umiejętności.

Siedzący z tyłu Cap wyglądał znacznie gorzej niż Emily podczas ich niefortunnego rejsu po wzburzonym morzu, gdy wypłynęli obserwować wieloryby. Śmigłowiec znów gwałtownie się przechylił i zboczył z kursu, zanim Papa Steve zdołał go ustabilizować.

– Mówiłem ci, że nie chcę wsiadać do tej puszki! – wrzasnął z tyłu Cap.

– Nigdy nie leciałeś helikopterem? – zapytał Papa Steve.

– Ze dwa razy samolotem. Nie lubię, kiedy między mną a ziemią nie ma nic oprócz powietrza.

– Dasz sobie radę – pocieszył go Lou. – Kurczę, przecież postawiłeś się mafii.

– I zapłaciłem za to karierą bokserką.

Papa Steve mocno położył maszynę na prawo, lecąc trzysta metrów nad leśnym obszarem Wirginii.

– Chcesz torebkę na pawia? – zatroszczył się Lou.

– Nie. – Cap pokręcił głową z miną człowieka, który nie potrzebuje niczego innego poza torebką na pawia. – Chcę pizzę.

Lou pokazał mu uniesiony kciuk, a w odpowiedzi Cap wyprostował środkowy palec.

– Muszę zadzwonić do Sarah – rzekł Lou. – Pracuje nad Spencerem Hogarthem, żeby skłonił Brody’ego do przyznania się do morderstwa Colstona. Teraz musimy jeszcze znaleźć sposób, żeby go skłonił do przerwania operacji Pazur.

– Możesz zadzwonić z satelitarnego telefonu pokładowego – poradził Papa Steve.

Lou podał mu numer i po chwili usłyszał w swoich słuchawkach sygnał.

– Halo? – odezwał się niepewny głos Sarah.

– Cześć, Sarah, mówi Lou.

– Nie poznałam numeru.

– Bo jestem w helikopterze z Capem i Papą Steve’em, w drodze do bazy lotniczej w Dover. Wszystko w porządku?

– Poza tym, że detektyw Bryzinski niedawno próbował nas zabić, to wszystko gra.

– Jezu. Gdzie teraz jesteś?

– Jedziemy z Edith w samochodzie. Bryzinski jest w bagażniku.

– Zmieścił się?

– Ledwo, ledwo. Wiemy, że Hogarth ma na niego jakiegoś poważnego haka, na tyle poważnego, żeby namówić go do morderstwa. Wyciągnął pistolet z tłumikiem i kiedy miał nas zabić, Edith postrzeliła go w nogę.

– Edith?!

– Ta kobieta potrafi więcej, niż ci się wydaje.

– Chyba tak. Co chcecie z nim zrobić?

– Nie jest ciężko ranny. Albo odstawimy go na policję, albo podrzucimy do szpitala, albo wykorzystamy go jako kartę przetargową z Hogarthem. Skłaniam się ku pierwszemu wyjściu.

– Zgadzam się. Mam informacje, które mogą się przydać.

– O co chodzi z tym Dover?

Przekrzykując hałas śmigłowca, Lou szybko zrelacjonował przerażające wydarzenia w bazie Mantis. Gdy skończył, w słuchawkach zapadła ciężka cisza.

– Macie narzędzie zbrodni? – odezwała się w końcu Sarah.

– Wasz ekspert od balistyki będzie to musiał potwierdzić, ale tak, prawdopodobnie mamy. Jest w plecaku mojego kumpla Capa, z tyłu.

– Kiedy odlatują na tę operację Pazur?

– Przypuszczam, że niedługo.

Znów chwila ciszy.

– Pewnie teraz myślisz, że jestem wściekła, bo znowu postanowiłeś zgrywać kowboja, chociaż mi obiecałeś, że już nie będziesz.

– Przyznaję, że coś takiego przeszło mi przez myśl.

– W takim razie zapomnij o tym. Z tego, co mówisz, wynika, że dokonaliście niewiarygodnie odważnego czynu. Chyba jestem ci winna przeprosiny za to, że wcześniej tak ostro cię traktowałam. Edith i ja o mało nie zginęłyśmy, narażając się na takie niebezpieczeństwo jak ty.

– Nie wierzę własnym uszom! Czyżbym uzyskał przebaczenie?

– Postanowiłam przestać tobą pomiatać.

– Wobec tego przestaję próbować ukrywać to, co o tobie myślę. Co ty na to?

– Jakoś to zniosę. Spotkajmy się, kiedy to wszystko się już skończy, i wyrównajmy swoje długi. Chciałabym coś zorganizować, żeby ci podziękować za ogromną pomoc.

– Masz włączony głośnik?

- Tak, czemu pytasz?
- Cześć, Edith. Cieszę się, że nie słyszysz, jak się czerwienię.
- Powinieneś się czerwienić, doktorze. To niesamowita kobieta.
- No i co, Bryzinski się przyznał, że przysłał go Hogarth?
- Pytałam go w bardziej i mniej uprzejmy sposób – odrzekła Sarah.
- Ale chyba musi posiedzieć jeszcze trochę w bagażniku, żeby zechciał się przed nami otworzyć.
 - Bez współpracy Hogartha nie wiem, co moglibyśmy zrobić, żeby nakłonić Brody'ego do przerwania operacji Pazur. Myślałem, że uda się wam do tego doprowadzić, ale skoro próbował was zabić, to chyba trzeba będzie zastosować mój plan B.
 - Na czym polega ten plan B?
 - Na tym, że lecimy do Dover i sami go powstrzymamy – wyjaśnił Lou.
 - To szaleństwo. Zginiecie. Posłuchaj, możemy wpłynąć na Hogartha.
 - Jak?
 - Przedstawimy mu nowy układ. Zaproponujemy, że schowamy pod dywan Reddy Creek, jeżeli przerwie operację Pazur.
 - No, naprawdę świetny plan – rzucił Lou. – Może tym razem wynajmie kogoś bardziej kompetentnego, żeby was zabić.
 - Wydaje ci się, że konfrontacja z Brodym i jego ludźmi jest bezpieczniejsza? Hogarth jest głodny władzy, ambicja tak go zaślepia, że widzi mniej niż Edith. Dopóki będzie myślał, że Bryzinski nie żyje albo nie został przekazany władzom, będzie wierzył, że nas pokona. Nie poznałeś go, Lou. To świr.
 - Zaczekaj, powtórzę to tylko Papie Steve'owi.

Siedzący w fotelu pilota Papa Steve pokazał mu uniesiony kciuk. Sarah westchnęła.

– Słuchaj, to jest człowiek, który zorganizował zamach na Edith i pozbawił ją wzroku. Nie mamy na to niezbitego dowodu, ale wiemy wystarczająco dużo, żeby Hogarth sam się wsypał, jeżeli to dobrze rozegramy. Wierz mi, jeśli będzie musiał wybierać między operacją Pazur a sobą, wiem, na co się zdecyduje. Jest gotów rzucić wilkom na pożarcie każdego, żeby ratować siebie i swoją karierę. Wycofaj się, Lou. Pozwól, że same się tym zajmujemy. To się należy Edith. Uda się nam wpłynąć na Hogartha. Nie wie, że mamy Bryzinskiego. Zaufaj mi, mam sposób.

– W porządku, ufam ci – rzekł Lou. – Ale jeżeli Papa Steve i Cap będą innego zdania, wkraczamy do akcji. Może przynajmniej uda się opóźnić początek misji, dopóki nie przekonasz Hogartha do interwencji.

– Nie chcę, żebyś tam leciał.

– Sarah, potrzebujemy się nawzajem. Jak zawsze. Gdzie ty właściwie jesteś?

– Jeżeli myślisz, że Hogarth chce pożegnać swoje wojsko w Dover, to pewnie tam pojedziemy.

– Biorąc pod uwagę stawkę, o jaką się toczy gra, jestem pewien, że się tam wybiera – powiedział Lou.

– Tak się składa, że mam numer jego komórki. Mogę zadzwonić.

– Uważaj na siebie, moja droga. Naprawdę.

– Ty też.

Lou nie mógł się zdobyć na słowa pożegnania.

Po zakończeniu rozmowy Cap klepnął go w ramię.

– Wiesz co, rozmawiacie jak stare dobre małżeństwo.

– Powiedziałbym raczej, że powoli zmierzamy do fazy wzajemnego poznania. Sądzicie, że któryś z was mógłby mnie zastąpić u boku funkcjonariuszki Judy Lemon.

– No jasne! – zawołali niemal chórem dwaj mężczyźni.

Przez dziesięć minut lecieli w milczeniu. Potem Papa Steve zszedł na wysokość siedemdziesięciu pięciu metrów i oznajmił, że robią postój.

– Po co? – zdziwił się Lou. – Musimy się tam dostać.

– Musimy też zrobić coś z bronią, którą zdobyliśmy z takim trudem.

Bez dalszych wyjaśnień Papa Steve swobodnie posadził maszynę niedaleko dziewiątego dołka na polu golfowym, który Lou znał doskonale – 38,84783; 76,73744, klub Sharpton Hills. Za pomocą podręcznych narzędzi, które wyciągnął spod fotela pilota, szybko zdjął część tablicy wskaźników po stronie pasażera i wsunął tam pistolet, z którego prawdopodobnie zastrzelono Eliasa Colstona.

– Lou, masz numer do kancelarii swojej przyjaciółki Sarah?

– W portfelu.

– Zadzwoń tam, zostaw wiadomość dla jej szefa i drugą dla Sarah, ze wskazówką, gdzie można znaleźć broń.

– Dlaczego sam jej nie powiedziałaś, kiedy rozmawialiśmy?

Odpowiedzią był gorzki uśmiech Papy Steve'a.

– Zgadnij – rzekł.

– Sądzisz, że tego nie przeżyjemy, tak?

– Chcesz, żebym ci odpowiedział? Zamierzałem zostawić pistolet u twojej przyjaciółki Judy Lemon, ale nie znam jej na tyle dobrze, żeby jej zaufać. No i, niestety, znam Brody'ego. Potem zrezygnowałem z pomysłu, żeby go po prostu zakopać na polu golfowym. To by wymagało czasu, a kopanie w ciemności byłoby byle jakie, zwłaszcza że ziemia jest zamarznęta prawie na kamień. Nic lepszego nie wymyśliłem.

– Jest jeszcze inne wyjście – podsunął Lou. – Cap, jeżeli się zgodzisz, wysadzimy cię tu z pistoletem. Wrócisz do domu i oddasz go komuś, komu ufasz.

– A co byś zrobił, gdyby odwrócić sytuację? Zostaję.

– No to lecimy – rzucił Lou. – Tu mam numer Sarah do kancelarii.

– Tylko pamiętaj, żeby zostawić dokładne wskazówki – uprzedził go Papa Steve. – Z tej broni zastrzelono mojego najlepszego przyjaciela i ojca mojego chrześniaka. Nie zamierzam pozwolić, żeby człowiek, który nacisnął spust, nie zapłacił za to.

Kiedy śmigłowiec się uniósł, Lou wsunął na miejsce narzędzia, po czym zadzwonił do biura Sarah. Papa Steve miał rację. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że żaden z nich nie przeżyje nocy. Uśmiechnął się ze smutkiem, myśląc o ironii losu, gdyby Gary McHugh jako jedyny wyszedł cało z tej historii. Plan przerwania operacji Pazur był głupotą – naiwną i dziecinną mrzonką.

– Masz ostatnią szansę, Cap – powiedział. – Wystarczy słowo, a zostawimy cię tutaj.

– Jestem tu po to, żeby służyć i chronić, przyjacielu. Jak dotąd byłem patronem tylko trzech ludzi. Nie byłoby dla mnie dobrze, gdybym stracił jedną trzecią z nich.

Przez następne czterdzieści pięć minut każdy siedział pogrążony we własnych myślach.

– Uwaga, panowie – odezwał się nagle Papa Steve. – Zbliżamy się do Dover. Sprawdźcie, czy macie zapięte pasy i złożone stoliki. Aha, no i trzymajcie się mocno.

– Mamy zgodę na lądowanie? – zapytał Lou.

Papa Steve zszedł na dwieście metrów. Przed nimi jak odległe gwiazdy zaśniły światełka lotniska.

– Jeszcze nie – odparł.

– To jaki masz plan? – W głosie Lou dał się słyszeć niepokój. – Chcesz improwizować i zobaczyć, co się stanie?

– Jestem typem, który idzie na żywioł i działa na czuja.

– Chyba raczej typem, którego zaraz wyczują i żywiłowo kropną z działa.

Jak na komendę w tym momencie zatrzeszczało radio. Kontrola lotów poinformowała ich, że są obserwowani i muszą zawrócić. Papa Steve przeprowadził krótką i nerwową rozmowę, spokojnie i z klasą, pilnując, by helikopter leciał wolno i równo.

– Nici z lądowania – oznajmił. – Baza lotnicza jest zamknięta i nie przyjmuje nikogo. Rozkazy.

– Powiedz im, żeby poprosili o zgodę Brody’ego – poradził szybko Lou.

Papa Steve zmierzył go zaskoczonym spojrzeniem.

– Nie wiem, czy to coś da, doktorze.

– Powiedz im, żeby przekazali pułkownikowi Wyattowi Brody’emu, dowódcy kompanii Mantis, dokładnie taką wiadomość: Doktor Lou Welcome wie wszystko o Manolu i ujawni te informacje, jeżeli nie dostaniemy pozwolenia na lądowanie.

Po krótkim wahaniu Papa Steve przekazał wiadomość wieży. Nastąpiła gorączkowa wymiana zdań. Po pełnych napięcia dziesięciu minutach oczekiwania helikopter nagle zmienił kurs.

– Dokąd lecimy? – spytał Lou.

– Lądujemy – odrzekł Papa Steve. – Twoja wiadomość chyba poskutkowała. Siądziemy za dwadzieścia minut z kawalkiem.

– Dwadzieścia minut? Dlaczego musimy tak długo krążyć? – zdziwił się Lou.

– Pewnie muszą przyszykować kosz z prezentami na nasze powitanie. Przygotujcie się, chłopaki. Zdaje mi się, że na ziemi bardziej dostaniemy w kość niż w powietrzu.

ROZDZIAŁ 46

Dziesięć minut po zakończeniu rozmowy z Lou Sarah, jadąc z prędkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, wjechała w dziurę w drodze i nie usłyszała żadnego dźwięku dobiegającego z bagażnika mercedesa. Żadnego krzyku. Żadnych odgłosów przesunięcia ciężaru. Nic. Zabezpieczyły Bryzinskiego najlepiej, jak umiały. Kajdanki wydawały się za ciasne, więc wybrały sznur do bielizny, okręcając nim kilka razy jego ręce i nogi w kostkach. Uznały, że nie ma szans walić w blachę karoserii, by zwrócić czyjąś uwagę. Zostawiły mu w ustach knebel i miały tylko nadzieję, że się nie udusi, jeżeli zwymiotuje.

Przyszła pora znaleźć Hogartha.

Sarah wstukała jego numer. Telefon dzwonił parę razy. Przypuszczając, że Hogarth będzie w Dover, Sarah jechała w tę stronę. Jeżeli operacja Pazur rzeczywiście jest tak ważna, jak twierdził Lou, to Hogarth z pewnością będzie chciał być obecny przy starcie i zobaczyć owoce pracy Brody'ego i swojej.

Po trzech sygnałach Sarah wreszcie usłyszała trzask.

– Halo, kto mówi?

– Panie sekretarzu, tu Sarah Cooper.

Długie milczenie Hogartha było wymowne. Albo Bryzinskiemu się nie udało, albo postanowił nie wykonać zleconego zadania.

– Słucham, pani mecenas.

– Musimy porozmawiać.

Czyżby słyszała nerwowy oddech? Szum opon i słabnący zasięg sieci komórkowej utrudniał odpowiedź. Sarah odniosła jednak wrażenie, że Spencer Hogarth, przynajmniej przez mgnienie oka, wierzył, że rozmawia z duchem.

– Dzwoni pani, żeby podziękować mi za wino?

– Nie chodzi o wino, panie sekretarzu. Chcę panu złożyć nową ofertę.

– Proszę mówić. Wydaje mi się, że umie pani przyciągnąć moją uwagę.

– Nie, muszę to panu powiedzieć osobiście.

– Teraz? Jestem dość zajęty.

– To pański wybór. Proszę się spotkać ze mną teraz albo zacznę niszczyć panu karierę. Świetnie pan wie, że mogę to zrobić.

– Skoro tak pani stawia sprawę, to jaki właściwie mam wybór?

– Żadnego.

– Wobec tego proszę przyjechać do bazy lotniczej w Dover. Znajdzie ją pani?

– Mój samochód znajdzie.

– Spotkamy się przy bramie głównej. Proszę zadzwonić, kiedy będzie pani dziesięć minut od bazy.

– Do zobaczenia. – Sarah zakończyła rozmowę. – Jest w Dover – powiedziała, zwracając się do Edith.

– Wiedziałaś, że tam będzie. Coś podejrzewał? – Edith trzymała na kolanach zaciśnięte dłonie, pocierając je o siebie i przygryzając wargę.

– Nie. I nie może niczego podejrzewać. Żeby plan się udał, Hogarth musi wierzyć, że wynajęty przez niego policjant nie poszedł wykonać zlecenia, przynajmniej na razie. Na pewno właśnie dzwoni do Bryzinskiego.

– Usłyszy go w bagażniku?

– Jest tak związany, że nie. Mimo wszystko zatrzymam się w pierwszym bezpiecznym miejscu i sprawdzę jeszcze raz. Wystarczy, że Bryzinski piśnie, a Hogarth będzie miał wystarczający powód, żeby kazać nas obie zabić na miejscu.

– Albo sam to zrobi – dodała Edith.



Dwie godziny później Sarah dotarła do głównej bramy bazy lotniczej w Dover. Zatrzymały się w drodze dwa razy i Sarah z ulgą przekonała się, że Bryzinski leży na boku i swobodnie oddycha. Baza była niedostępną fortecą, otoczoną wysokim ogrodzeniem i drutem kolczastym. Gdy Sarah zwolniła i zahamowała, przed samochodem ukazali się uzbrojeni wartownicy z bronią gotową do strzału.

Proszę, tylko nie otwierajcie bagażnika, pomyślała.

Gdy jeden z nich się zbliżył Sarah otworzyła okno. Z góry dobiegł warkot helikoptera siekącego łopatami wirnika zimny wiatr.

Lou, jesteś tam? To ty? Proszę cię, uważaj.

Do samochodu podszedł drugi wartownik, oświetlając twarz Edith mocną latarką. Światło odbite od jej ciemnych okularów nie wywołało żadnej reakcji. Strażnik z latarką gwizdnął, żeby zwrócić jej uwagę.

– Jest niewidoma – poinformowała go Sarah.

Edith odwróciła się do okna po stronie kierowcy.

– Jestem niewidoma – potwierdziła, zdejmując okulary. – To chyba dużo wyjaśnia.

– Rozumiem, proszę pani – zwrócił się do Sarah wartownik. – Ale to teren ograniczonego wstępu. Musi pani natychmiast wycofać samochód.

– Jestem umówiona ze Spencerem Hogarthem. Podobno tu jest.

– Z sekretarzem Hogarthem? Zna go pani?

– Proszę posłuchać, nie chcemy wam narobić kłopotów, ale czeka na nas. Może nas pan odesłać, nie próbując go nawet zawiadomić, ale obiecuję, że to się dobrze dla was nie skończy.

– Amerykańskie Stowarzyszenie Niepełnosprawnych może być dość trudnym przeciwnikiem – dodała Edith.

– Proszę chwilkę poczekać.

Wartownik odszedł, a jego miejsce zajęli dwaj następni, uzbrojeni w groźną broń maszynową. Sarah nabrała powietrza i wstrzymała oddech. Nie śmiała nawet unieść wzroku. Ulegając usilnym prośbom koleżanek, w ostatnich latach poszła na parę randek, ale nigdy nie zaiskrzyło między nią a żadnym z poznanych facetów. A tam w górze był teraz mężczyzna, który działał jej na nerwy. Za chwilę razem z przyjaciółmi miał narazić własne życie, żeby powstrzymać dwudziestu młodych żołnierzy przed wyruszeniem na swoją własną bitwę nad Little Bighorn. Nieprawdopodobnie ją irytował, ale był też nieprawdopodobnie dobry. I cały czas zadrezczała się myślą o nim.

Wiedziała, że jedyną osobą, której upór mógł dorównać uporowi Lou, jest ona sama. Gdyby nie zdołała nakłonić Hogartha, żeby zwrócił się przeciwko Brody'emu, życie Lou, a także życie Capa Duncana i Papy Steve'a, znalazłoby się w straszliwym niebezpieczeństwie, nie mówiąc o życiu Edith i jej.

Jak gdyby czytając jej w myślach, Edith wyciągnęła rękę i ujęła jej dłoń.

– Trzymaj się, kochana – powiedziała, zaciskając mocno zęby. – Uda się.

Wrócił pierwszy wartownik i spoglądając mu w oczy, Sarah myślała przez chwilę, że odmówiono im wstępu do bazy.

– Najpierw musimy sprawdzić dokumenty – oznajmił. – A potem pod eksortą wjedziecie do bazy.

Sarah odetchnęła z ogromną ulgą.

Znów usłyszała dobiegające z nieba monotonne dudnienie helikoptera.

ROZDZIAŁ 47

Silny prąd powietrza szarpnął płozami UH-1N, ale Papa Steve, spokojny jak tafla jeziora w bezwietrzny dzień, skorygował położenie maszyny i gładko posadził ją na lądowisku. Następnie wyłączył silniki, zaczekał, aż zupełnie ucichnie łomot wirnika, po czym zakomunikował, że można już bezpiecznie odpiąć pasy.

Cap wstał z tylnego siedzenia i dołączył do dwóch towarzyszy w kokpicie. W opuszczonej ręce trzymał luźno swój pistolet. Leżący na metalowej podłodze plecak był pusty, jeśli nie liczyć narzędzi, za pomocą których otworzył gabinet Wyatta Brody'ego i gablotę z bronią. Wszyscy trzej wpatrywali się przez przednią szybę w nieprzeniknioną ciemność. Nie widzieli świateł, nie dostrzegali żadnego ruchu. Lou odpiął klamrę pasa i pobiegł do tyłu, by spojrzeć przez szyby z drugiej strony. Ujrzał tylko światła na pasie startowym. Poza tym reszta bazy wyglądała na zupełnie opuszczoną.

- Co teraz? – zapytał Cap.
- Teraz wsiadamy – odrzekł Lou.
- Mam złe przeczucia, stary – wyznał Cap.
- Nie widzę żywej duszy – odezwał się Papa Steve w drodze z kokpitu do kabiny. – Na mój nos to pułapka.
- Na pewno są – rzucił Lou.
- To jaki jest plan?
- Taki, że wchodzimy do jaskini lwa i niech się dzieje, co chce.

– Ja to mam szczęście – mruknął Cap z ciężkim westchnieniem. – Trafiło mi się dwóch partnerów, co idą na żywioł. – Zwiesił głowę i się przeżegnał.

– Hm, Lou... chyba...

Zanim Papa Steve zdążył skończyć, Lou otworzył boczne drzwi i wyskoczył z kabiny na płytę lądowiska. Cap i Papa Steve ruszyli za nim. Stanęli blisko siebie, rozglądając się w mroku i nasłuchując w ciszy. Wzdłuż długiego pasa startowego biegł rząd niebieskich światełek migoczących jak palniki gazowe, rzucając słaby blask na stojący tam masywny transportowiec. Silniki samolotu cicho mruczały, wydając odgłos przypominający chrapanie śpiącego olbrzymia.

Widoczne w oddali światła wieży ledwie docierały do odległej części bazy, gdzie kontrola lotów poleciła wylądować Papie Steve'owi. Zarysy stojących w rzędzie wielkich pługów śnieżnych wyglądały jak stalowe potwory. Twarze mężczyzn chłostał niesłabnący, przenikliwie zimny wiatr.

Lou dostrzegł trzy śmigłowce Chinook z bazy Mantis, które stały na skraju pasa startowego, ciche i ciemne. Może oddział z kompanii Mantis był już na pokładzie transportowca. Jeśli tak, to nikt nie mógł już przerwać operacji Pazur.

– Chciałbym skorygować to, co powiedziałem wcześniej – odezwał się Cap. – Mam bardzo złe przeczucia.

Właśnie w tym momencie zalał ich oślepiający blask reflektorów pługów, które zapaliły się równocześnie. Lou i dwaj pozostali zmrużyli oczy i pochylili się, osłaniając się przed światłem. Kiedy się wyprostowali, ujrzeni cienie – sylwetki ludzi, którzy jak gdyby pojawili się w ciemności znikąd. Mrugnęli jeszcze raz i zobaczyli ich wyraźnie. Stali przed nimi żołnierze z kompanii Mantis w równym szeregu jak pluton egzekucyjny, z bronią gotową do strzału. Byli wyprostowani

niczym kamienne kolumny i wydawali się zupełnie niewrażliwi na chłód. Mierzyli z broni do intruzów.

Spomiędzy dwóch żołnierzy wyszedł mężczyzna, ubrany w puchową kurtkę, w kamuflażowym kapeluszu z szerokim rondem, który osłaniał oczy.

Brody.

Za nim ukazał się wyższy od niego oficer, w prawie identycznym stroju. Lou był niemal pewien, że to Coon, zastępca dowódcy, którego głos słyszał w bazie Mantis. Obaj mężczyźni wkroczyli w krąg światła, jakby wchodzili na scenę na Broadwayu.

– Doktorze Welcome, niezwykle miło znów pana widzieć – powitał go Brody. – Pewnie przyleciał pan pożegnać nasz oddział. Znam stojącego obok pana zdrajcę, który lubi wysadzać wszystko w powietrze, ale tego drugiego dżentelmena nie miałem przyjemności poznać.

Wszyscy trzej milczeli.

– To koniec, Brody – odezwał się w końcu Lou. – Wiem, kim jesteś i co robiłeś, a twoi ludzie też się za chwilę dowiedzą. Operację Pazur trzeba przerwać.

– Och, przepraszam, nie zorientowałem się, że kierujesz sprawami bezpieczeństwa narodowego – odparł Brody. – Zaraz zawiadomię ludzi, że zamiast walczyć, powinni się szybko spakować i wracać do domu. Albo nie, mam lepszy pomysł. Każę im zastrzelić ciebie i twoich przyjaciół za zdradę i próbę utrudniania operacji wojskowej. Panowie, przygotujcie broń.

W jednej chwili rozległ się szcęk jednocześnie odbezpieczanych dwudziestu karabinków. Lou uniósł ręce nad głowę. Cap i Papa Steve zrobili to samo, rzucając pistolety na płytę lądowiska.

– Nie mamy broni – rzekł Lou. – Jestem lekarzem. Cap jest bokserem i uczy boksować dzieciaki z miasta. Papę Steve’a znasz.

Jeżeli każesz nas zastrzelić, zabijesz Amerykanów, ludzi, w których imieniu podobno działacie.

– Dość – rozkazał Brody. – Myślałeś, że imię Manola da ci nietykalność? Wpuściłem was tu, żeby moi ludzie zobaczyli, dlaczego biorą udział w tej misji, żeby zobaczyli siły, które stale próbują nas powstrzymywać. Żołnierze, Manolo odpowiada za przygotowanie napoju, który co dzień pijemy. Skład napoju jest dość skomplikowany, ale sami przyznacie, że Manolo dobrze wywiązuje się z tego zadania. Płacimy mu gotówką, a jeśli trzeba, czasem bronią. Czy ta informacja coś zmienia?

– Powinna zmienić – powiedział Lou. – Ten człowiek manipuluje wami i traktuje was jak króliki doświadczalne, każe wam poświęcać własne życie, żeby udowodnić, że ma rację. Czytałem wyniki jego badań. Wiem.

Żołnierze pozostali w tej samej pozycji.

– Gem, set, mecz, Welcome – ogłosił Brody.

– Gotowi na wszystko! – krzyknął jeden z żołnierzy.

Reszta oddziału kompanii Mantis jak echo powtórzyła hasło.

– Gotowi na wszystko!

– Nie! – zawołał Lou błagalnym tonem. – Nie na wszystko. Jesteście żołnierzami. Robicie to, co należy robić, nie szcędząc sił. Dajecie dowody męstwa. Ale nigdy świadomie i z własnej woli nie bierzecie udziału w akcjach, które mają na celu pozbawienie was życia. To nie ma nic wspólnego z waszą powinnością. Nie można dopuścić do tej misji.

– Ognia! – wrzasnął Brody. – Zlikwidować ich! Ci ludzie są zagrożeniem bezpieczeństwa narodowego.

Papa Steve wyszedł przed Lou.

– Nie! Zaczekajcie, chłopcy. Nie strzelać!

Brody wyciągnął pistolet z kabury ukrytej pod kurtką. Wycelował w Papę Steve'a.

– Zastrzelę ich sam, jeżeli nie wykonacie rozkazu. No już, strzelać, do cholery!

Z kocią zwinnością i szybkością Cap rzucił się na Brody'ego i wymierzył mu potężny prawy sierpowy w bok nosa. Oszołomiony dowódca Mantis upadł na tyłek.

Chrup.

Pistolet Brody'ego wylądował daleko od niego. Z nozdrzy pułkownika trysnęła krew. Jego oczy zaszyły mgłą. Lou w napięciu czekał na grad kul, które za chwilę zakończą życie przyjaciela. Ale zamiast kanonady rozległ się pojedynczy huk. Cap runął twarzą na ziemię jak worek mąki, wijąc się w drgawkach na zimnym asfalcie.

– Coon, ty głupi sukinsynu! – wrzasnął Papa Steve.

Lou kopniakiem odtrącił dwa cieniutkie przewody przymocowane do paralizatora, który trzymał w wyciągniętej ręce Coon, i uklęknął obok Capa. Elektrody przebiły kurtkę, obezwładniając boksera. Lou opatrywał już wiele ran spowodowanych przez paralizator, dlatego wiedział, że choć Cap znalazł się w okropnie nieprzyjemnym stanie, był to na szczęście stan przejściowy.

Trzask.

Usłyszał odgłos przeładowywanej broni i zamknął oczy, przygotowując się na ukłucie stali i zastanawiając się, jak długo będzie odczuwał ból. Ułamek sekundy cierpienia czy powolna męczarnia? W wyobraźni ujrzał krew, litry krwi buchającej strumieniami z jego podziurawionej piersi. Rozpaczliwie tęskniąc za Emily w tych ostatnich chwilach, czekał na ból, ale ból się nie pojawił. Gdy otworzył oczy, zobaczył jednego z żołnierzy Mantis, który wystąpił z szeregu i celował z broni nie do trzech intruzów, ale do Brody'ego. Ten zdołał

się podnieść i stał na chwiejnych nogach, trzymając kapelusz pod krwawiącym nosem i w grymasie odsłaniając zęby.

– Nie boimy się śmierci – powiedział żołnierz. – Żaden z nas. Ale to nie znaczy, że mordujemy niewinnych Amerykanów. Niech pan nie dotyka pistoletu, majorze Coon.

Lou próbował obudzić Capa, który odzyskiwał przytomność, lecz wciąż był zbyt oszołomiony, by wstać.

– Sierzancie Morales, skieruj karabin tam, gdzie powinien być skierowany – wychrypiał Brody.

– Morales ma rację – włączył się inny żołnierz, robiąc krok naprzód, by także wycelować w Coona. – Nie jesteśmy głupi. Wiemy, co, pana zdaniem, rubinowy napój z nami robi, ale niewielu z nas w to wierzy ani się tym przejmuje. Zawsze byliśmy gotowi zginąć za nasz kraj i naszych dowódców.

Papa Steve zbliżył się do szeregu i popatrzył na nich.

– Wasz dowódca – zaczął – ten człowiek, który rozkazuje wam zabić moich przyjaciół, sam jest mordercą. Z zimną krwią zabił Eliasa Colstona, ojca Marka, bo Colston znał prawdę o Mantis. Nie uwierzył, że jego syn mógłby mieć tyle odwagi, żeby zachować się w czasie bitwy tak, jak się zachował, jeżeli nie był pod wpływem narkotyków, które pozbawiły go zdolności odczuwania strachu.

– To nie tak – zaprzeczył Morales.

– Spytajcie Brody'ego – rzekł Lou. – Przeczytałem jego pracę doktorską, od deski do deski. Spytajcie go, czy uważa, że podjęlibyście się tej misji, gdyby nie opracowana przez niego kombinacja środków psychotropowych, którą codziennie wam podaje. Strach jest elementem wojny, ale Brody chciał wyeliminować ten czynnik, żebyście się stali tacy sami jak terroryści, z którymi walczymy. Jesteście prawdziwymi żołnierzami. Być może zginiecie na polu bitwy. Każdy żołnierz musi się liczyć z takim ryzykiem. Ale niech to będzie

ryzyko, a nie cel sam w sobie. Niech to będzie prawdopodobieństwo, nie plan, który macie wykonać.

Starszy sierżant Morales odwrócił się do Lou.

– Doktorze, rozumiemy, co pan mówi, ale czy to się panu podoba, czy nie, lecimy na operację. Sam pan powiedział, że jesteśmy żołnierzami, marines z Mantis, i nauczono nas wykonywać rozkazy. Nie zadawać pytań. Nie wybierać innych możliwości.

– Właśnie postanowiliście nie mordować z zimną krwią niewinnych amerykańskich cywilów – włączył się Papa Steve. – To nie było wykonanie rozkazu.

– Pewnie znaleźliście jedyną granicę, której nie chcemy przekroczyć.

Brody zdołał zatamować krwotok z nosa i odsunął kapelusz od twarzy. Lou zauważył, jak kąciki ust dowódcy unoszą się w uśmiechu. Fenton Morales opuścił broń, reszta poszła za jego przykładem.

– Panie pułkowniku, panie majorze – odezwał się Morales – wydaje mi się, że mówię w imieniu całej grupy. Kiedy ci ludzie zostaną zabrani do aresztu, jesteśmy gotowi wsiąść do transportowca i zgodnie z rozkazami wypełnić zadanie.

Już nie żyjesz, Welcome – wyczytał Lou z oczu Wyatta Brody'ego.

– Wezwę żandarmów – obiecał solennie Brody. – Możecie się przyglądać z pokładu samolotu, jak zostaną odeskortowani. Dopilnuję nawet, żeby ten tchórz, który uderzył mnie z zaskoczenia, dostał pomoc medyczną. Majorze Coon, proszę nadzorować zatrzymanie tych ludzi.

– Tak jest, panie pułkowniku! – odparł Coon, salutując.

– Teraz na pokład, żołnierze. Za piętnaście minut będziecie w powietrzu. Najpierw jednak spędźmy chwilę razem.

– Szkarłat to kolor odwagi, kolor krwi przelanej w boju, kolor męstwa. Za sprawiedliwość. Za kraj. Za Boga. Za Mantis.

– Gotowi na wszystko!

ROZDZIAŁ 48

Światła nadjeżdżającego sedana kilka razy błysnęły. Sarah jechała w spacerowym tempie pustą drogą na terenie bazy Dover. Po obu stronach samochodu szli dwaj ciepło ubrani i uzbrojeni wartownicy. Mimo że ogrzewanie pracowało na cały regulator, przednia szyba wciąż pokrywała się parą i Sarah mogła oglądać świat tylko przez niewielkie okienko.

Reflektory błysnęły jeszcze raz i Sarah się zatrzymała. Samochody stały naprzeciw siebie w odległości kilkunastu metrów, jak dwaj rycerze szykujący się do walki na kopie. Po chwili otworzyły się drzwi sedana od strony kierowcy i z auta wysiadł Spencer Hogarth. Miał na sobie długi trencz z niezapiętym paskiem, którego końce kołysały się po bokach. W blasku samotnej latarni jego srebrne włosy lśniły jak śnieg. Powiedział coś do wartowników, którzy sprawdzili mu dokumenty, po czym zawrócili w stronę bramy. Hogarth zastukał dwa razy w dach samochodu, w którym siedziały dwie kobiety.

Sarah opuściła szybę i przyjrzała się zaciętej twarzy sekretarza obrony. Wyglądał, jakby w ciągu zaledwie jednego dnia pogłębiły mu się zmarszczki, a worki pod oczami stały się cięższe.

Czyżby tak mocno przeżył pan stres po wydaniu polecenia, żeby nas zamordować? – miała ochotę zapytać.

Wyobrażała sobie, że Hogarth myśli: *Jakim cudem żyjecie? Co się, do cholery, stało z Bryzinskim?*

– Proszę jechać za mną – powiedział.

– Dokąd?

– Tam, gdzie na pewno będziemy mogli bezpiecznie porozmawiać. Albo tam, gdzie łatwo będzie nas zabić, pomyślała Sarah.

Znów ogarnął ją strach. Miała w ręku mocną kartę, a w kieszeni na wszelki wypadek naładowanego deringera Edith, ale stał przed nią pozbawiony skrupułów i żądny władzy megaloman. Człowiek z takimi koneksjami i taką pozycją prawdopodobnie znalazłby niejedyn sposób, żeby niepostrzeżenie wywieźć z Dover ich ciała. Wartownicy zniknęli już z pola widzenia, zostawiając Edith i ją w spokoju. Najważniejsza była teraz synchronizacja. Czując, jak łomocze jej serce, Sarah skinęła głową na znak, że pojedzie za człowiekiem, który był gotowy je obie zamordować. Kluczem do sukcesu było wybudzenie ego Hogartha i jego przekonanie, że z każdej sytuacji wyjdzie cało.

Hogarth skierował się do swojego cadillaca, Sarah usłyszała dobiegający z tyłu głośny łomot.

Bryzinski!

Zmienił położenie ciała? Miał już wolne ręce? Słyszał, co się dzieje na zewnątrz?

Lęk chwycił ją za gardło, gdy Hogarth przystanął i powoli odwrócił się w stronę źródła hałasu. Sarah zdawało się, że zatrzymał wzrok na bagażniku mercedesa. Zacisnęła dłoń na rękojeści deringera i czekała na następny głuchy odgłos. Może Bryzinski dostał ataku?

– Mamy mało czasu – powiedziała do Hogartha Edith drgającym od gniewu głosem, w którym brzmiał stanowczy, pewny siebie ton.

Jej wybuch wystarczył, by odwrócić uwagę sekretarza obrony od dziwnego odgłosu. Ależ bystra dziewczyna, pomyślała Sarah.

– Załatwiamy sprawę od razu albo odjeżdżamy – dodała Edith.

– Proszę za mną – odparł Hogarth i ruszył do swojego samochodu.

Gdy kobiety zostały same, Sarah położyła rękę na dłoni Edith.

– Dobrze to rozegrałaś.

– Nienawidzę tego człowieka. Zrobię wszystko, żeby się nam udało.

Pojechały za Hogarthem labiryntem pustych dróg, oddalając się od bramy wjazdowej. Cadillac zatrzymał się przed zamkniętym hangarem. Sarah zaparkowała jak najdalej od niego, po czym obie kobiety szybko wysiadły i ruszyły w kierunku czekającego Hogartha. Z bagażnika nie dochodził już żaden dźwięk. Sarah i Edith odetchnęły z ulgą.

Zły znak: Hogarth nie sprawdził, czy któraś z nich nie ma podsłuchu. Może to zrobić, gdy będą już martwe.

Stali dwa metry od siebie zaszydzi w spokojnej i na pozór opuszczonej części bazy lotniczej. Hogarth milczał przez kilka pełnych napięcia sekund, a potem sięgnął do kieszeni płaszcza. Sarah instynktownie chwyciła deringera, ale go nie wyciągnęła.

– Dobrze, tu możemy bezpiecznie porozmawiać – rzekł Hogarth. – Czego ode mnie chcecie?

– Od naszego spotkania w restauracji nic się nie zmieniło – odparła Sarah, nie wypuszczając pistoletu z dłoni. – Mamy informacje, które pogrzebią pańską karierę, jeżeli wyjdą na jaw.

Zmierzył ją chłodnym spojrzeniem. Była pewna, że próbował się skontaktować z Bryzinskim, ale niczego nie dał po sobie poznać.

– No więc co tu robimy? – zapytał. – Sądziłem, że ma pani dla mnie nową propozycję.

– Mam. Puścimy w niepamięć Reddy Creek, uznamy zdarzenie za niebyłe, podpiszemy dokumenty, cokolwiek pan zechce, żeby czuł się pan spokojny, że sprawa Reddy Creek i innych magazynów broni nigdy nie ujrzy światła dziennego.

– W zamian za to, że Brody przyzna się do morderstwa? Mówiła pani o nowej ofercie. Ta jest stara.

– Nie, mamy niezbite dowody na to, że Brody jest winien zabójstwa z premedytacją – oznajmiła Sarah. – Mamy alibi dziurawe jak ser

szwajcarski, niepodważalny motyw i broń, z której zastrzelono Eliasa Colstona. Tak się składa, że pochodzi z kolekcji broni Brody'ego.

Po raz pierwszy na twarzy Hogartha odmalowało się zdumienie.

– Jak to się stało?

– Nieważne – rzuciła. – Ważne, że mamy tę broń.

– Czego więc pani ode mnie chce? Żebym się przyznał, że jestem winien tragedii, która spotkała tę kobietę? Nie przyznam się, bo nie miałem z tym nic wspólnego.

Hogarth wysunął rękę z kieszeni. Sarah już miała wyciągnąć deringera albo nawet strzelić przez kieszeń kurtki, ale coś ją powstrzymało. Dłoń w rękawiczce sekretarza obrony była pusta.

– Nic pan nie może zrobić, żeby wynagrodzić mi tę stratę – oświadczyła Edith.

– W takim razie słucham tej oferty albo się pożegnamy.

– Zgoda. Musi pan przerwać operację Pazur.

Hogarthowi omal szczęka nie wypadła z zawiasów.

– Co?

– Wiemy – wyjaśniła Sarah. – Wiemy o operacji Pazur i o mieszance leków psychotropowych, która została wykorzystana do stłumienia strachu żołnierzy przed śmiercią. Wiemy, że ci ludzie wyjeżdżają na misję samobójczą. Nasi terroryści przeciwko ich terrorystom.

– Nie ma mowy. Nawet gdyby rozeszły się niepotwierdzone plotki, naród amerykański stanie murem za naszym wojskiem.

Trafił. Hogarth prawie na pewno miał rację i dobrze o tym wiedział.

Przyszedł czas na wyłożenie ostatniej karty.

– Mamy Bryzinskiego – oświadczyła Sarah.

– Co?

– Wynajęty przez pana morderca dotarł aż do mojego domu i tam go postrzeliliśmy.

Sarah podała mu foliową torebkę z tłumikiem detektywa. Gdyby Hogarth połączył tę wiadomość z hałasem dobiegającym z bagażnika, byłoby po nich.

– Bzdura!

– Jak pan chce. Mamy nagrane zeznanie, w którym mówi, kto mu zapłacił. Zostawiłam oddzielne instrukcje dla moich dwóch wspólników, gdzie mogą znaleźć nagranie i Bryzinskiego.

Hogarth zamyślił się, analizując nową wiadomość. W tym momencie Sarah usłyszała łomot w bagażniku. Z trudem powstrzymała się przed spojrzeniem w stronę samochodu albo na Edith.

– Chcę dowodu na to, że on żyje – zażądał w końcu Hogarth.

Blef nie mógł się przeciągać w nieskończoność.

– Dowód będzie taki, że odliczymy od pięciu do zera – powiedziała Sarah z nową energią. – Zgodzi się pan odwołać operację Pazar i powiemy, gdzie znajdzie pan swojego grubego koleżkę. Jeżeli doliczę do zera, odjeżdżamy. Zabijając nas, nic pan nie zyska. Rano policja i media będą mieli wszystko, co trzeba, żeby zdjąć pana ze sceny i wsadzić za kratki.

– Chwilecz...

– Pięć – zaczęła Edith.

– To wszystko... jest poważniejsze, niż sobie wyobrażacie – wyjąkał Hogarth. – Nie robimy tego bez powodu.

– Cztery.

– Nie mogę ot tak tego przerwać. Rozumiecie, co robicie? Ile ta operacja wymagała planów i przygotowań? Narażacie na niebezpieczeństwo życie Amerykanów.

– Trzy.

– Jezu! Dajcie mi jeszcze chwilę.

– Dwa.

Edith wzięła Sarah pod ramię i odwróciła ją w stronę, gdzie czekał mercedes.

– Dobrze! Zgoda! Zrobię to! Odwołam! Chryste, przerwę operację. Wracajcie do samochodu i jedźcie za mną.

ROZDZIAŁ 49

Lou przyglądał się posępnej procesji żołnierzy Mantis, którzy wspinali się po przenośnych schodkach na pokład transportowca. Za wszelką cenę pragnął ich powstrzymać, ale w sytuacji, w jakiej się właśnie znalazł, nie mógł nawet próbować. Razem z Capem i Papą Steve'em mieli ręce skute na plecach plastikowymi kajdankami, które nałożyło im dwóch żołnierzy – Lou przypuszczał, że z Gwardii Pałacowej – a potem kazano im uklęknąć na zimnym asfalcie. Żołnierze odlatujący na operację Pazur zaczęli, aż zostaną wezwani żandarmi z bazy, a potem odwrócili się do nich plecami i zaczęli wsiadać do samolotu.

W blasku reflektorów Lou dokładnie widział świetnie zorganizowane przygotowania do odlotu. Broń i pozostały ekwipunek sprawnie przenoszono do ładowni potężnego dwusilnikowego odrzutowca. Członkowie oddziału operacji Pazur, ubrani w stroje maskujące i ciemne buty bojowe, jeden po drugim wchodzili przez otwarte drzwi kabiny. Gdy ostatni z nich zniknął w środku, Lou, klęcząc w ciemności i chłodzie, zaczął cicho płakać.

Cap, który już doszedł do siebie po obezwładnieniu przez paralizator, klęczał między nim a Papą Steve'em.

– Wyglądają, jakby wybierali się do Disneylandu – powiedział. – Normalny lot zwykłym samolotem. Co to w ogóle za maszyna?

– Boeing C-czterdzieści Clipper, wojskowa wersja siedemset trzydzieści siedem – wyjaśnił Papa Steve. – Marynarka używa go do

wsparcia logistycznego.

– Wsparcie logistyczne, pierdu, pierdu – rzucił Cap. – Myślisz, że piloci wiedzą, że przed końcem misji wszyscy pasażerowie zginą?

– To nie tak, przyjacielu. Żołnierzy szkoli się do wykonywania rozkazów. Ci ludzie robią to, co do nich należy. Uważają, że tak trzeba. Lou myśłami był gdzie indziej.

– Dałem Sarah za mało czasu na załatwienie sprawy z Hogarthem – rzekł. – Ta totalna kłapa to moja wina.

Papa Steve odwrócił się i popatrzył mu w oczy.

– Doktorze, mamy Brody'ego na widelcu, możemy udowodnić, że popełnił morderstwo. Nie nazwałbym tego totalną kłapą. Ludzie z AA podobno wierzą, że da się zrobić tylko tyle, ile się da.

– Smutne, Welcome, że musi ci o tym przypominać normalny – zauważył Cap, używając określenia na niealkoholika stosowanego przez ludzi ze wspólnot AA. – Jako twój patron niniejszym zalecam ci więcej mityngów, a mniej użalania się nad sobą.

– Jest jeszcze czas – rzekł Papa Steve. – Posłuchajcie starego doświadczonego wygi. Dopóki Brody nas nie rozwali, wszystko się może zdarzyć.

W oddali pojawiły się światła dwóch nadjeżdżających samochodów. Żandarmi, pomyślał Lou. Wyglądało na to, że dzięki żołnierzom z oddziału operacji Pazur Brody nie będzie już miał okazji użyć żadnego podstępu... przynajmniej na razie. Kiedy przez pomruk odrzutowca można już było usłyszeć silniki samochodów, wóz jadący na przedzie zaczął trąbić i błyskać światłami. Ażyl. Samochody żandarmerii miały ich odeskortować do aresztu gdzieś na terenie bazy – daleko od Wyatta Brody'ego.

W tym momencie Lou zorientował się, że to nie wozy wojskowe, ale cywilne, a pierwszym był mercedes. Sarah!

– No, skoro mają człowieka odstawić do pierdła, to nie zaszkodzi pojechać z klasą – odezwał się Cap.

– Jestem prawie pewien, że to nie są żandarmi – powiedział Lou.

Wszystko się może zdarzyć.

Drugi samochód, czarny cadillac escalade, nagle przyśpieszył, wyprzedził mercedesa i ostro zahamował tuż przed schodkami prowadzącymi na pokład transportowca. Drzwi od strony kierowcy gwałtownie się otworzyły i wypadł zza nich sekretarz obrony Spencer Hogarth, krzyząc:

– Brody! Gdzie jesteś, Brody, do cholery? Niech ktoś mi znajdzie Brody’ego!

Mercedes zatrzymał się około dziesięciu metrów za cadillakiem. Sekundę później wyskoczyła z niego Sarah, a za nią wysiadła kobieta w ciemnych okularach i kurtce obszytej futerkiem, wymachując składaną laską. Edith! Oczy Sarah błyskawicznie odnalazły wzrok Lou, a on dostrzegł w nich wyraz triumfu.

– Natychmiast uwolnić tych ludzi! – krzyknęła Sarah do pełniących straż żołnierzy Mantis.

– Przykro mi, proszę pani, ale ci ludzie zostaną zatrzymani przez żandarmerię. Z rozkazu pułkownika Brody’ego.

– To się jeszcze okaże. Jesteście cali i zdrowi?

Nie zważając na wartowników, pomogła trzem więźniom wstać. Z góry spoglądali na nich żołnierze oddziału operacji Pazur, przyciskając twarze do okien samolotu.

– Gdzie jest Brody, Lou? Hogarth dostaje szału. Kiedy mu powiedziałam, że mamy niezbity dowód, że to Brody zabił Eliasa Colstona, o mało mu serce nie stanęło. Doszliśmy do porozumienia w sprawie operacji Pazur, o którym ci zaraz opowiem, a potem po prostu sfiksował.

– Jakiś czas temu widziałem, jak Brody wsiadał do samolotu – powiedział Cap. – Może w końcu jednak postanowił polecieć na misję albo próbował naprawić nos, który mu przefasonowałem.

– Misji nie będzie – oświadczyła Sarah. – Sekretarz Hogarth dopilnuje tego. Trzymajcie się. Zdejmiemy wam te kajdanki, ale najpierw musimy znaleźć Brody’ego.

Kilku żołnierzy wyszło po schodkach z samolotu, żeby sprawdzić, co to za zamieszanie. Tymczasem Hogarth wciąż wykrzykiwał nazwisko Brody’ego. Lou widział już wybuchy wściekłości, ale przede wszystkim w wykonaniu zamroczonych alkoholem pacjentów, których często razem z sanitariuszami i ochroną szpitala Eisenhower Memorial musiał poskramiać. Gniew miotający Spencerem Hogarthem wykraczał daleko poza niemal wszystkie dotychczasowe doświadczenia Lou. Wyglądało to tak, jakby człowiek siedzący blisko prawej ręki prezydenta na dobre pożegnał się z rozumem. Jak oszalały kręcił się przed samolotem, a jego trencz łopotał niczym peleryna. Z zastygłych w grymasie wściekłości ust pryskała ślina. Oczy miał dzikie, a policzki szkarłatne.

– Wyatt Brody! Pokaż się, draniu. Ty pieprzony głupi morderco. Wyłaż, skurwysynu! Słyszysz mnie? Gdzie Brody?

U góry schodów zapanowało poruszenie. Żołnierze Mantis, którzy zebrali się na dole, rozstąpili się jak biblijne Morze Czerwone. Z kabiny samolotu wyłonił się Wyatt Brody w rozpiętej kurtce, z rękami na biodrach, i stanął jak papież na balkonie. Miał spuchnięty i przebarwiony nos. Jego twarz, ponura jak chmura gradowa, na widok Hogartha pociemniała ze złości.

– Co to ma znaczyć?! – krzyknął. – Co ty wyrabiasz, Spencer?!

– Co wyrabiam? Próbuję ograniczyć straty, bo odszedłeś od planu.

Lou przyglądał się zaintrygowany, jak Brody zbiega po schodkach, by rozprawić się ze swoim mentorem. Gdy pułkownik znalazł się na

pasie startowym, stanęli oko w oko, purpurowi na twarzy, jak dwa rozjuszone samce alfa walczące o utrzymanie panowania w stadzie.

– Co ty wygadujesz, Spencer? Przecież to jest nasz plan. Z całym szacunkiem, musisz chyba odzyskać kontakt z rzeczywistością.

– Gdybyś nie zabił Eliasa Colstona, do niczego by nie doszło.

– Do cholery, nie wiem, o czym ty mówisz! Przecież nic takiego...

– Dość! Już wiedzą, Wyatt. Wiedzą o operacji Pazur i Mantis. Wiedzą o magazynach broni. Trzeba to zakończyć i zająć się zmniejszeniem szkód i ograniczeniem strat. To rozkaz do natychmiastowego wykonania.

– Spencer, lepiej się cofnij i zastanów, co wygadujesz. Misji nie można przełożyć na inny termin. Mamy dziesięć ważnych obiektów do likwidacji. Operacja Pazur dostała zielone światło.

– Tylko z moim błogosławieństwem! – wrzasnął Hogarth. – To ja nadzoruję misję i ja zabraniam ją kontynuować. Cywile, Brody. Cywile wiedzą, co robimy. Rozumiesz, co to znaczy? Zdajesz sobie sprawę z konsekwencji?

– Zdaję sobie sprawę, że w tym momencie nie zachowujesz się racjonalnie. Chcesz zaprzepaścić lata planowania i ciężkiej pracy. Mojej pracy, niech cię szlag! Nie wiem, o co ci chodzi, ale wiem, że się nie wycofam.

– Chodzi o zabójstwo Eliasa Colstona, idioto! – krzyknął Hogarth, opryskując dowódcę Mantis kropelkami śliny. – Dlatego mamy do czynienia z poważnym naruszeniem przepisów bezpieczeństwa. Colston nie był żadnym zagrożeniem, Wyatt. Nie ujawniłby działań Mantis. Źle go oceniał, a zapłaciliśmy za to wszyscy. Ustąp w tej chwili. Koniec z Mantis. Koniec z operacją Pazur. To decyzja ze skutkiem natychmiastowym.

– Oszalałeś!

– Nie będę tolerował takiej niesubordynacji. Misja zostaje zakończona.

– Nie! Nic nie jest zakończone, dopóki nie powiem, że jest zakończone. Nic! Lepiej weź się w garść i daj nam spokój, Spencer. Mówię poważnie.

Lou i Sarah wymienili zaskoczone spojrzenie.

Hogarth umilkł. W jego oczach zamigotał jednak jeszcze dzikszymi błysk, twarz wykrzywiła się w jeszcze bardziej obłąkanym grymasie.

– Wystarczy. Z tobą już skończyłem – oświadczył upiornie spokojnym tonem. – Zwalniam cię ze stanowiska dowódcy. Ze skutkiem natychmiastowym.

– W czyim imieniu?

– W czyim imieniu? – powtórzył z niedowierzaniem Hogarth. – Może we własnym, nie sądzisz? Na litość boską, jestem sekretarzem obrony i to ja decyduję o kontynuowaniu albo odwołaniu operacji Pazur.

Z kieszeni płaszcza Hogarth wyciągnął pistolet i wycelował w brzuch Brody'ego.

– Dużo już kosztowałeś kraj, Wyatt. Naprawdę bardzo dużo. Powiedz swoim ludziom, że misja jest zakończona.

– Nie zamierzam tego robić – odparł Brody.

– Powiedz im, że to koniec! Już!

– Nie! Żołnierze, natychmiast wracać do samolotu. Spencer, cholera, oddaj mi broń. Pogadamy o tej sprawie po starcie samolotu. Misja dostała zielone światło! Nikt nie będzie mi zabraniał!

Sięgając po pistolet u pasa, Brody natarł na swojego mentora. Broń Hogartha bluznęła dwoma błyskami i grudniową noc rozdarły dwa suche trzaski przypominające strzały z bata.

Brody zatoczył się metr do tyłu, chwytając się za brzuch. Przez koszulę przesączała się krew i zaczęła mu wyciekać między palcami.

Pułkownik spojrział z głęboką zgrozą na źródło bólu, a potem popatrzył zamglonymi oczami na Hogartha – jak zdumione dziecko na agresywnego rodzica.

Dlaczego mi to zrobiłeś? Dlaczego?

Brody uniósł pistolet. Krew wciąż spływała nieprzerwanym strumykiem na asfalt między jego stopami. Próbował wycelować, ale ręka zaczęła mu gwałtownie drżeć.

– Sam to na siebie ściągnąłeś – powiedział Hogarth i strzelił jeszcze raz.

Brody zwałił się martwy na ziemię, a wokół nieruchomego ciała utworzyła się kałuża krwi i coraz bardziej się powiększała.

Sekretarz obrony opuścił broń i odwrócił się do wpatrujących się w niego żołnierzy Mantis.

– Chciał mnie zabić – oznajmił bez cienia skruchy. – Wszyscy jesteście świadkami. Chciał mnie zabić.

ROZDZIAŁ 50

Wiatr rozproszył dym rozchodzący się z pistoletu Spencera Hogartha. Unosząc ręce, ale nie chowając broni, sekretarz obrony kilka razy zatoczył koło przed żołnierzami, przekonując kilkudziesięciu świadków, że działał w obronie własnej.

– Wszyscy widzieliście! – wołał. – Brody chciał mnie zabić. Nie miałem wyboru. Niech ktoś wezwie karetkę!

Zdawało się, jakby jego apel zdjął z wszystkich urok. Czterech żołnierzy Mantis podbiegło do Brody'ego; jeden z nich zorganizował apteczkę polową, jakby cokolwiek mogło jeszcze uratować życie ich dowódcy. Hogarth wciąż się obracał, rozglądając się obojętnie, dopóki jego wzrok nie zatrzymał się na Lou i jego towarzyszach – nie patrzył na nich, a raczej taksował.

Kim są ci ludzie?

Dlaczego mają kajdanki?

Dlaczego w ogóle się tu znaleźli, skoro misja jest ściśle tajna?

Czy jeden z nich ma mundur Mantis?

– Rozkuć tych ludzi! – rozkazał, jakby chciał sprawdzić, czy ma jeszcze posłuch wśród wojska.

Przez dłuższą chwilę nikt nie reagował; potem dwaj marines podeszli do zatrzymanych i rozcięli im kajdanki. Lou rozmasował nadgarstki. Cap i Papa Steve wyglądali na spokojniejszych niż on.

– Kim jesteście i co tu robicie? – zwrócił się do Papy Steve'a sekretarz obrony, jak gdyby w ogóle nie było tu zwłok człowieka,

którego przed chwilą zastrzelił.

– Kapitan Steve Papavassiliou z kompanii Mantis, panie sekretarzu! A to moi towarzysze, doktor Lou Welcome i Cap Duncan. Panie admirale, proszę odłożyć broń.

Hogarth zupełnie nie zwrócił uwagi na jego słowa. Patrzył na niego, jakby Papa Steve był przezroczysty. Po chwili skupił uwagę na Lou.

– Gdzie jest narzędzie zbrodni? – zapytał. – Broń, z której Brody zamordował Eliasa Colstona?

– W bezpiecznym miejscu – odrzekł Lou, nie dziwiąc się, że Hogarth domyślił się, na czym polega jego rola w tej sprawie. – Nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Rozumiem. – Hogarth nadal trzymał pistolet w opuszczonej ręce.

Lou poczuł, że Cap napina mięśnie i wiedział, że przyjaciel szykuje się do ataku, tak jak rzucił się na Brody'ego.

– Nie, Cap, przeczekaj go – powstrzymał przyjaciela prawie szeptem.

Lou drżał. Nie ze strachu, ale z wściekłości. Miał wrażenie, jak gdyby ten człowiek stał kompletnie nagi na oficjalnym przyjęciu i zachowywał się tak, jakby wszystko było w absolutnym porządku. Zapragnął sam skoczyć na Hogartha i tłuc go niemal po kres jego haniebnego żywota. Miał przed sobą człowieka, który oślepił Edith i wynajmował morderców, aby pozbyć się niewygodnych ludzi. Człowieka, który miał obsesję na punkcie władzy i kontroli, który zaaranżował śmierć wielu żołnierzy marines w akcjach bojowych. Połowę dwugłowej bestii znanej pod nazwą Mantis.

Żołnierze Mantis i major Coon gorączkowo wzywali pomocy przez radio.

– Mamy chyba bardzo poważny problem, panowie – ciągnął Hogarth, nie odrywając wzroku od Lou. – Problem, który wymaga od

was wszystkich niezwyklej dyskrecji.

– Z całym szacunkiem, kolego – odezwał się Cap, robiąc pół kroku naprzód – ale masz chyba na głowie poważniejsze kłopoty, żeby się przejmować, co powiemy albo czego nie powiemy.

Zdumiony i zszokowany Hogarth zmierzył go wściekłym spojrzeniem.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz, ty... śmieciu. To, co usłyszeliście, co widzieliście, co wiecie, nie może zostać ujawnione. Ani teraz, ani nigdy. Uzyskaliście dostęp do najbardziej poufnych informacji. To akcja CIA, czarna operacja wojskowa. Ściśle tajna. Za chwilę możecie usłyszeć zarzut zdrady. Być może, jeżeli będziecie skłonni do współpracy i zachowacie milczenie, my, mam tu na myśli rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki, będziemy skłonni do negocjacji.

– Doceniam propozycję od tak szlachetnego człowieka jak ty – powiedział Cap, wysuwając się naprzód jeszcze o parę centymetrów. – Naprawdę. Ale kiedy mówiłem o poważniejszych kłopotach, które masz na głowie, nie chodziło mi o leżącego przy schodach faceta, którego zastrzeliłeś.

Hogarth był wyraźnie zbity z tropu.

– Proszę się odwrócić, panie sekretarzu – poradził Lou. – Wtedy chyba zrozumie pan, o czym mówi mój przyjaciel.

Hogarth obrócił się na pięcie. Przed mercedesem stały Sarah i Edith, podtrzymując między sobą mocno chwiejącego się na nogach Chrisa Bryzinskiego. Detektyw miał ręce skrepowane za plecami, a przez prowizoryczny opatrunek uciskowy na grubej nodze przesączała się krew. Prawie całym ciężarem ciała opierał się na drugiej nodze.

Hogarth popatrzył na policjanta, a potem na Sarah.

– Mieliśmy umowę – powiedział. – Cholera jasna, mieliśmy przecież umowę!

Posłała mu drwiące spojrzenie i rozłożyła ręce.

– Niech mnie pan pozwie do sądu – odparła.

Hogarth jak oszalały kręcił się w kółko, patrząc po wszystkich twarzach, jakby u każdego szukał ratunku.

– To koniec – rzucił Lou. – Nic już więcej nie zrobisz. Koniec.

Chyba po raz pierwszy Hogarth zdał sobie sprawę, że nadal trzyma pistolet. Z odległości trzech metrów podniósł drżącą ręką broń i wycelował w Lou.

– Odsuń się – rozkazał. – Wypuść mnie.

– I dokąd pójdziesz? – spytał Lou. – Zlecałeś zabójstwa niewinnych cywilów, okradałeś nasz kraj, zatwierdzałeś misje samobójcze. Dokąd chcesz uciec?

Hogarth cofnął się, celując z lufy pistoletu to w jedną osobę, to w drugą.

– Myślicie, że robiłem to dla chwały? Dla władzy?! – krzyknął, obracając się, jak gdyby grał w sztuce wystawianej na scenie en ronde. – Robiłem to, żeby wygrać wojnę z terroryzmem. Żeby ratować ludziom życie! Nasi wrogowie nie boją się śmierci. Witają ją z radością. Na litość boską, nawet o nią proszą! Mają nad nami przewagę. Nie rozumiecie? Trzeba odpowiadać ogniem na ogień. Na tym polega nasza misja. I wypełniamy ją. Dzięki Mantis nasz kraj jest silniejszy. Niech cię szlag, Cooper, mieliśmy umowę!

Uniósł broń i wymierzył w Sarah. Lou i Cap uznali, że już dość widzieli. Dwaj partnerzy sparingowi ramie w ramie rzucili się na niego. Kiedy jednak znaleźli się tuż przy nim, Hogarth szybkim i zdecydowanym ruchem zrobił krok do tyłu, wsunął sobie do ust lufę pistoletu i nacisnął spust. Strzał był dziwnie stłumiony, ale skuteczny. Z tyłu czaszki trysnęły odłamki kości jak szkarłatne płatki śniegu. Ręce Hogartha zwiotczały, a kolana zgięły się prawie jak u tancerza.

Runął na ziemię, niewiele ponad metr od swojego protegowanego. Płaszcz rozłożył się pod nim niczym skrzydła gigantycznej modliszki podrywającej się do lotu.

ROZDZIAŁ 51

Migające światła na skrzydłach boeinga C-40 clippera malowały zimową noc kalejdoskopowymi kolorami. Zdaniem Lou, bardziej przypominało to ostatnie słabe tchnienia żywego monstrum, które kiedyś potrafiło latać. W pewnej odległości od ciał Hogartha i Brody'ego stała niewielka grupa ponurych mężczyzn. Przyjechali żandarmi, a teraz wzywali przez radio swoich przełożonych i pomoc medyczną.

Grupa składała się ze wszystkich osób związanych z operacją Pazur. Tuż przed przyjazdem żandarmów Lou skończył wygłaszać płomienną mowę i spoglądał teraz po wszystkich, szukając potwierdzenia. *Zgodzicie się na ten plan?*

Sarah stała obok mercedesa razem z Edith, Papą Steve'em i Capem. Bryzinski siedział z tyłu. Lou widział napięcie na twarzy każdego z nich. Na jego prośbę nie słuchali, co mówił żołnierzom. Czy Lou udało się ich przekonać? Wątpliwości narastały z każdą upływającą sekundą, aż wreszcie padła odpowiedź.

– Gotowi na wszystko!... Mantis, gotowi na wszystko!

Lou skinął głową.

– Gotowi na wszystko – powtórzył.

Gdy nadeszła pierwsza fala pomocy, krąg się rozpadł i Lou ruszył ku pozostałym. Zapiął suwak kurtki, czując nagły podmuch chłodu.

– Zaczęliśmy przygotowywać grunt pod to, co ma nastąpić – powiedział, po czym zwrócił się do Papy Steve'a: – Słuchaj, jeżeli inni

nie mają nic przeciwko temu, może trochę się przejdziemy?

– Jasne, Lou. Pewnie.

Otoczył ramieniem szerokie barki Papy Steve'a i oddalili się od grupy. Zatrzymali się w ustronnym miejscu za stertą pustych palet. Ich zmęczone, wymizerowane twarze oświetlał upiorny żółtawy blask reflektora zamontowanego na dużym stalowym hangarze.

– Odtąd sprawy dopilnuje Coon – zaczął Lou. – Jest najwyższym rangą oficerem na miejscu. Skoro udało się dojść do porozumienia, sprowadzi wojskowych śledczych.

– Co to za porozumienie? – spytał Papa Steve.

Na widok jego miny Lou poczuł ucisk w sercu.

– Misja pozostanie tajemnicą – odparł. – Inne rzeczy też.

– Inne rzeczy, czyli...

– Mantis. Od tej chwili nie ma żadnej operacji Pazur. Podobnie jak Manola, kartelu ani nawet napoju. Nic takiego nigdy nie istniało. Nikt o niczym nie wie. Coon i CIA zajmą się Manolem. Trzeba doprowadzić wszystko do końca.

– Chyba rzeczywiście tak będzie lepiej. Odwaliłeś dzisiaj kawał roboty, przyjacielu. Naprawdę porządny kawał. Cap zresztą też. Niezły z niego aparat.

– To mało powiedziane.

– Dzięki, że pogadałeś z żołnierzami. Patrzyłem na ich twarze. Nie obraż się, ale cieszę się, że posłuchali cywila.

– Nie obrażam się. Nawet zepsuty zegar dwa razy na dzień pokazuje dobrą godzinę.

– Co teraz? – zapytał Papa Steve.

– Teraz pogadamy.

– O czym?

– O twoich przyjaciółach.

– Moich przyjaciółach?

– Nie tylko o Capie można powiedzieć, że niezły z niego aparat. Z ciebie też nie gorszy, a świadczą o tym twoi przyjaciele. Sporo ich masz. Na dodatek bardzo użytecznych.

– O co ci chodzi, Lou?

– Od naszego pierwszego spotkania byłem pod dużym wrażeniem, że za każdym razem, gdy potrzebowałeś pomocy, zawsze znalazł się pod ręką uczynny przyjaciel. Policjant, który dał mi upomnienie, kolega, od którego pożyczyłeś helikopter, żeby się ze mną spotkać na polu golfowym, kumpel z restauracji. To świetnie o tobie świadczy i mówi, jakim jesteś człowiekiem. Ale jeden z twoich przyjaciół zrobił na mnie większe wrażenie niż inni, ten, który tak dobrze znał się na broni i balistyce.

– Można chyba powiedzieć, że mam dużo szczęścia.

Lou przyglądał mu się uważnie, nie mogąc się nadziwić jego umiejętności panowania nad sobą.

– Parę dni temu – ciągnął – poleciałem do Minnesoty zobaczyć się z doktorem Sherwoodem, dyrektorem kliniki Pine Forest. Okazuje się, że on i Elias należeli do tego samego bractwa studenckiego na Uniwersytecie Wirginii. Dlatego właśnie Elias zwrócił się do niego. Z początku doktor obawiał się, że łamie zasady poufności i nie chciał mi nic powiedzieć. Ale później, gdy dotarło do niego, co grozi Gary’emu McHugh, zmienił zdanie i kazał swojej sekretarce zadzwonić do mnie i przekazać, że Elias rzeczywiście był ich pacjentem. Kiedy wróciłem do Waszyngtonu, zadzwonił do mnie sam i podał więcej informacji. Elias umierał na przewlekłą białaczkę szpikową, w której występuje tak zwany chromosom Filadelfia, prawie niemożliwą do skutecznego wyleczenia. Zostało mu pół roku życia, może trochę więcej, przy bardzo dokuczliwej terapii.

– Opowiadaj dalej.

– Czy mówi ci coś nazwisko James Styles?

– A powinno?

– Pod takim nazwiskiem Elias był znany w klinice. Doktor Sherwood kontaktował się z nim przez skrytkę pocztową w Bowie w Marylandzie.

– Dużo się dowiedziałeś w tak krótkim czasie – przyznał Papa Steve. – Nic dziwnego, że tak mi zaimponowałeś.

– Chyba nikt nie wiedział, że Elias umiera, pewnie nawet Jeannine. Nikt z wyjątkiem ciebie.

– Lou, to nie...

Lou łagodnym ruchem położył ręce na ramionach Papy Steve'a.

– Dość już tych gierek, Steve – rzekł bez cienia wrogości. – Wiem, co zrobiłeś, i rozumiem dlaczego.

Przez pewien czas milczeli.

– Miałem nadzieję, że wszystko rozejdzie się po kościach – odezwał się wreszcie Papa Steve. – Od dawna wiesz?

– Zacząłem coś podejrzewać, kiedy mi powiedziałeś, że nie mogłeś śledzić Brody'ego, bo uniemożliwia ci to Gwardia Pałacowa. Wydawało mi się, że jesteś na nich za sprytny. Zacząłem się więc zastanawiać, dlaczego chcesz chronić jego tajemnicę. Z powodu Marka Colstona. Chroniłeś swojego chrześniaka. Nie chciałeś, żebym to ja znalazł tę płytę, prawda?

– Oczywiście, że nie. Miała ją znaleźć policja. Bardziej nie mogłem ułatwić jej zadania. To była jedyna ramka w całym gabinecie, która stała odwrócona tyłem. Brakowało tylko, żebym zawiesił na suficie strzałkę, gdzie mają szukać. Ten pajac Bryzinski i jego ludzie powinni ją znaleźć, przesłuchać, a potem pomaszerować prosto do domu Brody'ego.

– Śledztwo w sprawie morderstwa kongresmena byłoby intensywne i Brody znalazłby się pod ogromną presją, zwłaszcza gdyby do sprawy włączył się twój znajomy ekspert od balistyki.

– Tyle że Elias nie wiedział o romansie Jeannine z twoim kumplem Garym – dodał Papa Steve, kończąc myśl Lou. – Kiedy Bryzinski miał głównego podejrzanego, śledztwo umarło śmiercią naturalną. Policja przeszukała gabinet Eliasa po łebkach, bo miała w areszcie sprawcę.

– Wtedy pojawiłem się ja – powiedział Lou.

– Na scenę wchodzi Lou Welcome.

– Zostałem policją *per procura*, człowiekiem, któremu przekazywałeś tylko tyle informacji, żeby szedł tropem Brody’ego.

– Tak jest. Chciałem, żebyś odwrócił uwagę policji od Gary’ego i wskazał jej Brody’ego. A zrobiłeś o wiele więcej, niż się spodziewałem.

– Masz na myśli to, że pojechałem za Brodym i dowiedziałem się o narkotykach i eliksirze Mantis.

– Chciałem, żebyś znalazł narzędzie zbrodni, nic więcej.

– Bo nie chciałeś, żebym poznał prawdę o Mantis.

– Elias miał zginąć dlatego, że wiedział o Reddy Creek. Taki był motyw morderstwa – powiedział Papa Steve. – Brody kradł broń z powodu cięć budżetowych, a Elias to odkrył. Tak w każdym razie twierdziłaby prokuratura, gdyby policja znalazła płytę i zrobiła to, co powinna, idąc tym tropem tam, dokąd prowadził.

– Słabe podstawy oskarżenia, jeżeli nie ma narzędzia zbrodni – zauważył Lou. – Całe szczęście, że dałem ci raport balistyczny.

– Elias natknął się na sierżanta z sekcji logistyki, który był skłonny zeznawać przeciwko Brody’emu. Mógłby dostarczyć poszlaki łączące Brody’ego i Hogartha z kradzieżami broni z magazynów na całym Wschodnim Wybrzeżu. Ale było potrzebne narzędzie zbrodni. Nie mógłbym ot tak wpaść na komendę policji i powiedzieć: „Proszę, to chyba jest pistolet, z którego zastrzelono Eliasa Colstona”. Musiałem znaleźć inny sposób, żeby broń trafiła we właściwe ręce.

– To było pewnie dla ciebie okropne – rzekł Lou.

– Zastrzelenie Eliasa? Zabicie najlepszego przyjaciela? Tak, Lou, bardziej niż okropne. Najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek musiałem zrobić. Cały czas odmawiałem, ale Elias nie dawał mi spokoju. Uczepił się jak terier szczura. – Papa Steve odwrócił wzrok i wierzchem dłoni otarł oczy.

– I w końcu się zgodziłeś.

– Wyobraź sobie, że Cap cię prosi, żebyś go zabił – odparł Papa Steve. – A ty wiesz, że trzeba to zrobić. Intuicja ci mówi, że tak po prostu musi się stać. Trzeba było powstrzymać Brody’ego.

– Dlatego przeniosłeś się do Mantis – powiedział Lou.

– Zanim jeszcze Elias zachorował, oczywiście. Miał swoje podejrzenia co do Mantis i Brody’ego. Dziwnie bohaterska śmierć Marka, doktorat Brody’ego, incydent w Reddy Creek i blog, który przestał istnieć. Ale nie miał żadnego twardego dowodu.

– Zapuściłeś korzenie w Mantis, żeby mieć na oku Brody’ego. Tak się dowiedziałeś o eliksirze Mantis. Wiedziałeś od początku.

– Mark i inni zginęli niewiarygodnie waleczną śmiercią. Elias i ja nie chcieliśmy zrobić niczego, co by splamiło ich dobre imię. Musieliśmy wyeliminować Brody’ego tak, żeby nikt się nie dowiedział o narkotykach, którymi co dzień faszeruje swoich ludzi.

Lou nie potrafił się już dłużej powstrzymać. Objął Papę Steve’a, nie próbując nawet tamować łez. Prawdziwym bohaterem tej historii był człowiek, który stał przed nim.

– Jestem cholernie dumny, że cię poznałem – wyznał Lou.

– Kiedy znalazłeś płytę, chciałem tylko, żebyś pomógł przekazać ten pistolet właściwym ludziom. Nic więcej.

– I ostatecznie nikt nie miał się dowiedzieć o Mantis – dodał Lou. Papa Steve skinął głową.

– Tego chciał Elias. Za to zginął.

– Skoro nie ma już Brody’ego, nie będzie też Mantis – rzekł Lou.

– I tajemnicy Mantis. Musieliśmy zlikwidować Brody’ego, nie pokazując światu prawdy, nie zostawiając żadnej plamy na grobach tych bohaterских chłopaków. Na zawsze kojarzono by ich wtedy z najbardziej okropnym eksperymentem na ludziach od czasów nazistów. To by było ich dziedzictwo. Zrobiłem to, co trzeba było zrobić, dla Marka i dla reszty.

– Gotowi na wszystko – powiedział Lou. – Wybrałeś tamten dzień, bo wiedziałeś, że Brody jeździ na spotkania z Manolem w każdą środę. Wiedziałeś, że nie będzie miał wiarygodnego alibi. Twierdziłby, że był na paradzie wojskowej, bo nie mógłby się przyznać, dokąd naprawdę pojechał.

– Elias musiał coś powiedzieć Jeannine – dodał Papa Steve. – Oczywiście, nie wiedziała, że to ostatnie pożegnanie. Ale jestem pewien, że mówił od serca, bo chociaż może nie poświęcał jej dosyć czasu i uwagi, to kochał Jeannine całą duszą.

– To był pocałunek – wyjaśnił Lou, przypominając sobie jej słowa. – Bardzo niezwykły pocałunek.

– W każdym razie wszystko jedno, co jej powiedział czy zrobił, na pewno zrozumiała, że związek z Garym to błąd, więc go zakończyła.

– A zgnębiony Gary pojawił się u Colstonów pijany. W niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie.

– Musiał przyjechać zaraz po moim wyjściu – dodał Papa Steve. Na chwilę zamilkli.

– Jak poszło z żołnierzami, Lou? – zapytał w końcu Papa Steve. – Co powiedzą światu?

– Wyatt Brody i Spencer Hogarth opracowali i realizowali plan masowej kradzieży broni, żeby w ten sposób obejść uchwalone przez Kongres cięcia budżetowe i utrzymać kompanię Mantis w pełnej gotowości bojowej – zaczął Lou. – Mantis była ukochanym dzieckiem Hogartha, Brody’ego zresztą też. Wydaje się logiczne, że byli gotowi

zrobić wszystko, żeby ją chronić. Elias dowiedział się o Reddy Creek i dlatego Wyatt Brody zabił go w środę rano. Jest dowód w postaci nagrania wideo, gdzie widać, jak Brody wychodzi z parady wojskowej w dniu morderstwa Colstona. Jeżeli chodzi o narzędzie zbrodni, to na twoją prośbę pokazałem ci raport z analizy balistycznej. Dobrze znasz się na broni. Zasugerowałeś mi, że bronią, z której zastrzelono Eliasa, może być zabytkowy wojskowy pistolet Colta z bogatej kolekcji broni Brody'ego. Tak się składa, że lufa pistoletu ma gwint z sześcioma lewoskrętnymi bruzdami. Zdobyłeś tę broń... nie wiem, w jaki sposób... i przekazałeś mi. Przeprowadziliśmy testy i wynik porównania okazał się pozytywny. Brody zamierzał się przyznać, bo wiedział, że jest w potrzasku. Hogarth nie chciał na to pozwolić, więc zabił Brody'ego na oczach kilkudziesięciu świadków. Gdy Hogarth uświadomił sobie, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia, postanowił odebrać sobie życie. I tyle. To wszystko, co się tu stało. I potwierdzą to wszyscy w Mantis, łącznie z Coonem.

– Ktoś ci kiedyś mówił, że niezły z ciebie aparat? – zapytał Papa Steve.

ROZDZIAŁ 52

W sali rozpraw ukrytej na trzecim piętrze w labiryncie budynku sądu okręgowego hrabstwa Baltimore wszystkie miejsca byłyby zajęte, gdyby prasa dowiedziała się o złożonym przez Sarah w nagłym trybie wniosku o oddalenie zarzutów przeciwko doktorowi Gary'emu McHugh. Choć nie ustalono jeszcze daty rozpoczęcia procesu, opinia publiczna miała sprawę świeżo w pamięci między innymi dlatego, że jej bohaterowie należeli do stołecznej elity, że dotyczyła napiętnowanego trójkąta i że poświęcono jej specjalne wydanie *Dateline*. Ludzie byli głodni nowych faktów, a Sarah Cooper już wkrótce miała odpalić prawdziwą bombę.

Wśród kilkunastu obserwatorów w miejscach dla publiczności siedzieli Lou i Cap. Sędzia Sandra Griffey, czarnoskóra kobieta o surowej twarzy, ciesząca się opinią sprawiedliwej i niezrównanej prawniczki, przeglądała wniosek, który Sarah złożyła przed zaledwie kilkoma dniami. Asystentka sędzi i protokolantka siedziały przy swoich biurkach w oczekiwaniu na dalszy ciąg sprawy, który, jak przypuszczał Lou, miał być zaskakujący. Przedstawiciele powoda, w tym przypadku stanu Maryland, mieli ponure i przygnębione miny. W przeciwieństwie do nich Sarah i Grayson Devlin, siedzący po obu stronach Gary'ego McHugh, który zachowywał stoicki spokój, emanowali pewnością siebie.

Lou spodziewał się, że zamiast pomarańczowego więziennego kombinezonu Gary będzie miał na sobie normalne ubranie. Zanim

sędzia Griffey weszła do sali rozpraw, Sarah wyjaśniła mu, że między złożeniem wniosku a wyznaczeniem daty posiedzenia upłynęło za mało czasu, aby poczynić niezbędne przygotowania. Gary wciąż był więźniem stanu i miał nim pozostać, jeśli Sarah nie zmieni tej sytuacji. Lou uznał, że Gary wygląda mizernie, jak szkielet ciasno obciągnięty skórą. Bogu dzięki, że Cap dał mu do ochrony Małego, bo inaczej Gary mógłby się stawić na rozprawie w znacznie gorszym stanie fizycznym i emocjonalnym. Mimo pewności siebie jego obrońców, miał poważną minę człowieka, któremu teoretycznie wciąż grozi kara śmierci.

Sędzia Griffey autorytatywnym gestem uderzyła młotkiem w blat stołu sędziowskiego, przywołując salę do porządku.

– Jak rozumiem, obrona oskarżonego złożyła wniosek o oddalenie zarzutów. Czy przedstawiciele oskarżenia zostali poinformowani o tym wniosku?

Przewodniczący zespołu oskarżenia – mężczyzna z ogoloną głową i siwiejącą bródką, przypominający stracha na wróble z pedantycznie zawiązaną muchą pod szyją – podniósł się zza stołu.

– Tak, Wysoki Sądzie, oskarżenie zostało poinformowane.

– Obrona może przedstawić wniosek – oznajmiła sędzia Griffey.

Sarah wstała, przyglądała wełnianą plisowaną spódnicę i odchrząknęła. Lou skupił całą uwagę na tym, co robiła. Poprawił sweter, pociągając go w dół – podświadomym gestem naśladowując jej ruchy. Zahaczył palcem o małą dziurę, której nie zauważył podczas ubierania. Dzieło Multika trafiło z nim aż do sądu.

Uroczy kiciuś!

Zaraz po śmierci Hogartha i Brody'ego Sarah zniknęła na tydzień, uprzedziwszy Lou, że zamierza poświęcić całą energię i czas na wyciągnięcie Gary'ego z aresztu. Wyjaśniła, że wniosek o oddalenie zarzutów to nietypowy krok prawny, lecz konieczny, by przyspieszyć

procedurę. Teraz wszystko zależało od tego, czy oskarżenie przyzna, że sprawa przeciwko Gary'emu McHugh jest nie do wygrania.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie – powiedziała Sarah. – Od aresztowania mojego klienta pojawiły się nowe fakty, które w skrócie przedstawiłam we wniosku. Wyniki badań kryminalistycznych, poświadczone przez eksperta w dziedzinie balistyki powołanego przez oskarżenie, potwierdziły, że broń użyta do zamordowania Eliasa Colstona, zabytkowy pistolet Colta, była zarejestrowana na nieżyjącego pułkownika Wyatta Brody'ego i pochodziła z jego bogatej kolekcji. Mój klient w żaden sposób nie mógł wydostać tej broni z pilnie strzeżonej bazy wojskowej, gdzie pułkownik Brody przechowywał kolekcję, zamkniętą na klucz i zabezpieczoną alarmem. Nie ma również dowodu na to, że mój klient znał lub kiedykolwiek kontaktował się z pułkownikiem Brodym. Zasadny więc wydaje się wniosek, że Gary McHugh nie mógł strzelać z broni, z której zamordowano Eliasa Colstona.

Lou jak oczarowany słuchał wspaniałego wystąpienia Sarah. Nie było wątpliwości, że to jest jej żywioł, jej arena. Był pod ogromnym wrażeniem jej opanowania i pewności siebie. Wykorzystując jedną z rzadkich chwil, gdy Sarah wychyłała z głębin kancelarii, by zaczerpnąć świeżego powietrza, poszli na kolację. Oboje zachowywali się ostrożnie i powściągliwie. Pomyślał, że mógłby zaaranżować wspólną kolację z Emily – ale jeszcze nie teraz.

Sarah przeszła do szczegółowego omówienia pozostałych najważniejszych punktów wniosku, wskazując motyw, jaki skłonił Wyatta Brody'ego do morderstwa, oraz okazję do popełnienia zbrodni. Swoją perfekcyjny wywód zakończyła wnioskami, których nie sposób było podważyć. Kiedy umilkła, prokuratorzy wyglądali jak drużyna z ligi młodzieżowej, która stanęła naprzeciw zawodowców.

– Czy oskarżenie chce zgłosić sprzeciw wobec wniosku o oddalenie zarzutów? – zapytała sędzia Griffey.

– Nie, Wysoki Sądzie. Przyjmujemy wniosek w całości.

– Dobrze – odparła sędzia. – Doktorze McHugh, proszę przyjąć szczerze przeprosiny sądu za ból i cierpienia, jakie musiał pan znieść. Życzymy panu wszystkiego dobrego. Zarzuty zostają oddalone, jest pan wolny.

Gary rozpromienił się w uśmiechu, biorąc w ramiona najpierw Sarah, a potem Graysona.

Później przyszła kolej Lou, by uściskać Gary’ego, gdy tylko przyjaciel podszedł do miejsc dla publiczności.

– Udało się, stary! – zawołał Lou. – Udało się!

– Dziękuję, Lou. – Oczy Gary’ego zaszły mgłą. – Ciągle nie mogę uwierzyć, że to koniec.

– W pewnym sensie to dopiero początek. Ale teraz uwierz. Jesteś wolny. Słyszałeś, co powiedziała sędzia.

– Chyba lepiej znajdę sobie coś do ubrania – powiedział Gary, poklepując kieszenie więziennego stroju.

– W pomarańczowym nigdy ci nie było do twarzy.

– No i chyba będę też musiał poszukać sobie jakiegoś mieszkania. Wypiszesz mi receptę na jakiś dobry hotel?

Lou skrzywił się na to pytanie. Słyszał od Gary’ego, że Missy zamierza złożyć pozew o rozwód. Najwyraźniej sprawie nadano bieg. To wyjaśniało jej nieobecność na dzisiejszym posiedzeniu sądu.

– Szczerze mówiąc, myślałem o tym – odparł Lou.

– Tak? I co wymyśliłeś? Four Seasons? Ritz?

– Raczej Dom Nadziei.

– Mam wrażenie, że to trochę za niska kategoria jak na mój gust. Być może nie mam już żony, ale zostało mi jeszcze trochę pieniędzy.

– Ściślej rzecz biorąc, to ośrodek resocjalizacyjny – wyjaśnił Lou. – Mieszkałem tam po wyjściu z odwyku. Właściwie już zadzwoniłem i powiedziałem im, że być może pojawisz się u nich jeszcze dziś, żeby zostać na jakiś czas. Zarezerwowali dla ciebie pokój. Jeżeli chcesz, mogę ci nawet polecić zaufanego i wypróbowanego patrona z AA. – Lou wskazał kciukiem na stojącego za nim Capa. – Ale muszę cię ostrzec: on naprawdę wymaga dyscypliny. Ma w sobie tyle pobłażliwości, ile włosów na głowie.

– Chyba rzeczywiście surowy z niego gość.

– To ci dobrze zrobi, Gary.

– W porządku. Jeżeli trzeba. Będę się starał.

– Prawo do wykonywania zawodu na razie tylko zawieszono, nie odebrano ci go na stałe. Nie tylko to się liczy. Będziesz gotowy wrócić do leczenia ludzi dopiero wtedy, gdy nie będziesz czuł takiego przymusu.

– Rozumiem. Naprawdę rozumiem. Dzięki, Lou. Dzięki za wszystko.

– Gotowy na wszystko – odparł Lou.

Gary przyjrzał mu się z ciekawością i rozbawieniem.

– Co?

– To, że od tej chwili przyjmujesz „program jednego dnia”.

Sarah zawołała Gary’ego.

– Trzeba podpisać dokumenty – powiedziała. – Chodźmy to załatwić.

– Muszę lecieć. Do zobaczenia na wolności, stary – rzucił Gary.

Sarah pomachała do Lou, dając mu znak, że pogadają później. Lou pokazał jej uniesiony kciuk, a ona odpowiedziała tym samym gestem.

Lou i Cap razem ruszyli do wyjścia z sali rozpraw.

– Dała bombowy występ – orzekł Cap. – Po prostu bombowy.

– Gdybyś kiedyś miał kłopoty, znam świetnego adwokata.

– Dotąd wszystkie spory udawało mi się załatwić w ringu. Zajmę się twoim kumplem Garym tak samo, jak zająłem się tobą.

– W takim razie jestem spokojny, że sobie poradzi.

Wychodząc z budynku, Lou osłonił oczy przed blaskiem południowego słońca. Dopiero po chwili dostrzegł zaparkowany przed gmachem radiowóz policji stanowej Wirginii Zachodniej. Judy Lemon stała oparta o samochód z rękami skrzyżowanymi na piersi, wyglądając olśniewająco w mundurze. Jej promienny uśmiech mógł poprawić nastrój każdemu. Obok niej stał Papa Steve w dzinsach, kurtce z kapturem i kowbojskim kapeluszu z czarnej skóry.

– Jak poszło? – zapytał.

– Jest wolny – odparł Lou. – Sprawa została zamknięta. Świetnie widzieć was oboje.

Nastąpiły uściski. Między tą czwórką wytworzyła się wyjątkowa więź – bliskość, o której zawsze będą sobie przypominać, ilekroć usłyszą uwerturę *Rok 1812*.

– Was też świetnie widzieć – powiedział Papa Steve. – Dzięki, że daliście mi znać o tej rozprawie. Przepraszam, nie mogłem wcześniej przyjechać, ale cieszę się, że twój przyjaciel Gary wyszedł. Gdyby nie ty i Cap, dalej siedziałyby w pudle.

– No i gdyby nie ty i Judy Lemon – dodał Cap.

– Pomyślałem sobie, że powinniście o czymś wiedzieć. Mamy zeznania dwóch ludzi z Gwardii Pałacowej, którzy zabili Hectora – powiedział Papa Steve. – Zostanie pochowany na cmentarzu Arlington, a jego rodzina dostanie odprawę pośmiertną w pełnej wysokości. To jedyny pozytywny wynik tego naprawdę tragicznego zdarzenia.

– Wspaniała wiadomość – uznał Lou. – Bolała mnie ta historia z Hectorem. Cieszę się, że nie tylko Gary’emu oddano sprawiedliwość.

– Przyjechałem się też pożegnać – dodał Papa Steve. – Przynajmniej na razie. Złożyłem papiery i oficjalnie opuszczam jednostkę. Pomyślałem, że warto gdzieś pojechać, zanim moje trzeszczące kości przestaną się nadawać do podróży.

Lou posłał Judy i Papie Steve'owi pytające spojrzenie.

– Czyli wy dwoje...

– Zdrowo i szczęśliwie wybieramy się na zachód – dokończyła Judy, uprzedzając prośby o podanie szczegółów.

– A ten kapelusz? – spytał Cap.

– Mamy rezerwację na ranczu dla turystów – wyjaśnił Papa Steve. – Obtarcia od siodła, gorące kąpiele. Pomyślałem sobie, że porządny stetson pozwoli mi wczuć się w klimat.

– Tylko mi nie mów, że masz przyjaciela, który jest właścicielem sklepu z kapeluszami – powiedział Lou.

Papa Steve ujął jego prawą rękę w obie dłonie.

– Skąd wiesz?

EPILOG

Pralnia Caribou rzadko potrzebowała klimatyzacji, która przydałaby się w cieplejsze dni, bo po prostu jej nie miała. Latem, tak jak tego pięknego dnia pod koniec czerwca, gdy temperatura sięgała trzydziestu stopni, wiatr znad zatoki Belmore wpadał do środka przez otwarte tylne drzwi, przetaczał się przez wnętrze pralni i wypadał na Maine Street, wprost na witrynę redakcji gazety „Belmore Current”. W południe pralnia była pusta, jeśli nie liczyć Edith Harmon i przystojnego dwudziestoparolatka, który pomagał jej składać pranie.

– Wiesz, mamó, chętnie to zrobię – rzucił Ian Harmon. – Ciocia Alice i wujek Bill każą mi samemu robić pranie i nawet to chyba polubiłem.

– Nie przyszło ci do głowy, że ja też mogę to lubić?

Ian, chudy jak patyk i wysoki na ponad metr osiemdziesiąt, pochylił się i pocałował matkę w czoło.

– Dobrze być w domu – powiedział. – Chociaż nigdy nie byłem tu przed Bożym Narodzeniem.

– Dobrze mieć cię w domu, skarbie. W życiu nie zamieniłabym żywego ciebie na ciebie przez Skype’a. Poza tym jesteś supernabytkiem dla gazety. Nie wiem, czy będę chciała wysłać cię na Uniwersytet Maine na ostatni rok, mimo że to dziennikarstwo.

– Przez te kilka miesięcy pracy u ciebie nauczyłem się więcej niż przez trzy lata college’u w Dakocie Południowej. Może nie warto się przenosić tylko na ostatni rok.

– Gadaj tak dalej, a trafisz prosto na moją czarną listę. Lepiej dla ciebie, żebyś się tam nie znalazł, mimo że już nie noszę przy sobie deringera. – Edith przechyliła głowę na bok. – Ian, czy ktoś jest na zewnątrz?

– Skąd... Przepraszam, powinienem się już nauczyć, że nie ma sensu cię o to pytać. Po drugiej stronie ulicy stoją mężczyzna i kobieta. Właśnie zsiadli z rowerów i zagląдают do redakcji.

– Opisz ich.

– Kobieta ma ciemne włosy związane w kucyk i niezłą figurę. Nie, powiedziałbym raczej, że superfigurę, zwłaszcza w tym stroju z lycry.

– Ian, jesteś dziennikarzem. Tylko tyle potrafisz? Ma superfigurę?

– Facet jest dość wysoki, barczysty, ma ciemne włosy, trochę przyklepane, bo przed chwilą zdjął kask. Wygląda na wysportowanego. I ma spore bicepsy. Może podnosi ciężary. Nie widzę żadnych tatuaży. Idą w naszą stronę. Mówiłem, że kobieta ma niesamowitą figurę?

Edith, używając wyciągniętych rąk jak czułków, pędziła już w kierunku wejścia do pralni, jak gdyby miała doskonały wzrok.

– Sarah! Lou! – krzyknęła na ulicę. – Spodziewałam się was dopiero jutro!

– Okazuje się, że jesteśmy w lepszej formie, niż sądziliśmy – powiedziała Sarah, biegnąc do przyjaciółki, aby ją uściskać. – Śpimy pod namiotem, wstajemy o świcie, a po pięciu dniach jazdy po tych wzgórzach średnia prędkość zwiększyła się nam o prawie dziesięć kilometrów na godzinę.

– Uważajcie na prędkość w Maine.

Objęła Lou, przedstawiła im Iana, po czym wszyscy czworo opuścili pralnię i przeszli na drugą stronę ulicy do redakcji „Belmore Current”. Edith była w kontakcie z Sarah, nie zdziwiła jej więc wiadomość, że Sarah została współpracowniczką w kancelarii i postanowiła

zburzyć mury między nią a Lou. Wyprawa „w nieszczerólnie znane” do Maine była odważnym krokiem, lecz Edith już po krótkiej chwili doszła do wniosku, że na razie wszystko jest w porządku.

Kiedy weszli do maleńkiego pokoiku redakcji, Ian zmienił się w czarującego, dowcipnego i inteligentnego gospodarza. Podając herbatę, rozmawiał z nimi o wydarzeniach na świecie z dużą znajomością rzeczy, zupełnie nieprzystającą do jego wieku. Sarah serce krajało się na myśl, jak bolesnym przeżyciem dla przyjaciółki musiała być utrata wzroku, a potem wyprawienie syna z domu.

– Ian i ja mamy pewne wiadomości i chcemy z wami o nich porozmawiać – oznajmiła po jakimś czasie Edith. – Ale najpierw mówcie, co u was. Jak sobie radzi Gary McHugh?

– Nie uwierzysz, ale całkiem dobrze – odparł Lou. – Raz podczas widzenia w areszcie, przypuszczam, że w chwili słabości, przysięgał, że chętnie zgodziłby się na odebranie prawa do wykonywania zawodu lekarza, gdyby dzięki temu mógł stamtąd wyjść. Ma teraz szansę to udowodnić. Mieszka w ośrodku resocjalizacyjnym, w którym sam kiedyś byłem, i wyobraź sobie, pracuje w pizzerii Dimitri’s, na parterze pod moim mieszkaniem. Nawet mu się to podoba. Bracia Costa, właściciele lokalu, mówią, że stał się kimś w rodzaju eksperta od kręcenia i podrzucania ciasta. Nazywają go piątkowym uczniem. Gary twierdzi, że jednemu rzutowi nadali nawet jego imię.

– Lekarz zawsze pozostanie lekarzem – zauważyła Sarah.

– Myślę, że jeszcze pół roku ciężkiej pracy i udziału w mityngach – ciągnął Lou – a będzie mógł złożyć podanie o przywrócenie prawa do wykonywania zawodu. Nigdy o tym nie mówi, a to bardzo dobry znak.

– Ja też mam wiadomości – powiedziała Sarah. – Bryzinski i prokurator okręgowy ustalili warunki ugody. Dziewięć lat za usiłowanie morderstwa. Bez prawa do warunkowego zwolnienia. Nie

wiem, co się stanie w sprawie tego nastolatka, którego podobno zastrzelił. Najlepsza rzecz, jaka go może spotkać za parę dobrych lat, to praca, jaką ma teraz Gary.

– Śmierć przy pizzy – odrzekła Edith. – Moim zdaniem, to był prawdziwy dar niebios, że udało nam się wtedy upchnąć go w bagażniku twojego samochodu.

– No a co ty masz dla nas? – zapytał Lou.

Ian otworzył górną szufladę szafki, wyciągnął cienką teczkę, położył ją na stole i otworzył. Było w niej kilka różowych karteczek z wiadomościami telefonicznymi, odręczne notatki i wydruki oraz parę artykułów z gazet, w tym jeden po hebrajsku.

– Mama opowiedziała mi chyba wszystko o tym, co się stało w Reddy Creek i zimą zeszłego roku w bazie lotniczej w Dover – powiedział. – Jestem wiceprezesem zarządu gazety i zastępcą redaktor naczelnej odpowiedzialnym za zbieranie materiałów. Zgadza się, mamó? No więc dwa tygodnie temu trafiłem na krótki tekst o przywódcy palestyńskiej organizacji terrorystycznej Brygady Męczenników Al-Aksy, którego zabił w Bejrucie zamachowiec samobójca. Wydało mi się to trochę dziwne, bo zamachów samobójczych zwykle dokonują terroryści, którzy sami raczej nie padają ich ofiarą. Korzystając z kontaktów mamy, próbowałem ustalić, kto się do tego przyznał albo kogo się oskarża.

Lou i Sarah zaczęli już wymieniać zaniepokojone spojrzenia.

– Mów dalej, Ian – poprosiła Sarah.

– Jak dotąd nikt się do tego nie przyznał. Nikt. To też było dziwne. Zwykle terroryści aż wychodzą ze skóry, żeby im przypisano taki zamach. A przedwczoraj zadzwonił do mnie pewien człowiek z Izraela o imieniu Jacob. Powiesz o nim coś, mamó?

– Jacob jest z Mosadu – podjęła Edith. – To szpieg zaangażowany w zwalczanie terroryzmu, mieszka pod Jerozolimą. Osiem czy

dziewięć lat temu zbierałam materiały do artykułu o samobójstwie ważnego fizyka atomowego pochodzącego z Iraku, pracującego w ośrodku badawczym w Karolinie Północnej. Dotarłam do informacji, z których wynikało, że ten człowiek był szpiegiem Iranu i został zlikwidowany przez Mosad. Jacob złożył mi wizytę i poprosił, żebym nie pisała na ten temat. Nie chciał zdradzić dlaczego, powiedział mi tylko, że jeżeli go nie posłucham, może się to niedobrze skończyć dla mnie albo dla Iana. W zamian za to miał dopilnować, żebym była pierwsza w kolejce do wielu innych tematów. Przez parę lat dotrzymywał tego zobowiązania.

– No więc wysłałam do niego maila z pytaniem o ten zamach – ciągnął Ian. – Zadzwoił do mamy i powiedział jej, że powstała tajna jednostka Mosadu, wyłącznie do przeprowadzania tego typu akcji. Twierdził, że nawet członkowie jednostki nie są informowani, na czym ma polegać ich zadanie, ale dowiedział się, że to ma jakiś związek z zaawansowanymi badaniami nad mechanizmem strachu, które prowadzili Amerykanie.

– Czy ten Jacob wiedział przypadkiem, o jakich Amerykanów chodzi? – spytał Lou, ledwie mogąc utrzymać w ręku kubek.

– Tego jeszcze nie wie – odrzekła Edith. – Ale powiedział, że będzie mnie informował na bieżąco. Chcecie, żebym wam przekazywała wiadomości na ten temat?

Sarah i Lou wymienili ponure spojrzenie.

– Damy ci znać – odpowiedzieli.

PODZIĘKOWANIA

Napisanie tej powieści wymagało sporej energii i wielu pomysłów, nie tylko z mojej strony. Korzystam z okazji, aby podziękować wszystkim, którzy towarzyszyli mi w tej drodze, a są to:

Moja znakomita redaktorka Jennifer Enderlin, obdarzona rzadkim talentem do opowiadania.

Przyjaciele z Jane Rotrosen Agency, zwłaszcza moja agentka Meg Ruley – praca z nią wciąż sprawia mi niewiarygodną przyjemność.

Eksperti: dr Lisa Sanders, dr Geoffrey Sherwood, dr Kate Isselbacher, pisarka Cilla McCain, adwokat William J. Bladd, guru balistyki Steve Ostrowski, dr Rock Grass i dr Ethan Prince.

Pozostali, bez których nigdy nie skończyłbym *Politycznego samobójstwa*, to:

Bracia Palmerowie – Daniel, Matthew i Luke;

Robin Broady, Donna Prince i Susan P. Terry;

a także bardzo wielu znajomych Billa Wilsona i dr. Boba Smitha.

- [1](#) William „Willie” Sutton (1901–1980) – słynny złodziej okradający amerykańskie banki.
- [2](#) *Mantis* – modliszka.
- [3](#) Jedną z atrakcji turystycznych Kansas jest największy kłębek sznurka znajdujący się w Cawker City.